

TOM CCXLV

ROK 62

SERYA '9

ZESZYT 735

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

MARZEC

1902

TOM I. — ZESZYT 3.

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja: Krakowskie Przedmieście 5.

1902.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Stron.
1. OSTATNI MOHIKANIE POLSCY, — przez G. Smólskiego	419
2. NIEZNANY PAMIĘTNIK JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA O CZASACH KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO (1807—1809), (dalszy ciąg), — podał Aleksander Kraushar	449
3. NA CZASÓW FALI. I. ŻELAZNI JEŹDZCY. II. ŻYWCIEŃSKI DZIEŃ. III. SYNOWIE. IV. LECĄ CZASY. (Poezye), — przez Jana Przysieckiego	471
4. NASZE STOSUNKI HANDLOWE Z NIEMCAMI, — przez A. Donimirskiego	477
5. HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ DLA NIEMCÓW, — przez Ign. Chrzanowskiego	492
6. AUTOR. Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez Cecylię Walewską	512
7. DEMOKRACJA, — przez Wojciecha Dzierżyszyckiego	537
8. PIŚMIENICTWO:	
<i>Lubomir Gadon</i> : „Emigracya polska“. Tom I i II, — przez A. R.	573 i 577
<i>Zygmunt Gloger</i> : „Encyklopedia Staropolska Ilustrowana“. Tom I. Aaron — Denar, 316 stron Warszawa, 1900. Tom II. Departamenta — Kapelani, 332 stron, 1901, — przez A. Brücknera	585
<i>Dr Ludwik Finkel</i> : Bibliografia historii polskiej“. Część II (zeszytów 4). Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1895—1901, str. 531—1,142, — przez Henryka Ułaszyna	589
<i>K. Krynicki</i> : „Rys geografii Królestwa Polskiego“. Wydanie drugie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1902, — przez Br. Ch.	593
<i>Władysław Matlakowski</i> : „Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Pod- halu“. Zarysy życia ludowego, poprzedzone życiorysem autora, wydał dr Józef Peszke. (Z dwoma podobiznami autora, 65 tablicami i przeszło 150 rycinami w tekście). Warszawa, 1901. Z za- pomogi Kasy imienia d-ra Józefa Mianowskiego, — przez Romana Zawilińskiego	595
09. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Setna rocznica urodzin Zaleskiego. — Jubileusz Konopnickiej. — Biblioteka Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. — Towarzystwa przeciwpojedynkowe. — Opieka nad chorymi pozaszpitalnymi. — Ubogie matki i dzieci, zagrożone chorobami przewlek- łymi. — Wspomnienia pozgonne: ś. p. Ksawery Pilatti, ś. p. Lucyan Wrotnowski, ś. p. Włod- zimierz Zagórski (Chochlik)	601
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRA- FICZNE	617



De. II. 1.

Ostatni Mohikanie polscy.

Pamięć o okrucieństwach zachodnio - europejskiej kultury, gdy ona dotarła przez ocean do brzegów Ameryki, a zawładnąwszy nową częścią świata, wytępiła srodzimątejszą pierwobyłą ludność miedzianoskórą, napelniała przez wieki serca szlachetniejsze świata cywilizowanego grozą, oburzeniem i żalem. Dziś jeszcze wspomnienia o tem oddziaływają na ludzi o czulszym nastroju. „Ostatni Mohikanin“, spopularyzowany przez Coopera, wywołał też niejedną łzę z głębin serca polskiego, płynącą przez morze na grób jego daleki. Smutny los tępionych plemion murzyńskich w Afryce, okrucieństwa Belgów w Kongo, a Niemców w Kamerunie, zamach Anglii na wolność Boerów, objawiający się krwią i ogniem, odbija się tkliwie na sercach polskich uczuciem bolesnej żałości, co chlubne wystawia im świadectwo.

Dbaliśmy jednak więcej o innych, aniżeli o własny lud, i znajdowaliśmy się bezsprzecznie na mylnej i niewłaściwej drodze, skoro niemczyzna mogła zdziałać takie straszne i ogromne spustoszenia na naszym obszarze ludowym, pierwotnie szeroko i daleko rozprzestrzeniającym się poza granicami państwa polskiego. Gdy gore własna strzecha nad głową, czas ostateczny wziąć się do rozumnej a energicznej obrony. Do tego trzeba atoli nieodzownie skupienia wszystkich sił, dokładnego zbadania stanu rzeczy i znajomości stosunków miejscowych na zagrożonych kresach, jako też oparcia obrony o myśl głębszą, żywotną i przyrodzoną. Tego wszystkiego brak, niestety, u nas. Dziwna, zaiste, rzecz: o obcych wiemy zwyczajnie daleko więcej, aniżeli o sobie samych, wbrew ludowemu przysłowiu swojskiemu, iż koszula bliższa jest od żupana. Znamy lepiej stosunki w Chinach, na Madagaskarze, a nawet na Przylądku Dobrej Nadziei, znamy życie paryskie w drobnych szczegółach, dokładnie życiorysy Sary Bernhard i Coquelinów,

mody, angielski parlamentaryzm Południowej Afryki, a biegli jesteśmy we wszystkich naukach i ćwiczeniach sportowych; lecz o tem, co się dzieje na odwiecznie lechicko - polskiej ziemi: na Kaszubach, w Prusach Zachodnich, Mazowszu Pruskim, a nawet na Szląsku, jakie tam panują stosunki, w jakim kierunku najpilniej trzeba pomocy duszonym przez niemiecką braciom, o tem bardzo słabe posiadamy wiadomości, lub zgoła nic nie wiemy.

Dziennikarstwo nasze wogóle, z ubolewaniem przychodzi nam to stwierdzić, nie spełnia w tym kierunku obowiązku narodowego, rozpisując się szeroko i długo o sprawach obcych, mówiąc wciąż słomę polityki europejskiej, apostołując z przesadą artyzm, rozwodząc się nad drobnostkami zagranicznymi, a pomijając głośnie sprawy najżywotniejsze, to, co nas istotnie boli, co nam zagraża zagładą, a przeciwnie czemu, jeśli zginąć nie mamy, koniecznie bronić się nam trzeba. Zalew niemiecki wciąż podtapia dalej, wciąż pochłania kawał polskiej ziemi po kawał, w naszych oczach — prze z olbrzymią siłą naprzód, a my wobec tego stoimy z oczyma zamkniętymi, a rękoma gnuśnie założonemi, jakobyśmy wierzyli w fatum, iż przeznaczeniem naszym jest być dla Niemców ofiarą do pochłonięcia.

Współczuć z bliźnim, mieć litość dla obcego nieszczęścia, ponosić dla innych nawet ofiary, jest rzeczą szlachetną; atoli pamiętać o sobie samym, o własnym ludzie — najświętszym obowiązkiem, u nas bardzo zaniedbywanym.

P. S. Komarnicki w dziele: „Polska na Zachodzie w świetle cyfr i zdarzeń“, roztacza na podstawie liczb i faktów przed naszymi oczyma straszny obraz spustoszenia, jakie niemiecką sprawiła w ciągu wieków na naszym obszarze ludowym. Książka zawiera dla nas groźną przestrożę, byśmy się ocucili z bezczynnej gnuśności, a zjednoczone siły wyteżyli w obronie życia, ponieważ napad niemiecki na ziemię lechicko - polską miał od swego początku, przed przeszło lat tysiącem, to samo znamię, jak obecnie: walki na śmierć, lub życie. Hasło ich, jak brzmiało przed wiekami, brzmi tak samo i dziś: „a u s - rotten!“ . Pisarz rzeczzonego dzieła w niczem nie przesadza. Owszem, przedstawia spustoszenia niemieckie w znacznym zmniejszeniu, gdyż, stojąc na podstawie państwowości polskiej, nie obejmuje całego obszaru polsko-ludowego, rozprzestrzeniającego się daleko poza granice Polski, jako państwa, jak naprzykład mówiąc o germanizacji Pomorza, zastanawia się tylko nad zużyczeniem jednej zaledwie jego części, mianowicie: ziemi Słupskiej, Bytowskiej i Lęborskiej, wchodzących najdłużej i do najpóźniejszych czasów w skład państwa polskiego. Inne części Pomorza z wyspami Rujną, Wolinem i Uznój-

mem, jako też dalsze obszary lechicko-polskie, Lutyków i Bodrytów, należące bezsprzecznie do polsko-ludowego obszaru, jako stojące poza obrębem polskiej, w ściślejszem słowa znaczeniu, społeczności państwowej, są zupełnie pominięte. Nie uwzględnia on także i Mazowsza Pruskiego, czyli Prus wschodnich, chociaż ziemia ta, nawet podług świadectwa niemieckich dziejopisów, jak Töppen i Hartknoch, była rdzennie polską, a w części jest nią jeszcze po dziś dzień. W roku 1450 wszystkie stany tej ziemi hołdowały wielkiemu mistrzowi Krzyżaków w polskim języku. Wspomniane dzieło rozdziela germanizację tego dobrowolnie zmniejszonego obszaru polsko-ludowego na trzy okresy: I) okres chrześcijański, II) okres reformacji i III) okres ostatni, zaczynający się mniej więcej od czasu upadku Polski, jako państwa. Przejrzyjmy w zwięzłym streszczeniu nasze straty narodowe. Pierwszy okres przynosi nam głównie straty na Szląsku, obejmujące około tysiąca mil kwadratowych, większy obszar ziemi, aniżeli obydwie królestwa: Saksonia i Wirtembergia, wraz z Wielkim księstwem Badeńskim i księstwem Brunświckiem, z dodatkiem jeszcze księstwa Anhaltköthen, razem wzięte, czyli trochę więcej, niż piąta część państwa Bolesława Chrobrego, zajmującego podług tego pisarza „prawie 5,000 mil kwadratowych“. W drugim okresie niema dokładnego obliczenia. Prusy są pominięte w znacznej części, a postępy niemieczyzny na Pomorzu i Szląsku niewzględnione. Widzimy tylko, że na obszarze ziemi, zamkniętej rzekami: Drwęcą, Osą i Wisłą, obejmującym 944 mile kwadratowe, do czego wchodzi także dzisiejsze Wielkie Księstwo Poznańskie, Niemcy tworzą na 52 milach kwadratowych $\frac{4}{5}$ części ludności, na 135 milach $\frac{3}{5}$, na 108 milach prawie $\frac{2}{5}$, a na 226 milach kwadratowych stanowią mniejszość ponad $\frac{1}{7}$ część ludności. W Prusach zachodnich tworzą Polacy 45%, a są tam powiaty, jak Walecki, gdzie Niemcy stanowią 99% ogólnej ludności. Obszar regencyi Frankfurckiej i dawne były starostwo Drahimskie, są zupełnie zniemczone, a w okręgach Pomorskich: Słupsk, Bytów, Lębork, przedstawia się stosunek ludności polskiej do niemieckiej, jak 4.7:95.3. Okres trzeci jeszcze mniej dokładnie i przeglądowo zestawiony. Pisarz książki powiada, że rok 1848 tworzy słup graniczny pomiędzy czasem, w którym żywioł polski ponosił tylko straty narodowe, a czasem, w którym życie narodowe poczęło się obudzać silniej. Ten „słup graniczny“ jest atoli w istocie rzeczy tylko złudzeniem, jeśli przypatrzymy się dokładniej stosunkom w ziemiach polskich pod panowaniem pruskim. Wszędzie tam zrobiła germanizacja postępy i wciąż je robi. To, co Komarnicki twierdzi, może się tylko w części stosować do Wielkopolski i Prus zachodnich,

gdzie, pomimo jak najbardziej barbarzyńskiej germanizacji, dzięki przyrodzonej wielkiej sile płodności ludu polskiego, utrzymuje się mniej więcej jednakowy stosunek liczebny ludności polskiej do niemieckiej, co znaczy, że większy przyrost ludności polskiej pokrywa tam swoją nadwyżką ubytek przez niemczenie. Natomiast na Pomorzu, Mazowszu Pruskim, Warmii i szczególnie na Szląsku środkowym, poczyniło niemczenie bardzo znaczne postępy, od roku 1848, względnie od roku 1871, w którym czasie w krajach tych wygnano język polski zupełnie ze szkoły, a w większej części równie i z kościoła. Dla wymienionego pisarza stanowi pociechę okoliczność, że ludność polska, zarówno w części Prus, jako też Wielkopolski, przeważa ludność niemiecką terytoryalnie: w Prusiech w stosunku 64%, w Wielkopolsce 77.3%. Znaczy to także niewiele, gdy się zważy, że ludność niemiecka, zamieszkując przeważnie miasta, tworzy na stosunkowo mniejszych obszarach ziemi większe i silniejsze skupienia społeczne, z których, jak z twierdzy, działa tem niebezpieczniej na okolicę, rzadziej zaludnioną i źle zorganizowaną. Lecz nawet i terytoryalna przewaga nie potrwa długo przy skrzętnej działalności niemieckiej komisji kolonizacyjnej. Sam pisarz stwierdza, że Niemcy wykupili (do roku 1900) z górą 5 milionów morgów magdeburskich w samem Wielkiem Księstwie Poznańskiem, i wciąż skupują więcej ziemi od Polaków, razem około 140 miejscowości, z których 82 przeważano już nawet po niemiecku ¹⁾.

Lubo dzieło Komarnickiego nie wyczerpuje przedmiotu, za mało jest ściśłem, zawiera niedokładności i obraca się w ciasnych i niedostatecznych granicach byłego państwa polskiego, mimo to jest ono wielce pouczającym, za co mu należy się pełne uznanie. Obraz, ułożony z samych liczb, jaki wygląda z książki Komarnickiego, chociaż nie ma kolorytu, jest wręcz przerażającym i ogromnie upokarzającym dla nas, jako dla narodu, przeszło dwudziesto-milionowego, z wielką, przeszło tysiącletnią przeszłością dziejową, okwitą w wiekopomne czyny, a zaliczającego się do narodów cywilizowanych.

Uczony niemiecki, Lorentz, który przebywał dłuższy czas pomiędzy Łebskimi Kaszubami dla badań językowych, donosi, że ostatni Mohikanin narzecza witkowskiego (pomorsko - kaszubskiego), zmarł w swej wsi, Witkowie (po niemiecku: Vietkow), około Wielkiejnocy w roku 1898, zaś Parczewski, zwiedzający przed kilku laty Kaszubów pomorskich, znalazł we wsi Rto (także Rotowo, po nie-

¹⁾ „Dziennik Poznański“, z roku 1900, № 54.

miecku: Rotten) starca, nazwiskiem Nowek, z siostrą, którzy, jedyni w całej wsi, umieli jeszcze po kaszubsku. Czy żyje jeszcze ta para ostatnich polskich Mohikanów? Na wymierających patrzy gnuśnie naród polski, obojętnie zaś wielka Słowiańszczyzna. Nazwą „ostatnich Mohikanów polskich“ obejmujemy niedobitki ewangelickich Kaszubów na Pomorzu, tak zwanych „Słowińców“, „Kabetków“ i „Łebskich Kaszubów“, w których stosunki pragniemy głębiej wniknąć i szczegółowiej w nich się rozpatrzeć, wychodząc z założenia, że dokładniejsze ich zbadanie i rozpoznanie jest rodzajem dyagnozy narodowej, koniecznej dla skutecznego przeciwdziałania wielkiemu dziejowemu niebezpieczeństwu, grożącemu nam ze strony Niemców i ich kultury. Oby praca niniejsza była chociażby cegiełką przy wznoszeniu twierdzy obrony narodowej.

Nazwy narodowe i ludowe, zmieniające się rozmaicie, przez różnych różnie używane, przekręcane, niewłaściwie stosowane i mieszane jedne z drugimi, są najgłówniejszą przyczyną zamętu i niejasności w pierwotnych dziejach ludów, największą trudnością dla badaczy prawdy dziejowej i źródłem mylnych wniosków. Zamęt nazw jest na Pomorzu większy, niż gdziekolwiek, a skutki tego są bardzo doniosłe. Odnosi się to w szczególności do Kaszubów, następnie do nazwy Pomorza i Pomorzan, mającej głównie ziemiopisne spaczenie. Mianowicie Niemcy nie mogą sobie dać rady pod tym względem, nicując i przywiązując zbytne znaczenie do nic nieznaczących odmian, zboczeń, lub niewłaściwie, albo całkiem mylnie przytaczanych nazw ludowych i ziemskich w starych kronikach, pismach i dokumentach, pisanych po łacinie, lub w gwarze dolno-niemieckiej—przez cudzoziemców, nieznających ani języka, ani stosunków miejscowych. W zabytkach tych piśmiennych pomieszane są: „pohlisch“, „polakisch“, „wandallisch“, „winulisch“, „sklawisch“, „slavenisch“, „slovenzisch“, „sluwenisch“, „slavinzisch“ i t. d., isticie jak kasza z grochem. Ponieważ pisma te są jedynymi źródłami, przeto szczególnie niemieccy uczeni nowszej doby wznoszą na ich podstawie gmachy przypuszczeń i twierdzeń, mających uchodzić za prawdę dziejową, w rzeczywistości zaś będące fantasmagoryami. Kronikarz ruski, Nestor, który niezawodnie góruje co do znajomości stosunków słowiańskich nad wszystkimi obcymi kronikarzami, zalicza

wyraźnie do szczepu lechickiego: Polaków, Lutyków, Mazurów i Pomorzan, ostatnia zaś nazwa obejmuje: Bodrytów, Wagrów i Rujnian, obok właściwych Kaszubów. Bezimienny życiopisarz biskupa bamberskiego, Ottona, „apostoła Słowian“, nadaje granicom Pomorza zgodne z podaniem Nestora rozprzestrzenienie jako ziem. leżących pomiędzy rzekami Wisłą a Jadorą (Eidorą). Adam Bremeński ¹⁾ stwierdza wyraźnie jedność narodową Pomorzan z Polakami, jako nie różniących się pomiędzy sobą ani ubiorem, ani gwara, uważając Polskę za „ultima et maxima provincia Vinulorum“. Słusznie zalicza Dominik Szulc ²⁾, oparłszy swoje twierdzenie na ważnych świadectwach dziejowych, Lutyków do Pomorzan. Dzisiejsza Meklenburgia była też objętą niezawodnie nazwą ziemiopisaną Pomorza, a nawet nazwa Kaszubów rozciągała się na jej obszar ludowy. Są na to dokumentarne dowody. W jednym ze starych pism, przytoczonych przez d-ra Tetznera ³⁾, zowią się książęta: Jan z Meklenburgii i Mikołaj Verle „Domini Cassubiae“, zaś księżniczka Ludgarda, córka księcia meklenburskiego, Henryka, wymienioną jest jako „Cassubita“, a pomorscy książęta, Barnim I i Bogusław, noszą tytuł w latach 1267 i 1291: „dux Slavorum et Cassubiae“.

Inni stosowali znowu nazwę Kaszubii tylko do małej części Pomorza. Czytamy bowiem w jednym dokumencie z roku 1289: „in terra nostra Cassubiae Belgarth“, „vera terra Cassubiae“, oznaczające ziemię pomiędzy górą Goleń (Gollenberg), a rzeką Persantą. Z tem zgadza się podanie „Pomeranii“ Tomasza Kuntzowa z XVI wieku. Pisarz niemiecki, Pfenning ⁴⁾, mówi znowu o dwóch księstwach: „Kassuben, wo Neustettin, Rügenwalde und Polzin“ i „Wenden, wo Rügenwalde, Haven und Stolpe“. W atlasie norymberskiego profesora Köhlera, z roku 1717, jest na mapie Pomorza ostatnie księstwo („Wenden“) zaznaczone jako „ducatu Vandalia“, w kierunku wschodnim ciągnąc się do rzeki Łupowa granicząc z tej strony z „dominium louvenburgense (ziemia Lęborska) i „dominium butoviense“ (ziemia Bytowska). Obok leży „Cassubia ducatus“ z miastami: Kosza-

1) L., 2, 10.

2) O Pomorzu zaodrzańskim. Warszawa, 1850.

3) Die Slavinzen und Lebakaschuben, Berlin, 1899.

4) Anleitung zur gründlichen Kenntniss der neuesten Erdbeschreibung i t. d. Berlin, 1783.

linem (Köslin), Kolobrzegiem (Colberg), Białogrodem (Belgart), Szczecinkiem (Neustettin) i Trzebiatowem (Treptow). Zachodnią granicę tego księstwa stanowi rzeka Rega, za którą znajduje się dopiero „ducatu8 Pomerania“, dalej „ducatu8 Stettinensis“, zaś w kierunku północno - zachodnim „comitatu8 Gutzkoviensis“, „dominiu8 Wolgastense“, „ducatu8 bardensis“ i „principatu8 Rugiae“.

Ks. Pobłocki w „Słowniku kaszubskim“ pisze: „Tym, co my w Kaszubach językiem mówiła cała Pomorska, gdzie jeszcze oazy mowy polskiej się znajdują, mówiła Meklenburgia, Rugia (Rujna), mówili bezwątpienia i Polabianie“. Tego samego mniej więcej zdania jest dr Nadmorski (Łęgowski), jeden z najlepszych znawców Kaszubszczyzny, w dziele: „Kaszubi i Kociewie“, wykazując szczegółowo jednakowe jak u Kaszubów brzmienia samogłosek u Drewian i Glinian hanowerskich, zwanych „Połabianami“, których zabytki gwarowe przechowali nam Niemcy w zepsutej formie. Baudouin de Courtenay zowie gwarg kaszubską „ostatkiem połabskiego języka“, Schleicher zaś w swej gramatyce „języka polskiego“ pisze, że „gwara kaszubska tworzy z połabszczyzną całość“. To samo wypowiada rosyjski badacz, Hilferding ¹⁾, stwierdzając nadto całość językową wszystkich plemion lechlickich z Polakami. Dr Biskupski w rozprawie o kaszubskim narzeczu brodnickim, przeprowadza na podstawie głosowni dowód, że kaszubszczyzna zgadza się zupełnie z polszczyzną, a to zarówno ze staropolskim, jako też z nowożytnym piśmiennym językiem. Dr Cenowa oznacza w wiekach VIII, IX i X granice kaszubszczyzny: od Wschodu poza Wisłę, na Zachodzie aż do Holsztynu i puszczy luneburskiej (gliniańskiej), w południowym kierunku po Szląsk, na Północy po Bałtyk z wyspami Rujną i dzisiejszą Femern.

Jedność ludową wszystkich, tak zwanych plemion „połabskich“ z pomorskimi — obydwie nazwy są równie tylko ziemiopisne — pod względem gwary, zwyczajów i obyczajów, stroju ludowego, urządzeń społecznych i państwowych, podań i wierzeń, stwierdził cały szereg powag naukowych i zabytków z dawnych czasów. Prawdopodobnie nikomu nie przyszło-by do głowy pisać o odrębnym „języku połabskim“, a jeszcze mniej o „pomorskim“, czy „słowińskim“, gdyby Szafarzyk nie był w „Narodopisie“ oddzielił dowolnie „języka połabskiego“ od polskiego, oznaczając z drugiej strony gwarg kaszubską jako narzecze „języka lackiego, czyli polskiego“. Wspomniany powyżej

¹⁾ Ostatki Sławian na juźnom bieregu Baltijskaho moria. Petersburg, 1862.

Pfennik nie robi żadnej różnicy między językiem polskim a narzeczaniami kaszubskimi Prus zachodnich (Pomerellen), i narzeczaniami Pomorza wschodniego, zowiąc wszystkie te gwary „pola ck is ch“. Wówczas, przy schyłku XVIII wieku, była kaszubszczyzna daleko więcej rozprzestrzenioną. Mówiono nią nawet jeszcze w okolicy Lutzenburga w Szlezwię - Holsztynie i koło Putbus w ziemi Oldenburgskiej. Kronikarz pomorski, Kantzow, żyjący sto lat wcześniej, zapisał, że w roku 1404 zmarła „im lant zu Rhügen (na wyspie Rujnie) a uff Jasmuds (półwysep Jasmoda) staruszka, nazwiskiem „Gulitzin“, będąca z swoim mężem ostatnią na ziemiach rujniańskich parą, umiejącą władać gwarą „wendyjską“. Büsching ¹⁾ przesuwa kaszubszczyznę od Łeby dalej ku Odrze, zaś późniejsi pisarze niemieccy: Bernouille ²⁾, Wobeser ³⁾, proboszcz Hacken ⁴⁾, oznaczają jako prawdziwą Kaszubię trzy okręgi, mianowicie: Bytowski, Słupski i Lęborski, z czym się zgadzają także pisarze: Brüggemann, Büsching, Wultstrack ⁵⁾, Lorentz ⁶⁾, a dalej Hilferding i Knoop ⁷⁾, ostatni sam ze „Słowińców pomorskich“ pochodzący.

Z powyższego wynika dość jasno, że nazwy ziemiopisne: Pomorze, Pomorzanie, obejmujące pierwotnie wielką przestrzeń pomiędzy Wisłą a Jaderą, stosowane bywały także do poszczególnych części kraju. Łacińsko-niemieccy pisarze przesuwali je wciąż z Zachodu na Wschód, lub z Północy na Południe, i odwrotnie, podług widzimisię, ograniczając ich znaczenie terytoryalnie, zupełnie tak, jak postępowali z nazwą ludową Kaszubów, która niezawodnie obejmowała całe dawniejsze Pomorze. Szukanie takie właściwego Pomorza i prawdziwej Kaszubii jest rodzajem naukowej ciuciubabki. Wygląda to, jak gdyby kto szukał właściwej Polski i znalazł ją raz na Kujawach, drugi raz w Wielkopolsce, trzeci na Mazowszu, w końcu zaś na Szląsku, opie-

¹⁾ Büschings Wochentliche Nachrichten, 1779.

²⁾ Johann Bernouillis Reisen durch Brandenburg, Pommern, Preussen, Curland, Russland u. Polen, 1771 — 1778.

³⁾ W dziele Brüggemanna i u Büschinga, 1784.

⁴⁾ Kurze historisch-geographisch-statistische Beschreibung von Pommern, Stettin, 1793 — 1795.

⁵⁾ Zur Charakterisirung der Kaschuben am Lebastrohme. J. C. L. Hackens Pomerische Provinzialblätter, 1831.

⁶⁾ Volkssagen, Aberglauben, Erzählungen, Gebrauche u. Märchen aus d. ostl. Hinterpommern. Posen, 1885.

⁷⁾ „Wisła“, tom XII, str. 74 — 99.

rając się na świadectwach dziejowych, że raz ta, drugi raz tamta dzielnica zwana jest Polską, a jej mieszkańcy Polakami.

Nazwy: Wendyjski, Wandalski, Winulski, Słowiński i t. p., nie znaczą. Są to nazwy, używane dowolnie przez obcych. Widzimy, że przybysze niemieccy nawet na Szląsku zwali ludność polską „wendyjską“. Nadawali oni bowiem licznym osadom, posiadającym ludność polską, do przekręconej przez siebie pierwotnej nazwy miejscowej przyczepkę: „W i n d i s c h“ właśnie dla oznaczenia ich polskości.

Z tego posiewu wyrosli na niwie narzeczowej Kaszubów, względnie na językowym łące lechicko-polskim, „Słowińcy pomorscy“, jako jakiś odrębny lud, czy nawet „naród słowiański“, ongi wielki, a obecnie zupełnie wymierający, którego niedobitki, bardzo nieliczne, utrzymały się jeszcze w okolicach nad jeziorami Gardęńskimi, Łebskiem i rzeką Żebą w ziemi Słupskiej. Mniemanie to całkiem mylne, utarte w niemieckim świecie naukowym, ogarnęło w części małej nawet i polskich badaczy kaszubszczyzny, z których atoli żaden nie przedstawił językowych dowodów przekonujących, siląc się natomiast popierać odrębność językową wynalezieniem dowolnej, dziwacznej pisowni „kaszubskiej“, jak dr Floryan Cenowa, a w części Stefan Ramułt. Najłżejsze narzeczoze zboczenia w brzmieniach i widoczne zepsucia językowe wydobywają starannie i zaznaczają osobnymi głoskami dla podniesienia „właściwości językowych“ i „dokładnego oddania brzmień odrębnych“, rzucając hojnie niesłowiańskimi: *ü, ö, f i v* żywcem z niemieckiego przyswojonemi. Lecz o tem mówić będziemy jeszcze poniżej.

Sprawa „języka słowińskiego“ stała się dla niemieckiego świata naukowego tem aktualniejszą, że niedobitki „słowińskie“ dogorywają. Chcą przeto gwarę ich podchwycić jeszcze z ust żywych, co, jak sądzą, było-by już za lat kilka zapóźno. Bowiem jeszcze tylko garstka starych ludzi używa swej pierwotnej gwary, młodzież zaś, „bez wyjątku“, mówi już wyłącznie po niemiecku, tak, że starym przykro, gdy z własnymi dziećmi, lub wnukami, nie mogą się porozumieć „po swemu“. Dr Lorentz przebywa trzy lata w lichych rybackich wioskach kaszubskich na przesmyku nadmorskim, pomiędzy jeziorem Gardęńskiem a Łebskiem, by na miejscu studyować gwarę ludową i ująć ją w formy gramatyczne, zanim stanie się martwą. Miał nawet zebrać dużo cennego materiału. Trzeba mu za to wyrazić wdzięczność, lecz z drugiej strony, wstydzić się należy, że my, posiadając podostatkiem uzdolnionych ludzi zawodowych, towarzystwa i zakłady naukowe, akademie umiejętności, nie zdobyliśmy się na to, by zbadać przynajmniej naukowo lud własny umierający. Mógł-by kto wskazać na prace polskich pisarzy w tym kierunku, mianowicie: Prejsa, d-ra

Cenowy, ks. Pobłockiego, Kujota, d-ra Marońskiego, d-ra Biskupskiego, Parczewskiego, d-ra Nadmorskiego - Łęgowskiego, Ramuła, Karłowicza, Brücknera i kilku jeszcze innych. Niezawodnie, że prace te zawierają dużo cennego materiału, w całości jednak przedmiotu wcale nie wyczerpują. Nadto ograniczają się one, z bardzo małemi wyjątkami, na Kaszubszczyźnie Prus zachodnich, a więc konkretnie źródłowo mało przyczyniają się do wyświecenia spornej sprawy słowińskiej. Wyjątek stanowią poniekąd Karłowicz ¹⁾ i Brückner ²⁾, którzy teoretycznie, więcej ze stanowiska językowego, zbijają twierdzenia Ramuła i Baudouina de Courtenay o odrębności językowej Kaszubszczyzny. Ostatecznie Ramułt, chociaż napisał „Słownik języka pomorskiego“, Pomorzem właściwie się nie zajmuje, a to, co w swej „Statystyce“ o niem podaje, jest w znacznej części mylne. Jeden tylko Parczewski ³⁾ obdarzył nas nadzwyczaj cenną pracą o Kaszubach pomorskich. Dr Łęgowski, co pisał po polsku pod pseudonimem d-ra Nadmorskiego, odnosi się także prawie wyłącznie do Prus zachodnich, a dopiero w nowszym czasie zaczęły się pojawiać jego znakomite, lecz krótsze, rozprawy o Kaszubszczyźnie pomorskiej, pisane jednak w języku niemieckim ⁴⁾.

Niemcy prześcignęli nas bez porównania na polu kaszubologii. Chcąc wniknąć głębiej w istotę ludności na Pomorzu, trzeba koniecznie sięgnąć po źródła do piśmiennictwa niemieckiego. Jest to wynik niewytlómaczonej naszej obojętności dla własnych rzeczy, a nawet dla katastrof narodowych. Wspomniana praca d-ra Łęgowskiego, nadzwyczaj ciekawa, przeszła w polskiem dziennikarstwie prawie niespostrzeżenie. O ile nam wiadomo, zamieścił o niej tylko „Kraj“ petersburski ⁵⁾ króciuchną wzmiankę kilkunastowierszową na ostatniej stronie obok ogłoszeń. Dobrze i to, gdyż inaczej szerszy nasz ogół był-by nawet o jej istnieniu nie zgoła nie wiedział. A przecież dziennikarstwo nasze posiada tyle miejsca dla sprawozdań o każdej nieco głośniejszej farsie francuskiej, granej na paryskich scenach przedmiejskich. Dla wielkiej polskiej tragedji dziejowej brak miejsca. Nie można się też dziwić Hilferdingowi, jeśli robi uwagę następującą: „Polska, która przez ty-

1) „Wisła“, tom XII, str. 74 - 89.

2) Jagieza „Archiv f. slav. Philologie“, artykuł A. Brücknera: „Randglossen zur kaszubischen Frage“, w tomie XXI, str. 62 — 78.

3) Szczałki kaszubskie w prowincyi Pomorskiej. Poznań, 1896.

4) Die Slovinzen im Kreise Stolpe, ihre Literatur und Sprache. Separat-abdruck aus Balt. Stad. Szececin, 1900.

5) № 7, rok 1900.

le wieków panowała nad kaszubskim wybrzeżem, mogła ten kraj w łatwy sposób zupełnie asymilować. Nie uczyniła jednak tego z powodu lekceważenia prostego ludu. Kaszubi są zwyczajni włościanie, chłopi; mowa kaszubska jest zepsutem narzeczem pospólstwa; jakże mogli-by wielcy panowie zajmować się niskim, prostym ludem i jego grubą mową?“.

Dr Łęgowski zajmuje się w pracy wymienionej wyłącznie „Słowińcami“. Nazwą tą obejmuje dr Cenowa całą Kaszubszczyznę, zowią ją „k a s z e b s k o - s ł o v j s k ą m o v ą“ („kaschubeschlovinische Sprache“), i znowu tylko „s l o v j n s k ą m o v ą“¹⁾ a Kaszubów „S l o v e n z e n“²⁾. Inni stosują nazwę „Słowińców“ albo do całej pomorskiej ludności kaszubskiej, lub też tylko do północnej jej części nietylko nad jeziorem Gardęńskim, lecz równie nad Łebskiem.

Wobec tak znacznej różnicy w stosowaniu nazwy „Słowińców“, i ze względu na różniące się nieco ich narzecze od innych kaszubskich, warto zastanowić się bliżej i dokładniej nad obszarem narzecza, i stwierdzić, gdzie się jeszcze znajdują niedobitki, niem władające.

Hilferding dzieli Kaszubów na trzy odłamy: Słowińców, Kabatków i właściwych Kaszubów. St. Ramułt przyjmuje ten podział z uwagą, że to tylko nazwy miejscowe „Słowian pomorskich“. Parczewski zajmuje się szczegółowiej „Słowińcami“, badawszy rzecz na miejscu. Podnosi on, że Kaszubi nigdzie sami siebie nie zowią „Kabatkami“, „natomiast z niewątpliwą i wybitną indywidualnością występuje nazwa Słowińców“. „Odmienna nazwa ludowa ma istotnie pewną podstawę w zaczynającym się tutaj (w Wielkiej Gardnej, po niemiecku: Gross - Garde) o d c i e n i u d y a l e k t y c z n y m , który w zgermanizowanych do szczytu wsiach na Zachód od Wielkiej Gardnej z pewnością jeszcze więcej występował“. Sądzi on, że stara, ludowa granica wschodnia „plemienia Słowińców“, którzy już w wiekach średnich, w okresie poczynającej się germanizacji, „tworzyli pewną samodzielną, historyczną indywidualność“, biegła wzdłuż strumienia Łupowskiego. Tu była „Terra Slavia“, stąd wyprowadzał się „d u x S l a v o r u m“, o czym wspominają dyplomaty z wieku XIII-go. Były to jednak tylko nazwy miejscowe, bez „ogólno - szczepowego znaczenia“. Nazwa ta zmieniała się w uścicach Niemców w „W e n d e n“. W wieku XVIII istnieje jeszcze

1) Die Kaschubisch-Slovenische Sprache I. Entwurf zur Grammatik.

2) Przedmowa do słowniczka kaszubsko-niemieckiego.

wspomnienie księstw „Wenden“ i „Kassuben“, a pierwsze było tam, gdzie Słupsk (Stolpe), Sławno (Schlawe) i Rugenwalde ¹⁾. Królowie pruscy, w puściźnie po księżętach pomorskich i margrabiach brandenburskich, noszą obecnie jeszcze między innymi tytuł książąt Słowian, czyli Słowińców. Z powyższego wysnuwa Parczewski wniosek, że tylko szczątki słowiańskie w Wielkiej Gardnej są dziś (rok 1880) ostatnim zabytkiem ludu, który monarchom pruskim dał jedno z ogniw w pełnej intytulacji królewskiej“. Zdanie to opiera się na okoliczności, że w innych wsiach przy jeziorze Gården-skim, podanych przez Hilferdinga jako „słowińskie“, mawiają ludzie: „Tu są Kaszuben a Slovinsti“, „tu są Kaszubowie po slovensti“, „kaszubowe wszacy są slovinsti“, mieszając jedną nazwę z drugą, lub nazywając mieszkańców wrzekomej „słoweuskiej“ wsi „Kabatkami“. Tylko w Wielkiej Gardnej nazwa „Słowińcy“, „po słowińsku“ przeważa, tu już zawsze mówi się: „pò słowinsku“, „pò sławensku“: ludzie nazywają się: „Słowince“, „Słowinci“, lub w przymiotnikowej formie: „Słowinstje lądze“. Stara Dosza (niewiasta w Wielkiej Gardnej) wyraźnie odróżniała mowę słowiańską od polskiej, mówiąc do Parczewskiego: „ja gadam pò słowinsku, a wy po polsku“. Jeżeli niema innych językowych przyczyn do odróżniania „słowiańskiego“ od polszczyzny, powyżej przytoczone okoliczności żadną miarą uzasadniać jej nie mogą. Piszącemu rzecz niniejszą zdarzyło się dwa razy, na pograniczach węgierskich, w Koszycach i w okolicy Zwardoma na Węgrzech, słyszeć z ust ludu, to jest od osób tamtejszych, mówiących po polsku, z którymi rozmawiał po polsku i porozumiewał się nawzajem wybornie—gdy ich pytał, jakim mówią językiem, odpowiedź: „po swojemu“, „po słoweńsku“, na dalsze zaś pytanie: gdzie się nauczyły po polsku? odpowiadały: my po polsku nie mówimy, po polsku mówią w Polsce, w Galicyi, my mówimy swoim, słowenskim językiem.

Jest to objaw braku świadomości narodowej, szerszego poglądu narodowego, u starej Doszy z Wielkiej Gardnej, jak wogóle u wszystkich kaszubskich niedobitków na Pomorzu, tem łatwiejszy do wytłomaczenia. „Słowiństwo“ oznacza tu głównie różnicę pomiędzy swojszczyzną a obczyzną, w części zaś jest odbłaskiem politycznego odgraniczenia owej „terrae Slavii“, którą ongi rządził „dux Slavorum“. Żadną miarą atoli nie dowodzi odrębności narodowej. Ks. Pobłocki sądzi, że nazwy: „Słowince“, „słowiński“

1) Według Hilferdinga zowie się ta miejscowość po kaszubsku: Rawud.

pochodzą z Pontanowego katechizmu luterskiego, zawierającego w napisie wyrazy: „W andalski albo Słowięski“. Znany słownikarz polski, Mrongowiusz¹⁾ zrozumiał i wytlómaczył to mylnie, a na tem oparli się zwolennicy odrębności narodowej. Lecz już sam Mrongowiusz, robiąc w roku 1828 nowe wydanie tego katechizmu w Szczecinie, nie poparł żadnym argumentem, a jeszcze mniej, dowodem, odrębności, pisząc w przedmowie: „Jakkolwiek Pontan na karcie tytułowej wyraźnie powiada, że z niemieckiego przekłada na słowieńskie, czyli słowiańskie, przecież natrafia się tam tylko niewiele słów, które za takie uchodzić mogą, reszta jest w istocie polska (hochpolnisch). Ale że pierwszego wydania z r. 1643 nie mamy, należy przypuszczać, iż to z r. 1758¹⁾ jest więcej przystosowane do polskiego“. Powyższe zawiera tylko luźne przypuszczenia. Owszem, ze słów Mrongowiusza wynikałoby przeciwnie. Sam Mrongowiusz objaśnia „słoweńskie“, albo raczej „Słowięskie“ przez „albo Słowiańskie“, co, będąc ogólnem pojęciem, nie może uzasadniać żadnej odrębności językowej. Dr Tetzner, który, jako pisarz bardzo znakomitego dzieła o Kaszubach pomorskich, może być uważany za powagę naukową w tym przedmiocie, powiada, że zarówno Pontan, jak jego poprzednik, Kroway, używają przymiotnika „słowięski“, ze względu na język, „jako równoznaczące z wendyjskim na Pomorzu“, a więc w ogólnem znaczeniu, obejmującym zarówno narzecza kaszubskie, jak polszczyznę, zatem niewyodrębniającem pierwsze od ostatniej. Wyraz „wandalski“ jest równie ogólnym. Są liczne dowody na to, że Niemcy oznaczali wyrazem „wandalski“ tak samo, jak wyrazem „wendyjski“ nie tylko żywiół pomorsko - kaszubski, lecz także i polski. „Wandal“ jest niezawodnie wypaczoną przez Niemców formą „Wądolanina“, mieszkańca wądolów, to jest ziemi wądolistej, falistej, ze wskłęsłościami i parowami, właśnie takiej, jaką widzimy w Prusiech, w północnej części Królestwa Polskiego, na Szląsku i w części Pomorza, urobionego na modłę ziemiopisnych nazw ludowych, jak: Polanin, Łużyczanin, Drewianin, Glinianin, Podhalanin, Pomorzanin, Nadwiślanin i t. d. Pontanowy wyraz „w andalski“ może się

¹⁾ Drugie wydanie katechizmu pochodzi od Szmoldzeńskiego pastora Engelanda. Wyszło w Gdańsku. Z niego korzystał Mrongowiusz. Ks. Pobłocki powiada, że egzemplarz pierwszego wydania znajduje się w księgozbiore „Gesellschaft für vaterlandische Geschichte und Alterthumskunde“ w Szczecinie, zaś dr Tetzner twierdzi, że jedyny egzemplarz pierwszego wydania przechowuje się w archiwum probostwa w Szmoldzeniu.

jeszcze tłumaczyć okolicznością, że Pontan pisał i wydał swój katechizm pod skrzydłami opiekuńczymi księżny Anny Croyowej, córki panującego księcia pomorskiego, Bogusława XIII. Syn jej był ostatnim panującym w Słupsku, a wasalem wielkiego kurfirsta brandenburskiego, piszącego się: „Dux Cassuborum et Wandalarum“, którego polityka, również jak książąt pomorskich, była niemiecką, przeciwdziałającą wszelkiemu wpływowi polskiemu, czemu Pontan, działający z ich poręki, niezawodnie także ulegał, zwłaszcza, iż posiadał wykształcenie całkiem niemieckie; nim został proboszczem w Szmoldzenie, był kapelanem zamkowym księżny Erdmuty, a nadto był jeszcze ożeniony z Niemką, córką kamerdynera księżęcego. Dwór brandenburski, którego wpływ ogarniał Pomorze, nie mógł nie widzieć wpływu polszczyzny w kościele na Pomorzu, gdzie ona była powszechnie w używaniu od czasów najdawniejszych, bo od zaprowadzenia chrześcijaństwa. Dla przeciwdziałania temu wpływowi, mógł Pontan dostać polecenie z góry do napisania osobnego pomorskiego katechizmu. Przemawia za tem okoliczność, że Kroway, poprzednik Pontana, wydając śpiewnik „z niemieckiego w sła więsky ięzik w ilozone“, działał, co dr Tetzner stwierdza wyraźnie, z pobudki zniemczonego księcia szczecińskiego, Jana Fryderyka. O tem zaś, jak lud kaszubski pojmuje „słowiństwo“, daje nam bardzo znamienne pojęcie Hilferding, opowiadając: „W Gardnej widziałem u pewnej staruszki modlitewnik, na którego okładce wypisane były piórem słowa: „Słowinskie modlitwy“; jednak książka była polską“.

Argumenty zwolenników odrębnego „języka pomorskiego“, który ma być pozostałym odłamem „Polabszczyzny“, są nadzwyczaj słabe. Nie wytrzymują one krytyki ściślejszej w żadnym kierunku. Schleicher, wraz z Szafarzykiem, twórcą „języka połabskiego“, uznają jedność językową wszystkich Słowian, mieszkających od porzeczka Wisły, aż do dolnej Łaby. Równie Hilferding, skłaniający się więcej ku odrębności, pisze: „Czy jest istotna różnica w mowie pomiędzy Słowińcami a Kaszubami-Kabatkami? Nie. Cała różnica polega na większem, lub mniejszem zboczeniu od mowy polskiej, co znowu uwarunkowane jest przez większe, lub mniejsze oddalenie od granic polskiego języka“. W orzeczeniu takim niema z pewnością żadnego uzasadnienia odrębności. Pastor Lorek z Cecenowa (1806 — 1837), jeden z wybornych znawców ludu kaszubskiego i jego gwary, pisze ¹⁾: „Kaszubska mowa jest pierwotnie słowiańsko - wendyjską,

1) Pommersche Provinzialblätter.

a obecnie właściwie tylko osobnem narzeczem polszczyzny, od której różni się tylko wymową i intonacją, jednak nie zachodzi tu taka różnica, co powszechnie przypuszczają, jak pomiędzy niemieckim językiem piśmiennym a *plattdeutsch*. Mrongowiusz, wezwany przez sejm królewiecki w roku 1834 do wydania zawodowego orzeczenia o gwarze kaszubskiej, złożył uzasadnione sprawozdanie językowe, że gwarą tą jest narzeczem polszczyzny, bliższym tej, niż narzecze bawarskie, lub saskie niemieckiemu językowi piśmiennemu. Dr Łęgowski zgadza się prawie zupełnie z Parczewskim, uważającym Kaszubszczyznę za gwary narieczowe języka polskiego, dodając, że w „słowińskim, które dopiero teraz jest badane i poznawane, należy widzieć typ i przedstawicielstwo starej gwary pomorskiej, a zachodniopruska Kaszubszczyzna będzie wtedy tylko granicznym narzeczem tej pomorskiej Słowińszczyzny“.

Różnica zdań o gwarze słowińskiej istnieje też i co do słowińskiego obszaru ludowego. Parczewski znajduje Słowińców właściwie tylko w Wielkiej Gardnej, Hilferding dolicza jeszcze Kluki (Kluken) i Szmoldzeno (Schmolsin). Dr Łęgowski pisze: „Kaszubi okręgu Słupskiego nie tworzą jedności gwarowej, lecz, rozpadając się na dwie grupy, które przedzielone są wpadającym do jeziora Łebskiego potokiem Pustynnikiem i górami Pustynki. Na Zachód od tych (to jest Kaszubów) mieszkają Słowińcy, których nazwa ludowa istnieje z dawien dawna i oddawna była znaną, wschodnia zaś grupa nie ma żadnego odmiennego miana. Tych Kaszubów nazywają sąsiedzi raz *Kabatkami*, raz *Niniakami*, a po niemiecku: „*Nonkes*“. Słowińcy ze wszystkich Kaszubów przedstawiają obecnie najwięcej interesu, ponieważ są oni najdalej na Zachód wysuniętymi pomorskimi Słowianami — okoliczność, która dla zbadania gwary pomorskiej wielką posiada doniosłość — a także są oni jedynymi, którzy wykazują początki rodzimego piśmiennictwa“. Dr Tetzner, opierając się na podaniu d-ra Lorentza, określa obecne rozprzestrzenienie gwary słowińskiej temi słowy: „Słowiński obszar gwarowy obejmuje dzisiaj wsi: *Szmoldzeńskie* i *Zelesińskie Kluki* (Schmolsiner und Selesener Klucken), *Szmoldzeński Las* (Holzkatten), *Szołpin* (Scholpin), *Wierzchucino* (Virchenzin), *Syce* (Zietzen), *Stowięcino* albo *Stójcino* (Stohentin), *Wielką* i *Małą Gardnę*, *Wesoką* (Wittstock), *Rotowo* (Rotten) z osadami *Błotki* (Plotten) i *Czyste* (Wittbeck)“, — zatem osad trzynaście. Dr Łęgowski zgadza się z tem podaniem. Są to też dane najwiarogodniejsze, gdyż Lorentz, dobry znawca językowy, bawił, jak już zaznaczyliśmy, kilka lat na miejscu wyłącznie w celu badania

gwary Indowej. Parczewski i Hilferding zwiedzali także te strony, jednak bawili tam stosunkowo za krótko, by mógł być wszędzie i wszystko zbadać dokładnie. To też kilka z powyżej wymienionych osad nie są zapisane ani u jednego, ani u drugiego. Był tam jeszcze rosyjski językoznawca, I. I. Mikkola, który wynik swoich badań ogłosił w „Wiadomościach Cesars. Akademii Umiejętności“ w Petersburgu ¹⁾. Inni kaszubolodzy nie byli wszędzie na miejscu, nie wyłączając Ramulta, który o ziemi słupskiej podaje bardzo niedostateczne wiadomości i miesza Słowińców z Kabatkami, pisząc między innymi: „na tak zwanych Kabatkach, czyli w krainie Słowieńców i Kaszubów nadlebskich“, których Parczewski, Hilferding, dr Tetzner, dr Lorentz, dr Łęgowski i Mikkola wyraźnie odróżniali.

Wszystkie te atoli odróżniania są gwarowej, narzeczewej natury, odrębności zaś językowej w niczem nie uzasadniają. Piśmiennym językiem całego Pomorza był od czasów najdawniejszych polski, czego już same dzieje dowodzą. Wszak chrystyanizm z Polski zaszczerpiono na Pomorzu. Początek zrobił Bolesław Chrobry, dzieła zaś dokonał Oton Bamberski pod skrzydłami opiekuńczemi Bolesława Krzywoustego. Pierwsze kazania i nauczania odbywały się po polsku. Jaffe ²⁾ powiada, że do Ukranów udawał się biskup Oton „interprete quodam Poloniense“, a Pomorzanie mówili do niego o Polakach „fratres nostri Polonienses“. Różnicy pomiędzy gwarami pomorskiemi i polskimi nie było wówczas, przy schyłku X-go a na początku XI wieku, prawie żadnej. Pierwotne ściśle warunki polityczne i kościelne Pomorza z Polską rozluźowały się, a nawet w części ustały zupełnie, gdy Polska po podziale pomiędzy synów i potomków Bolesława Krzywoustego, popadła w niemoc, a książęta pomorscy uznali zwierzchność cesarstwa. Stosunkowo najdłużej utrzymał się wpływ polski na ziemi Słupskiej Parczewski, który zebrał nadzwyczaj cenne materiały do dziejów germanizacyi Pomorza wschodniego, pisze: „W wieku XIII słupscy archidyakonowie zależnymi byli od arcybiskupów Gniezna, a polskie kościelne tradycye i wspomnienia szybko dochodziły aż dotąd“, to jest do ziemi Słupskiej. Przytoczywszy na to dowody, mówi dalej: „Przez cały wiek XIII polski organizm polityczny, polski systemat urzędów panuje wśród szlachty słupskiej; książęta Świętopelk Mestwin II ze Słupska datują swe przywileje; są słupscy wojewodo-

1) Rok 1897, tom drugi: „Nieskolko zamietok po kaszubskim goworam w siewierno-wostocznoj Pomeranii.

2) Monumenta Bambergensia.

wie, kasztelani, wojscy, podkomorzowie. Szlachta nosi polski, czyli kaszubsko - pomorski, charakter; za Meszyna II-go wojewodą słupskim jest Marcin, kasztelanem Święca, łowczym Wawrzyniec, podkomorzyn¹ Tesław, Pomorc podstolim. Czysto słowiańskie, polskie życie kwitnie jeszcze w kraju między Łebą a Wiperą, i dalej, na lewym brzegu Sławna... Nawet sam Słupsk, stary gród słowiański, znacznie później, bo dopiero na początku XVI stulecia, otrzymał prawo miejskie lubeckiego wzoru (niemieckie). Klasztory Cystersów i Premonstrantów na schyłku XIII stulecia pierwsze dały hasło do niemieckiej kolonizacji w tych stronach² i — germanizacja Pomorza poszła zupełnie tym samym torem, jak Szląska, w sto lat później — pokojowym podbojem. Z zaprowadzeniem reformacji na Pomorzu zapanował chwilowo język ludowy w kościele. Na ten czas, pod koniec XVI wieku, przypadają początki rodzimego kaszubskiego piśmiennictwa. Początek zrobił pastor z Bytowa (Bütow), którego dr Tetzner i dr Lorentz zowią „Krofe^m“, dr Lęgowski „Krofeyem“, a Wutstrach „Krowayem“¹⁾, gdy w r. 1586 skończył przedmowę do swego kaszubskiego śpiewnika, wypowiadając nadzieję, że przy łaskawej pomocy książąt powstaną jeszcze inne książki w „ięziku sławieskim“. Dr Lorentz²⁾ podaje następujący napis tego śpiewnika:

„Duchowne pisnie D. Marcina Luthera y ynszych nabożnich mężow. Z niemieckiego w Sławiesky ięzik wilozone Przez Szymona Krofe^a sluge słowa Bozego w Bytowie. Drukowano w Gdainsku przez Jacuba Rhode Roku Panskiego 1586“.

Tekstów pieśni wydrukowanych jest pięćdziesiąt sześć. Te z przedmową i kartką napisową tworzą właściwe dzieło Krowaya. Reszta, co z tem jest oprawna razem w książce, stanowi dodatek rękopiśmienny, w większej części pochodzący z czasu znacznie późniejszego. Pisane pieśni poprzedza jedna pisana modlitwa kościelna. Z pieśni pisanych jedna tylko posiada datę. Ma ona napis: „P i e s n i a

¹⁾ Ze względu, iż nazwisko jest widocznie czysto kaszubskie, względnie polskie, uważamy formę jego, podaną przez Wutstracka, za najwłaściwszą, pomimo, że on sam podpisał się: Krofey (Krofe^a), co jest nieco zniemczoną formą „Krowaya“.

²⁾ „Zur alten kaschubischen Literatur“ w Archiv. für slavische Philologie. Berlin, 1898, str. 558.

na a d e w e n d t 1709“. Tą samą ręką pisanych jest dwanaście dalszych pieśni i „Register tych spysanych Piesen według Alphabetu“, z którego brakuje jedna kartka. Na jej miejsce włożona druga pieśń, z czego wynika, że ta pieśń jest późniejszą. Przed rokiem 1709 pisało pięć osób pieśni 4 — 51. Lorentz sądzi, że rękopisy dodanych pieśni nie pochodzą wcale od osób duchownych, lecz od świeckich. „Pieśnia na a d e w e n d t“ zaczyna się słowy:

Tak Pan Bog ten świat mylował,
Ze syna swego nam posłał
Go — nam z wysokosey
Bez naszich zasznich zmiłosey.

Dr Łęgowski nie daje wprawdzie całkiem jasnej odpowiedzi na pytanie: czy Kroway pisał swój śpiewnik po słowińsku, lub po polsku? Przyznaje jednak, że, pomimo „sławieskiego języka“, w tytule, język Krowaya jest o wiele więcej polskim, aniżeli kaszubskim, ponieważ są w nim słowa i formy językowe polskie, a to, co jest kaszubskie, znacznie się różni od brzmień dzisiejszej gwary miejscowej, „w czem znowu dowód, że „sławieski“ oznacza podobnie jak Pontanowskie „słowińskie“ tylko polskie, że obydwie te nazwy były użyte zamiast „polski“, i że gwara „słowińska“ była narzeczem, języka polskiego bardzo blizkiem, które po zerwaniu stosunków z Polską i w miarę coraz silniejszego nacisku niemieczyzny, przy zupełnym zastoju rodzimej oświaty, oddalało się coraz więcej od pnia macierzyńskiego“.

W sześćdziesiąt lat później zjawily się dwie nowe książki „słowińskie“, również kościelne: *Katechizm i Passye* Pontana, pastora szmoldzeńskiego, który właściwie zwał się Michałem Mostnikiem, jak sam o sobie świadczy, pisząc przy końcu swego katechizmu: „Ty ksąszky... na jawnosć wydał Michał Mostnik (alias Pontanus albo Brückmann)“. Doda-ne dwa ostatnie są widocznie tylko łacińskim i niemieckim przekładem właściwego kaszubskiego, względnie polskiego nazwiska. Mostnik był rodowitym „Słowińcem“, a język jego jest płynniejszy i poprawniejszy, aniżeli u Krowaya, dlatego nie można się zgodzić z ks. Pobłockim, wyrażającym się z przekąsem o Mostniku, jako o Niemcu, „słabo władającym językiem polskim“. Dr Łęgowski pisze o nim: „Pontanus poszedł za swym poprzednikiem, Krofeyem, i utworzył

z polskiego i słowińskiego język piśmienny, który w wielu formach różni się od dzisiejszej mowy, będącej w użyciu, jednak zarówno wówczas, jak też i dzisiaj, jest łatwo zrozumiały. Jeśli język Pontana porówna się z Krofeya językiem, to widzimy, jak wiele starych form ostatniego znika u Pontanusa, ustępując miejsca nowszemu; język Pontanusa jest do dzisiejszego słowińskiego wiele więcej zbliżony, aniżeli mowa Krofeya. Natomiast dr Lorentz, sędzia bardzo kompetentny, mówi: „Właściwie kaszubskiego piśmiennictwa nigdy nie było. Pisma, jako kaszubskie oznaczane, są w głównej rzeczy polskie, tylko poszczególne słowa i formy są kaszubskie. Słów prawdziwie kaszubskich i fonetycznych tworów, zbaczających od polskiej fonetyki, niema w obydwóch dziełach drukowanych: katechizmie Pontana ¹⁾ i śpiewniku Krofya. Takie znajdują się w niektórych rękopiśmiennych zabytkach, przechowywanych w części w archiwum kościoła w Szmoldzenie, częścią zaś posiadanych przez osoby prywatne“. Pisarz ten zestawia dla porównania tłumaczenie pieśni Ebersa: „*Herr Jesus Chrest war Mensch und Gott*“, zawarte w polskim królewieckim śpiewniku z roku 1778 (?), którego egzemplarz, używany jeszcze przed niedawnym czasem w kościele w Głowczecach (Glowitz), darowano mu w Klukach z tłumaczeniem Krowaya, poprawionem przez Mostnika dla wykazania, o ile język Mostnika oddala się od polskiego:

1) Tytuł katechizmu Mostnika, wypisany przeze mnie z oryginału, znajdującego się w archiwum kościelnem w Szmoldzenie, podczas mojej tamże bytności w lipcu 1900 roku, opiewa dosłownie:

„In nomine Jesu! Parvus Catechismus D. Marthini Lutheris Germanice-Vandalicus. Der kleine Catechismus D. Martini Lutheri. Deutsch und Wendisch gegen einander gesetzt mit Anhang der sieben Busspsalmen könig Dawid. Mały Catechizm D. Marcini Luterá Niemiecko-Wandaliski, abo Słowiński, to jest z niemieckiego języka w Słowiński wystawion y na jawność wydan z Przydatkiem Siedm Psalmów Pokutnych krolá Dawida y innych Potrzebnych rzeczy: osobliwie Historiy Passiy naszego Pana Jezusa według Ewangelistá Matheuszá, y niektórych Piesn duchowych†. Drukowany w Gdaińsku przez Jerzego Rheta, Roku Pańskiego 1643“.

Kroway - Mostnik:

Jezu Chryste Boże wierny
 Zbawiccu miłosierdny
 Który jes człowiekiem stał
 I smiere ceszką dla mnie cyrspiał...

Królewiecki polski śpiewnik:

Panie Jezu! tyś człek i Bog,
 Cierpiałeś męki, zimno, głód,
 Na krzyżuś za mię żywot dał
 Z Oycemeś mię swym pojednał.

Przy tem porównaniu trzeba przedewszystkiem mieć na uwadze, że przytoczone teksty przekładowe są odmienne, to jest, że przekłady są dowolne, i cały układ, dobór wyrazów, rymy są zupełnie różne, tak, że właściwie słowo ze słowem i zdanie ze zdaniem nie da się jedno z drugim porównać, chyba tylko w całości, jako próba językowa z taką próbą, przyczem nadzwyczaj ważną jest okoliczność, że tekst Krowaya-Mostnika jest o 192, względnie o 135 lat starszy od tekstu królewieckiego śpiewnika. Nie trzeba wcale słowińszczyzny na to, gdyż polszczyzna będzie się także różniła od polszczyzny, młodszej prawie o lat dwieście. Tekst Krowaya-Mostnika jest właściwie tylko starą polszczyzną, nadpsutą nieco kilkoma przymieszkami miejscowego narzecza, co tem łatwiej pojąć, jeśli uprzytomnimy sobie, że Pomorze podówczas nie miało prawie żadnych bliższych stosunków z Polską, więc było pozostawione samo sobie, a pozostawało pod nadzwyczaj silnym wpływem germanizacyi, przy braku zupełnym oświaty polskiej. Mostnik pisał po polsku. Przemawia zatem jeszcze okoliczność, podniesiona przez d-ra Łęgowskiego, że swój katechizm pisał nie dla ludu, lecz dla duchowieństwa, o czem świadczą dodane do stronicy 127 formuły zapowiedzi i zaślubin, oczywiście podane tylko dla użytku księży. Formuła zaślubin, która ma być rozumianą przez zaślubiających się, jest o wiele więcej „słowińską“. W niej bowiem zachowaną jest troskliwie liczba podwójna (dualis), utrzymana w gwarze ludowej tego odłamu Kaszubszczyzny.

Trzy zabytki „piśmiennictwa słowińskiego“, ogłoszone drukiem, o których wspominamy powyżej, nie wyczerpują pisarskiej działalno-

ści w tem narzeczu. Dr Lorentz poodkrywał inne jeszcze zabytki piśmiennictwa gwarowego, przechowane w rękopisach, które nigdy nie były drukowane. Podług tego pisarza był Mostnik zniewolony Listy i Ewangelie („perikopy“) odczytywać z polskich przekładów biblii. „Słowiński“ przekład „perikopów“ powstał później, dopiero z początkiem XVIII wieku. Książka „perikopów“ składa się ze słowińskiego i niemieckiego tekstu listów i ewangelij na wszystkie niedziele i święta doroczne. Tworzą one dużą, w skórę oprawną księgę, w której zapiski robiły rozmaite osoby. Zdaje się, że dzieło założył jeden ze szmołdzieńskich proboszczów. Księgi używano przez długie lata przy służbie Bożej. Najwięcej przekładów dokonał sam założyciel, wpisując je własną ręką. Inni, prawdopodobnie księża z okolicy, uzupełniali ją swojemi przekładami. Język tych przekładów nie odbiega wogóle dużo od języka Mostnikowego, przyjmując jego bogactwo słów. Zbliża się jednak więcej do dzisiejszej gwary ludowej, najwięcej zaś list i ewangelia na 6-tą niedzielę, którą też o wiele później, jak to znać dokładnie z pisma, wciągnięto do księgi. Widać, iż czyniono wciąż usiłowania, aby przystosowywać kościelny język do gwary ludowej. W księdze bowiem znajduje się dużo zastarzałych, lub z polskiego wziętych wyrazów i ich form poprzekreślanych, a natomiast są inne, gwarowe, powpisywane.

Oto próbka ich języka (Schol. Perekop. 1, 2. Petr. 1, 16 — 21):

„Me mądrym powiescom niefolgowale, kedesme wam znajome uczynili moc e przyście Pana Jezusa Chrestusa. Ale my z oczyma naszymy widzeli chwałę e poczesność jego“.

Dr Lorentz stwierdza z dedykacji „perekopów“ kurfiurstowi brandenburskiemu datę rękopisu, mianowicie rok 1701. Wtedy w Szmołdzie, gdzie się księga przechowuje, był pastorem Sporgius, szczerzy przyjaciel ludu kaszubskiego, mający z tego powodu ciągle spory z właścicielem dóbr, który chciał zgnieść kaszubszczyznę, a zaprowadzić niemczyznę. Jemu przypisuje Lorentz autorstwo „perykopów“, dodając, że, z wyjątkiem „6-ej niedzieli“, język w nich równy jest językowi Mostnika. Znajdujemy tu naprzykład: „ocz e“, „bele“, „kede“, z których dwa pierwsze w dzisiejszej gwarze brzmią: „v i o č i“¹⁾, „bali“, ostatnie zaś, pochodzące z polskiego:

¹⁾ Pisownia d-ra Lorentza.

„kiedy“ nie jest wcale w użyciu. Sądzymy, że dr Lorentz, a za nim i inni, przesadnie wielkie znaczenie przywiązują do tych poprawek, czyli glos. Właściwie bowiem nie zmieniają one stanu rzeczy w niczem, ponieważ widzimy, że starsze, lepsze wyrażenia, często poprawiane na nowsze gorsze, lub na zepsute, albo w końcu na szkaradne germanizmy, jak naprzykład:

Głosa 3-cia:

zamiast: „w zwiercadlu oględa“	poprawiono: „w speglu obezdrzy“
„ wszdem“	„ doch“
„ wzdymze“	„ ale doch“
„ chleba“	„ brotow“
„ okrętu“	„ bate“ (z Boot)
„ okręty do brzegu“	„ bate do kraja“.

Inne przykłady poprawek:

„zapamiętliwy“	na: „zabaczliwy“
„przyjął od oczu“	„wziął precz“
„naśladowujące zuamiona“	„folgujące ceche“
„mnóstwo“	„wielką grepą“
„by mówił“	„zebe gadał“
„mam lutosc“	„zał mnie jesta“
„rychło“	„chutko“
„imię“	„miono“ (miano)
„wnidz“	„weync“
„ly“	„żeby“
„był“	„bel“
„dwoisto“	„dwojake“

i t. p.

Są to nieznaczące zmiany, lub zepsucia, a czasem i językowe poprawki (jak zamiast „przyjął od oczu“ — „wziął precz“). W żadnym razie nie mają one takiego znaczenia, by na nich mógł ktokolwiek opierać odrębność językową. Tak samo ma się rzecz z Mostnikiem. Jeżeli polszczyzna jego nie jest wolną od wpływów miejscowej gwary, nie można się temu dziwić, a jeszcze mniej widzieć w tem objaw odrębności językowej. Pisarz ten kościelno-ludowy był zupełnie od-

osobniony, nie mając ani z właściwą oświatą polską, ani też z właściwym polskim piśmiennictwem żadnej bezpośredniej styczności. Stał on tylko pod wpływem odłamu oświaty ewangelicko-polskiej, idącej z Gdańska i Królewca na Pomorze. Oświatę tę zapoczątkował dla propagandy ewangelickiej rząd pruski, a pisma kościelne, stąd pochodzące, posiadały także znamiona miejscowej gwary, mianowicie narzecza mazurskiego. W tekście Mostnika uderza brak ó. Jest tam Bog zamiast Bóg, który zamiast który i t. d., właśnie osobliwość gwary mazurskiej, nieposiadającej wcale o kreskowanego, brzmiącego jak u,

Dr Łęgowski, który dotychczas wcale nie popierał odrębności „języka pomorskiego, czy słowińskiego“, usiłując, owszem, dowieść mylności tego przypuszczenia, zawahał się, jakby mniemać można, nieco w sądzie, skoro pisze między innymi: „Jeżeli moje powyższe przypuszczenia (że więcej osób pisało rzeczoną księgę) są prawdziwe, to mamy w perykopach słowiński język, nad którego rozwojem wielu pracowało“. Okoliczność, że perykopy pisało kilka osób, zdaje nam się, nie może stanowić zgoła żadnego dowodu dla odrębności językowej, skoro na to niema językowych dowodów. Lecz nawet co do tego, że perykopy pisane są przez kilka osób, sam pisarz pewności nie ma, skoro powiada, że tylko co do listu i ewangelii na 6-tą niedzielę można z wszelką pewnością twierdzić, że pochodzi ona od kogo innego, dodając, że i te przekłady wogóle nie o wiele różnią się od języka Mostnikowego. O odrębności językowej mogły-by ostatecznie rozstrzygać najstarsze zabytki gwarowe, pochodzące od Krowaya i Mostnika, w żadnym zaś razie późniejsze znacznie zapiski ludzi nieznanymi, z okresu, kiedy germanizacja, jak rdza żelazo, niszczyła ludowość kaszubską, a gwara rodzima psowała się pod jej wpływem, krzywiła i kurczyła, zamiast rozwijać się. Najlepiej widać to na przechowanych zabytkach językowych Słowian hanowerskich, tak zwanych „Połabian“. Ostatnie ich „Ojczyzna nasza“, najpóźniejsze, są istotnie odrębnościami językowymi, jako dziwolągi zupełnie zepsutej gwary, w której germanizmów kąkol przygłuszył całkiem zboże pierwotnej rodzimej mowy.

W archiwum kościoła w Szmoldzenie znajdują się nadto dwa „słowińskie“ rękopisy: modlitewnik i śpiewnik. Wspomnieliśmy już powyżej, że do przechowywanego się tam egzemplarza drukowanego zbioru pieśni Krowaya dołączono nowy zbiór pieśni, przełożonych w większej części z niemieckiego, a obejmujących 157 stronice, pisanych prawdopodobnie przy końcu XVII, a na początku XVIII-go wieku. Język podobny, jak w perykopach, miejscami atoli więcej zbliżony do polskiego. Co do modlitewnika pisanego, dr Lo-

rentz przypisuje jego autorstwo pastorowi Lindnerowi, który w czasie 1720 — 1733 roku był proboszczem w Szmoldzenie. Język śpiewnika uważa on prawie za polski. Dr Łęgowski sądzi, że nie jest on więcej polskim, niż inne pieśni (Krowaya i Mostnika), dodając, iż dziwnym sposobem pisma prozą są więcej kaszubskie, aniżeli wierszowane.

Istnieje jeszcze jeden rękopiśmienny zabytek gwary, mianowicie: zbiór formułek przysięgi, który przechowuje „rycerski posiadziel“ dóbr Wierzchucino (Virchenzin), na ziemi Słupskiej, nazwiskiem Gutke. Jest to zeszyt o trzech zapisanych kartkach, pochodzący z początku XVIII-go stulecia. Język zepsuty niemyślną, a więc szpetną.

Podajemy według tekstu, przytoczonego przez Lorentza, ustęp jednej z tych formułek przysięgi, zwanych przez niego: „Wierzcuchucieńskiem i przysięgam i“ (Virchenziner Eide):

„Gdy ja od mojewa Pánstwá przyrodzonewá Pana Dicanasa Regierungs Rátha Jadam od podewelsow wysokorodzony Pán Bąde w tey wsie =N. teraz zá jadnewá szantyszá wybrány y wstáwiony, tey ja przysągam do Boga wszechmocnego, jedna prawá wierzącą cielesną przysięgá, coja chcia wiernie wtey wsy N. ych Lepsze aku ych Lepszemu pozytku za nawyszą przemocą a wolą opatrzyć a pofedrować coby jim ku szkodze a prowidzie mogło być wiernie a za nawyszą przemocą obronic a ostrzec y odwrocie, osobliwie zas ja tesz chcia ná to drzec, coby Dobry wiesky Rząd był prowadzony“.

Dr Tetzner wspomina o księdze kazań kaszubskich, ułożonych przez proboszcza cecenowskiego, Zieglera, na początku XVIII-go wieku. Przytacza z nich krótką próbkę. Język także brzydki.

We wszystkich przytoczonych zabytkach miejscowego piśmiennictwa używaną jest polska pisownia, a nawet dla oznaczenia nosowego brzmienia *an* znajduje się wszędzie polskie *ą*.

Dla uzupełnienia wspomnieć jeszcze należy o tem, co Maciejowski wspomina o zabytkach kaszubskiego piśmiennictwa, o ułamku pisma treści religijnej i o przekładzie „mowy luteranśkiej“ (zapewne znaczyć ma: niemieckiej) na kaszubskie z roku 1582. Bliższych szczegółów brak. Wierzbowski ¹⁾ nie wspomina także nic o tem.

¹⁾ Bibliographia Polonica XV ac XVI.

Całe to piśmiennictwo powstało z koniecznej potrzeby nauczania ludu w kościele w języku dla niego zrozumiałym, w czasie, gdy przywóz polskich książek religijnych stał się dla germanizatorów Pomorza niedogodnym i niepożądanym. Mimo to musiano zatrzymać język polski, w którym krzewiono pierwsze światło wiary chrześcijańskiej na Pomorzu, a do którego lud pomorski przylgnął i od wieków przyzwyczaił się. Dano językowi tylko zaprawę narzeczową. Inaczej był-by się w niczem nie różnił od czysto polskiego języka książkowego, któremu chciało właśnie położyć kres. Po ustaniu bezpośrednich stosunków politycznych i kościelnych pomiędzy Pomorzem a Polską, — a te zerwano z zaprowadzeniem reformacji, — gdy Kościół pomorski zasilał się już tylko polszczyzną pośrednio przez Gdańsk i Królewiec, gdzie ona nie kwitła w niepokalanej czystości, zaczęła polszczyzna psować się na Pomorzu. Przy braku szkół polskich musiały się do niej wciskać wyrazy i formy narzeczone, germanizmy i zepsucia językowe, co z pewnością odrębności językowej i osobnego „słowińskiego“ piśmiennictwa nie uzasadnia.

Taką polszczyzną z bardzo mierną zaprawą gwary miejscowej był język Krowaya i Mostnika. Późniejsze zabytki, pozostające pod jeszcze silniejszym wpływem narzecza, które już wówczas, gdy zapoczątkowywano piśmiennictwo kaszubskie, było zepsute, germanizmami zeszpecone, z głosownią i składnią, nie rozwijającą się prawidłowo, lecz pod naporem niemczyzny wypaczoną i wyradzającą się — są dlatego pod względem języka więcej oddalone od polszczyzny czystej, aniżeli zabytki wcześniejsze, lecz to żadnego dowodu odrębności nie przedstawia. Jak dalece gwara ludowa na Pomorzu jest zepsutą niemczyzną, o tem dają wyobrażenie przytoczone przez d-ra Łęgowskiego tak zwane: „Stowińskie formułki odmawiania“ („Besprechungsformel“), spisane w Słowiecinie z ust jednego starca tamtejszego. Jest w nich mnóstwo germanizmów w wyrazach, czasowaniu, składni, a nawet w używaniu przyimka rodzajowego przed rzeczownikiem. Oto próbka: „stoj sztell ninia“ i „sztell stojące jako sztouf“, gdzie „sztell“ (niemieckie: still) używane jest zamiast: spokojnie, a sztouf (niemieckie: Staub) zamiast: proch, kurz; dalej: „dzecan wachtali w tym krejzu“ — „wachtali“ (niemieckie: wachen, bewachen) zamiast: strzegli, „tym“ przyimek rodzajowy przed rzeczownikiem, odpowiadający niemieckiemu: „dem“ i „kreis“, (zamiast: okrąg; „Przasno je ta rejna, stwięta je ta sztenia (niemieckie: Stunde), święty je ten dzien, da ta rejna sa sta“. (Świeża jest rana, świętą godziną, święty dzień, gdy rana powstaje). W innej formułce czytamy: „ten pierwszy kwiat, ten dregi,

ten trzeci kwiat“ (die erste, die zweite, die dritte Blume); w formułce przeciwko złodziejstwu: „te macesze“, „tan mac“. Czasowanie w czasie dokonanym odbywa się całkiem w sposób niemiecki: „jo mom wyszeszony“ (wyszeszyć — związać — ich habe gebunden), „ja mam wybreniony“ it. d., albo takie całkiem niemieckie zwroty: „On se muszy dac tak dlugae czasu“ (er muss sich so lange Zeit geben).

Formułka VII przeciw pożarowi, brzmi:

„Wegio, te nie muszysz palec, ta niemuszysz wleccc, ta-muszysz biole rzec¹⁾, te mosz wenic, os nie aufbenic. To niebo medry rand²⁾, śmierć mo zamną ranka. Tan rankan ja westrechan ten żoli brand³⁾).

(Ogniu, ty nie musisz palić się, ty nie musisz rozniecać się, musisz bole odpędzić, ty masz wynijść (pójść preez), a nie wnijść. Niebo ma modry kraj, śmierć ma zimną rękę. Ręką tą uśmierze gorący pożar).

Porównajmy z powyższą formułką pieśń ludową, spisaną przez d-ra Łęgowskiego w Stowięcinie, która opiewa:

Przez mörzynka szeroko
Do my miłszny daleko.
Przerydaul⁴⁾ jem na ji dwor
Zaklepał jem na ji dom
Weszła do mnie roszno⁵⁾ czese
Roczöla mnie kónia zlesc.
Jo reehli nie zlezau z kónia,

1) Dr Łęgowski: bi ole rzec — niemieckie: heilen, leczyć; Ramułt, str. 189: re e e c — rzucić, cisnąć; a więc: bole cisnąć, rzucić, odpędzić.

2) Niemieckie: Rand.

3) Westrechac brand — uśmierzyć pożar.

4) Dr Łęgowski tłumaczy: przerydaul, ich ritt — przyjechałem konno. U Ramułta, str. 179: red a é — deptać, tłoczyć, brodzić; u Berki, str. 107: deptać, na przykład: konie pasły se na łące a porędały ją.

5) Wyrazu: roszno (roszny, roszna), nie znajduję w żadnym ze słowników kaszubskich. Dr Łęgowski opuszcza też w przekładzie niemieckim ten wyraz.

Ak swą miłszną nie webezdrza.
 Ty swe miłszny nie wezdrysz,
 Te tą drożką pojedziesz,
 Tam swą miłszną naleczesz.
 Przerydał jem na ji grob,
 Zapłakał jem wiele zdrob...

Spisywacz tej pieśni zaznacza, że ten, który mu ją wypowiadał z pamięci, ciągle się poprawiał, co wskazuje, że pierwotne jej brzmienie było językowo czystsze. Mimo wszelkiego zepsucia, wionie z niej krzepkość pierwotnej polszczyzny.

Parczewski w Wielkiej Gardnej spisał z ust tamtejszego włościanina, nazwiskiem Krastuna Josta, inną starą pieśń, niegdys „w cerkwi“ śpiewaną. Dla porównania z powyższą, przytaczam jej osnowę:

Spomieni sa no tu każdej
 Cō tu je zemia i też błōto;
 Duszka z cała welecała,
 Zány rade se nie dzala.
 Doczał jej sa janiól z nieba,
 O witejże grzeszna doszko,
 Chwatej izie sa moich krzidel
 Pobieżyszma do raja.
 Ga do raja przebieżimo
 Wetrzójd raja posadzyma
 Mi za brate, mi za sostrami
 Jako ksawiec mi za gwiazdami,
 Ale synia mi za wami.

Tekst i język pieśni widocznie zepsuty, mniej też w niej archaizmu językowego, snąc pieśń jest o wiele późniejszą, aniżeli ta, którą podał dr Łęgowski. Język nawet bardzo zepsuty, co się tłómaczy wygaśnięciem języka ludowego w tej miejscowości, której niemieczenie usilne rozpoczęło się około roku 1840. W kościele ustała tam konfirmacya polska już dwadzieścia lat wcześniej. Ostateczny cios zadał polszczyźnie pastor Müller przed laty sześćdziesięciu, gdy usunął zupełnie z kościoła w Wielkiej Gardnej polskie nabożeństwa. On też wygnał polszczyznę i z miejscowej szkoły ludowej. Tego pastora zastał jeszcze Hilferding w roku 1856 w Wielkiej Gardnej. Pisze o nim: „Terazniejszy pastor, Müller, mówił mi: „Przybyłem tu z Tucho-

nia ¹⁾). Przyszło mi w udziale zdusić polszczyznę w dwóch miejscach: tu i w Tuchomiu“. Działał on podług rozkazu prezydenta krajowego, który powiedział, że na Pomorzu trzeba zrobić koniec z polszczyzną, bo tak chcemy“.

Oto innej pieśni słowińskiej pierwsza zwrotka:

Nasza matka kuropatka
Moleji dzeczy bije,
A nasz tato w karczmau idze
As górzelka pije...

Porównajmy teraz z sobą „Ojczy nasz“, mianowicie: podany z powyżej wymienionej wsi przez Parczewskiego, z tym, jaki dr Łęgowski spisał w Ciemińskich Klukach ²⁾ z ust żyjącego tam włościanina, Marcina Poleksa.

Pierwszy opiewa:

„Wójczy nasz, który jes w niebie, swianceno bondze Imio twóji, przyjdze królestwo—stani sá two wolo, chleb nasz dej nám dzis, wopuszczaj nám nasze winie ako me wopuszczome nasze winowacy. Nie wodza nas na pokuszenie, la nas wabawnij wote zlewo. Won twój jest to królestwō esz na wieki wiecznej. Omenka“.

Drugi brzmi:

„Wójczy nasz, chłtore te jes w niebie, swancone niech bandze imian tve, przyjdze nom twoje kroulestwe jak w niebie, tak na zemi. Twój chłjeb powszednan, mili Jezusku, dzys nom daj, a witpusc nom nasze wine, nasze grzészty. A nie wedze nas w pōkuszenie, le nas webawi weto wszewo grzėchu. Abe two jesta moc tro ³⁾ wetwieka dowieka, amen“.

Dla uzupełnienia należy przytoczyć jeszcze „Ojczy nasz“, znajdujący się w tak zwanym „słowińskim katechizmie Michała

¹⁾ Po niemiecku: Gross - Tuchen — okrąg bytowski.

²⁾ Po niemiecku: Zemminer Klukun.

³⁾ Widoczny błąd w wymowie zamiast: „ t r w o “.

Mostnika (Pontanusa) ¹⁾ i „Ojcze nasz“, podany przez Wutstracka ²⁾).

„Ojcze nasz“ Mostnika:

„Oycze nasz, ktory jes w Niebie. Swięcono bądź imie twe. Przydze twe krolestwo. Twa się Wolá stani jáko w niebie táko y na Ziemi. Chleb nasz powszedny day nam dzisa. Y odpuscy nam nasze winny, jáko y my odpuszczamy naszym winnowácom. A nie wodzi nas w pokuszenie. Ale nas wybáwi od złego. Bo twoje jestá krolestwo, y twoja moc, y poczestnosć od wieká ász do wieká. Amen“.

Ten sam „Ojcze nasz“ w szmoldzeńskiej ksiązce do nabożeństwa przedstawia pewne małe odmiany. Brzmi on:

„Oycze nasz, ktory jes w Niebie. Swięcono będzie imię twe. Przydź nam twe krolestwo. Twa się Wolá stani jáko w Niebie táko y na Ziemi. Chleb nasz powszedny day nam dzysa. Y odpusc nam nasze winy, jáko y my odpuszczi my naszym winowaycom. A nie wodzi nas w pokuszenie. Ale nas zbawi od wszego złego. Bo twoje jestá krolestwo, y twoja moc y poczestnosć na wieky wiekow. Amen“.

Wutstracka „Ojcze nasz“ opiewa:

„Oy'cze nasz, ktory jes w Niebie. Swięcono ba'dz Imię twe. Przydź twe krolestwo. Twa się wolá stáni jáko w Niebie, táko y na ziemi. Chlep nasz powszedny day nam dzisia. Y opu'sc nam nasze Winy, jáko my odpuszczamy naszym Winnowáycem. A nie wodz nás w Pokuszenie. Ale nas wybawi od złego. Bo twoje jestá krolestwo, y moc, y poczestnosć od wieká ass do wieká. Amen“.

Porównanie przytoczonych tekstów „słowińskich“ jest bardzo wymowne. Przekonywać bowiem ono musi nawet nieznawców języka, że najstarszy tekst, podobnie, jak jeszcze starsza spuścizna językowa

¹⁾ Tytuł katechizmu: „Maly Catechism D. Marcina Lutherá Niemiecko Wandalski, abo Słowieski wystawion y na jawnosć wydau. Gdansk, 1643“, przechowanego w archiwum kościelnem w Szmoldzenie.

²⁾ Kurze historisch - geographisch - statistische Beshreibung von Pomern. Szczecin, 1793 — 1795.

Krowaya ¹⁾, są czystą polszczyzną, która później, gdy język polski został na Pomorzu wyparty przez niemczyznę, jako język piśmienny, zaczęła psować się w czworakim kierunku: przez mylną pisownię, naleciałości narzeczone, germanizację i złą wymowę, również pod wpływem niemczyzny. Prawie komiczne sprawia wrażenie, jeśli się zważy, że zwolennicy odrębności „języka pomorskiego“, czy „słowińskiego“, wnoszą cały gmach swojej pomysłowości na czysto polskich zabytkach językowych Krowaya i Mostnika, i opierają go na tym fundamencie, więcej, niż kruchym. W zabytkach tych bowiem, prócz wyrazów: „Wandalski“, „Słowiński“ i „Sławieski“, mających oznaczać tyle, co Polski, niema ani okruszynki, która-by uprawniała do wysnuwania pomysłów o jakiegokolwiek odrębności językowej.

Przysłuchajmy się niemieckiemu narzeczu na Pomorzu. Oto jego próbka podług Knoopa ²⁾: „Lingpot, schla de Divel dot“, albo: „Mett, wenn uck bat dem Diwet in't Ellerbrauck“, albo: „as sei na alle Siere runge leipe; dei eie leip nam Karug u dem leip hei na“. Porównajmy to z niemczyzną: kaszubszczyzna jest dobrze zrozumiałą dla Polaka i odwrotnie, dla Niemców zaś, niezających narzeczy dolno-saskich, tak zwanego „plattdeutsch“, jest niemiecko-pomorski dyalekt absolutnie niezrozumiałym. A przecież żadnemu Niemcowi, pomimo, że platt posiada bogate piśmiennictwo, datujące się ze średnich wieków, a rozwijające się ludowo do dni dzisiejszych, nie przyjdzie na myśl tworzyć z niego odrębnego języka.

Zastanawiając się nad polską gwarą Pomorza, nie wolno pominąć jeszcze i tej okoliczności, że Pomorze, oderwane od wieku wieków od pnia macierzyńskiego, znajduje się w zastoju językowym. Tymczasem język polski piśmienny rozwijał się wciąż i udoskonalał, a w miarę tego oddalał się od pierwotnych gwar ludowych wogóle, a w szczególności od tych, które, jak pomorska, nie stały pod jego wpływem.

(D. n.).

G. SMÓLSKI.

¹⁾ „Duchowne piesnie D. Marcina Luthera y ynszych nabożnich me-zow. Z niemieckiego w Sławieski iezik wyložone Przez Szymona Krofca sluge słowa Bozego w Bytowie... w Gdainsku, 1586“.

²⁾ Volkszugen, Erzählungen, Aberglauben, Gebrauche u. Märchen aus östl. Pommern. Poznań, 1885.

NIEZNANY PAMIĘTNIK JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA¹⁾

o czasach

KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

(1807 — 1809).

IX.

Przyjazd marszałkowej Davoust do Skierniewic. — Pani Martins, kochanica marszałka. — Wizyta w Warszawie. — Festyny. — Rozmowa poufna Niemcewicza z Davoustem. — Wywołanie z kraju urzędników pruskich. — Smutne wieści z Hiszpanii. — Księżę Asturyi. — Infant. — Godoy. — Prowincye włoskie. — Konskrypcya w Księstwie. — Jeszcze o konwencji Bayońskiej. — Projekta pożyczki przymusowej. — Kłopoty Michała Kochanowskiego. — Szkoła prawa. — Wychowanie elementarne. — OO. Benoni.

Wszystko, co się ściąga do człowieka, który, w istocie, więcej rządzi tym szczupłym krajem, niż król sam, miejsce w pamiętnikach tych znaleźć powinno.

Słabi i podlegli, nie wystawiamy, jak tylko smutny ciąg potrzeb, ucisków, trudności. Ciąg ten, choć nieważnym, lecz mniej posępnem przerwać opowiadaniem — nie będzie od rzeczy.

W początkach miesiąca maja przybyła do Skierniewic pani marszałkowa Davoust. Napoleon wysłał ją z Paryża ze zleceniem, by marszałkowi syna powić starała się. Przywiozła z sobą dwie małe córki, jedną — dwa lata, drugą — roku jeszcze nie mającą.

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy, str. 310.

Miesiącem wprzód oddaliła się stamtąd pani Martins, kobieta rzadkiej piękności, na której łonie, (jak twierdzą złośliwi), poczciwy marszałek popędliwość swoją łagodził. Pani Wincentowa Tyszkiewiczowa, siostra księcia Józefa Poniatowskiego, pierwszą z dam była, która, w kompanii pana Serry, rezydenta francuskiego, przyjechała złożyć jej swoje uszanowanie. Kiedy zważymy przywiązanie kobiety tej do rodziny Burbonów, zawziętość aż do nieroztropności przeciw nowemu rządowi we Francyi, odkazywanie się dawne, że ucieknie z Warszawy, skoro w niej noga francuska pozostanie, kiedy to wszystko porównamy z niską czolobitością, którą okazywała księciu Talleyrand, okazuje dzisiaj wszystkim Francuzom, wyznać należy, że i ta mniemana tęgość duszy, (którą tej osobie przypisywano) i urodzenie, i bogactwa, w potrzebie niżej jeszcze giąć się umieją, niż niewynosłość i ubóstwo.

Odpocząwszy marszałek przez niedziel kilka ze zgryzot swoich, żona zaś z trudów podróży, w Skierniewicach, zapowiedzieli powrót swój do Warszawy.

Miał on nastąpić na 20 i wszyscy oficerowie wojsk obojga wyjechali naprzeciw niemu za miasto. Wszystkie muzyki reimentowe stanęły przed pałacem, moc widzów okryła okna i ganki.

Czekano do późnego zmierzchu, gdy przyszła wiadomość, że marszałkowstwo nie przyjadą.

Porozchodziły się świetne wojskowe orszaki zawiedzione w ciekawości tłumu. Szczęśliwszemi byli nazajutrz, przyjechali bowiem marszałkowstwo. Skwapliwie, aż do zbytku, ministeryum nasze przyjęło ich na wysiadaniu. Cierpiałem na to, gdyż w niedoli ludzie, jeżeli nie przez wzgląd na dostojęństwo, któremi zaszczytzeni, godność jakąś zachować powinni. Marszałek sam zdawał się temu dziwić, w sieniach atoli prezentował ich wszystkich żonie. Tembardziej i ja, i wielu bolało na tę uniżoność, że ludzie, ministeryum składający, byli zresztą poczciwi, pracowici i o dobro publiczne gorliwi, lecz czterdzieści lat ulegania obcym—wiele szlachetnych wyniosłości narodowi naszemu ujęło. Pani Tyszkiewiczowa i pani Vaubane (tak), przyjaciółka od serca księcia Józefa, tegoż wieczora z attencyą swoją pospieszyły.

Nazajutrz wielka wojenna parada, pokłony wizyt wojskowych i cywilnych u pani Marszałkowej, wieczorem przyjmowano damy. Grzeczność, słodycz i rozmowa jej, podobały się wszystkim. Postać i twarz przyjemna i piękna, oczy wielkie i czarne, nieodstępna słodycz i chęć podobania się. Ci, co ją zblizka znają, twierdzą, iż przymioty duszy odpowiadają nadobności ciała.

Niewiasta taka, nie przez wpływ i intrygi, lecz przez dobroć i słodycz swoją, hamować może popędliwość męża, łagodzić jego rozjątrzenia, za tym stać się nam pożyteczną. Dobroć serca marszałka, przywiązanie i attencye, które widocznie okazuje dla żony, nadzieje te rokować zdają się. Dowiedziawszy się, że oficerowie gotują bal dla niego, oświadczył, że nie chce tego, że składka taka nie może być, tak uciążliwą dla tych, co z żołdu żyją. Gdy koniecznie nalegano, rzekł: czyńcie, jeśli koniecznie chcecie; miło mi jest, że te attencye czynią mej żonie i że mi pomagają zagładzić te winy, które względem niej mam sobie do wyrzucenia.

— „J'aime, qu'on fête M-me Davoust, ce qu'on m'aide a réparer des torts, que j'ai vis à vis d'Elle“. Podług zwyczaju, wziął mię marszałek na bok i rozmawiał. Już uprzedzenie jego względem Czartoryskich niknąć zdawało się. Sam nawet radził mi, bym, jako dawny przyjaciel i przywiązany, odwiedził ich. Gdym mu mówił o potrzebach kraju i zupełnym niedostatku naszym, rzekł:

— Wszystkiemu temu byłby już koniec, gdyby nie zwłoka tych, co króla otaczają w Dreźnie.

Postrzegłem zaraz, że do Brezy i hrabiego de Boze, ministra spraw zagranicznych, ściągały się te słowa; do pierwszego nieubłagana dawna nienawiść, drugi obraził listem swoim do Serry, w którym wyrażał, iż król żywo był dotkniętym, iż, bez wiedzy jego, marszałek, poddanych jego: Struensee i Reybacha wywołał z kraju. Zlecił marszałek Serrze ostro bardzo na te zale odpowiedzieć hrabiemu Boze, dokładając, że calość i spokojność Księstwa jemu samemu pod odpowiedzialnością od Cesarza poruczona. Mniemane zwłoki względem konwencyi, jakem się ze źródła potem dowiedział, nie były inne, jak te: pan Daru, generalny ordonator, i inni przełożeni nad kontrybucjami i dochodami zawojowanych przez Prusaków krajów, chcąc i własnej dogodzić chciwości, i z oszczędnością skarbu cesarskiego zalecić się Napoleonowi, gdy uznali, że kraj do kropli wyspany i na żywność własne trzeba będzie dostarczyć pieniądze, wymyślili, by Napoleon opłacał potrzeby wojsk swoich temi sumami, które niektórzy obywatele Księstwa Warszawskiego winni byli królowi pruskiemu, a które dziś prawem zwycięstwa spadały na Napoleona. Lecz pod te sumy, wynoszące do 12 milionów, podciągnęli kasy sierot, szpitalów, duchownych etc., które król pruski w czasie wojny zabrał, a które, nie tylko królewską, ale zgromadzeń i Towarzystw tych były własnością, tak dalece, że co od króla należało się krajowi, przeistoczeniem i zabałamuceniem francuskim wystawiono, jakoby kraj winien był królowi. Z kredytorów uczyniono dłużników. Te fałszywe i prawdziwe pretensye zbiwszy do kupy, uczynili kapitał do 62 milionów wynoszą-

cy (to prawda, że całą tę sumę pretensyów za 24 milionów franków ustąpić królowi proponowali).

Proponowali dalej królowi, aby kupił pretensye te od cesarza, poszukiwał spłaty od obywateli i tą—potrzeby wojsk francuskich opłacał.

Podstęp i niewiara nadto były widoczne; znajomość rzetelnego stanu rzeczy nadto w królu dokładna, by ich nie postrzegł. Ze zwykłą zawsze dla cesarza powolnością odpowiedział król, że czyni, jak on żąda, ale, że bierze śmiałość przestawić mu błąd, w którym był wprowadzony, tłómaczył, że zabrane funduszowe feuz (?) i inne kasy nie były nigdy własnością króla pruskiego i dziś J. C. M. być by nie powinny, że w tej mierze nie król pruski do kraju, ale kraj do króla pruskiego ma poszukiwania prawo. Wysłano z temi przekładaniami. Odległość Bayonny od Drezna, inne także zatrudnienia, opieszalność, wtenczas tylko okazywana, gdy swego dać co przychodzi i odium w niepodpisaniu dotąd konwencji są przyczynami. Szkoda stąd całkiem dla nas. Skarb już zadłużony, i bez szeląga, dziś każą nam postępować, jak zwykle postępują utratnicy, co przedają wieś, aby dać bal. My musimy przedawać dobra narodowe, by gościom naszym dostarczyć codziennie sztuki mięsa i innych potrzeb i wygód.

Dnia 4 maja, ważne z Hiszpanii przybyły wiadomości. Nie mając, jak tylko francuskie doniesienia, trudno o wypadkach tam zdarzeniach mówić z rzetelnością i prawdą, w powszechnej trwodze, w której jest Europa, w groźnej baczności, w której wpływ francuski trzyma i swoje i obce drukowania. O dziejach przygód dzisiejszych dowie się chyba potomność z tych pamiętników, które dziś w ukryciu bezstronni świadkowie dla przyszłych gotują pokoleń.

W początkach czerwca ogłoszony jest dekret królewski względem popisów wojskowych, czyli konskrypcyi rekrutów, dla wszystkich mieszkańców Księstwa osiadłych i nieosiadłych, bez względu na ich urodzenie, stan, dostojęństwo, rzemiosło, wyznanie. Wylączeni z pod prawa jedynie w służbie cywilnej aktualnie znajdujący się, duchowni mający już poświęcenia, profesorowie i nauczyciele szkół. Wszyscy inni od roku 20 do 28, do popisu, bez wyłączenia należeć mają. Z nich, za zgłoszeniem się ministra wojny, ilość potrzebną lossem do wojska brana. A tak zwyczaj uzbrajania całej masy kwiatu młodzieży narodowej, zwyczaj wymyślony w zapale rewolucyi francuskiej, utrzymany i stokroć nadużyty przez Napoleona, powszechnie prawie w Europie przejęty i dziś znów nakazany, zwyczaj, tę tylko korzyść mający, że nie same tylko, jak dotąd, ręce rolnicze brane będą do oręża, lecz mniej istotnie potrzebne, zniewieściałe, szlacheckie. Lecz z drugiej strony, gdy spojrzem na te niezliczone, po wszyst-

kich krajach krocie młodzieży, na te całkowite, iż tak rzekę, wieku jednego pokolenie, najeżone zbójeckim orężem, gotowe, za pierwszym rozkazem, rzucić się na siebie, rzuąć i zabijać; co za smutna dla ludzkości uwaga, co za widok w przyszłości wystawia się oczom naszym! Pustynie i mogiły...

Przecież pocieszającej otuchy nie należy odrzucać. Wyniosłość, niepowściągnięta żądza sławy, wojen Napoleona jedynym nie mogą być celem. Wie on, że w szlachetniejszych zamiarach prawdziwej chwały szukać należy.

Toczy on długie wojny, by światu długi zapewnić spoczynek, przeistacza postacie i granice narodów, by im pewne i niewzruszone zabezpieczyć trwanie; a jeśli naród swój tak znakomicie nad wszystkie inne pragnie mieć potężniejszym; jeżeli we wszystkich innych wpływ swój gruntuje, to dla tego, by wszystko ogarniać swą potęgą, sam nie żądając, innych trzymać w pokoju, strzedz ich od tych zawiści, od tej żądzy powiększania się, które, w zeszyłych wiekach, tylu wojen bywały przyczyną.

Jak się spodziewać, jedyną jest to dla żyjących dzisiaj pociechą.

Dnia 11 czerwca, podpisana d. 10 maja w Bayonie z naszymi deputowanymi konwencya, dla pocieszenia publiczności, śpiesznie ogłoszona w gazecie.

Artykuły jej są: I. że Cesarz Napoleon, z przychylności swojej ku narodowi naszemu, część wojska polskiego na żołąd swój bierze, z przyrzeczeniem, że do osad zamorskich posyłać nigdy nie będzie.

2. Że znajdujące się w Księstwie Warszawskim wojsko francuskie będzie we wszystkich swoich potrzebach kosztem cesarskim opłacane.

3. Że szacunek soli, na Prusakach zabranej, a dawniej rządowi naszemu tymczasowemu ustąpiony, zmniejszonym zostanie. Harmaty zaś, na nieprzyjaciela zabrane, a w pretensjach do Księstwa za dług podane, Napoleon na pamiątkę daruje.

4. Nakoniec, wszystkie długi króla JM. Pruskiego w Księstwie, które sobie N. Cesarz zostawił, ustąpione są na rzecz króla i Księstwa, w zamian umówionej opłaty dla cesarza przez króla JM. Saskiego.

Dziś, pisząc, co poprzedza, 25 lipca, to jest więcej, jak w półtora miesiąca przed ogłoszeniem konwencyi, patrzmy, jak artykuły jej są dopełnione?

Jeden tylko pierwszy artykuł, o którym nigdy nie prosiliśmy, to jest, wzięcie i wyprowadzenie z kraju wojska, wkrótce dopełnionym zostanie.

Drugi, najcięższy, o który bez ustanku dopraszaliśmy się, by wojsko francuskie, mięso i furaze samo płaciło, dotąd nie dopełniony. Co więcej, tabela ekspensy Księstwa i suma na opłatę furazów wojska i mięsa potrzebna, dotąd jeszcze od aprobaty cesarza nie przyszła.

Cały więc ciężar jeszcze na barkach naszych, a wysypawszy anticipative na też wydatki kilka rat podatków, dziś, z gwałtownej pożyczki i rek wizycyi w furazach, opędzają się potrzeby wspólne. Wyznać atoli należy, że troskliwy marszałek Davoust, czy to pożyczką, czy awansem z kasy francuskiej wojskowej, wydać kazał Kochanowskiemu prezesowi kom. żywności złp... (*brak*)

Jak daleko cena soli zmniejszona, niewiadomo, lecz co do amunicyi i armat, to jeszcze nie są nam oddane, lecz dotąd pod dozorem w ręku francuskim zostają, tak dalece, iż — mam to za godnego wiary oficera artyleryi naszej — kiedy korpus jego mustruje się, muszą prosić Francuzów o pożyczenie naszych własnych armat.

Jakim sposobem przejęte i porachowane były długie pretensye wzajemne między królem i Napoleonem? powiedziałem już wyżej.

Właśnie gdy ogłoszono tę obietnicę ulg i już własnym groszem wszystkiego opłacać, ogłoszono też i pożyczkę półtora miliona na sprzedawać się mających dobrach narodowych i, prócz tego, na zaręczenia prywatnych osób, na dobrach dziedzicznych i starostwach. Marszałek Davoust pierwszy dał przykład, zapisując hypotekę na Księstwie swem Łowickiem 500,000 fr., Książę Józef Poniatowski, na wziętem niedawno starostwie tyleż, pani, z Lubomirskich, Stanisławowa Potocka, nie na wziętych dobrach, lecz na dziedzicznym Wilanowie, 100 tys. złp., inni — w proporcji gorliwości, dobrej wiary i chęci podobania się naczelnikowi. Później sumę 5,500 tys. podzielono na akcye, po 5 tys. fr. akcya.

Te akcye biorący składali zaraz pieniądze, i znowu marszałek Davoust, sam, za 10 akcyi, to jest 50 tys. zł. złożył; żydówka Szmulowa, dziś Judyt Jakubowiczowa, liwerantka, grubo na dostawach zarabiająca, wzięła 17 akcyi. Oziębłe atoli i opieszale szła ta składka, gdyż, ku końcu prawie lipca, niewięcej, jak do 429,000 złotych polskich złożono.

— „Pocóż mam dawać — mówiło wielu — bez wywozu, z zamkniętym handlem do Gdańska, kilka rat podatków zapłaciwszy już wprzód? Czy na prawdziwe Ojczyzny potrzeby mamy się wywnętrzać?

Wszakże, gdyby sprzymierzeńcy i opiekuny nasze za grosz swój żyli, na żołdy i utrzymanie wojska krajowego dostarczającymi byłyby podatki Księstwa; czemu w czasie pokoju żołnierz na stopie wojennej ma być trzymany, czemu w podziale racyi taki nieporządek i rozrzutność?”

Takie i tym podobne, niegłośne skargi, bo osobiście były-by niebezpieczne, lecz głuche, szerzyły się szemrania. Wbrew im atoli, gdy cisnęła potrzeba, Michał Kochanowski, prezes depart. i komisaryatu żywności, podjął się pożyczki niby to perswadującej, lecz w rzeczy samej przymuszonej, przychodził bowiem do majątniejszych obywateli i kupców, mówiąc:

— „Jeżeli dziś nie pożyczysz 10 tys. złp., to za tydzień będziesz musiał dać 30 tys.“ Każdy przekładał niebezpieczeństwo mniejsze. Nikt dziwić się nie będzie, że tak gwałtowne sposoby, dla używającego onych, ciągnęły nienawiść.

Niedosyć na tem. Ze wszech stron poświęcił się Kochanowski niechęci, skargom i narzekaniom, przyjął bowiem na siebie wszystkie nienawistne urzędy. Prezes wydziału żywności, sam, bez żadnego przydanego sobie towarzysza, wydawał asygnacye do skarbu, wydawał palety na zboże, owsy, siano etc., brał w rekwizycyę co było potrzeba. Słowem, skarb publiczny i majątki wszystkich, bez sprawowania się nikomu w jego znajdowały się ręką. Od kogoż, zapyta kto, tak nieograniczona władza? Od tych, którzy kraj cały w panowaniu swoim trzymają, poświęcony im całkiem, od nich za nietkniętego uznany.

Skreślić obraz tak ważnej w czasie dzisiejszym osoby—sądzę być powinnością moją. Wyznam atoli, iż kreśląc go, najtrudniejszą sercu memu zadaję powinność. Przyjaźń, powzięta z nim w pierwszej młodości, radaby wiele wymawiać, Prawda każe wszystko powiedzieć, gwałt własnemu czyniąc uczuciu. Tej ostatniej zadosyć uczynić należy.

Michał Kochanowski, potomek sławnych w języku naszym rymotwórców, wychowany w korpusie kadetów, z pierwszej młodości ukazywał umysł śmiały, odwagę serca niepospolitą, talenta wyższe nad mierność, wyniosłość i chęć znaczenia przewyższające talenta. W przyjaźni gorący i stały, w zapamiętaniu uraz nie łatwy, w nienawiściach nieprzeblagany, gościnnie i ludzki, dobry mąż, gorliwy obywatel, najlepszy z ojców. W czasie nieczynnej i nieznaczącej Polski, aż do konstytucyjnego sejmu, strawił młodość i część dojrzałego wieku, jakinni, w zatrudnieniach domowych i towarzystwa zabawach. Dwie naówczas pojął żony: Wasilewską i Święcicką. Obydwie znaczny przyniosły mu majątek. W czasie konstytucyjnego sejmu, gdy kraj

z podległości swojej wyłamał się na chwilę, a naród, stanowiący nowy rząd i prawo, dał pole rozwinięciu się talentom, niepoślednim był i Kochanowski w pracy, w wymowie nie płynnej, kwiecistej, lecz dość łatwej i jasnej.

Za wybuchnięciem rewolucyi w 1794 r., okazał się najpracowitszym i najczynniejszym, już to w czasie walki, już w obowiązkach członka wydziału żywności.

Runęła Polska, lecz nie wygasł w niej duch obywatelstwa i nadzieja odzyskania bytu jej. Do jednej tylko Francyi, choć słabo błyszczał nadziei tej promień, do niej Kochanowski z innemi zemdlone podnosił oczy; do niej z innemi przekradł się w owym to czasie, gdy dyrektoryum, dla dywersyi Austryakom, sejm polski w Medyolanie zwoływać zamyślało. Niezręcznością imiennika Kochanowskiego, popadłe w ręce Austryaków, ściągające się do tego papiery, przyprawiły o więzy marszałka Potockiego, marszałka sejmowego Małachowskiego, Kochanowskiego, o którym mowa, i wielu innych.

Zwoluniony nakoniec, uważany od wszystkich, jako zdolny, gorliwy i zasłużony, dni niewoli w spokojności przepędzał, aż do dnia, w którym rozbięcie wojsk pruskich pod Jeną i zbliżenie się do nas Francuzów, długo oczekiwane nadzieje zdawały się już spełniać. Szczęśliwą nadzieją, ufny, że dawne zasługi i hazardy dawały mu prawo być zawołanym do najpierwszych w nowym rządzie urzędów, z rozjątrzeniem poglądał, że inni pierwsze miejsca ubiegli, a jemu wtórne dano. Później, i dziś wyższe ofiarowane sobie, odrzucił. Stąd ciągnęła zawsze cierpkość i niesmak do rządu swojego. Dalej, po złożeniu Brezy, przez marszałka Davoust na urzędzie dostarczacza żywności umieszczony, ile tęgością i arbitralnością egzekucyi naprzykrzał się swoim, tyle na pochwały i ufność zasługiwał u Francuzów. Czuł on, że uciążliwości i urzędu swego stracił przywiązanie ziomeków. Nienawdził więc, dla tego, że nie był lubionym. Całkiem się oddał Francuzom, dla tego, że mu pochlebiali.

Tak dalece zawiść i upokorzona miłość własna obłąkać mogą. Posiadając całkiem marszałka Davoust i p. Serry ufność, przekładaniami swemi, rozumiem, że nieraz wiele ulg mógł był krajowi swemu przynieść. Niechęć atoli ku rządowym osobom tak go oslepiała daleko, iż wszystkie trudności, zawody, raczej ich winie i niezdolności, niż rzetelnemu niedostatkowi kraju przyznawał.

Zarzuty, jakoby na urzędzie swoim z uszczerbkiem skarbu miał się z bogacać, znającemu go przez lat 30, niegodne i niepodobne do prawdy zdają się.

Wracam do ciągu materyi.

W pośród tych ciężących krajowi zdarzeń, nie upadał zupełnie duch dobra publicznego. Wyłamane się z pod jarzma obcego, nadzieja rozszerzenia granic, w nikim nie pokładana, tylko w Napoleonie, budziły do cierpliwości w uprzykrzeniach obecną porę. Cieszyła najlepszej nadziei otucha. W wielu pożytecznych ustawach i dziełach ten duch obywatelski widzieć się daje.

Gdy kodeks Napoleona, nowością, zawilością tłumaczenia, nieprzyzwyczajeniem do niego: ni sędziów, ni rzeczników, ni stron, wielu mitręgów stawał się powodem; rychlejsze przed nim ustanowienie sędziów pokoju—niezliczone w sporach między obywatelami przynosiło dobro. W przeciągu sześciu tygodni zaledwie 495 spraw przez sędziów pokoju zagodzonych zostało; liczba tu większa okazała-by się, gdyby ze wszystkich powiatów przyszły o tym doniesienia.

Ustanowiona dekretem królewskim szkoła prawa natury, cywilnego, rzymskiego, kodeksu Napoleona, prawa kryminalnego etc. Bieg nauki trwać ma lat trzy, wchodzący do szkoły niepowinien mieć mniej, jak lat 16 i zapłacić pomierną cenę 36 złp. Ubodzy uczą się darmo. Ustanowienie to wielce nadal pożytecznem stać się może.

Wyznaczona komisya egzaminacyjna, przed którą, wszyscy starający się być umieszczeni na urzędach publicznych, ze zdatności swoich egzamin odprawiać będą obowiązani. Komisya ta, jeśli będzie bezstronna, jeśli w egzaminach swoich surową, największą dla kraju przyniesie korzyść, dla zdatnych tylko w administracyi urzędników.

Niepospolitą obywatele Księstwa okazywali gorliwość—w rozszerzeniu światła między pospolitym ludem. Wielu obywateli, już to wyznaczili gotowe, już nowe po wsiach i miasteczkach stawiali domy na szkoły, opłacali własnym kosztem nauczycieli, a co tkliwą sercu przynosi radość, to to, że wieśniacy sami, ten lud, tak mało dotąd cenę oświecenia znający, sam, przez dobrowolne składki, dla dzieci swoich zakłada szkółki i nauczycieli przyjmuje. Tak potrzebna dla wojska naszego szkoła artyleryi w tymże ustanowiona czasie.

Nadmieniliśmy już dawniej zgilek, który się między oficerami francuskimi i księżą, pod imieniem Benonów, w Wielki tydzień przytrafił. Zakon ten, w innych krajach zawiązany, pod imieniem kongregacyi Odkupiciela, w Warszawie znanym był pod imieniem Benonów z klasztoru św. Benona, który zamieszkiwał.

Zgromadzenie to, po całej prawie rozszerzone Europie, w ślady zniesionych Jezuitów wstępować chciało, a to przez sposobienie do systemu swego młodzieży, biorąc ją pod swe wychowanie, i osiedlanie, przez spowiedź umysłów wszystkich pobożnych. W ostatnim

względnie znacznie im się udało, mianowicie: w niższej klasie sług i w znacznych nawet niewiastach niższego stanu.

Pierwsi, wszystkie swe zbiory, wszystek swój czas (ile go oszczędzić mogli), poświęcali Benonom; drugie, prócz hojnych wsparć, we wszystkich przypadkach sumienia swoich i dzieci, ich się radziły, im ślepo wierzyły. Marszałek Davoust z miasta im ustąpić kazał.

Powkładano ich na wozy i do Galicji wywieziono. Tam, gdy rząd niemiecki przyjął ich nie chciał, do Prus i Brandelurgii wywiezieni. Pospólstwo żegnało ich z płaczem, niewiasty — pieniądze, żywność, odzienie, odjeżdżającym hojnie na drogę dawały. Mniej sferne i łagodne, lub bardziej jak w innych krajach burzliwe i zabobonne obruszyły-by się na ten gwałt, czyniony ulubionym od siebie, lecz tu wszystko spokojnie się zakończyło. Dodać należy, że wszyscy prawie ci księża byli Niemcy.

X.

Polacy w Hiszpanii. — Bitwa pod Toledo. — Sprawy domowe. — Akcye pożyczkowe. — Upadek Warszawy. — Rekwizycje wojskowe. — Sypanie szanśców. — Lud wiejski. — Reklamacye Niemcewicza przez Davousta uwzględnione. — Król nagli o przysyłkę intrat z Księstwa.

Usiłowania Francuzów, by zataić przed publicznością, że w dzisiejszych w Hiszpanii odmianach, niechęci i opór, spóźniły do dnia dzisiejszego pochlebne dla rycerstwa naszego doniesienie, to jest, że wojsko, polskie z legii nadwiślańskiej, niegdyś włosko-polskiej, uderzyło pod Toledo na 12 tysięcy zbuntowanych: pięć tysięcy położyło trupem, resztę rozproszyło, i sześć sztuk armat zabrało. W ciągu zeszłego miesiąca, tenże sam półk, kopijników Konopki, wpadłszy na podobną liczbę zbuntowanych, ubił im dwa tysiące i wszystkie działa zabrał. Napoleon, chcąc im okazać ukontentowanie swoje, posłał im 20 krzyżów wojskowych. Spodziewać się, że ta odwaga rycerstwa naszego, ta krew polska, która się w odległych leje krainach, naród nasz w oczach Napoleona w wysokim postawi szacunku i przypominać mu będzie, że lud tak bitny, niegodzien jest dłużej pod obcem uginać się jarzmem.

Lecz gdy w takim pospiechu wojsko nasze przyczynia się do zupełnego Hiszpanii podbicia, tutejsza panująca władza, równie porywczco nagli o dopełnienie podbicia ostatniego grosza, czyli o dopełnienie pożyczki. Do tylu zapalających do tego upomnień, prefekt warszawski uczynił odczwę do płci pięknej, zachęcając ją, by namawiała mę-

zów i synów, do okazania się w braniu akcji hojnemi. Bez podobnych odezw, gdy kraj walczył za swoją niepodległość w 1794 r., znosiły niewiasty nasze złoto, drogie kamienie i perły. Gdy widno oczywiście że cel tych składek - nie na istotne kraju potrzeby, nie na jego ulepszenie, nie na jego rozszerzenie, lecz na obce nam po większej części użyte przedmioty, wymówionemi się będą, że nie tak bardzo skwapliwie słuchają głosu Prefekta.

Postać Warszawy, w upałach letnich, gdzie wszystko, co się w niej świeciło, ku oddychaniu chłodniejszego na wsi powietrza oddaliło się, nie była bynajmniej wesołą. Przerzedzono nader ludność.

Najwspanialsze możliwych domy, za bezcen sprzedane, dotąd są otwartemi gościnnemi domami; wiele walących się, wiele zupełnie upadłych, cała reszta zawałona żołnierstwem; publiczne i prywatne gmachy zajęte na szpitale i koszary. Z tych liczby, cały pałac kaddecki obrócony na szpital, toż samo pałac Jabłonowskich na ulicy Senatorskiej, Sapieżyński na Nowem Mieście, konwikt nawet Pi-jarski, na nowej Napoleona ulicy. Pałac biskupa krakowskiego, wiele klasztorów na tenże obrócone użytek. Przez otwarte okna widać było w złocistych lamperkach rynsztunki, mundury, surowe mięso, wiszące po ścianach.

Wiejskie nawet mieszkania od rekwizycyów nie wyjęte. Tak Królikarnia, ustron księcia niegdyś Stanisława Poniatowskiego, część Mokotowa rekwizycyów nie uszły, Miasto do tych wiejskich mieszkań sprowadzać musiało łóżka i meble. W reszcie nawet domów, gdzie właściciele przytomni, ze zbytkiem pozabierane kwatery, Wszystkie meble, opał, światło, posługa, bielizna stołowa, farfury, dostarczano bez opłaty, psute i znowu odnawiane. Wojskowi nasi, obcych znarowieni przykładem, równie w domaganiach się swoich niepowściągnięci.

W niedostatku domów, gdzieby się społeczeństwa zbierać mogły, ogród Saski jedynem do schodzenia się miejscem. Jest to bursa, czyli giełda politycznych i miłosnych interesów, lecz i tam ubiór cywilny niknie w tłumie mundurów.

Tam nie głośno, jak w dawnych czasach, lecz z cicha podają się nowiny dnia, szmerzą na dolegliwość, szepczą przez młodzież oświadczenia miłosne. Huczna muzyka francuska hałasem swoim przytłumią wszystko.

W okolicach, forty fikacye naPradze, Modlinie, Serocku, z największym nagłą się pośpiechem. Pośpiech ten atoli największym zbiorom polnym zagrażał uszczerbkiem, gdyż chłopci ze wsiów wszystkich, zamiast żęcia w polu, do sypania szanów pędzeni. Czynione względem tego przekonania nie wiele przynosiły skutku.

Odważyłem się w tej mierze pisać do marszałka Davoust. Poczciwy ten, w rzeczy samej, dobrze nam życzący człowiek, wszedł w przekładanie moje, posłał do sypania wałów żołnierzy, a chłopów w znacznej bardzo części uwolnić do domów rozkazał. Szczęśliwy skutek listu tego dał mi uczuć słodycz, jakiej już dawno nie znałem.

Zawieszona przez porę żniw chciwość komisji żywności, czeka tylko ukończenia zbiorów, by przygotować palety, na nowo porozysłać rekwizycje.

Ogłoszony po gazetach od 1 lipca koniec już onym. Ogłoszone konwencye, dobrodziejstwa, pełzną na niczym. Król przestraszony od troskliwych o kraj własny Sasów, jakim niebezpieczeństwem zagrożą skarbowi jego, zawarta z Napoleonem konwencya, zawiadania tu owego barona Manteufel i codzień o przysłanie intrat napiera.

Donataryusze francuscy, majątki swoje puszczejac w dzierżawę, dawane z góry na nie pieniądze—całkiem za granicę wywożą. Podatki od nich, dawniej dekretem cesarskim nakazane, lubo nakoniec do 1 marca opłacone być miały, do skarbu jeszcze nie weszły, a gdy wchodzić będą oddzielnie od innych mieszkańców, podług pruskich arendowych kontraktów po pięć tylko od sta opłacać mają. Mimo redukcji zdawkowej monety, drożyzna taka sama, a może i większa, jak wtenczas, gdy w dwójnasób nad wartość swoją bieg swój miała. Brak krajowych rękodzieł, niezmierne sumy za potrzeby i zbytki wyprowadzał do Francji. Z tego bowiem jednego kraju sprowadzano towary. Rzecz zaiste dziwna, jak przy tylu ciężarach i wydatkach kraj, tak długo wystarczał i ostatniego uniknął upadku. Lecz zapasy żyznej ziemi i ludu rolniczego od wieków obfitsze są nad mniemanie.

Nieżyzność prowincyj Brandenburskich, zniszczenie Szląska przez liczne wojska francuskie, podwyższyło cenę zboża, trzód etc. i tam się przekradało nasze. Choć żywność i kwaterunki z wygodami dawane obcym, przecież żołąd ich zostawał w kraju. Nakoniec, znaczna liczba majątnych domów, ciągnąc intraty swoje z obcych kordonów, zasilala i kraj i miasto.

W cierpieniu ta tylko pokrzepiała uwaga, że inne kraje więcej jeszcze cierpiały, że tym, co i byt, i imię nawet stracili narodu, same nawet odzyskania ich nadzieje, dosyć drogo okupić nie można.

Gdy tak Napoleon ciężar jarzma swojego na karkach wszystkich przyciskał narodów, w nagrodę popełnionych zdzierstw, nowemi konstytucjami obficie obdarzał.

Tak w roku jednym sześci państwom rządowe nadał ustawy: 1) Księstwu Warszawskiemu, 2) Królestwu Holenderskiemu, 3) Królestwu Westfalskiemu, 4) Królestwu Bawarskiemu, 5) Neapolitańskiemu, 6) Hiszpańskiemu.

Rzetelne zaiste dobrodziejstwa, jeżeli czas i doświadczenie korzyści onych okażą, jeżeli zatrą dawne przesady i błędy, jeżeli spływające z nich szczęście na następne pokolenia, zatrze pamięć dzisiejszych ucisków.

Przez zbieg nadzwyczajnych zdarzeń, wolą, przed którą się wszystko ugina, wojsko polskie, miasto bronienia i rozprzestrzeniania ciasnych swoich granic, w obcej ziemi obce wspiera napaście.

Posłana od dawna do Hiszpanii legia nasza nadwiślańska, Grabińskiego, niedługo pod ojczyzestemi wspólnie walczyła orłami. Rozdzielono jej pułki i porozrzucano po rozmaitych dywizjach francuskich. Zniechęcony Grabiński oddalił się od służby. Dziś trzy pułki, do ośmiu tysięcy wynoszące: Sułkowskiego, Sobolewskiego i Feliksa Potockiego, z żalem domowe rzucają ogniska. Wzięte z ziemi ojczyzestey, w też oddalone poszły już strony.

XI.

Plany wojenne Austrii. — Werbunki w Galicyi. — Nowy kontyngens wojsk Księstwa do Hiszpanii wysłany. — Obchód sierpniowy urodzin Napoleona. — Kuryer z Paryża. — Wymarsz Francuzów z Warszawy. — Most i okopy. — Zapowiedzi wojny z Austrią. — Przygotowania do wyjazdu Davousta z Księstwa. — Pożegnanie w Młocinach. — Książę Józef i Zajączek. — Rozmowa Niemcewicza z Davoustem. — Uwagi nad charakterem Napoleona. — Nickarność żołnierzy francuskich. — Wypadki wrześniowe 1808 roku w Hiszpanii.

Tymczasem Austriya, czyli to sądząc Francję dość zatrudnioną uspokojeniem Hiszpanii, czyli i sama podobnegoż temu królestwu obawiając się losu, raptownie, niezmierne czynić zaczyna przygotowania.

Po całym państwie nakazane werbunki. Sama Galicya 51 tysięcy wybranego ludu dostawić musiała. W Węgrzech ustanowiono trwałą, pod bronią stojącą, milicję. Używają zabobonności, narodowych przesądów, wszelkich nakoniec sprężyn, by wzniecić w narodzie węg-

gierskim zawziętość ku Francuzom, przywiązanie do austriackiego domu.

Na miejsce ojczytych pułków, do Hiszpanii wysłanych, przybyło sześć tysięcy Sasów i rozłożyło się w stolicy i okolicach.

Twierdzą, iż ciągnęli z niechęcią, i po drodze wiele popelnili gwałtów.

Obchodzony w Warszawie i w Księstwie dzień 15 sierpnia urodzin i imienin Napoleona, z okazałością i weselem, które, mniej wewnętrzne serca uczucie, jak raczej uwaga na położenie nasze, nakazywały; bo takie jest nieszczęście nasze, iż gdy nadzieje nasze w jednych tylko Napoleona rękę złożone, gdy żądza odzyskania ojczyzny każe uwielbiać tego, nad którym umysł dziwić się musi, przeciwnie, wszystkie moralności prawidła zdają mu się odmawiać tego szacunku, który niezmazanej należy się cności.

Przygotowania w Austrii, osobliwie w Węgrzech, powiększają się coraz; w Galicyi wybrani rekruci na wozach, często nawet w kajdanach, prowadzeni w głąb dawnych prowincyi. Sama atoli Galicya szczupłym osadzona wojskiem, co dało powód do mniemań, iż Rosya zaręczyła nienaruszenie kraju tego.

Dnia 25 sierpnia, w dzień św. Ludwika, właśnie, gdy w Łazienkach przez kosztowną i podchlebną fetę obchodzono imieniny marszałka, przyszedł kurjer. Po przeczytaniu listów, zaraz teje nocy wydane rozkazy gotowania się do marszu. Prócz jednego 13, wszystkie inne wyszły z Warszawy regimenta.

Później, generałowie dywizyów i sztab cały wyruszyli. Sam marszałek został jeszcze do kierowania wszystkim i ułożenia na czas niebytności swej najdokładniejszych przepisów. Warszawa wojenną odnowiła postać. Niewidziano, jak pułki obozowym objuczone sprzętem, huk wozów i ciężkich dział ciągnienie.

Podwojono prace około mostu, a nadewszystko około okopów pod Warszawą, Modlinem, Serockiem. Nie bez uszczerbku w rolnictwie, krocie wieśniaków do tej pędzeni pracy. Dwa pułki jezdne polskie, strzelców i ułanów, przyciągnęły do Warszawy, wyborne i okazałe, co do ludu i koni, lecz pułk osobliwie strzelców wiele potrzebują y ćwiczenia. Zaprowadzone działa na okopy praskie. Po całym brzegu Wisły, aż do rozgraniczającej Filicy, nakazane i zamówione wszystkie promy, statki i przewoźnicy z żywnością.

Te wszystkie oznaki wojny, obiecującej rozszerzenie szczupłych Księstwa granic, nie wiele na publiczności sprawiły wrażenia. Czyli to ciąg długi doznanych ciężarów w żadnej odmianie nie okazywał ulgi, czyli też umysły, tylekroć zawiedzione w nadziejach, ze

wszech stron przeglądając nawałnice i przeszkody, nie pochlebnego nie upatrywały w przyszłości.

Dnia 9 września marszałek z Mlocin wyruszył do Szląska, zostawiwszy największą władzę nad sprzymierzonymi w Księstwie wojskami księciu Józefowi Poniatowskiemu. Zostawił mu także na wszystkie przypadki najdokładniejsze instrukcje. Księżę, przez dzienny rozkaz te swoje wyznaczenie ogłosił. Wojsko przyjęło je chętnie, obojętnie publiczność. Ta od dawna nienawidziła księcia, wśród narzekań i przepowiedni stąd klęsk największych.

W Wigilię wyjazdu marszałka, jak wielu innych, byłem u niego na pożegnaniu w Mlocinach. Przyjął mię, jak zwykle, otwarcie i uprzejmie, i długo na osobności rozmawiał. Już przed kilku dniami dowiedziawszy się, że ogólna władza nad wojskiem oddana być miała księciu Józefowi Poniatowskiemu, że zatem i Zajączek generał, dawny jego nieprzyjaciół, miał być pod nim: pamiętny zapalczywej ku ks. Józefowi nienawiści Zajączka, w czasie jeszcze rewolucji naszej 1794 r., uwiadomiony, iż nienawiść ta i dzisiaj była silniejszą niż kiedy; z tych wszystkich powodów, troskliwy, by wczasie potrzeby, osobista niechęć nie stała się dobru powszechnemu szkodliwą, obawę i troskliwość moją, i mową i listem, marszałkowi Davoust przełożyć za obywatelską miałem powinność.

Za spotkaniem się dzisiejszym, zaspokoił mię naprzód względem tej obawy, dziękując mi za ostrzeżenie i zapewniając, iż przyzwoite wziął środki do zapobieżenia złemu.

W ciągu rozmowy naszej, która była kilkakrotną i długą, postregalem w nim niespokojność i zakłopotanie, i to, w czym się na pół otworzył ze mną, dało poznać, iż położenie Napoleona nie było tak wygodnem, jak wieści publiczne malować pragną. W Hiszpanii powstanie niebezpieczne, a silne, zupełne we wszystkich gazetach zamilczenie o kraju tym, dowodzi, iż wypadki w nim dla Francji niepomysłne być muszą. Dostyc, że rząd nie głosi, by publiczność, i niechęć, dorozumiewały się wszystkiego złego. Wieści więc chodzą, że coraz nowe insurgentów powstają wojska, że wysłano deputowanych do Anglii, że niektóre porty mają z Anglikami porozumienie, że generał Junot, z wojskiem swem, w Portugalii, przez insurgentów hiszpańskich, odcięty od wojsk francuskich. Jakkolwiek bądź, jeżeli łatwo było Napoleonowi oszukać panującą w Hiszpanii familię, nie tak zapewne łatwo będzie podbić Hiszpanów, podbić naród, pamiętający zawsze na dawną swą wielkość, z natury dumny i krnąbrny, w gniewie i zemście nie łatwo prześlągany. Podnieca go do oporu i zemsty pomniejsze duchowieństwo, drżące o kredyt i dochody swoje, z ręcznie chwytające się do podniesienia ludu przeciw Napoleonowi tej po-

gardy, którą on Stolicy Apostolskiej okazał, już gwałtem przywłaszczając sobie najpiękniejsze Jej prowincye, już rozprasząc kardynałów, posłów zagranicznych, uniżając nakoniec tę Głowę Kościoła, która, acz już od dawna nie rzucała na narody postrachu, przecież, samym upoważnieniem, i wieków, i opinii, cześć jakąś wzniesła. Zuchwale zapewne jest chcieć zgłębiać postęпки tak nadzwyczajnego geniuszu, jakim jest Napoleon. Ważne ma zapewne powody czynienia tak, jak czynił. Jednakże ci, którzy ich nie zgadują, którzy sądzą z wypadłych zdarzeń, mają zaiste prawo dziwienia się: dlaczego Napoleon, powziąwszy raz systema niecierpienia wielkich mocarstw, i nadania Francyi jednej wyłączenie zwierzchności i przewagi nad wszystkimi narodami, dla czego, dążąc do tego celu, nie zaczął od uprzątnięcia największych przeszkód, a nie zostawił nadal tego, conie było grożącym, co było w wykonywaniu tak łatwym, czemu, mówię, nie obrócił całego ogromu potęgi swojej na rozbitcie, mimo klęsk tylu, tak strasznej jeszcze austryackiej monarchii? czemu, porzuciwszy organizacyę, jak mówią, Północy, która jedna mogła go niepokoić, rozpoczął dzieło na Południu, z Hiszpanią, podległą sobie, z bezsilnym Rzymem, z Toskanią, krajami, których opanowanie (jeśli je opanować chciał koniecznie), bezpiecznie mógł był odwlec. Dotąd bowiem, bez nazywania tych krajów swemi, ciągnął z nich korzyści, miał je posłusznemi, jak gdyby pod jego należały berło.

Dla czego przez zabory we Włoszech, przez napaść Hiszpanii, ściągnął na siebie tę nienawiść i ohydę, które wszędy wzbudzają przywłaszczenia i gwałty?.. We wszystkich tych krokach, w całej tej lekkiej porywczosci, widać do zbytku zaślepioną w szczęściu swym ufność. Przyzwyczajony do ciągłych powodzeń, nie przewidywał, ani tak silnych przeszkód, ani tak stałej i tak zawziętej w Hiszpanii odwagi...

Im większe więc od południa zachodzą trudności, tym śmielszą staje się Austria, tem mniej pewną Rosya. Napoleon ze wszech stron niepewny, bo wszędzie tylko siłą i postrachem panujący, nigdy podobno w trudniejszych nie znajdował się okolicznościach...

Polacy, którzy w powodzeniach Napoleona jedyne Ojczyzny swej położyli nadzieje, trwożą się tym położeniem. Sama niewiadomość, staranne ukrywanie przed nimi wszystkiego, co się za granicą dzieje, powiększają niespokojność. W niedostatku pewnych wiadomości, publiczność tworzy je sobie. Najmniejszy list, najmniejsze doniesienie, przeistoczone, powiększone, rozchodzą się z ust do ust. Dziś głoszą, że flotta hiszpańska w Kartagenie złączyła się z angielską, że Ferdynand IV, król Neapolitański, ogłosił się królem hiszpańskim i ma się udać do Madrytu, że rokosz w Hiszpanii zajadliwszy jest coraz,

że wielu z naszych, nietylko poległych w boju, lecz nawet zamordowanych okropnie, kraj sterczący szubienicami, na których Francuzi Hiszpanów, Hiszpanie schwytyanych Francuzów, lub Polaków wiszą.

Prócz tych oddalonych przypadków i odmian, miał marszałek Davoust urzędowe swoje przykrości. Korpus wojska saskiego w ciągnięciu do Księstwa, niemałe wszędy wykroczenia popełniał. Wysłani do rozstrząśnienia oficerowie znaleźli, że występki przewyższały oskarżenia same. Marszałek, surowy karności wojskowej przestrzegacz, nie chce zniechęcać surowością żołnierza, wkrótce może potykać się mającego.

Wkrótce, w samej, stolicy p. Alfons, Francuz, lecz adjutant w służbie naszej, przy księciu Poniatowskim, w zatargu z żołnierzem saskim, otoczony od kilkudziesiąt Sasów, gdy w obronie śmiertelnie jednego ranił, sam od nich kilkakrotnie ranny, stratowany, niemiłosiernie zbity. W samym już ciągnięciu wojsk, te, i podobne występki, nie chciano z tą karać surowością, którą-by w spokojniejszym okazano czasie. Poczciwy marszałek momentalnym względem poświęcić musiał prawidła tej surowej karności, której, jeden może w całym wojsku francuskim, tak czujnie przestrzegał.

Trafiały się porównie gwałty, przez dywizję marszałka Ney popełnione w Saksonii. Gdy mu szczerze przekładał, jak wiele sprawiały złych skutków i niekarność żołnierza, i nieuważne przez rząd francuski ciemiężenie wszystkich krajów, z westchnieniem nie mógł tego zaprzeczyć, lecz przyznać musiał, że choć nieraz narody życzą Francuzów, przyjmują ich z uniesieniem, wkrótce, zniechęceni ich nierządem i łupiestwem, nienawidzić ich muszą. Przydał, iż o zaczęciu wojny długo powątpiewał i uważał to za nieszczęście, że wojna z Austryą, na 6 lub więcej miesięcy, odwlec się musi.

— „Jeżeli — odpowiedziałem — dopełnienie ogólnego systemu waszej planty bez wojny obejść się nie może, ze wszystkich powodów lepiej, byście ją teraz zaczęli, przeciwnie, nie tylko, że nieprzyjaciel coraz się więcej wzmocni i przygotowuje, lecz nadto, te wasze liczne wojska, które, Księstwo Warszawskie, Brandenburgię i Szląsk zajmują od więcej roku, nie znajdą na przyszłość w zniszczonych tych prowincyach ni żywności, ni zapasów; z nędzą pomnożą się skargi i niechęć. Ten duch obywatelski, który, ludzie gorliwi, wszelkiemi sposobami w Księstwie Warszawskim od zupełnego bronią zgaśnięcia, zgaśnie nakoniec.

„Miłość Ojczyzny, entuzjazm, silne są sentymenta, lecz jeśli nie podsycane, długo trwać nie mogą. Jeżeli więc przykrości i uciemiężenia zawsze będą przytomne, a ziszczenie oczekiwań na-

szych, zawsze, lub oddalone, lub niewidziane, pytam się, w kim nadal ufność waszą wzbudzić potraficie?“

Możem się nadto wytłómaczyć. Jakoż, marszałek powiedział mi, że Polacy i Francuzi nadto są niecierpliwi.

Zbliżała się godzina wyjazdu. Żegnając, uściskał mnie, z szczególnej przyjaźni wyrazem prosząc, abym pisywał do niego i doniósł, co-bym tylko sądził wspólnemu interesowi potrzebnym.

Mimo zajęć i kłótni naszych, z żalem prawdziwie rozstałem się z tym godnym, poczciwym człowiekiem. Powiększyła ten żal myśl, iż ciężko, byśmy równie przestrzegającego karności, równie przywiązanego do Polaków, widzieć mogli następcę.

Twierdzą niektórzy, i nie bez przyczyny: może, że częste i gorące wstawienia się jego za nami u Napoleona uczyniły go podejrzanym i posłania gdzieindziej stały się przyczyną. Mimo nieprzyzwolonych częstokroć uniesień, których potem sam pierwszy żałował, przy końcu zasłużył sobie na powszechny szacunek i powszechnie od wszystkich był żalowany.

Tejże samej karności i oddalenia od wszelkich zdzierstw dał dowód i w Szląsku. Przechodzące przed nim korpusa marszałków Ney i Mortier nakładały kontrybucye, osobliwie na Wrocław.

Przełęknięni obywatele, by idący ze swojemi Davoust, podobnychże nie wymagał, wysłali do niego deputacyę, z przekładaniem, iż obywatele tak są wypiszczeni, iż nietylko nowych kontrybucyi, lecz zaległych marszałkom Ney i Mortier nie są w stanie zapłacić. Davoust uspokoił ich trwogę, oświadczając, że cesarz Napoleon wspólnie wojsko swe płaci, że nie tylko on sam, ani korpus jego nic nie wezmą, ale że nawet (sam na siebie odpowiedzialność biorąc), zakazuje im, by zaległych kontrybucyi nie wypłacali. Powszechna obywateli radość i wdzięczność czynu tego były nagrodą.

XII.

Niepowodzenia Napoleona. — Szachowanie polityki austriackiej. — Zjazd w Erfurcie. — Cesarz Aleksander w Królewcu. — Ulgi Prusom. — Król Saski gościem Napoleona w Erfurcie. — Księżę Adam Czartoryski w Warszawie. — Jego rewelacye polityczne w rozmowie z Niemcewiczem.

Od objęcia najwyższej nad narodem władzy, nigdy Napoleon tyle niepomyślnych, raz po raz, nie odbierał wieści. Te, długo do nieprzerwanych przyzwyczajonego powodzeń, rozjątrzyły go niezmier-

nie. Zebrał wszystkie siły umysłu, całą namiętność zapalczywość, by zatrzeć poniesionych klęsk niesławę i, nieuważnie przedsięwzięte dzieło przewagą sił doprowadzić do skutku. W tym celu, do wojska i do senatu zapalczywą rozesał deklarację, 80 tysięcy rekrutów narychmiast, drugie 80 tys. na zawołanie, w gotowości mieć kazał. Od północy pościągali swe wojska, część nawet znaczną wojsk związku Reńskiego do Francji przysłał. Z nad Wisły i Elby powracające pulki, spotykano wszędzie przez cywilne władze, męstwo ich wynoszone pod niebo, wieńczone chorągwie złotymi laurami, gotowano uczty i weselości, zachęcano do nowych dzieł wojennych, a nade wszystko rozjątrzano zawziętość przeciw Anglikom, śmiejąc, nie siebie, lecz ich, wystawiać jako jedynych nieszczęść Europy sprawców.

Gdy z jednej strony tak silne przeciw Hiszpanii czyni przygotowania, z drugiej, sposobiących się do wojny Austryaków dyplomatycznym chce zastraszyć obrotem.

Jak gdyby miał o losach Europy stanowić, cesarza Aleksandra na konferencję do Erfurtu zaprasza. Ten, pierwszy raz w systemie swym stały, porzuca swą stolicę, obraca drogę na Królewiec. Królestwo pruscy z dziećmi zajeżdżają mu drogę i przez dwa dni bytności, co tylko nieszczęsna dola poniżonej królewskiej godności, co wdzięki królowej wbudzić mogły politowania, tem zmiękczyć Aleksandra i wstawienie się jego u Napoleona zapewnić sobie usiłują. I byłby się zapewne Aleksander silnie wstawiał, gdyby przejęty list princypalnego ministra, Steina, którym Westfalię, Hanower i inne części Niemiec do powstania przeciw Francuzom podniecał, nie dostarczył Napoleonowi pozorów do odmówienia chytremu dworowi szukanych względów.

Przecież w tymże prawie czasie zawarty został traktat, między księżciem pruskim, Wilhelmem, a panem Champagny, ministrem francuskim, mocą którego, nałożoną na kraje pruskie kontrybucję 140 milionów król pruski obowiązywał się w dni kilka zapłacić przez połowę, drugą zaś w późniejszym czasie. W zamian tego, Napoleon wyprowadzić miał wojska swoje z prowincyi pruskich, zatrzymując tylko 10 tys. załogi w Kistrzynie, Głogowie, Szczecinie, aż do zupełnego kontrybucyi zapłacenia.

Dnia 26 września, pierwszy król saski, zaproszony od Napoleona, stanął w Erfurcie. W godzinę nadszedł Mocarz. Przywitanie między dwoma monarchami było uprzejme. Po wzajemnych wizytach Napoleon przysłał królowi i księżęciu naszemu swój popiersz, z żądaniem, by w jednym z nim stanął domu. Jakoż, przedpokój tylko dwóch przedzielał monarchów. Nadszedł wkrótce Aleksander,

z równą, jak pierwszy, przyjęty serdecznością. Jakie były między mocarzami umowy? czas pokaże.

Jedli razem ze sobą. Wielki Książę Konstanty, słabością wymówiwszy się, do stołu nie przyszedł. Zdaje się, iż dość długo zabawiają ze sobą. Napoleon wozami sprowadził wybór swej gwardyi, meble, obicia nawet. Mówią, iż 600 koni brał na poczie. Sprowadzeni pierwsi aktorowie paryscy do 17 reprezentacyi mają rozkaz być gotowemi.

Ominąć tu nie mogę widzenia się mego z księciem Adamem Czartoryskim, z Petersburga niedawno przybyłym. Od oswobodzenia mego z więzienia rosyjskiego, w 1796, nie widziałem go dotąd. Najpierwszą młodość strawiłszy z sobą, w ufnej z obu stron przyjaźni.

Od lat dwunastu może, oddalenie jego z kraju—niespodziane na obcym dworze obowiązki, oddzielonymi nas trzymały.

Dziwaczny zaiste los człowieka tego. W czasie zupełnego rozdziału kraju z 1794, po skonfiskowaniu wszystkich dóbr ojca, po wróconym pokoju, dano rodzicom wybór, albo na zawsze utracić majątek, albo dwóch synów oddać w służbę rosyjską. Dobry zawsze Polak, nie wahałby się księżę Czartoryski w wyborze, gdyby, obciążony długami, ze swoim upadkiem, nie pociągnął upadku tylu nieszczęśliwych. Odesłano więc dwóch młodzieńców na dwór Imperatorowej. Tam, młodzi książęta, w najbliższą z młodym w. księciem Aleksandrem weszli przyjaźń.

Paweł, nie lubiący księcia Adama, wysłał go w poselstwie na dwór Turyński, gdzie przez ciąg panowania jego zostawał.

Po śmierci Pawła, Aleksander, za wstąpieniem swym na tron, zaraz księcia Adama przywołał do siebie, a dawnej pamiętny przyjaźni, do największej przypuścił poufałości. Czartoryski, z natury skromny, ostrożny, może aż do zbytku przywiązany do dawnej Ojczyzny, z nowemi obowiązkami usiłował się pogodzić. Wyniesiony na stopień Senatora i ministra spraw zagranicznych, doznał, że największe dla ministra nieszczęście—być pod monarchą słabym, wahającym się, nigdy całkiem nie dającym ufności swojej, rozkazy swoje dane ministrowi zausznemi płatającym zleceniami. W takim wypadku—błędy monarchy na ministra padają.

Pokój, który Czartoryski, z rozkazu cesarza Aleksandra, przez p. d'Oubril z Napoleonem podpisał, zmianą nagłą systemu, nieratyfikowany, zaprzeczony nawet. Pelen zgryzoty, księżę Adam urząd swój złożył.

Przykra zaiste była sytuacja jego. Podejrzany i zazdroszczony od Rosyan, jako cudzoziemiec, obwiniony od Polaków, że od nich

stronił i niedość czynił dla nich, dotknięty najtkliwiej nieufnością monarchy, któremu się, jak przyjacielowi i człowiekowi, powierzył całkiem, wszystkie swe zbawienne zamysły, dla dawnej Ojczyzny i dla monarchy nawet, zawiedzionemi widząc, w obcej krainie, w tym srogim klimacie, pędził dni nieczynne i smutne. Przeciwny był zawsze książę Czartoryski systemowi związków między Francją i Rosją i w tem, działał więcej, jak człowiek poczciwy, który się wzdrygał nad niemoralnością i nieograniczoną pychą Napoleona, niż jako dobry polityk.

Chciał Czartoryski podnieść Polskę, ale, w rozumieniu jego, stać się to mogło tylko stale — przez Rosję, to jest, by połączyć rozerwane prowincye, utworzyć Królestwo Polskie, nadać mu osobne konstytucyjne prawa, osobne wojsko i, nakształt Węgier, oddać pod berło rosyjskie. Krok ten on uważał za poprzedniczy do zupełnej napotym niepodległości i oddzielnosci.

Wyzuty z dyplomatycznej skorupy swojej, rozmawiał ze sobą książę Adam o tych wszystkich zamysłach, z dawną swą poufalością. Mówił, iż przed bitwą austerlicką, gdy Rosya i Austria przymusić chciały dwór Berliński do wspólnego przeciw Francyi działania, gdy opierał się król pruski, Aleksander królem polskim zamysłał się ogłosić i zagarnioną część Polski przez Prusy zająć.

Dołhoruki, nieprzyjaciel Czartoryskiego, wysłany z Berlina, znalazł sposób zepsucia tej plany, przywiózł zwodnicze przyrzeczenia. Uwierzono im, opuszczono zamysły: czas pokazał fatalne latwowierności skutki. Po zniesieniu Prusaków pod Jeną, a raczej Auerstaedt, gdy Francuzi już ku granicom Polski zbliżali się, przełknięony Aleksander namawiał Czartoryskiego, by odprawił podróż do Polski i zachęcał obywateli, by się nie dali ludzi francuskim obietnicom. Zapewniał, że Rosya trzodzi się losem Polski i podobne ukazywał nadzieje:

— „Jeżeli mi Wasza Cesarska Mość dasz na piśmie rozkaz, bym imieniem Jego zaręczył, że chcesz Królestwo Polskie powrócić; jeżeli wydasz w tem deklaracyę swoją, z ochotą pośpieszę pełnić rozkazy Jego. Błahym, obojętnym, ustnym obietnicom, nie zechcą rodacy moi wierzyć. Ani ja, szerząc je, nie chcę wydawać na sztych sławy mojej i z zawodu wstydzic się potym“.

Obrażony cesarz wyrzucał mu niegorliwość, w jego podjęciu się tej usługi; po wniściu do Warszawy i rozpoczęciu krwawych bojów, cesarz Aleksander i król pruski znowu uznali potrzebę pozyskania sobie Polaków. Książę Antoni Radziwiłł, mimo pokrewieństwa swego z domem Brandenburskim, przywiązany do Ojczyzny swojej i szlachetnie myślący, opacznie kraju swego i mocarzów interesa

podgodzić szukał, a przez wskrzeszenie, zamiast jednej—trojakiej Pol-
ski, pod berłami tych, którzy ją podzielili.

Jakkolwiek bądź dziki i niepodobny był ten projekt, chwycił się go cesarz Aleksander i znowu męczył Czartoryskiego, by ziom-
ków do powstania przeciw Francuzom zachęcał. Czyli to, by się zbyć
naprzykrzania, czyli też w nadziei, że te, choć tak niedojrzałe, zamy-
sły, w obrocie okoliczności, pomyślniejsze niż się zdawało przynieść
mogły skutki, napisał książę Czartoryski do Wawrzeckiego, do Li-
twy, i do generała Kniaziewicza na Wołyń, by w ważnych dla dawnej
Ojczyzny swej sprawach pośpieszyli rozmówić się z Imperatorem.
Stanęli nieodwłocznie, lecz słysząc same tylko płonne, prawdziwego
powrotu nie stanowiące obietnice, odpowiedzieli, iż namowy ich, na
tak niepewnych oparte zasadach, nie poruszą Polaków do walczenia
z Francuzami, że nadto, środek ten wydaje się im za późny, że potwo-
rzone pułki polskie walczą, że nikt ucziwy z ziomkami swemi bić się
nie będzie.

Upadł więc zamysł i upaść musiał. Gotowe już proklamacye,
pobudzające Polaków do chwycenia się do oręża i walczenia Francu-
zów, cofnięte.

(C. d. u.).

NA CZASÓW FALI.

I.

ZELAŻNI JEZDŹCY.

Wiatr dymy wije, kłębem dusi
I niesie skry po drodze,
Żelazni jeźdźcy jadą głusi,
Puścili koniom wodze.

Ciężkim brzmi stępem hufiec koni,
Łopoczą białe płaszcze,
Wiatr czasem lśniących blach odsłoni
I siną zbroję głaszcze.

Szeleszczą suche osty trwogą,
Wron się zrywają czaty —
Żelazni jeźdźcy jadą drogą,
Spalili gród i chaty.

Wiatr dymu gęstą gna zawieją
I blade niebo plami,
Czarne się pióra jeźdźców chwieją —
I szumią nad hełmami.

Chwieją się czarne pióra strusi
 Chwieją się, z wiatrem gwarzą,
 Żelazni jeźdźcy jadą głusi
 I głuche myśli ważą.

II.

ZWYCIĘSKI DZIEN.

Hej, naprzód, za tę ziemię świętą,
 Kłonicie i topory,
 Kiej nam rycerzy moc pocięto —
 Pójdziwa my przez bory!
 Już chorągwie biją w ścisku
 I miecze, krwią pocięte —
 I konie w blachach po boisku
 Rzą tyłą bitwą wściekłe.
 Pękają hełmy z mocy ręki
 I miecz po tarczach wali,
 Już rozniesli z czubów pęki
 Zbroice rozkowali.
 Niech się ta zмага ciżba luda,
 Patrzajta, co tam w chmurze,
 Nad borem zeszy jasne cuda
 Modlą się Święci Stróże:
 O mocny Boże, dyć te gady —
 Może do ena wyginą;
 Oj, pomóż, Boże — dany rady
 Za Świętych Twych przyczyną.

Słuchajta! — idą szumem słowa —
I leci pieśń przez drzewa,
To król Jegomość i bojowa
Chorągiew Pańska śpiewa.
Wiecie — Bogarodzicę pieją,
Pewnikiem ruszą cwałem.
Oj, wielkie rzeczy tu się dzieją,
Hej z nimi sercem całem!
Hej, naprzód, kupą, a zawziętą,
Do kłonic i topora,
Słyszycyta — krzyczą. — Nasze Święto,
Teraz już na nas pora!
Dyć Pan Bóg z nami — z naszą nędzą,
Kiej słońcem pole krasi,
Patrzajta — nasi Niemców pędzą,
To nasi gonią — nasi!

III.

SYNOWIE.

Leżą rycerze jakby Święci
W kaplic pomroku w głaz zakłęci,
Leżą u cichych naw kościoła,
Kamienny napis jękiem woła:
Domine miserere..

Leżą rycerze w niepamięci
Na polach w zgiełku mieczów cięci,
Rdzawe przyłbice, trupie czoła,
Ziemia im ciężki grób dokoła, —
Nad grobem pole szczere.

Żelazni jeźdźcy w sen polegli,
Żerują kruki, żerują — —

Na świętej ziemi krzyż ciosany,
Pocięte chłopcy, skłute pany,
Nikt nie wyczyta, imię czyje,
Kłonicie pękły i kopije —
Odpuść nam nasze winy!

Na świętej ziemi dzień wiosniany,
Wracają w biały sznur bociany.
Gęgają gęsi, wznoszą szyje,
Chłop wyszedł — — w słońcu oczy kryje,
Czas orać pod jarzynyl

Z chałupy chłopcy dwaj wybiegli — —
— — Szybują ptaki — — szybują.

IV.

LECAĆ CZASY.

Lecą czasy o skrzydłach — jak ptaki,
 Lecą czasy o skrzydłach — jak chmury,
 Lecą lata jak echowe wtóry —
 Jak bieg szumny, bieg szumem jednaki,
 Płyną lata — jak rzeki spadziste — —
 O Ludzkości — twe lata jak ptaki!

Powaliły się baszty koliste,
 W bluszczach gruzy spowite do skały,
 Ciemnych katedr sklepienia spękały,
 I Twe krzyże się wałą, o Chryste!
 Żywie walka i wieczna i nowa — —
 O Ludzkości — twe czasy koliste!

Burza ciągnie nad polem gradowa,
 Zboża chylą się wichrem przegięte,
 Kłosa chylą się ciężkie i święte,
 Roźswieciła się ciemnia chmur płowa,
 Z chmury padnie ogromne zniszczenie,
 Burza idzie na ziemię gradowa.

Słońca! słońca! — tęsknicą stworzenie,
 Przeszły wieki, nad ziemią, nad nami,
 Przeleciały tęsknicy skrzydłami,
 Słońca! słońca! — niech wstaną promienie —
 I niech błysną wieczystych dni znaki —
 I niech będzie miłością Stworzenie.

— — —

Lecą czasy o skrzydłach, jak ptaki,
 Lecą czasy o skrzydłach, jak chmury,
 Lecą lata jak echowe wtóry —
 Jak bieg szumny — bieg szumem jednaki,
 Lecą lata jak chmury — jak ptaki.

JAN PRZYSIECKI.

Nasze stosunki handlowe z Niemcami.

Zjednoczenie Niemiec w pierwszej połowie ubiegłego wieku było marzeniem poetów niemieckich; mężowie stanu i wszyscy zwolennicy legalności i porządku uważali je po prostu za mrzonkę, ponieważ trudno było wyobrazić sobie urzeczywistnienie marzenia tego bez zupełnego przewrotu istniejącego porządku, bez podkopania bytu licznych a drobnych organizmów państwowych, na które Niemcy były podzielone.

Dążenie do zjednoczenia rozbudził najazd Napoleona I-go, który uprzytomnił Niemcom ich słabość i brak wszelkiej łączności pomiędzy członkami jednej rodziny.

Oczywiście, w umysłach marzycieli niemieckich z pierwszej połowy XIX wieku, zjednoczona ojczyzna Schillera, Körnera, Uhlanda, Rückerta i t. p., przedstawiała się jako przybytek wolności i swobody. Liberalne dążności doznały wzmocnienia w Niemczech w czasie reakcyi w Europie, a Nationalverein, który ideę zjednoczenia propagował, jakkolwiek dużo liczył członków, którzy następnie poszli z Bismarckiem, w pierwszych chwilach istnienia swego był środowiskiem liberalnej inteligencji niemieckiej.

Czy zjednoczone Niemcy miały-by inny charakter, niżeli mają obecnie, gdyby Fryderyk Wilhelm IV był przyjął niemiecką koronę cesarską od parlamentu frankfurckiego, choćby nawet Austria temu nie stanęła na przeszkodzie, o tem przesądzać trudno. Niedawno spotkaliśmy się z obszernymi wywodami, dowodzącemi, że Niemcy z natury byli zawsze brutalni i nigdy inaczej, jak brutalnością egzystencji i przewagi swojej nie potrafili-by zamaniestrować, gdy tymczasem Bismarck się zawsze na nich skarżył, że są niepoprawnymi marzycielami.

Bądź co bądź, sprawa zjednoczenia Niemiec, skleconych dosyć niedołącznie w Związek niemiecki (*Deutscher Bund*), przybrała zupełnie inny charakter, gdy myśl zjednoczenia Niemiec zaczęła się krystalizować w głowie delegowanego w charakterze posła do Bundesta-

gu Ottona von Bismarck, typu junkra pomorskiego. Od tej chwili rozpoczyna się walka z Austrią o hegemonię w Niemczech, a na całym dążeniu do zjednoczenia Niemiec wyciskają piętno swoje Prusy, które, zamieniwszy się w szeregu wojen z małego państewka na wielkie państwo, istotnie brutalność mają w tradycyi i w charakterze swoim.

Trzeba było silnie oddziaływać na te instynkta, aby w okresie sześcioletnim skłonić Prusy, pogrążone od pięćdziesięciu lat w pokoju, do prowadzenia trzech wojen: z Danią, z Austrią i z Francją. Pierwszym dwom wojnom opierała się jeszcze większość liberalna sejmu pruskiego. Waldeck, Hoverbeck, Virchow, Twesten i liczni ich towarzysze, pozostali jeszcze „niepoprawnymi marzycielami“, nawet myśl przeprowadzenia zjednoczenia Niemiec mieczem i ogniem, spajania różnych części krwią, była im przeciwną. Ale każda wojna silniej rozbudza brutalne instynkta, a sukcesy imponują tłumom. Bismarck tedy już po wojnie z roku 1866 ma za sobą większość narodu i jego przedstawicieli, tak, iż łatwo mu przychodzi wywołać pod błahym pozorem wojnę przeciwko „dziedzicznemu wrogowi“, Francuzom, i wciągnąć do tej wojny nie tylko utworzony w r. 1867 związek północno-niemiecki, zabierający się do wojny ze strachem, ale z entuzjazmem, lecz i południowe Niemcy, pomimo sympatyi, jakie tam były dla Francyi i wstrętu do hegemonii pruskiej.

Przypomnieliśmy w pobieżnej notatce te dane z najnowszej historyi, ponieważ one nam uprzytomniają sposób wcielenia myśli zjednoczenia Niemiec, a tem samym tłómaczą nie jedno zę zjawisk dzisiejszych, mianowicie hakatyzm i wszechniemców z ich brutalną propagandą. Gdyby propaganda „niepoprawnych marzycieli“ niemieckich doprowadziła w jakiegokolwiek formie do zjednoczenia Niemiec, nastąpiło-by to może później, ale w przewodniej myśli państwowej byłby niewątpliwie wziął górę idealniejszy pierwiastek. W Niemczech, zjednoczonych ogniem i mieczem, pod przewodnictwem Prus, mających pewną w tym kierunku tradycję, musiał wyrobić się kult dla siły brutalnej. Patryotyzm niemiecki, rozbudzony kolejno na tle nienawiści do Danii, do Austrii i do Francyi, musiał nareszcie znaleźć wyraz w nietolerancyi narodowej, którą odznacza się hakatyzm i wszechniemieckość.

Bismarck nie zmienił się w roku 1871; nie spoczął na laurach w swojej propagandzie niemieckiej idei narodowej. Gdy bowiem dawniej potrzeba mu było roznamiętnienia tłumów pod względem narodowym dla skutecznego prowadzenia wojny, po zjednoczeniu musiał szukać sposobów utrwalenia zbrojnego pokoju, musiał znaleźć środki zamiany całego państwa w jeden obóz.

— Nie ludźmy się,—mówił w parlamencie naczelnik stronnictwa wojskowego, feldmarszałek hr. Moltke, — przyjaciół nie mamy; boją się nas, ale nas nikt nie kocha. Jeszcze pięćdziesiąt lat i dłużej musimy pozostać pod bronią.

Chociaż nigdzie nie widać było wroga, znikąd nie groziło niebezpieczeństwo, mianowicie Francya, wyczerpana klęskami, o odwiecie nie myślała; naiwni Niemcy wierzyli augorom swoim, którzy świeżo tak wielkie mieli sukcesy i urzeczywistnili długoletnie marzenia o zjednoczeniu Niemiec. Po roku 1871 bowiem już i dawni poeci, i członkowie Nationalvereinu uwierzyli, że to te same Niemcy, o których oni marzyli. Uchwalano coraz to nowe środki na wojsko lądowe i na flotę; równocześnie zaś z wzrastaniem armii i wciąganiem do niej całego narodu, wzrastała buta, z wzrostem zaś wydatków, rujnujących kraj i ludność, wzrastała nienawiść do rzekomych wrogów, otaczających, według Bismarcka i Moltkego, ze wszech stron Niemców.

Tak poczucie narodowe w Niemczech nie wyrosło na gruncie przywiązania do tego, co swoje, lecz z posiewu nienawiści do wszystkiego, co nie swoje. Niemcy zaś nie tylko swoim zbrojeniem się zmusili wszystkie państwa do znacznego wzmocnienia zbroi swojej i stały się powodem miliardowych na całym świecie na ten jeden cel wydatków, lecz i buta ich, a także fałszywe z gruntu pojęcie idei narodowej, oddziaływało, jako zły przykład, demoralizująco, daleko poza granicami Niemiec. Imperializm w Wielkiej Brytanii, a nawet w republikańskiej Ameryce, to rodzeni bracia niemieckiej, pochodzenia pruskiego (*Schneidigkeit*), tężyzny i aspiracyi do wszechświatowej potęgi (*Weltherrschaft*); brak tolerancyi narodowej, z którym się dziś tak często spotkać można, spaczone pojęcie o patryotyźmie, które dziś częściej polega na nienawiści do tego, co obce, niżeli na miłości do tego, co swoje, to szkoła niemiecka, która, niestety, na całym świecie znalazła adeptów.

Trudno dziwić się, że taki grunt i taki zasiew wydał komisję kolonizacyjną i wydalenie gromadnie cudzoziemców na wschodnich kresach Rzeszy niemieckiej, także wydalenia na kresach północnych, w duńskiej części Szlezewiku, politykę eksterminacyjną na kresach zachodnich, mianowicie w Lotaryngii, która pozostała francuską i wszelkiej germanizacyi się opiera, i dużo, dużo innych objawów niemieckiej nietolerancyi narodowej.

Przez pewien czas zdawało się, że Niemcy opamiętają się w szowinizmie narodowym, że, doszedłszy do przekonania, iż cel narodowy: zjednoczenie Niemiec, osiągnęli, przestaną nareszcie wierzyć w baśń o wrogach, którzy ich ze wszystkich stron otaczają. Czas ten — czas Capriviego — trwał jednakże bardzo krótko. Rozbu-

dzone i podtrzymywane przez żyjącego jeszcze wtedy Bismarcka uamiętności wybuchły rychło na nowo tak żywiołową siłą, że zmiotły wszystkich zwolenników nowego kierunku, z Caprivim na czele, i spotęgowały szowinizm i strach przed wrogami. Doszło do tego, iż potężne Niemcy, liczące przeszło 50 milionów ludności, uznały 3-milionową ludność polską, osiadłą w pruskich prowincjach wschodnich, za niebezpieczeństwo, zagrażające całości państwa niemieckiego, i wypowiedzieli jej po prostu walkę na życie i śmierć.

Walkę polityczną przeniesiono na wszystkie dziedziny życia społecznego, a wobec tego trudno dziwić się, że hasła bojowe, proklamujące po prostu walkę rasową, znalazły szeroki oddźwięk i że rękawicę podniesiono nawet tam, gdzie się tego Niemcy najmniej spodziewali.

Od pewnego czasu i u nas rozbrzmiewają głosy, domagające się zerwania wszelkich stosunków handlowych z Niemcami, którzy nie-tolerancją i arogancją swoją wszystkich sobie zrażają. Przyczyny tego hasła i szczegóły zanadto dobrze są znane z prasy codziennej, abyśmy je tu powtarzać potrzebowali. Zaznaczymy tylko, że i względy ekonomiczne pewną odgrywają rolę. Niemcy, przeszedłszy od dosyć dawnego czasu od polityki wolnego handlu do protekcji celnej, w ostatnich czasach rozpoczęli propagandę za znacznem podwyższeniem ceł, mianowicie na plody rolne, które stąd do Niemiec są wywożone. Nie ulega kwestyi, że już skutkiem tego samego stosunki handlowe kraju tutejszego i całego państwa z Niemcami gruntownie ulegną zmianie; to samo tedy już zmusza do zastanowienia, jak się na przyszłość urządzić?

Nasze stosunki handlowe z Niemcami są i bardzo dawne, i bardzo rozległe. Już wtedy, gdy w dawnej Polsce inteligentne warstwy narodu, z powodu bezustannych wojen, oddawały się przeważnie rzemiosłu rycerskiemu, do Polski napływali rzemieślnicy niemieccy, a handel dowozowy i wywozowy Polski był prawie wyłącznie w rękach niemieckich.

Pomimo zmian, jakie zaszły w stosunkach politycznych i ekonomicznych, i dziś Niemcy są głównymi odbiorcami naszych płodów rolnych, pośredniczą prawie wyłącznie w naszym handlu wywozowym i dowozowym, i zaopatrują nas w wyroby przemysłu swego.

Uprzytomnijmy sobie przedewszystkiem charakter naszych stosunków handlowych z Niemcami. Rozpoczynamy od wywozu, opierając się na urzędowych cyfrach statystycznych całego państwa. Głównymi przedmiotami wywozu państwa rosyjskiego do Nie-

miec ¹⁾ są: zboże i odpadki zboża, tak zwane artykuły pastewne, drzewo, jaja, drób, len, konopie, skóry, szczecina, masło, inwentarz żywy (konie).

Mylnem jednakże było-by przypuszczenie, że Niemcy są wyłącznym, lub choćby tylko głównym odbiorcą wymienionych powyżej przedmiotów, które w wielkich ilościach są wywożone za granice państwa. I tak mamy przed sobą cyfry statystyczne, dotyczące wywozu Rosyi w pierwszych dziewięciu miesiącach roku 1901 i 1900. Widzimy z nich, że wywóz pszenicy na tysiące pudów szedł do następujących krajów:

	w r. 1900	w r. 1901
	tysiący pudów	
do Niemiec . . .	2,831	6,333
do Anglii. . . .	11,311	6.661
do Holandyi . . .	8,079	14,567
do Francyi . . .	16,814	24,190
do Austrii . . .	1,248	1,531
do Belgii. . . .	1,088	202

1) Według statystyki niemieckiej ilość i wartość wywozu wymienionych powyżej przedmiotów, a więc przywozu z Rosyi do Niemiec w latach 1897, 1898 i 1899 wyrażała się w następujących cyfrach:

Z B O Ż A	w roku 1897		w roku 1898		w roku 1899	
	tysiący ton	za milion. marek	tysiący ton	za milion. marek	tysiący ton	za milion. marek
Pszenvca	752.0	108.3	755	102.2	352.0	43.7
Żyto	611.0	55.7	611	67.9	460.	52.7
Jęczmień	488.9	40.0	686	65.2	576.3	57.1
Owies	414.2	41.4	205.6	24.7	131.6	14.0
Otręby,	272.7	19.9	205.2	16.0	268.0	22.1
Kiełki słodowe }						
Drzewo	1,740.0	104.0	1,915.0	120.8	1,734	96.3
Jaja	47.1	30.0	47.2	35.9	47.9	37.4
Drób	17.0	16.5	19.3	18.7	19.6	20.9
Len	44.5	24.3	45.8	22.5	45.0	21.2
Konopie	30.8	19.4	30.4	19	29.8	19.2
Skóry	6.5	12.9	7.3	13.1	6.2	15
Szczecina	2.0	10.1	1.9	9.6	1.9	10.8
Masło	3.2	5.1	2.9	4.0	2.5	4.0
Konie	—	14.8	—	17.6	—	18.1
Świnie	—	5.3	—	5.7	—	4.9

Nie chcemy przeladowywać artykułu cyframi. Zaznaczymy tedy tylko ogólnikowo, że jedynie żyta wychodzi z Rosyi do Niemiec tyle, co do innych krajów razem. Natomiast jęczmienia wychodzi do Niemiec tylko jedna trzecia część, reszta głównie do Anglii i Holandyi. Owsa idzie połowa do Anglii, a reszta rozdziela się na inne kraje. Jaj wychodzi też dużo do W. Brytanii. Nie ulega też najmniejszej kwestyi, że dużo przedmiotów, wywożonych przez granicę niemiecką, idzie przez Niemcy tylko tranzyto lub też przez pośrednictwo Niemiec do innych krajów. I tak np. Niemcy potrafiły zmonopolizować w ręku swoich cały nasz handel drzewem, grawitujący ku morzu Bałtyckiemu, choć to drzewo w znacznej części idzie do Anglii i do Francyi. To samo powiedzieć można o cukrze, który idzie do Anglii i Ameryki na Niemcy, dalej o szeciniem i wielu innych przedmiotach, jako to: jaja, masło itp.

Można-by bez wielkich trudności ominąć pośrednictwo Niemców, zawiązując z Anglią albo stosunki bezpośrednie, albo też za pośrednictwem polskich domów komisowych, istniejących w miastach portowych morza Bałtyckiego i w Hamburgu.

Na bezpośrednie stosunki z Anglią należy zwrócić jaknajwiększą uwagę, bo to jest największy konsument¹⁾ wszystkich przedmiotów wywożonych od nas i z całego państwa rosyjskiego, a w zamian mogła-by nam Anglia dostarczać bardzo dużo przedmiotów, które dziś bierzemy z Niemiec, wprawdzie za tańszą cenę, ale w daleko gorszym gatunku.

W Cesarstwie zastanawiano się już nad kwestyą rozszerzenia bezpośrednich stosunków z Anglią. Towarzystwo rolnicze moskiewskie wysyłało po dwukrotnie deputację do Anglii, która tam najgorętszego doznała przyjęcia. Anglicy bowiem nie tylko liczą na rozszerzenie eksportu wyrobów przemysłu swego do Rosyi, lecz bardzo pożądamy zwiększenia z Rosyi importu przedmiotów żywności. W do-

¹⁾ Dla ciekawości przytaczamy szereg cyfr, dotyczących importu Anglii, zaczerpniętych z bilansu Handlowego Anglii, pomieszczonego w numerach londyńskiego „The Economist” z 18 i 25 stycznia rb. Otoż Anglia importowała w r. 1901: bydła i owiec za 9,400,038 funt. szterl. (funt szterl. około 10 rubli) mięsa i drobiu za 22,849,981 f. szt., wędlin za 18,118,654 f. szt., masła i margaryny za 21,853,687 f. szt., serów za 6,227,277 f. szt., jaj za 5,495,786 f. szt., owoców i jarzyn za 9,616,584 f. szt., cukru za 20,525,333 f. szt., drzewa za 24,558,863 f. szt., pszenicy za 23 mil. f. szt., mąki za 10.4 mil., itd., itd. Wywóz wszystkich tych produktów z Anglii jest stosunkowo bardzo nieznaczny nie dochodzi milionów.

starczaniu tych ostatnich bowiem do niedawna, obok kolonii angielskich, bardzo żywy udział brały Stany Zjednoczone Północnej Ameryki. Ale to źródło zaczyna teraz wysychać, bo w Stanach Zjednoczonych zwiększyła się w ostatnich czasach bardzo znacznie ludność i z rozwojem przemysłu wzrósł dobrobyt, tak iż przedmioty żywności, tam wyprodukowane, na miejscu coraz liczniejszych znajdują konsumentów.

Rozszerzenie bezpośrednio stosunków handlowych z Wielką Brytanią, jest dla całego państwa rosyjskiego, a więc i dla naszych producentów, rzeczą pierwszorzędnej wagi. Wobec rozwijającego się u nas racjonalnego gospodarstwa mlecznego i zwiększania się produkcji masła i serów, będziemy mieli niezadługo do walczenia z nadprodukcją, jeżeli się nie postaramy o nowe rynki zbytu. Najwłaściwszym zaś jest rynek angielski, a znamy przedstawicieli handlu tutejszego, którzy warunki zbytu masła w Anglii już dokładnie studyowali. Sprawą tą powinny zaopiekować się syndykaty rolne, którym niewątpliwie konsulaty angielskie chętnie udzielią wszelkich informacji¹⁾.

Wobec projektu Niemiec podniesienia prawie w dwojnásób właśnie ceł od tych przedmiotów spożywczych, których najwięcej nadchodzi z Rosyi, koleje rosyjskie powinny przeprowadzić taką reformę taryf, aby cały wywóz zboża skierować nie ku zachodniej granicy, niemieckiej, lecz ku portom, ułatwiając tym sposobem wywóz do największego konsumenta, do Anglii. Wypadnie tam wprawdzie konkurować z dowozem z kolonii angielskich i ze Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, ale konkurencya obecnie będzie łatwiejszą, nie tylko z powodu zmniejszenia się eksportu z tych krajów, lecz i z powodu podrożenia kosztu frachtów, przepływających Atlantyk; kompanie okrętowe bowiem, pośredniczące w tym przewozie, zlicytowawszy się długoletnią konkurencją do minimum w kosztach przewozu, obecnie zawarły kartel w celu podniesienia kosztów przewozowych, których niskość je rujnowała.

Gdyby koleje rosyjskie zdecydowały się na wzmiankowaną powyżej reformę taryf przewozowych, mianowicie obniżenie opłaty do portów, a podwyższenie opłaty do granic zachodnich, z jednej strony

¹⁾ W wycieczce delegatów Towarzystw rolniczych w Cesarstwie do Londynu brał udział p. Hołyński, a wrażenia i wnioski swoje opisał w numerze 50 „Słowa“ z r. 1901.

producenci Królestwa Polskiego i gubernii południowo-zachodnich, wywozających dużo zboża, nie potrzebowali-by obawiać się wysokich ceł niemieckich, z drugiej strony Niemcy stracili-by całe pośrednictwo w handlu państwa rosyjskiego z innymi krajami, natomiast dowóz towarów angielskich mógł-by wzrosnąć znacznie i wyprzedzić z czasem zupełnie dowóz niemiecki. Okręty wywożące z bałtyckich i czarnomorskich portów produkty spożywcze do W. Brytanii, jako fracht powrotny przywoziły-by węgiel angielski, koks i wyroby angielskiego przemysłu metalurgicznego.

Prowadząc obecnie kampanię przeciwko fabrykatom niemieckim, nasza publiczność i prasa wymienia przedmioty codziennego użytku, które jednakże importowane są z Niemiec w nieznacznych ilościach, pomijając natomiast te, które stanowią główne pozycje wywozu Niemiec do państwa rosyjskiego.

Przypatrzmy się pobieżnie wywozowi z Niemiec do Rosyi na podstawie najnowszej publikacji cyfr urzędowych statystyki rosyjskiej („Więstnik Finansów“, № 52 z r. 1901), za pierwszych dziewięć miesięcy 1901, porównyując je, gdzie tego będzie potrzeba, z cyframi r. 1900.

Ogólna wartość dowozu przez granice państwa rosyjskiego w pierwszych dziewięciu miesiącach w okrągłych cyfrach, wynosiła: w r. 1899 449,513,000 rb., w r. 1900 438,252,000 rb., w r. 1901 399,131,000 rb.; w tych cyfrach z Niemiec, w r. 1899 za 176,258,000 rb., w r. 1900 za 165,220,000 rb., w r. 1901 za 155,878,000 rb. Import z Niemiec tedy przechodzi zawsze jedną trzecią ogólnego dowozu Rosyi. Po Niemcach przychodzi W. Brytania z cyframi 99,314,000 rubli, 101,909,000 rb. i 81,158,000 rb.

Rozumie się, że w cyfrach importu niemieckiego mieszczą się też nie tylko produkty niemieckie, lecz i te, w których dowozie Niemcy pośredniczą, tak samo, jak w wywozie z Rosyi. Do jakiego stopnia Niemcy dowóz ten opanowali, widać choćby z tego drobnego faktu, że Rosya importuje z Niemiec pomarańczę za przeszło 500,000 rubli (cały swój dowóz tego owocu), że np. kawy nadeszło z Niemiec w pierwszych dziewięciu miesiącach r. 1900: 214,000 pudów, w tymże czasie r. 1901: 258,000 pudów, oprócz tego 53 i 50 tysięcy pudów z Anglii i 39 i 36 tysięcy pudów z Austro-Węgier. Zdawało-by się przecież, iż nasi importerzy zdołali-by bezpośrednio, albo za pośrednictwem Anglii lub Holandyi sprowadzać te zamorskie towary, ale prawdopodobnie pośrednictwo niemieckie jest im najdogodniejsze.

Weźmy np. inny towar zamorski, mianowicie kauczuk. Tu już prym trzyma Anglia; importowała bowiem do Rosyi w okresie 9 mie-

sięcznym r. 1900: 209,000 pudów za 7,541,000 rb. zaś w r. 1901: 239,000 pudów za 8,459,000 rb.

Ale bezpośrednio po Anglii przychodzą znów Niemcy z cyframi: 97 tys. pudów za 3,069,000 rb. i 119 tys. pudów za 3,169,000 rb. Francya jako współzawodniczka tu przez Niemcy widocznie została wyparta.

Wyrrywamy kilka cyfr dla przykładu, jak Niemcy coraz bardziej opanowali pośrednictwo handlowe. Skoro jednakże inne państwa silnie z nimi współzawodniczą, przy energii i dobrej woli nie trudno było-by zapewne zastąpić pośrednictwo to innym. Trudniej było-by to zapewne w dziale wytworów chemicznych, co do których Niemcy podobno się tak wyspecjalizowali, że trudno innym współzawodniczyć z nimi. To też w dziale importu produktów i materiałów chemicznych za okres 9 miesięczny 1900 znajdujemy następujące cyfry: Niemcy 2,610 tys. pudów za 6,218 tys. rubli, Anglia 906 tys. pud. za 1,690 tys. rubli, Austro-Węgry 252 tys. pudów za 264 tys. rb., Belgia 64 tys. pudów za 103 tys. rubli; przybliżone są też cyfry za rok 1901.

Wymienione przez nas cyfry nie obejmują największych pozycji importowych z Niemiec do Rosyi. Są nimi raczej następujące: 1) narzędzia i maszyny, i ich części¹⁾. I tu jednakże Anglia silnie współzawodniczy z Niemcami. Z faktu, że niepomysłny r. 1901 odbił się najbardziej na imporcie z Anglii, można ocenić charakter importu angielskiego i niemieckiego. Niemcy utrzymali się, bo dostarczają towaru tańszego.

Oprócz maszyn, które niewątpliwie można-by w znacznej części zastąpić importem z Anglii i Ameryki, o ile wyrabianie ich w kraju

1) Przytaczamy tu ogólne cyfry dowozu za okres dziewięć miesięcy roku 1900 i 1901; dowieziono narzędzi i maszyn i ich części:

	1900	1901	1900	1901
	tysiący pudów		wartość	tysiący rubli
z Niemiec . . .	2,137	1,611	18,689	14,788
z Anglii . . .	1,583	633	15,304	6,568
z Francyi . . .	17	55	650	541
z Austro-Węgier ^e	319	156	2,598	1,166
z Belgii . . .	206	150	1,145	567

nie jest możliwym, Niemcy dostarczają do Rosyi dużo żelaza ¹⁾ i wyrobów metalowych, z żelaza, stali i miedzi. Udział, jaki w dowozie żelaza i wyrobów żelaznych i stalowych bierze Anglia, dowodzi, że mogła-by ona nam zupełnie zastąpić Niemcy. Ogólny eksport Anglii metalów i wyrobów metalowych (poza szlachetnymi kruszcami) według angielskiego bilansu handlowego w r. 1901 przedstawiał wartość 62,724,037 f. szterl., czyli przeszło 600 mil. rubli. Jeżeli nasz import z Anglii nie jest w tym dziale większy, jest to rezultatem naszego zamiłowania do tandety, mianowicie u nas w Królestwie Polskiem. Gdyby można przeprowadzić dokładne badania, okazało-by się zapewne, że metalowe wyroby angielskie idą do Cesarstwa, zaś tandeta niemiecka do Królestwa Polskiego, mianowicie do Warszawy.

Gdybyśmy, jak powyżej o tem była mowa, ożywić mogli wywóz płodów rolnych do Anglii, zwiększyło-by to niewątpliwie import z Anglii z ominięciem Niemiec i pośrednictwa niemieckiego. Warto zabrać się do tego wcześniej, choćby ze względu na niemiecką ta-

1) Import żelaza, wyrobów z żelaza i stali i z miedzi wyrażał się, według urzędowych źródeł, w pierwszych 9 miesiącach r. 1900 i 1901 w następujących cyfrach:

	1900	1901	1900	1901
	w tysiącach pud.		wartość w tys. rb.	
żelazo				
z Niemiec . . .	2,244	1,928	3,532	2,422
z Anglii . . .	1,473	1,479	2,289	1,818
z Belgii . . .	349	268	552	324
wyroby z żelaza i stali				
z Niemiec . . .	556	409	3,634	3,001
z Anglii . . .	190	203	1,081	947
z Francyi . . .	27	25	224	140
z Austro-Węgier	34	36	221	120
z Belgii . . .	44	23	175	90
wyroby z miedzi				
z Niemiec . . .	89	86	2,208	2,112
z Anglii . . .	8	19	151	459
z Austro-Węgier	10	8	221	231

ryfę celną i niewątpliwe skutkiem tego podwyższenia cel rosyjskich.

Przemysłowcy nasi powiadają, że nie łatwą będzie rzeczą zastąpić dowóz węgla, mianowicie zaś koksu, z Niemiec. Ale pod względem dowozu węgla góruje Anglia, skąd w pierwszych 9 miesiącach r. 1901 dowieziono 114 mil. pudów, gdy kopalnie pruskie dostarczyły tylko 40 mil. Natomiast koksu w tymże czasie dostarczyły Niemcy $7\frac{1}{2}$ mil. pudów, Anglia $2\frac{2}{3}$ mil. pudów, zaś Austro - Węgry $11\frac{1}{4}$ mil. pudów. Prawdopodobnie tedy kopalnie austriackie zdołały-by tu zastąpić pruskie.

Nie chcemy czytelników nużyć nadmiernem nagromadzeniem cyfr, nie możemy bowiem na tem miejscu, w krótkiej rozprawie, przeprowadzać wyczerpującej ankiety. Przytoczone cyfry miały tylko posłużyć do określenia charakteru naszych stosunków handlowych z Niemcami, dalej do zaznaczenia, jakie głównie przedmioty sprowadzamy z Niemiec, co z nich należy istotnie do wytwórczości niemieckiej, w czem zaś Niemcy jedynie pośredniczą. Pragnęliśmy też wskazać co do ważniejszych pozycji importowych, kto obok Niemiec jest dostawcą, co jest przyczyną wielkiej dostawy niemieckiej i czy ją dostawą z innych krajów zastąpić można.

Gruntowne zbadanie tych szczegółów może tylko być dokonane w drodze ankiety, do której, przy posiłkowaniu się cyframi statystyki urzędowej, powołano-by koła w imporcie zainteresowane, ludzi, mogących uzupełnić i objaśnić cyfry statystyczne i udzielić praktycznych rad i poglądów. Ankieta podobna została zapoczątkowana w sekcji handlowej Warsz. Oddziału Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu i należy mieć nadzieję, że ona wyda pożądane owoce.

Tu poprzestajemy na wypowiedzeniu kilku uwag ogólnych co do obecnego stosunku handlowego z Niemcami i możliwego ich ukształtowania się na przyszłość. Uwagi te zreasumują do pewnego stopnia to, co powyżej szczegółami poparto.

Otóż nie ulega najmniejszej kwestyi, że Niemcy opanowali stosunki handlowe, mianowicie Królestwa Polskiego z zagranicą daleko bardziej, niżeli tego istotna jest potrzeba i niżeli jest pożądane. Wywóz nasz przechodzi przez ich ręce, to, co się dowozi, sprowadzamy za ich pośrednictwem. Przypominamy przytoczone powyżej dwa przykłady co do pomarańcz i kawy. Zdawałoby się, że na pomarańcze, sprowadzane z południa, chyba niemieckiego pośrednictwa nie potrzeba. A jednak, według wykazów urzędowej statystyki, przychodzą one do nas prawie wyłącznie od Niemców.

Skąd taki monopol?

Otóż stąd, że Niemcy istotnie umieli opanować, mianowicie w ostatnich czasach, z niezwykłą zabięgliwością i zręcznością międzynarodowe stosunki handlowe. Flota handlowa żadnego z państw europejskich nie wzrosła w ostatnich 25 latach w tej mierze, co flota niemiecka. Dowody tej zręczności i zapobięgliwości niemieckiej widzimy u siebie. Każdy z naszych kupców wie o tem, jak „Reisender“ niemiecki umiał zupełnie zaćmić sławę dawnego „Commis-voyageur“ francuskiego, jak się wszędzie wciśnie, umie przedstawić ofertę swoją jako najkorzystniejszą, obliczyć najtańsze frachty, najtańszą pożyczkę taryfy celnej, udzielać najdogodniejszych kredytów.

Czy istotnie kupno towaru od tegoż „Reisendera“ niemieckiego jest najkorzystniejsze? Czy nie można-by znaleźć innego, lepszego towaru, który może nawet byłby tańszy, a choćby w cenie samej cokolwiek drożej niż zapłacono, w gruncie rzeczy kosztował-by taniej? Jesteśmy przekonani, że zupełnie pewnej i dokładnej odpowiedzi wielu naszych kupców daćby nie potrafiło.

Dla nich kupno za pośrednictwem „Reisendera“ jest wygodne, kredyt jest długoterminowy, towar, choć czasem lichey, ale tani, więc kupuje się, często i trochę na oślep, bez ścisłego obliczenia. Rozumie się, że i położenie geograficzne, blizkie sąsiedztwo Niemców, przyczyniło się do tego, że nasze stosunki handlowe opanować umieli.

To samo, co o imporcie, stwierdzić można o eksporcie towarów. Wspominaliśmy powyżej, że zboże od nas, z wyjątkiem żyta, którego Anglicy nie konsumują, natomiast w wielkiej ilości spożywają Niemcy, idzie przeważnie do Anglii, tego największego konsumenta, ale idzie za pośrednictwem Niemców. To samo powiedzieć można przede wszystkim o drzewie. Dalej o cukrze, o jajach, o maśle, o lnianych konopiach i t. d.

Do niemieckiego monopolu przyczynia się też ta okoliczność, że handel eksportowy, o ile go u nas sami Niemcy nie prowadzą, jest przeważnie w ręku żydów, bardzo często drobniejszych handlarzy. Ci ostatni potrzebują zaliczek, po które aż do Anglii trudno sięgnąć z powodu braku kantorów bankierskich, które mogły-by w tem bardzo dobrze pośredniczyć. Nadto żydzi, z dawnego przyzwyczajenia i z powodu łatwości porozumienia się, najchętniej prowadzą handel z Niemcami, chociaż niewątpliwie wyszli-by lepiej na tem, gdyby zawiązali bezpośrednio stosunki z Anglią na zboże, drzewo, cukier, jaja, masło, z Anglią i Francją na drzewo, z Anglią i Belgią na len, lniane siemię i konopie i t. d.

Otóż należy mieć nadzieję, że prąd obecny, powodujący z różnych względów, a także z czysto-ekonomicznych, do zbadania stosunków handlowych z Niemcami, położy nareszcie koniec zmonopolizowaniu naszego handlu zagranicznego i skłoni zarówno importerów, jako i eksporterów do zbadania innych dróg handlowych; niewątpliwie, po przezwycięzeniu pierwszych niedogodności, badania te doprowadzą ich bardzo często do wniosku, że niekoniecznie najkorzystniejszym był dla nich stosunek z Niemcami, którego z przyzwyczajenia się trzymali

Tyle o pośrednictwie handlowem Niemców. Kilka słów jeszcze o dowozie wyrobów niemieckiego przemysłu. Przemysł ten w ostatnich dziesiątkach lat wzrósł olbrzymio, tak, że nawet w krajach europejskich przemysłowo najbardziej rozwiniętych wywołał rzetelne zaniepokojenie. Paryski profesor Georges Blondel, w wydanem świeżo dziełku ¹⁾ wskazuje na rozwój przemysłu niemieckiego od r. 1885, a zaznaczając postęp w górnictwie, utrzymuje, że technika górnicza w Niemczech daleko wyżej stoi, niżeli we Francji. Wywóz maszyn z Niemiec wzrósł od 5 lat o 2 mil. ton, dział elektryczności niesłychanie się rozwinął. Niemcy wyrabiają za 1,200 mil. franków rocznie wytworów chemicznych, z tego trzecią część wywożą za granicę; wyrób farb anilinowych stał się prawie monopolem Niemców. Chemia niemiecka wyrób środków kosmetycznych i perfumeryi doprowadziła do rozwoju, czyniącego ogromną konkurencyę Francuzom. Z wszechświatowej produkcji papieru, wynoszącej 4—5 milionów ton papieru rocznie, Niemcy fabrykują 850 mil. ton, Francja tylko 350 mil. ton. Niemcy zalewają cały świat swojemi zabawkami, a przemysł ten zatrudnia w Turynii około 30,000 ludzi. Tak samo instrumenty optyczne i instrumenty muzyczne niemieckie po całym świecie się rozchodzą. — Tak pisze Francuz o przemyśle niemieckim, popierając twierdzenia swoje cyframi, zagrażającemi według niego poważnie przemysłowi Francji.

Przytoczyliśmy powyżej cyfry, dotyczące importu wytworów chemicznych z Niemiec do Rosji. Tu dodamy, że instrumentów muzycznych, według urzędowej statystyki, dowieziono z Niemiec w pierwszych dziewięciu miesiącach r. 1901 za 2,100,000 rubli, w tymże czasie w r. 1900 za 1,869,000; Niemcy tu mają zupełny monopol.

¹⁾ La France et le marché du monde. Paris 1901. Tenże autor wydał w r. 1898 dziełko pod tytułem: L'essor industriel et commercial du peuple allemand.

Ekwipaży (szcycimy się naszym przemysłem w tym względzie) dowożą z Niemiec rocznie za $1\frac{1}{4}$ mil. rubli. Papieru i wyrobów papierowych w wymienionych okresach czasu r. 1901 i 1900 dowieziono z Niemiec za 1,972,000 rubli i za 2,199,000 rub., gdy inne kraje importowały: Anglia za 119,000 i za 184,000 rub., Francya za 190,000 i za 229,000 rub., Austro-Węgry za 140,000 i 153,000 rub. Papieru i wyrobów papierowych Niemcy sami sprowadzają dużo z Austrii; do nas przywożą papier z etykietami angielskimi i francuskimi. Zaznaczamy to, bo to jest moment bardzo charakterystyczny, rzucający do pewnego stopnia światło na całą wytwórczość przemysłową Niemiec i charakter ich eksportu.

Przemysł niemiecki produkuje tanio, ale za to przeważnie w gatunku pośledniejszym. I tu sprytni Niemcy liczą się z duchem czasu. Wiedzą, że dziś nikt nie chce nikomu ustępować, sfery mniej zamożne chcą pozornie równie pięknie się ubierać, równie ładnie mieszkać i t. d., jak sfery najzamożniejsze. Rozumię się, że, nie mogąc tak drogo płacić, jak ludzie zamożni, sfery mniej zamożne zaopatrują się w tandetę. Produkcya niemiecka tedy jest obliczona na odbyty masowy, który, pomimo tanich cen, zawsze najlepiej się opłaca — producentowi, bardzo rzadko — konsumentowi.

W państwach, pobierających wysokie cła, jak np. w Rosyi, kupno tandety zagranicznej zwykle daleko mniej się opłaca, niżeli kupno towaru dobrego, bo w oczeniu jednego i drugiego często niema różnicy, a koszt przewozu też ten sam. Pomimo to do nas przybywa dużo tandety, bo u nas nawet w kołach ludzi zamożniejszych zamilowanie do wszelakiej tandety jest wielkie. Główna rzecz u naszych odbiorców, aby tylko tanio kupić; czy nabyty tanio przedmiot wiele wart, o to zwykle się nie pytamy. Otóż ten nasz gust do tandety, u nas z powodów powyżej przytoczonych, mniej zrozumiały, a więc i mniej uzasadniony, niżeli w krajach nie posiadających ceł wysokich, to główny sprzymierzeniec przemysłu niemieckiego.

Nie ulega najmniejszej kwestyi, że w bardzo wielu działach naszego zaopatrywania się w towary zagraniczne, moglibyśmy z wielką nawet dla siebie korzyścią zastąpić towary niemieckie towarami, sprowadzanemi z innych krajów, jak o tem już była mowa powyżej, przy wymienieniu kilku rubryk tegoż importu. Nie można wątpić, że obecny ruch, będący rezultatem niemieckiej buty, arogancyi i bezwzględności wobec wszystkiego, co nie jest niemieckie, w naszych stosunkach handlowych do Niemców olbrzymie może i musi sprowadzić zmiany. Najbardziej jednakże byłoby pożądanem, aby z jednej strony u publiczności naszej prąd obecny usunął uprzedzenie do wyrobów krajowych i nieuzasadnioną bardzo często nieczem predykecyę do

towaru zagranicznego (należy mieć nadzieję, że nie spowoduje to przemysłu naszego do zaniedbania się, lecz raczej zachęci do wydoskonalenia wytwórczości swojej), aby z drugiej strony prąd anty-niemiecki zwrócił uwagę naszych kapitalistów na przemysł nasz i na pomysły jeszcze w wielu gałęziach przemysłu warunki rozwoju, które kapitalistom nastroczają sposobność korzystnego umieszczenia kapitału. W dzisiejszych warunkach ekonomiczne odosobnianie się poszczególnych krajów jest rzeczą niemożliwą. Ale za największą korzyść obecnego ruchu uważali-byśmy, gdyby nam się udało choć część dowozu zagranicznego swoją zastąpić wytwórczością.

A. DONIMIRSKI.

Historia literatury polskiej dla Niemców.¹⁾

Księgarnia C. F. Amelanga w Lipsku rozpoczęła wielkie wydawnictwo, mające na celu obznajmienie publiczności niemieckiej z literaturą „Wschodu“. Na seryę pierwszą złożyły się literatury europejskie: polska, rosyjska, węgierska, nowogrecka, turecka, rumuńska, czeska i południowo-słowiańskie; na drugą — literatury azjatyckie: perska, arabska, hebrajska, chińska, indyjska, japońska oraz piśmiennictwa chrześcijańskie Wschodu.

W roku zeszłym ukazał się tom pierwszy seryi pierwszej — „Historia literatury polskiej“ profesora uniwersytetu berlińskiego, Aleksandra Brücknera. Trzecie to z kolei oryginalnie napisane dzieło o literaturze polskiej w języku niemieckim. W r. 1873 ogłosił E. Lipnicki krótki zarys p. t. „Geschichte der polnischen National-Litteratur“, pisany żywo, ze względłą znajomością przedmiotu, lecz w sposób nie wyczerpujący. W dziesięć lat później ukazała się „Historia literatury polskiej“ H. Nitschmana, obfitująca w liczne wyjątki z poetów naszych, pisana w duchu bardzo dla nas życzliwym, lecz pozbawiona metody i krytycyzmu. Zresztą jedynie przez sumiennosc sprawozdawczą notujemy te dwie książki: porównywać je z dziełem profesora Brücknera było-by śmiesznością, tam bowiem mamy do czytania z dyletantami, tu z uczonym w wielkim stylu.

Pisząc historię literatury polskiej nie dla nas, lecz dla Niemców, pamiętał autor o tem, że dla nich historia i kultura polska to tabula rasa, na której barbarzyńska ręka tautońska Bismarcka wypisała słowa: „Die Polen haben keine Litteratur“. Oto dla czego wykład swój osnuł prof. Brückner na bardzo obszernem tle historyczno-kul-

1) „Die Litteraturen des Ostens in Einzeldarstellungen“ Erster Band: Dr. A. Brückner. „Geschichte der polnischen Literatur“, Leipzig, 1901 (8-vo, str. 620).

turalnem, świetnie charakteryzując główne prądy cywilizacji i historii polskiej, które literaturę stworzyły, a więc reformację i humanizm w wieku XVI, anarchię polityczną w XVII w., która za Sasów do najwyższego doszła stopnia, „odrodzenie“—za Stanisława Augusta, wyjątkowe warunki rozwoju umysłowości—w stuleciu XIX. A wszędzie to tło historyczno-kulturalne zlewa się z charakterystyką prądów i zjawisk literackich w jedną nierozłączną całość; pod tym względem dzieło prof. Brücknera może służyć za wzór metody historyczno-literackiej.

Układ materiału jest niezwykle przejrzysty, a zupełnie oryginalny. Nie jest to układ ściśle chronologiczny, jak w dziele prof. Tarnowskiego, ani ściśle systematyczny, oparty na podziale na okresy i doby, jak w „Historii literatury polskiej“ prof. Chmielowskiego. Przeciwno podziałowi na okresy niejednokrotnie występował prof. Brückner, poczytując go i za niepotrzebny, i za niemożliwy do wykonania; tak np., omawiając w „Kwartalniku historycznym“ pierwszy tom dzieła prof. Chmielowskiego, powiada, że jedyny podział, „któremu-by najmniej zarzucić się dało i którego się sami stale trzymamy, jest podział mechaniczny, postępujący wedle wieków.“

W szczególach układ dzieła przedstawia się, jak następuje: „Początki“ (wieki średnie); „Reformacja“. „Humanizm“ (wiek XVI); „Dyletanci wieku XVII“; „Upadek, 1700—1760“, „Odrodzenie dusz“ (wiek XVIII); „Literatura pseudoklasyczna“, „Początki romantyzmu, 1820 — 1830“, „Romantyzm literatury emigracyjnej. Adam Mickiewicz“, „Juliusz Słowacki“, „Zygmunt Krasiński“, „Romantyzm w kraju“, „Od roku 1864. Poezya i dramat“. „Powieść. Sienkiewicz“ (wiek XIX).

Trzymając się jednak „mechanicznego“ podziału na wieki, umie autor łączyć zarówno autorów, jak utwory literackie w pewne wielkie grupy, co niepospolicie ułatwia orientowanie się w olbrzymim materiale i daje czytelnikowi jasny pogląd na główne prądy literatury, ich istotę, przyczyny i objawy. Tak np., literaturę wieku XVI rozpatruje autor w dwu głównych grupach: reformacja i humanizm; nasamprzód więc podaje charakterystykę reformacji, jako ruchu religijnego i społecznego i jako najpotężniejszej dźwigni literatury narodowej w tem stuleciu, a potem mówi nietylko o tych autorach, którzy bezpośrednio reformacji służyli, lecz i o tych, którzy z reformacji wyszli (choćby nawet katolikami pozostali), przyczem po raz pierwszy uwydatniona została pierwszorzędną rolą, którą w naszym życiu umysłowem odegrał arianizm. Rozdział ten, skupiający w sobie wszystkie wybitniejsze objawy i piękniejsze owoce reformacji, daje wszechstronne pojęcie o jej olbrzymiej doniosłości dla literatu-

ry i cywilizacji polskiej, o doniosłości, którą prof. Tarnowski—nie świadomie, czy tendencyjnie—przeoczył. W rozdziale o humanizmie zgrupował autor podobnie nie tylko humanistów w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale i tych wszystkich, którzy za duchowe dzieci humanizmu poczytani być powinni.

Nie dosyć na tem. Zjawiska literackie, płynące z jednego i tego samego źródła, a więc stanowiące jedną wielką grupę, rozбивa zazwyczaj autor na drobniejsze działy, które same w sobie tworzą pewną całość. Tak np., aby dać czytelnikowi dokładne pojęcie o prądach literackich w wieku XVII, który niezwykle trafnie nazywa wiekiem dyletantyzmu (zupełnie zrywając z nazwą „okres panegiryczno-makaroniczno-jezuicki“, jak najnieśluszniej w świecie do dziś dnia jeszcze nazywają niektórzy—z uporem godnym lepszej sprawy—literaturę XVII stulecia),—na wstępie charakteryzuje warunki społeczne, wśród których rozwijała się literatura, kładąc nacisk na smutne dla piśmiennictwa skutki coraz to wzmagającej się reakcji katolickiej i nietolerancyi myśli wogóle oraz upadku oświaty i miast, a potem kreśli dzieje literatury grupami: literatura mieszczańska, epika historyczna i romantyczna, mesyady i legendy, pamiętniki, satyry, poezya humorystyczna i makarony, liryka świecka i religijna, dramat itd. Podobnie np. w historii literatury za czasów saskich mamy takie działy, jak udział w działalności piśmienniczej duchowieństwa, magnatów, kobiet, „silvae rerum“, poezya łacińska, ascetyka, liryka religijna, romanse prozaiczne, tłumaczenia i naśladowania z francuskiego, romanse wierszowane, poezya historyczna, bajka, dramat, satyra, pamiętniki itd.

Rzecz naturalna, że przy takim układzie następstwo chronologiczne nie mogło być ściśle zachowane nawet w obrębie jednego i tego samego stulecia; tak np. o „Wspomnieniach“ biskupa Krasińskiego i „Pamiętnikach“ biskupa Felińskiego mówi autor (przy sposobności) już w rozdziale o początkach nowej literatury polskiej; niektóre znów nazwiska przy takim układzie, np. Twardowskiego albo Potockiego, powtarzają się czasem kilkakrotnie, działalność niektórych autorów jest rozbita na części. Tak być musiało, lecz tak być powinno. Bo historia literatury nie jest przecie zbiorem monografii, ani nawet charakterystyk poszczególnych postaci, o czem właśnie zapomina zwykle ogromna większość naszych historyków literatury, lecz historią zjawisk, które są objawami tego lub owego prądu duchowego. Otóż książka prof. Brücknera tem się—pomiędzy innymi—różni od innych opracowań, że na pierwszy plan występują w niej nie tyle postaci (balast danych biograficznych odrzucony prawie zupełnie) i nie tyle poszczególne dzieła (bibliografia zredukowana

do granic minimalnych), ile właśnie główne prądy pracy umysłowej narodu i ich objawy.

Lecz tu należy koniecznie zrobić jedno zastrzeżenie: opracowanie historii literatury wieku XIX, poczynając od Mickiewicza, jest pod względem układu nieco inne, niż wieków dawniejszych. I znów tak być musiało, bo tak być powinno: literatura wieku XIX tem się właśnie różni od dawniejszej, że pierwiastki indywidualne, jeśli nie zawsze wybijają się na plan pierwszy, to przynajmniej bez porównania silniej wpływają na rodzaj twórczości, aniżeli dawniej; dosyć porównać jednostajność literatury wieku XVII, tak wielką, że trudno, a czasem nawet niepodobna, zbadać, kto jest autorem tego lub owego bezimiennego utworu,—z różnorodnością literatury wieku XIX, aby się o tem przekonać. Dla tego to rozbijać literaturę nową na ściśle zakreślone grupy jest rzeczą prawie niemożliwą. Nadto, co niezmiernie utrudnia takie działy, to niewątpliwy fakt coraz to wzrastającego zacierania się różnicy pomiędzy gatunkami literatury pięknej, pomiędzy „typem“ obiektywnym np. a subiektywnym. Wobec tego może być mowa o romantyzmie, naturalizmie, modernizmie, ale już nie o właściwej satyrze, eposie, sielance itd. Nakoniec same już niezwykle warunki i czynniki rozwoju literatury polskiej XIX w., a zwłaszcza emigracya i rozszczepienie terytoryalne, musiały nadać jej odrębny od dawnej charakter, a stąd sposób traktowania jej historii musiał i powinien być inny. Oto są zapewne względy, które skłoniły prof. Brücknera do odmiennego układu historii literatury nowszej: jeżeli postaci siłą swego geniuszu lub talentu albo silną indywidualnością wysunęły się na czoło w życiu literackim, to wysuwają się na czoło w książce prof. Brücknera: działalność Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza itd., przedstawił autor jednym ciągiem, nie dzieląc jej na części, ani nie zaliczając ich do żadnej grupy.

Wogóle, trzymając się konsekwentnie podziału literatury na wieki, w szczegółowym układzie materiału zerwał prof. Brückner z rutyną, nie trzymał się uparcie żadnego schematu, żadnej podstawy podziału, którą-by za niewzruszoną poczytywał,—usiłował skreślić historię literatury tak, aby ona odpowiadała życiu, którego rozwój i bieg nie da się ująć—dotychczas przynajmniej—w ściśle określone formuły.

Jeżeli tedy pod względem układu materiału historia literatury prof. Brücknera jest znacznym krokiem naprzód w nauce, to pod względem jego wyboru—jest krokiem olbrzymim. Wybierał autor materiał z wiekowego skarbcza literatury polskiej od najdawniejszych do najnowszych czasów, od pieśni „Bogurodzica“ do „Wesela“ Wyspiańskiego, „Złotego runa“ Przybyszewskiego, „Italii“ Kono-

puickiej, od anonimowej kroniki „Gallusa“, aż do syntez historyczno-literackich Chmielowskiego i Tarnowskiego, od „Salomona i Marcholta“, aż do „Krzyżaków“ Sienkiewicza i „Sprawy Dołęgi“ Weysenhofa. Sumiennosc autora w uwzględnianiu najnowszych zdobyczy idzie tak daleko, że np., genezę „Nieboskiej Komedyi“ wyjaśnia na podstawie artykułu Adama Krasińskiego p. t. „Poeta myśli“ ogłoszonego w „Bibliotece Warszawskiej“ na kilka zaledwie miesiecy przed ukazaniem się książki.

Jakiego wyboru dokonal autor z tak olbrzymiego materiału? Pogląd swój na tę sprawę wypowiedzial jeszcze w r. 1900—w odczycie, wygłoszonym na pierwszym zebrauiu miesiecznym Towarzystwa literackiego imienia Mickiewicza we Lwowie, kiedy to uchwalono wydawnictwo kwartalnika, poświęconego historii literatury polskiej.

Wspominając o ukazaniu się dzieła prof. Chmielowskiego, zaznaczył autor, że dzieło to, „aż nadto zwięzłe co do czasów dawniejszych, staje się aż nadto obszernem w przedstawieniu czasów nowszych i najnowszych“. Z tego wychodząc założenia, znacznie zredukował prof. Brückner ilość nazwisk i utworów w wykładzie literatury XIX stulecia, ponieważ, zdaniem jego, „w każdym stuleciu mamy takie postacie, o których-by można chyba powiedzieć, że je szczęśliwe jakieś losy wyrubowały ponad wszelką miarę“. Pominął więc autor takich poetów, jak Konstanty Zakrzewski, Aleksander Szukiewicz, Franciszek Żygliński, Jan Nepomucen Jaśkowski, Karol Baliński, takich powieściopisarzy, jak Józef Bohdan Dziekoński, Józef Szymon Bogucki, Kazimierz Bujnicki, i wielu innych, z nauk uwzględnił tylko humanistyczne; redukcya zaś materiału dała mu możność większej koncentracji, dokładniejszego oświetlenia postaci pierwszorzędnych, przyczem najdłużej zatrzymał się autor, prócz wielkiej trójcy naszych poetów, nad działalnością Fredry, Kraszewskiego, Konopnickiej, a przedewszystkiem Sienkiewicza.

Zupełnie co innego widzimy w historii literatury dawniejszej, w której znajomości nikt prof. Brücknerowi nie dorównał, którą też *con amore* bada i pogłębia. We wspomnianym odczycie stwierdził smutny fakt, że w naszych historyach literatury glucho nietylko o pisarzach, bynajmniej na zapomnienie nie zasługujących, lecz i o całych działach, bardzo ciekawych i do poznania dawnej literatury wprost koniecznych; tu należą przedewszystkiem makarony polsko-łacińskie, którym równych niema w całej literaturze wszechświatowej, bajki i satyry anonimowe i imienne, romanse ludowe, które przekroczyły granice etnograficzne i dotarły aż do Moskwy, a potem mnóstwo utworów literatury mieszczańskiej. Co do tej ostatniej po-

wiada prof. Brückner we wspomnianym odczycie: „W literaturze naszej, w dawniejszym jej okresie mówią tylko o szlachcicach; literatura ta wydaje się tak nawskroś szlachecką, jakoby inne stany nie zabierały w niej wcale głosu. Zapomnienie to idzie tak daleko, że nawet historia literatury Chmielowskiego czy Tarnowskiego, gdy prawi o takich mieszczuchach, jak Klonowic albo Zimorowic, to zapomina podkreślić ową różnicę, owe cechy mieszczańskie; zapomina, że przecież szlachcic nigdy-by ani tykał tych przedmiotów, w których lubują się obaj, a przedewszystkiem Klonowic, aniby tych samych przedmiotów nie traktował w taki sposób. Obok Klonowica, obok Zimorowica, są inni jeszcze liczni przedstawiciele żywiołu mieszczańskiego w dawnej literaturze; ten, kto się zajmuje historią miast w Polsce, powinien koniecznie uwzględnić te dawne, dziś całkiem zapomniane, broszury albo rękopisy, w których poeta-mieszczanin, mieszczanin-satyryk, uczucie swoje wylewa, spostrzeżenia kreśli... To są rzeczy, które koniecznie z zapomnienia wydobyć należy, bo zwykle literatura mówi nam tylko o tem, co dolegało księdzu lub szlachcicowi, co ich cieszyło, bawiło, uspokajało, trwożyło, ła głuchą jest na to, co się działo po miastach, po cechach, między rzemieślnikami, na wsi, chociaż obrazy wiejskie, kreślone przez mieszczan, są zbyt jednostronne... Autorowie (satyr na chłopów) niebardzo tam sobie łąciną gęby mazali, ale za to ich werwa, ich język, ich pomysły—to wszystko całkiem domorośle“.

Otóż te główne i inne jeszcze luki — po raz pierwszy w naszej nauce—wypełnił w swem dziele prof. Brückner. A więc w rozdziale o literaturze średniowiecznej wspomina o dwu najwybitniejszych uczonych XV stulecia: Jakóbie z Paradyża i Mateuszu z Krakowa (którego Niemcy chcą nam ukraść), nie mówiąc już o całym szeregu zabytków polszczyzny, odkrytych przez samego autora; pomija natomiast Marcina „Polaka“, bo ten wcale nie był Polakiem, i „Pieśń o Albercie“, która należy do literatury czeskiej, nie polskiej. Do literatury wieku XVI wprowadził autor charakterystykę pamfletów politycznych i religijnych, dyalogów dramatycznych, paszkwilów i inwektyw, polemiki religijnej, bajek i powieści ludowych; krótko naszkicował działalność Turnowskiego, Biernata z Lublina, Ostafiego Treпки, Murzynowskiego, Łukasza ze Lwowa, Marcina Krowickiego, Jana Łaskiego i in.; nie pominął ani tak charakterystycznych mów sejmowych, ani listów (naprzykład Zamoyskiego, Lwa Sapielhy, Chodkiewicza), ani bardzo nielicznych zresztą opisów podróży, ani nawet relacyi nuncyuszów papieskich—słowem, zebrał wszystko, co było potrzebne do naszkicowania zgodnego z prawdą obrazu literatury reformacyjnej i humanistycznej. Wiek XVII, mimo że już prof. Cmielow-

ski ocenił go naturalnie ze stanowiska nowych badań, dopiero pod piórem prof. Brücknera doczekał się rehabilitacji, na którą zasługiwał—nie tyle pod względem estetycznym (sam tytuł rozdziału czwartego: „Dyletanci XVII stulecia“ jest bardzo wymowny), ile pod względem bogactwa literatury. Teraz dopiero jasno się okazuje, jak niesłusznie ubliżano tej literaturze, nazywając ją „panegiryczną“, boć przecie znaczna większość jej działów z panegiryzmem nic wspólnego nie ma. Rozdział ten stanowi może najpiękniejszą ozdobę całego dzieła; uwzględnił autor tę bogatą spuściznę, zarówno drukowaną, jak i rękopiśmienną, której przed nim prawie nikt nie tknął, a którą on w szeregu studyów specjalnych opracował, a więc wspomnianą literaturę mieszczańską, literaturę antysemitką, mesyady, legendy, apokryfy, makarony, niektóre pisma ascetyczne, romanse, podróże, literaturę o kobietach, różne *vademecum* i *silvae rerum*, *Liber plebeianorum* („Księgę chamów“) i t. d.; do stereotypowych postaci dodał nowe, jako to: Krzysztofa Piekarskiego, kasztelana Krasińskiego, Kazimierza Twardowskiego, Katarzynę Siemiątkowską, Annę Stanisławską i t. d. Słowem wyrwał prof. Brückner historię literatury XVI i XVII wieku z zaczarowanego koła biblioteki Turowskiego, a do kilku odkryć, dokonanych przez innych w XIX stuleciu, dodał cały szereg nowych, własnych. I czasy saskie—okres największego upadku—doczekały się pod jego piórem znacznego uzupełnienia przez charakterystykę pism, fanatyzmu religijnego pełnych, literatury magnackiej i kobiecej, romansów i bajek, przez uwzględnienie utworów Stanisława Cedrowskiego, Józefa Aleksandra i Jana Kajetana Jabłonowskich, Maryi Żaluskiej i t. d. W historii literatury Stanisławowskiej pierwszy baczniejszą zwrócił uwagę na postać Gracyana Piotrowskiego, o którym dawniej wspomniano (Janocki, Bętkowski, Dmochowski), lecz którego późniejsi historycy literatury pomijali milczeniem, pomimo że K. Bartoszewicz przytoczył kilka jego satyr w swych „Księgach humoru polskiego“. Uwzględnił też autor literaturę anonimową — polityczną i satyryczną. Nakoniec i to jeszcze podnieść należy, że niejeden szczegół został przez prof. Brücknera sprostowany, uzupełniony lub w zupełnie innem świetle wystawiony, jak na przykład ten—najważniejszy,—że literatura polska przyszła na świat w Sączu, gdyż tam powstała pieśń „Bogurodzica“— na życzenie Kingi, albo ten, drobny, lecz ważny, że autorem bezimiennej powieści wierszowanej o Landzie jest nie Rej, jak przypuszczali niektórzy, lecz Marcin Siennik i t. d., i t. d.

Dodajmy do tej pełni obrazu literatury dawnych wieków i do krytycyzmu w badaniach, popartego dziwną przenikliwością, prawdziwy talent do zwięzłej, jędrnej, dobitnej charakterystyki za-

równo poszczególnych pisarzy i poszczególnych utworów, jak całych prądów i epok; dodajmy szerokość poglądów, płynącą nie tylko z olbrzymiej erudycji, ale i z umiejętności oceniania ludzi i zdarzeń; umysł, wolny od wszelkich uprzedzeń politycznych, religijnych, narodowych; bezstronność, godną wielkiego uczonego, zdolność zarówno do analizy, jak i do syntezy, zupełne opanowanie metody historyczno-literackiej, umiejętność tłumaczenia zjawisk literackich wszystkimi wogóle czynnikami historii, od indywidualnych do społecznych, — a dojdziemy do przekonania, że dzieło prof. Brücknera jest najlepszym z dotychczasowych opracowań historii naszej literatury. Czytelnikom daje zarys krótki, ale pełny, badaczom zaś otwiera nowe drogi do badań, zwracając ich uwagę na nieznanne skarby naszego piśmiennictwa i umysłowości. Wiele zapewne czasu upłynie, zanim to wszystko, co naszkicował autor, będzie wszechstronnie opracowane. Oto stanowisko jego książki w nauce i jej znaczenie dla nas.

Lecz wróćmy teraz do tego, od czegośmy zaczęli. Nie dla nas, lecz dla Niemców, przeznaczył autor swe dzieło (dla nas pisze je na nowo i znacznie uzupełnia, — ukaże się w roku bieżącym lub na początku przyszłego). Więc pytamy, w jakim świetle pokazał naszą historię, kulturę, piśmiennictwo i charakter narodowy wrogiemu nam społeczeństwu? Otóż i pod tym względem podziwiać trzeba bezstronność autora: nie zataił przed niem ani światła, ani cienia, ani przymiotów, ani wad; ze swem uwielbieniem dla arcydzieł swojej literatury, ze swem przywiązaniem do przeszłości nie taił się nigdzie, ale ani razu nie wpadł w ton przesadny, deklamacyjny, ani razu uczucie nie zaślepiło krytycznego umysłu, a jeżeli, jako *motto*, położył na książce słowa Staszica: „Paść może i naród wielki, zniszczyć nie może, tylko — niktzemny“, zrobił to dlatego jedynie, aby przypomnieć Niemcom to tylko, co jest prawdą. Otóż prawda, nadewszystko prawda, przyświecała prof. Brücknerowi przy pisaniu książki; nie taił jej nigdzie, bez względu na to, czy ona będzie miła, czy niemiła Niemcom, i czy nas w ich oczach w dodatkiem, czy ujemnem przedstawi światło. A więc naprzykład czytamy: nienawiść, to cecha niesłowiańska (str. 4); była jedna tylko dynastia w całym świecie chrześcijańskim, której Polak całą duszą nienawidził — Habsburgowie (str. 83); sami Niemcy mówili, że nie było w chrześcijaństwie większego bohatera od Władysława Warneńczyka (str. 22); był w wieku XVI na świecie jeden tylko kraj, w którym sumienie miało wolność — Polska (str. 40); reakcja katolicka w Polsce XVI wieku walczyła nie, jak gdzieindziej, konfiskatą, banicją i mieczem kata, lecz słowem, nauką i dobrym przykładem (str. 51); siła asymilowania pierwiastków obcych, to wspaniałe świadectwo potęgi kultury polskiej, jest olbrzymią, czę-

sto synowie i córki najzacieklejszych „polakożerców“ polszczą się (str. 313); jedyną wielką epopeją w nowszej literaturze powszechnej jest „Pan Tadeusz“ (str. 376); w dramatach Słowackiego są sceny, których mógłby mu pozazdrościć choćby największy dramaturg (str. 388); „Skargi Jeremiego“ to arcydzieło liryki wszechświatowej (str. 458); Kraszewski to fenomen nie tylko w piśmiennictwie Słowian, ale i Europy całej (str. 460); Orzeszkowa w powieści, a Konopnicka w poezji są w literaturze kobiecej wszystkich czasów i wszystkich krajów wybitnymi zjawiskami (str. 482); krytyk niemiecki, omawiając trylogię Sienkiewicza, wypowiedział życzenie: „Oby i nasz romans historyczny zdobył się na Sienkiewicza“, — a więc Freytag, Ebers, Eckstein, Konrad Meyer poszli w kąt! (str. 607). Takich i tym podobnych sądów pełno w książce prof. Brücknera, — na każdym kroku przypomina autor Niemcom o zasługach „dzikich Sarmatów“, którzy, mimo swej „dzikości i barbarzyństwa“, mają jednak literaturę na a j c z y s t s z ą na całym świecie (str. 563, 599, 603 i t. d., — pomimo, że Przybyszewski stara się ją splugawić).

Lecz teraz odwrotna strona medalu: jeżeli nboża literatura narodowa wieku XV niezupełnie odpowiadała potędze politycznej i ekonomicznej Polski, zawiniła tu przedewszystkiem „gnuśność słowiańska“ (str. 19); reforma państwa w wieku XVI została wykonana tylko połowicznie, jak wszystko i zawsze w Polsce (str. 34); mądra literatura polityczna tegoż stulecia mało miała posłuchu w społeczeństwie: starym zwyczajem słowiańskim przyznawano jej słusność, ale wszystko pozostało po dawnemu — już Rej skarżył się, że Polacy przed południem kruszą się w kościele i gorzkie lzy ronią, a wieczorem znów pijani leżą pod ławami (str. 103); w końcu XVI wieku literatura polska zaczęła spadać z wysokości — bo kwiaty słowiański wtargnął i do tej dziedziny (str. 114); jeżeli w pierwszej połowie XVIII wieku nie doszło u nas do powstania chłopów, które, wobec bezbronności państwa szlacheckiego, mogłoby być rozszerzyć się do strasznych rozmiarów, zawdzięczamy to „rezygnacyi słowiańskiej i inercyi coraz to więcej głupiejącego chłopu“ (str. 195); historia Polski nie obfituje w sceny dramatyczne, konflikty tragiczne: jej cechą znamioną jest, że wszystko zatrzymuje się zawsze w pół drogi, że nawet bunty i zamachy stanu kończą się zawsze „w sposób szlachecko-polsko-narodowy“, to jest nigdy do końca nie dobiegają (str. 566) i t. d. Takich gorzkich słów prawdy pełno w dziele prof. Brücknera, który nic nie obwija w bawełnę.

Ale i o Niemczech nie zapomniał autor. Przyznaje im chętnie wszystko, co im się należy, a więc przedewszystkiem pracę i wytrwałość; powiada naprzykład, że spolonizowani mieszczanie niemieccy

stracili w Polsce przynioty swej rasy, a przejęli się wadami polskimi: pracowitość, wytrwałość, zamiłowanie porządku, dzięki którym miasta były niegdyś wielkie, piękne, bogate, przepadły, a od Polaków wzięli ci mieszczaństwo nie miłość niezależności, nie zręczność, nie lotność umysłu, ale niedbalstwo, wstręt do wysiłków, pragnienie użycia (str. 124). Lecz i innych zalet narodu niemieckiego nie ukrył autor pod korcem: szkoły niemieckie nie po to istnieją, aby kogokolwiek do nauki zachęcać (str. 306); już w wieku XVIII płacił rząd niemiecki nauczycielom i duchownym premia za wynarodawianie dzieci na Szląsku (str. 474); polska nauka historyczna, obok zwalczania przesadnej apoteozy przeszłości, ma jeszcze inne wdzięczne zadanie: zburzyć mnóstwo legend, które wymyślono dla oczernienia historii polskiej i t. d. Niejednokrotnie też wspomina autor o podłej i przewrotnej polityce Niemców względem Słowian, polityce, której hasło „ausrotten“ urodziło się nie dziś i nie sto lat temu, ale przed wiekami.

Jakiem sercem przyjmie pracę profesora uniwersytetu berlińskiego społeczeństwo niemieckie? Jak i czy oceni ją krytyka niemiecka? Czy i w dziele nauki i prawdy będą hakatyści wietrzyli intrygę polską? Nie wiemy. Wiemy to tylko, że autor właśnie dlatego, iż szedł drogą prawdy i nauki, dowiódł Niemcom słuszności tych słów, któremi swą książkę zakończył: *e pur si muove*; więc, jeżeli przyjmą ją niechętnie, to dla tego przedewszystkiem, że prawda w oczy kole.

IGN. CHRZANOWSKI.

AUTOR.¹⁾

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

VIII.

„Ze stu nadesłanych na konkurs powieści, godną nagrody okazała się tylko praca pod godłem: „Honor“. Po otwarciu koperty dowiedzieliśmy się, iż autorem jej jest nieznany dotąd na polu literatury, pan Kazimierz Bielski, którego dla braku adresu niniejszem upraszamy o jak najrychlejsze zgłoszenie się po odbiór pieniędzy, jak również omówienie warunków, na jakich powieść mogła-by być wydrukowana w łamach naszego dziennika“.

W cukierni między jednym łykiem czarnej kawy a drugim, Kazimierz przeczytał te słowa. Nie zdziwiły go one zupełnie. Zdawało mu się, że wiedział o nich oddawna, że raz już kiedyś,—nie umiał dokładnie określić czasu: wrażenie ginęło w pomroce mgły szarej — przeżył podobną chwilę. Nie napelniła go radość gwałtowna, szalona, jaką wczoraj jeszcze, a nawet dziś, przed godziną, wyobrażał sobie na myśl, iż może otrzymać nagrodę i zdobyć sławę w ciągu kilku godzin...

Niepokój, gorączka, trwoga, nadzieja i oczekiwanie, jakimi żył cały rok blisko od chwili przesłania powieści na konkurs, ustąpiły naglej martwocie uczuć. Było mu, jak bywa nieraz w przyrodzie, kiedy po gwałtownym huraganie zawiśnie wielki spokój w przestrzeni, i ani świeci słońce, ani deszcz pada; kiedy roje obłoków, jak wielka szara opona, rozpięta od krańca do krańca widnokrzęgu, jednolitością

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy, str. 346.

barwy wywołuje nastrój zobojętnienia. Było mu wszystko jedno: dostał nagrodę, czy nie?.. Co go to mogło obchodzić?..

Wypił kawę, zjadł kilka ciastek. Nie zamierzał iść zaraz po odbiór pieniędzy. Co w tem pilnego? Nie zgina.

Powolnym krokiem, zapiąwszy szynel pod szyję, wyszedł z cukierni. Podążył w aleje. Dochodził do wielkiego placu z murowanym kościołem, gdy w mózgu jego zaczęło budzić się zdziwienie.

— To ty, naprawdę, ty dostałeś nagrodę?.. I nie cieszysz się, nie waryujesz z radości?..—zapytała naraz jedna myśl, czająca się cicho, ostrożnie, jak wypuszczona z klatki mysz biała.

Za nią druga, trzecia i czwarta powtórzyły pytanie, aż głowę napełnił szum tysiąca jakby tych białych myszek, które zaczęły tańczyć, skakać i szaleć pod czaszłą, przyprawiając go niemal o utratę przytomności.

Huczalo mu w skroniach, jak po zażyciu chininy; czuł nawet gorzki smak w ustach, mimo to nie przyśpieszał kroku, i z obojętnością starego emeryta, wolno, leniwie szedł naprzód. Nie mógł cieszyć się... Czemu? Przecież miał dowód zwycięstwa swego przy sobie w kieszeni, wyszedłszy z cukierni bowiem, kupił gazetę, w której go wzywano, a jednak... nie doznawał żadnych wrażeń...

Czyżby wszelkie szczęście obezwładniało tak samo, jak ból i cierpienie?

Szedł coraz wolniej, coraz obojętniejszy na wszystko. Wtem pomyślał:

— A jeżeli przez pomyłkę, lub złośliwy figiel wystosowano do mnie odezwę w gazecie; czy nie powinienem jak najprędzej przekonać się o tem?

Który z kolegów mógł przekupić jakiego reportera... Marecki pierwszy był-by zdolny do tego, a on, zdaje się, przeczuł subtelnym swym instynktem udział jego, Bielskiego, w konkursie...

Jeżeli tak jest rzeczywiście, jeżeli postanowiono zabawić się tylko kosztem jego nazwiska, oh, w takim razie on żartu tego nie przeżyje...

Drżąc cały, wyciągnął z kieszeni zegarek i spojrział na wskazówki. Było już blisko siódmej. Może zdąży jeszcze do redakcyi i zostanie tam kogo?

Zawrócił się; zaczął biedz pędem. Naraz przyszło mu do głowy, że jest śmieszny. Coby powiedziano o nim, gdyby tak nagle, tego samego dnia zaraz zgłosił się po pieniądze?.. Wzięto-by go za chciwca albo za nędzarza...

Zwolnił kroku, postanawiając zajść do redaktora nazajutrz dopiero koło południa; mimo to wszakże nie podążył do siebie, lecz skręcił w ulicę, prowadzącą do biura redakcyi.

Co myślał przez następną chwilę, tego sam nie wiedział. Szum z głowy przeniósł się do serca i rozsadał mu piersi. W całej swej istocie uczuł nagle jakiś dziki, zgiełkliwy chaos. Znikała męcząca pustka, wraz z nią jednak tracił i ten bierny spokój, który podtrzymywał go dotąd w stanie automatycznej równowagi. Przekonać się jak najprędzej, czy ogłoszenie tygodnika było prawdziwe, czy też zmyślane, o to tylko chodziło mu teraz...

Stał wreszcie przed bramą redakcyi, gdy wtem napadła na niego z tyłu cała gromada mężczyzn, z których jedni rzucali czapki w górę, inni powiewali chustkami, reszta zaś machała rękoma w powietrzu.

— Bielski!. Egos!. Korniszou!.. — zahuczały głośnie okrzyki.

Kazimierz odwrócił się i ujrzał dwunastu przynajmniej Chwastów, otaczających go zewsząd!

— Czaturujemy tu na ciebie. Biś po kolei obleciał nas wszystkich, by opowiedzieć o twojej nagrodzie. Wiedzieliśmy, że nie wytrzymasz i dziś jeszcze pójdziesz po fajgle do budy. Założyliśmy się wszyscy z Faberem o antalek piwa, że nie wytrzymasz do jutra. On jeden tylko dowodził, że ci nigdy do niczego nie pilno. Wiwat!.. Brawo!.. Futro stawiasz trzy garnce nalewkil.. Dziś my fundujemy... Jazda!.. z nami!.. Strąbisz się na całego raz w życiu przynajmniej!.. Redakcyja zamknięta, burej myszy niema... Do knajpy!.. Rzesza stawiał.. — krzyczęli jedni przez drugich chórem, ciągnąc go z sobą: Piś i Biś dwaj najruchliwsi z Chwastów pod ramiona, Żozefna za jedną, Faber za drugą połą szynela.

Wśród krzyku, śmiechu, hałasu, doprowadzono go do placu, gdzie, dla uświetnienia uroczystości, zawołano cztery jednokonki i, po trzech na tylnem siedzeniu, z laureatem na czele, wyruszono do knajpy, w której co wieczór zbierała się cała gromada studentów.

— Chapeaux bas! — krzyknął Prefekt, wprowadzając wraz z Hirszem Kazimierza pod rękę na próg pierwszej dusznej, zadymionej sali, w której migaly szeregi mundurów.

— Oto macie zjawisko niezwykle: nie małpę z kocim ogonem, ani tresowanego słonia, ani karła z lwią grzywą, ani murzyna, który bez rąk maluje, a bez nóg chodzi. Panowie, oto macie człowieka, który przez rok nie jadł, nie spał, nie gadał, nie pił, tylko smarował wielkie dzieło, i gdyby nie zamknięta buda, był-by dziś jeszcze właścicielem okrągłego tysiąca pekuniów... Panowie, laureat w tej chwili goły, jak panienka po wyjściu z kąpieli, jutro jednak stawia... Uczcijcie go przez powstanie! Kazimierz Bielski, słońce literatury, duma

Chwastów, do których należał przez trzy doby, jest tu przed wami i czeka na oznaki honorów.

Zrobił się nagły ruch.

— Dajcie go tu!.. Warto takiego pomidora obejrzeć zblizka!.. Co? To ten wyskrobek tak sobie ma nabić kabzę jutro?.. A niech go... Ciekawa bestya!.. — wołano, otaczając ze wszystkich stron Kazimierza, popychając go w tył, w boki, naprzód, tak, że ani spostrzegł, jak dostał się do drugiej sali, gdzie jeszcze było ciasniej, jeszcze duszniej, jeszcze więcej mundurów i dymu, aniżeli w pierwszej, i gdzie na basowy okrzyk Fabera: „To Kazimierz Bielski, laureat, autor nagrodzonej dziś na konkursie powieści!..“, porwano go na ręce i zaczęto rzucać aż pod sam sufit.

Kazimierz nie wiedział, co się z nim dzieje? Dławilo go powietrze, odbierały mu przytomność krzyki, hałas i wycie kilkudziesięciu naraz gardel.

Hirsz zawołał wreszcie: „Piwa!..“. Prefekt dodał za nim: „Przekąsek i wódki!..“. Przy wielkim, szarą ceratą nakrytym stole, usiedli Chwaści: reszta studentów otoczyła ich kolem. Posypały się koncepty, dowcipy, mówki. Kolo północy wręczono kufel, pełen piwa, Kazimierzowi, i kazano wystąpić mu z oracyą.

— Nie puścimy ciebie, dopóki nam czego nie zaszczębioczesz! — wołali Żiul i Żozefina, podchmieleni, z błyszczącemi, śmiejącemi się oczyma i czerwonymi plamami na policzkach.

— Nie puścimy! — huknął Faber tubalnym swym basem.

Kazimierz wstał. Błady, z mętным wzrokiem i nabrzmiałemi w ciągu paru godzin policzkami, z ciężkiem, sennem spojrzeniem wznosił kufel do góry.

— Jazda. śmiało, prędzej! — wołali, trącając go w łokcie Hirsz i Prefekt.

— Panowie, słów mi nie starczy na wypowiedzenie, ile rozkoszy, ile radości, nie, ile... głębokiego, prawdziwego zadowolenia, nie... ile... ile .. przyjęcie wasze... sprawiło mi..

Słowa utknęły mu w krtani. Hirsz i Prefekt kopali go z całych sił w bok, w ramiona, w biodra, nie pomagało. Policzki i wargi jego bladły coraz bardziej, krew spływała z twarzy. Robiło mu się dziwnie słabo; czuł mrówki wzdłuż ramion, piersi i pleców. Stół, sala, kędzierzawe głowy kolegów, płomyki lamp i kinkietów, kawałki niedodjedzonych wędlin, bułek, sera, wszystko to wirowało mu w oczach. Wreszcie nogi pod nim zdrząły, zachwiał się i upadł w tył, nie wypuszczając z rąk kufła piwa, które zalało mu czoło i włosy. Zemdlał. Koledzy zaczęli go cucić. Faber odtrącił wszystkich i, huknąwszy z całych sił: „na powietrze!“, schwyił go w ramiona i, jak dziecko,

wyniósł do sieni, gdzie owiało ich powietrze chłodnej, kwietniowej nocy. Kazimierz prawie odrazu otworzył oczy i cicho, głosem kwilącego niemowlęcia, jęknął:

— Do domu!..

Zawołano dorożki. Faber i Żozefina wsiedli z nim razem. W drodze postanowiono darować mu knajpę jutrzejszą, zapowiadając wszakże, iż po tygodniu funda go nie minie.

Z głową ciężką i osłabieniem całego ciała Kazimierz wstał nazajutrz i poszedł do redakcyi. Nic go już nie cieszyło, nic nie bawiło, czuł się chorym i tak dalece bezsilnym, iż doznawał wrażenia, jak gdyby nie on sam, lecz ktoś inny za niego stąpał, mówił, myślał. W redakcyi zastał sekretarza, który, usłyszawszy nazwisko jego, zasypał go potokiem życzeń i pochwał.

— Taki młody i już laureat!.. No, no, musisz pan bardzo pielęgnować swój talent, żeby nie wysilić go zbytęcznie... Łatwo, napisawszy pierwszą rzecz, tak genialną prawie, nie stworzyć już nic więcej, albo tylko same miernoty,—powtarzał, przeplatając uwagi te wybuchami coraz nowych komplementów, na które Kazimierz nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Nadszedł wreszcie i sam redaktor. Rzuciwszy na stół plikę papierów, które przyniósł z sobą, spojrział badawczo na rozmawiającego z sekretarzem nieznanego.

Kazimierz przystąpił do niego.

— Bielski, — rzekł, składając ukłon.

— Biel... a, bardzo mi przyjemnie!—zawołał niski, szczupły starsuszek, wyciągając doń rękę.

Przywitawszy się, odwrócił głowę szybko, sięgnął dłonią do bocznej kieszeni tużurka, wyjął coś z niej, włożył do ust nieznacznie, poczem raz jeszcze powtórzył:

— Biel... bardzo, bardzo mi przyjemnie...

Starsuszek różne miał przyzwyczajenia. Od lat wielu nosił przy sobie zawsze sztuczną szczękę, przeszkadzającą mu w ustach na stałe, bez której wszakże nie lubił ukazywać się ludziom, mało sobie znanym; od lat wielu również sympatyę swoją do osób, z którymi przestawał, zwykł był wyrażać powtarzaniem za niemi pierwszych zgłoszek ostatnich słów w zdaniu, mileząc przygniatająco, grobowo, impertynencko wobec tych, co budzili w nim niechęć.

— Siadaj pan! — zawołał, wskazując Kazimierzowi miejsce wprost biurka, przy którym zajął wolny fotel.

— Taki młody! — dodał, wpatrując się w przybysza badawczo.

Czas jakiś trwało milezenie. Redaktor przerwał je pierwszy.

— Powieść pańska ma tak wielkie zalety,— rzekł,— że nie przepuszczałem, aby mógł ją napisać ktoś w wieku pana. Dziwne to, dziwne rzeczywiście!.. Różne są drogi talentów. Oszczędzaj się pan teraz: nie pisz jakiś rok, dwa lata, żeby nie wysilić umysłu... Bardzo łatwo przepracować się... Nie słuchaj pan pokus ambicyi, oh, to bicz boży na talenty!.. Marnuje i osłabia co najlepsze!.. Szkoda tracić taki skarb, jaki pan masz!.. Niebezpiecznie wydać na świat pierwszą pracę podobnej wartości: można już nie napisać potem, albo też same lichoty... Wiem to, wiem z doświadczenia...

Kaszel astmatyczny, którego ataki napadały go co kilka godzin, przerwał mu dalsze słowa. Sponsował cały, oczy krwią mu nabiegły, dusił się. Głośne rżenie, jak chór orkiestry, grało mu w piersiach. Wstał, podszedł do okna, otarł pot z czoła.

Kazimierz nie patrzył na niego. Zdawał się nie widzieć, nie słyszeć. W myśli utkwiły mu wyrazy:

— Strzeż się, możesz nie napisać już nic więcej!

Jakto, on miał-by poprzestać na tej nędznej ramocie, do której przystąpił z bezwładną jeszcze, w powijaki własnego niedołęstwa wciśniętą myślą, dyktującą mu nie to, co on sam chciał napisać, lecz co wprost do ucha szeptały mu obce jakieś głosy? On... miał-by nie stworzyć już nic więcej?..

Wpadł w głucią, posępną zadumę. Dokoła niego wrzało, kipiało życie wielkiego dziennika, wysysającego krew z żył i mózgu a dającego wzamian tylko żądzę głodnej wiecznie ambicyi, którą drukowane codziennie bezimienne artykuły drażnią i podniecają, nie zaspakajając nigdy. Co chwila ktoś wpadał. Rzucano na stół sekretarza to li-sty, tylko co ze skrzynki wyjęte, to gazety z zakreślonymi niebieskim ołówkiem felietonami, to arkusze, lub długie, wązkie kawałki papieru z korektą, to wreszcie paki rękopisów.

Kazimierz nic nie dostrzegając, z niczego nie zdawał sobie sprawy. Naraz z zamyślenia obudził go głos redaktora Zawiejskiego.

— Chodź pan ze mną do mojego pokoju!.. Pogadamy tam dłużej. Wydam panu asygnację,— rzekł, pokaszlując już coraz rzadziej i tylko głośnie rżeniem zdradzając resztki męczącej duszności.

W tej chwili z sąsiedniej sali wszedł młody człowiek o bladej twarzy i jasnych, jak len, włosach, o błękitnych oczach barwy pierwszych niezapominajek.

— Panie Wirski, — zawołał, zwracając się do niego Zawiejski, — proszę nie zapomnieć o ponumerowaniu telegramów; wczoraj dwa razy powtórzono jeden i ten sam niepotrzebnie.

Wirski skłonił się, nie odpowiadawszy.

Zawiejski wstał, dając znak ręką Kazimierzowi, aby podążył za nim. Minęli dwa pokoje, zastawione stołami, przy których pracowało po paru mężczyzn, i zawieszone półkami, pełnymi papierów; minęli wążki korytarz i znaleźli się w dużym, widnym gabinecie, gdzie obok wykwintnego biurka, miękkie, ceratą kryte meble zachęcały do dłuższego wypoczynku. Redaktor zaczął rozpytywać Kazimierza o rodzaj jego zajęć, miejsce urodzenia, stosunki rodzinne i stan majątkowy. Zaciekawiał go ten wąty, jakby blizki suchot młodzieniec, którego twarz ściągła, kredowo-błada i mętna, zalzawione oczy ujawniały wielkie zmęczenie.

— Pan musisz dużo pracować? To niedobrze. Trzeba ćwiczyć ciało przedewszystkiem; masz pan żywy przykład ze mnie, co robi życie siedzące, — rzekł, zakaszlawszy się znowu.

— Ile godzin dziennie bywasz pan zajęty? — spytał po chwili.

— Czasami szesnaście i osiemnaście na dobę, czasami zaś, ot jak teraz naprzykład, nic nie robię, z nudów chodzę na kursa.

— Kur... jakie?

— Przyrodnicze.

— Rodni... Hm, po skończeniu trzeba-by przestudować filozofię... Tak, tak, nie będziesz pan dobrym autorem, nie poznawszy z gruntu tej pani... Ładna to dama... Boże, co ja-bym dał za to, żeby mózł ją częściej odwiedzać!.. Przyjdź pan do mnie, do mieszkania, dam ci trochę książek. A teraz powiedz mi, jakie masz plany na przyszłość?

Kazimierz spojrział nań zdziwiony.

Jakie plany?.. Ależ pisać jak najwięcej, coraz gwałtowniej, coraz natarczywiej dobijać się tej sławy, której pierwsze błyski już dlań zajaśniały, a potem—żyć, napawać się wielkiem szczęściem, jakie daje poczucie własnej wyższości..

Zaczął coś mówić o sobie ogólnikowo, niewyraźnie, gdy wtem zastukano do drzwi, a na pytanie Zawiejskiego: „kto tam?“, służący oznajmił, iż jakiś bardzo pilny interesant czeka od kwadransa, a także dwie panie autorki, obywatel z prowincyi i aktorka z teatru przyszli przed chwilą i chcą koniecznie widzieć się z samym panem redaktorem.

— Aha, dobrze, dobrze, proś po kolei! — odparł Zawiejski i pośpiesznie na wyjętym z pod przycisku blankiecie napisał słów parę.

— To dla pana, — rzekł, zwracając się do Kazimierza. — Idź z tem do kasy, wypłacą ci dziś jeszcze należność. A, prawda, nie mówiliśmy jeszcze o warunkach druku: po pięć kopiejek od wiersza i pewne, konieczne zmiany w tekście... czy zgoda?

— Na cenę zgoda, ale zmiany...

— Zmia... tak, tak, to bezwarunkowo: młodość podyktowała panu niektóre zbyt realistyczne wyrażenia i zbyt materyalistyczne poglądy, pomówimy o tem innym razem... Przyjdź pan jutro, pojutrze... Dziś nie mam czasu... ani chwili...

W istocie, zwiastowany przez służącego interesant stał już w progu. Zawiejski z roztargnieniem podał rękę Kazimierzowi. Zajęły go już inne sprawy. Wchodzący gość przynosił opracowany jak najdokładniej projekt możliwie dostępnego zakładania przy szkołach ludowych czytelnicy, co w tej chwili stanowiło zagadnienie na czasie.

Wyszedłszy na korytarz, Kazimierz usłyszał dźwięki niezmiernie ożywionej rozmowy, w ciągu której Zawiejski powtórzył kilkakrotnie:

— Oh, to ważne, bardzo ważne.. Nic bardziej nad to nie powinno nas zajmować obecnie.

Zapomniano o nim, laureacie, któremu zdawało się, iż w tej chwili powinien być osiłą wszystkich rozmów!

A jednak czekały na niego owacye. W pokoju sekretarza obstępiono go ze wszystkich stron. Ten wymieniał nazwisko swoje i, podając obie ręce, winał zwycięstwa; ów proponował bibkę u Brajbisza, gdzie tego dnia właśnie schodziło się grono literatów. Pytając przytem o wiek, miejsce urodzenia, imię ojca i matki, plany na przyszłość Kazimierza, zapisywał skrzętnie w reporterskim notesiku wymijające jego odpowiedzi; ktoś trzeci wreszcie, wsuwając mu w rękę bilet wizytowy z adresem, zapraszał do siebie.

— U żony mojej zbiera się co sobota „nasze“ kółko: trochę literatów i artystów; przyjdź pan koniecznie!.. Jutro właśnie spodziewamy się więcej osób... koło siódmej czekamy pana... poznać kilku kolegów, no, i parę koleżanek...

Po kwadransie przeszło rozmowy, uścisków, czczych obietnic, Kazimierz wypadł z redakcyi, odurzony.

W głowie męciło mu się od tysiąca wrażeń, doznanych w ciągu godziny. Był-by chciał jak najprędzej dobiec do domu, rzucić się na łóżko i rozmyślać o tem, co widział i słyszał dzisiaj. Gdy wręczono mu w kasie tysiąc rubli, wziął je, jak nie swoją własność; były dlań obce, nie mógł cieszyć się niemi. W domu dopiero, wydostawszy pieniądze z pugilaresu i obejrawszy je ze wszystkich stron, powiedział sobie:

— To należy do mnie...

A po chwili spytał:

— Co ja zrobię z niemi?

Zamajaczyła mu myśl podróży, do której wzdychał niejednokrotnie. Objedzie świat cały, zaczerpuie mnóstwo nowych wrażeń, pozna wiele ciekawych rzeczy i—wróci bogatszy o całe setki obrazów, które spożytkuje w pracach swoich następnie.

W pracach... A może, rzeczywiście, nie napisze już nic więcej, albo też coś bardzo nędznego, jak przepowiadali mu równocześnie prawie, nie umawiając się, sekretarz i redaktor.

Wstał z krzesła. Doznał nagle wrażenia człowieka, któremu ręka wroga wepchnęła w piersi ostrze sztyletu.

On miał-by nie napisać już nic więcej, albo coś bardzo nędznego, on...

Chodząc po pokoju, szybko, gwałtownie, zaczął obmyślać plan nowej powieści, noweli, lub choćby tylko obrazka. Musiał rzucić go na papier w przeciągu tygodnia najdalej; musiał dowieść świata i sobie, że nie wyczerpał się, że na dnie jego duszy płonie żywa iskra władzy twórczej, której nic zagasić nie jest w stanie... Co on był-by wart bez niej?.. Co zrobiłoby z nim życie?..

Tego dnia nie jadł, nie spał, podniecony żądzą stworzenia nowego arcydzieła. Gdy nad ranem zmęczenie zaczęło kleić mu powieki, gdy zapadał w tę gorączkową, niesformną drzemkę istot, pracą mózgu wyczerpanych, wstrząsnął nim dreszcz silny; zdawało mu się, że coś podrzuciło ciało jego w górę, jak piłkę. Równocześnie, niewiadomo skąd, przyszedł mu pomysł, daleki od tych wszystkich, jakie snuł przez noc całą.

Napisze historię małej, złotowłosej dziewczki, która przyszła na świat błąda, wątła, jak zimowy bez biały, mówiąc smętnem spojrzeniem szarych swych oczu:

— Ja żyć nie będę...

Śpiewały jej ptaki, patrzyło na nią słońce, witały codzien kwiaty, rzucane na kołyskę ręką brata i matki. Kruchemi paluszkami podnosiła do ust róże i jaśminy, a smutne jej oczy mówiły:

— Ja żyć nie będę...

Była cicha, jak zmierzch zimowy, biała, jak płatki narcyza, smutna, jak niebo, gdy słońce zagasło; lubiła słuchać szmeru traw, pieśni matki, melodyi Chopina, ale wzrok jej ginał zawsze w przestworzach: przemawiała do niej nieskończoność, której nikt inny, prócz niej, nie słyszał...

Aż któregoś dnia — miała wtedy lat dziesięć i nie mówiła jeszcze ani słowa—drobne jej usteczka wyszeptaly: „tam, tam!..“ kruche paluszki wskazały dal otwartą; wyprężyła się, zesztyniała ramiona i stopy, wydłużyła się błąda twarzączka. Umarła. Rozwarte oczy,

oczy Hamleta patrzyły na linię ukośną, po której duszyczka mknęła w nieskończoność...

To był temat. Tytuł — „Moja siostrzyczka“. Marzył zawsze o siostrze. Cieniom tej, którą chciał kochać, a której nie miał nigdy, poświęcał drugą z kolei pracę swoją.

Dwa dni i dwie noce pisał ją, aż wytrysnęła z mózgu jego, jak kryształowe źródło, jasna i czysta. Rzuciwszy ostatnie słowo, odechnął.

A więc zdołał zadać kłam wróżbitom przyszłej swej niemocy... Czuł, że napisał rzecz dobrą, poetycznego uroku pełną, lepszą może od tej pierwszej, która zjednała mu sławę.

Sławę... sławę...

Czy on ją czuł?.. Czy widział?.. Czem była?.. Czy zdołała zmienić dotychczasowe jego położenie?.. Dala mu pieniądze... Ależ mógł żyć i bez nich: potrzebował tak niewiele!

Zdawało mu się niegdyś, że pierwsze fanfary chwały porwą go, uniosą w zaczarowany świat rozkoszy... Dziś... nie czuł nic więcej nad wielkie zmęczenie po trzech nocach niespanych i wielki głód po trzech dniach, w ciągu których, unikając zetknięcia się z ludźmi, mogącymi przerwać mu natchnienie, pił tylko mocną herbatę i jadł chleb suchy.

Skończywszy opowiadanie o „Małej siostrzyczce“, po raz pierwszy oddawna doznał wrażenia pewnego zadowolenia. Talent jego nie zamilkł, mógł wreszcie zasnąć spokojnie.

Zmęczony, rzucił się na łóżko i przespał półtóry doby, nie otwierając powiek.

Trzeciego dnia zbudziło go głośnie stukanie. Stróżka, zaniepokojona tem, że nie wpuszczał do siebie nikogo, ruszała klamką z całych sił. Prócz tego walił pięścią we drzwi Adam, pragnący złożyć bratu życzenia z powodu rozczonego po pismach zwycięstwa, od siebie, wujowstwa i... ojca, który dziś właśnie na jego ręce przesłał do starszego syna list, pełen czułości. Kolanami, łokciami i obcasami szturmowali także Faber, Hirs i Marecki, podążający z przypomnieniem przyrzeczonej fundy w knajpie.

Laureat wstał z głową ciężką i goryczą w ustach, osłabiony, jak po gorączce. Głód, podnieta, trzydniowe zamknięcie w dusznym pokoju, wyczerpały go; sen nie zdołał wyrównać poniesionych uszczerbków organizmu. Ledwie dowlókl się do drzwi, padł na ziemię zemdlały.

Łoskot walącego się ciała przeraził zebraną na korytarzu gromadkę.

— Wyrąbać drzwi! — huknął Faber.

Adam skoczył po siekierę na dół do stróża. W chwilę potem otoczono kołem nieprzytomnego Kazimierza. Rozcierano mu stopy, ręce, skronie.

Parę godzin minęło, zanim podniósł ciężkie, jakby zardzewiałe, powieki, nie poznając nikogo.

Chory był. Nie pragnął nic, prócz wielkiego spokoju, a tam, na wielkim, szerokim świecie, gdzie zapisywano całe szpalty pism o nim, gdzie nazwisko jego błąkało się na ustach najpiękniejszych kobiet, gdzie zazdroszczono mu tej wielkiej sławy, która blaskiem aureoli napelniła go nagle,—tam sądzono, iż on, jak wódz po skończonej walnie utarczce, oddaje się radości zdobytych tryumfów.

— Szczęśliwy!.. — szeptały usta panien, marzących o karierze głośnych aktorek, lub autorek.

— Szczęśliwy!.. — szepotali zawiedzeni w nadziei konkursowicze.

On... marzył tylko o spokoju i o tem, by jak najprędzej opuściły go te czarne postacie, które dostrzegał jak przez tumany mgły szarej, zasłaniającej mu oczy.

Hałasowały, krzyczały dokoła niego głośno, szarpiąc go boleśnie za ramiona i piersi, zadając mu pytania, kręcąc się, jak roje mrówek w zburzonym mrowisku...

Oh, to było strasznel..

IX.

Leżąc na łóżku i paląc papierosy, Kazimierz myślał:

— Jak szybko czas biegnie!—Osiem miesięcy, całe osiem miesięcy upłynęło od chwili, w której po raz pierwszy w dziennikach przeczytałem swoje nazwisko, a mnie zdaje się, że to tydzień zaledwie... Co zrobiłem odtąd? Jak sybaryta, snob, filister ostatni, karmiłem się dymem palonych przede mną kadzideł.

Co pozostało mi po nich? Senne odurzenie i pustka rozleniwionego mózgu: nic więcej. Czy takie tylko szczęście daje sława?

Przypominał sobie dzień po dniu historię swego życia od czasu bytności u redaktora Zawiejskiego. Kilka szybkich obrazów kolejno, jak paciorki różańca, przesunęło się przed nim.

Zmarszczył brwi na myśl o powiastce p. t. „Moja siostrzyczka,“ którą napisał w ciągu paru dni zaledwie i nie miał czasu nawet przej-

rzeń jej, wyrwano mu ją bowiem gwałtem prawie, gdy był chory jeszcze, bezsilny wobec nalegań redaktora.

Wydrukowana w jednym z najbardziej poczytnych tygodników, podobala się więcej bodaj od powieści konkursowej. Dwie rzeczy tak różne: tam realizm, który tylko chwilami w świetlanej postaci matki nabierał uroku poezji—tu dekadenski mistycyzm w każdym niemal wyrazie.

Wrzało przez całą zimę w salonach. Dwa odmienne kierunki w jednym, tak młodym talencie: co będzie dalej? — jak skryształizują się ostatecznie twórcze porywy początkującego autora? — pytano...

Echa salonowych rozmów dochodziły do Kazimierza. Pośpieszał wówczas. Nie lubił myśleć o tej drugiej pracy swojej, napisanej w chwili wyjątkowej podniety, a puszczonej w świat prawie nieświadomie.

Stawiała go w sprzeczności z samym sobą, z materialistycznymi poglądami, którym holdował; tak samo, jak w sprzeczności z intencją, wołą i pierwotnym pomysłem postawiła go powieść konkursowa.

Co kierowało jego talentem? Przypadek, nie więcej.

Kiedyż zacznie wreszcie pisać tak, jak sam chce, czuje i myśli, nie poddając się pędowi z zewnątrz, prowadzącemu dotychczas jego pióro?

Palił papierosy nerwowo, gorączkowo, jak gdyby chcąc podnieść narkotyku zagłuszyć wrażenia rozpamiętywań.

Czas od chwili otrzymania nagrody za powieść konkursową przemknął dlań istotnie bardzo szybko. Dwa tygodnie chorował po owem zemdleniu, z którego wyratowali go brat i koledzy. Po dwóch tygodniach rozpoczął się wir zmiennych, jak w kalejdoskopie, wrażeń.

Koledzy w czasie uczty, którą im wyprawili, nosili go na rękach, dumni ze sławy jego.

Przebaczo mu wszystkie dawne urazy. Ludzie, którzy lekceważyli go niegdyś, teraz cisnęli się do niego, szczęśliwi, jeżeli zwracał na nich uwagę.

Ze wszystkich redakcyi przysyłano mu zaproszenia do współpracownictwa. „Przegląd“, jeden z najpoczytniejszych miesięczników, zamówił u niego powieść, przysławszy mu trzysta rubli zaliczki. Prócz tego codzień prawie przychodziły listy od wielbicieli i wielbicielki talentu, pragnących go poznać. Zajmowano się nim, wiedzano o nim. Imię jego biegło po świecie, wracając do niego echem upragnionego rozgłosu. Choćby nie napisał już nic więcej znanym i poszukiwanym zostanie na zawsze...

Na skrzydłach sławy, jak na obłokach wonnych, upajających kadzideł, kołysał się aż do zawrotu głowy. Czas jakiś nie myślał o dalszem tworzeniu: postanowił wypocząć i cisnąć się w wir towarzyskiego życia, którem gardził dotąd.

Przez trzy zimowe miesiące nie odrzucił ani jednego zaproszenia. Po salonach mecenasów literatury i sztuki, po gabinetach redaktorów i kolegów, po buduarach aktorek i artystek obnosił bladą swą twarz z wiecznem zamyśleniem mglistych szarych oczu, z zagadkowym milczeniem ust, odpowiadających tylko na konieczne pytania.

Tajemniczy, interesujący, nieodgadniony, był osiłą zebrań. Panie wrywały go sobie; mężczyźni patrzyli nań z pewnem zaciekawieniem, a on... zdawał się nie spostrzegać zwróconej na siebie uwagi i wodził po wszystkich obojętnym, znudzonym wzrokiem.

Z wiosną towarzystwo zaczynało go męczyć: wrócił do pracy, postanowił zdać egzamin z pierwszego kursu i zaczął się uczyć dniami, nocami całemi. Przeszedł już na drugi kurs... Swobodny zupełnie, myślał, co zrobić z latem, gdy w tem niespodziewanie dostał list od ciotki.

„Sądziłam—pisała pani Dorota—że przyjedziesz podzielić się z nami wrażeniem sławy i doznanych odznaczeń... Próżno codzień oczekiwaliśmy ciebie: nie odwiedziłeś nas, mimo iż przez brata posłaliśmy ci powinszowania...”

Czas wygląda wszelkie urazy. Wuj zapomniał i przebaczył ci niesforność młodości i bardzo pragnie zobaczyć ciebie.

Jesteśmy oboje chorzy i starzy: nie wiem, czy doczekamy następnej wiosny? Jeżeli nie masz projektów na lato, może zechcesz spędzić je z nami na wsi w majątku naszym, gdzie zapewnimy ci swobodę i spokój zupełny. Zastąpisz nam Adama, który parę miesięcy letnich pragnie poświęcić ojcu, a bardzo przyzwyczaił nas do towarzysztwa kogoś młodszego i weselszego od nas.

Śląc ci pozdrowienia, czekam na odpowiedź.”

Dorota.

W tydzień potem był już na wsi, gdzie spędził trzy długie miesiące.

Wuj, sparaliżowany od lat paru, przywiózł ze sobą pakę rękopisów, pamiętników, listów i odczytywał mu je kolejno, zasięgając zdania co do ich wartości. Schodziły na tem całe ranki; południa i wieczory wszakże miał zupełnie swobodne. Powinien był pisać. Z tym zamiarem przyjechał tutaj; dzień schodził za dniem jednak, a jego opanowywała coraz większa, coraz bardziej niepojęta niechęć do pióra.

Pierwsze chłody wrześnie i pogarszający się z każdą godziną stan zdrowia wuja, skłoniły ich do powrotu. I oto od tygodnia był znowu w Warszawie, w dawnym swoim pokoju na czwartym piętrze; od tygodnia mówił sobie:

— Trzeba zacząć pracować...

Szło wszakże niesporo. Chodził na kursa, czytał, myślał dużo, lecz do pióra czuł wciąż wstręt nieprzewyciężony. A jednak—trzeba było zacząć pisać.

Dziś, wypiwszy kilka szklanek mocnej herbaty, wypaliwszy niezliczoną ilość papierosów, podniecony, postanowił zasiąść do powieści, której plan przygotował sobie na wsi. Miał wykończyć ją za rok, tak zobowiązał się przy podpisaniu kwitu z otrzymanej zaliczki od redakcyi „Przeglądu“.

Czy spełni przyrzeczenie?

Pokój był przesiąknięty dymem, gdy wstał, aby zabrać się do roboty.

Otworzył okno, postął chwilę przy niem, patrząc na ruch uliczny i wyszukując w myśli przyczyn, które-by mogły opóźnić rozpoczęcie pierwszego rozdziału.

Ten początek... to były tortury!—czuł formalny ból fizyczny, przystępując do niego...

Wolno, jak przeznaczony na ścięcie skazaniec, podszedł do biurka. Dla oszukania samego siebie uznał przedewszystkiem za stosowne uporządkować papiery, do których nie zaglądał od czasu powrotu. Drąc jedne, chowając do szuflad inne, natrafił na list, rzucony między stos notatek, brulionów, powypisywanych z książek cytat. Otworzył go i zaczął czytać:

Kochany synu!..

Nie powinienem może pierwszy wyciągać do ciebie ręki, którą stale odtrącasz, powodzenie twoje wszakże skłania mię do przesłania ci wraz z innymi wyrazów uznania dla talentu twego, oraz życzeń, by sława, tak szybko zdobyta, nie stanęła w miejscu, jak to wróżą wszyscy, lecz niosła ci coraz nowe zwycięstwa i zdobycze.

Mógł-bym powiedzieć tutaj, iż łączę ojcowskie błogosławieństwo na dalszą drogę twego życia, wiem, wszakże, iż uważałyś je za czcze słowa jedynie, zniechęcony do mnie — czy ja wiem za co? — za kilka chwil lekkomyślności, którą już zmazałem pracą i życiem mojem obecnem...

Jeżeli zatęsknisz do uścisku ojcowskiego, znajdziesz go zawsze w moich ramionach, przy moich pierśsiach“.

— Takż to moja zemsta nad nim? — Nie pojął, nie zrozumiał, nie ogdał żądy jej... Pomyślał i, nie doczytawszy końca listu, zmiął kartkę, chciał rzucić ją na ziemię, podeptać nogami, lecz coś powstrzymało go od tego.

Może cień matki?..

Rozprostował zgniecioną kartkę i spalił ją nad płomieniem świecy. Gdy zostały już tylko strzępy wiotkiej, zwęglonej masy, opanował go wielki spokój.

— Spełniłem jej wolę... Ona staże zawsze między mną a nim, ilekroć chcę go znieważyć... czy on wart tego.

W sercu jego jeszcze wrzał bunt i gniew, nie śmiał jednak złorzeczyć ojcu: doznawał wrażenia, jak gdyby zasłoniło go widmo matki, broniąc przed każdą obelgą.

Chwilę przepędził w zamysleniu, poczem wstał szybko, przeszedł przez pokój i usiadł napowrót przed biurkiem. Czas było wreszcie zabrać się do pracy. Słowa listu ojca: „życzę ci, aby sława, tak szybko zdobyta nie stanęła w miejscu, jak przepowiadają wszyscy“ — paliły go zarzewiem. Musiał zadać kłam różnym złowróżbnym puszczykom, musiał dowieść, że rozgłos raz zdobyty nie gaśnie prędko...

Zrzuciwszy ze stołu całą masę książek, które mu przeszkadzały, rozłożył przed sobą arkusz czystego papieru, wziął pióro do ręki i napisał tytuł powieści: „Kto szczęśliwszy?“ Godzinę, może dłużej

gryzł koniec drewnianej obsadki, nim drobniem, gęstem piśmem zapelił pierwszą stronę.

Powinien był doznać wrażenia ulgi, lecz czuł tylko niesmak. Wyrazy, zdania, myśli rzucane na papier, podobne były do skrawków zatechłego gobelinu, którego dziwaczne wzory szydziły z jasnych obrazów jego duszy. Nie mógł uchwycić ich takimi, jakie miał w sobie. Twórczość wydała mu się naraz technieniem wielkiej bezcielesnej istoty, błędzącej po świecie i budzącej z uspienia mędrców, idyotów, geniuszy. Można mieć duszę, pełną skarbów poezji, wiedzy i myśli, przed kim nie stanie wszakże ów cień blady, wróżka-natchnienie, kogo nie dotknie niewidzialnymi usty, ten, jak pęknięta struna, musi milczeć.

Cisnął pióro z niesmakiem. Wstał. Chciał rzucić się na łóżko i czytać: w tem doleciało go lekkie, nieśmiałe pukanie do drzwi.

— Kto to być może?—pomyślał.

Koledzy Chwaści nie wiedzieli o jego powrocie ze wsi: zresztą rozbiegli się teraz po świecie, jak stado gołębi pocztowych. Marecki wyjechał na studia za granicę; Hirsz i Prefekt przenieśli się do któregoś z uniwersytetów w kraju nadbałtyckim; Piś i Biś przyjęli miejsca guwernerów, gdzieś w głębokiej Rosyi; Żiul, zaręczony z kuzynką swoją, opuścił stowarzyszenie już dawno; Żozefinę odciągnęła miłość dla jakiejś aktorki. Na dawnem mieszkaniu, strzegąc rumowiska, pozostał tylko Faber. Związek ustał zupełnie, zostawiwszy po sobie jedynie wspomnienia.

Pukanie rozległo się znowu.

— Proszę wejść!—zawołał Kazimierz.

We drzwiach, otworzonych ostrożnie, trwożliwie ukazała się młodziutka, zaczerwieniona i mocno zmieszana dziewczyna. Stała w prógu i, tchu nie czując prawie, spytała:

— Czy tu... tu mieszka pan Kazimierz Bielski, ten, co... pisze?

— Tak, tutaj. Czem pani mogę służyć?

— Czy to... to pan sam... pisze?

— Ja sam.

— Ah, Bożel..

Przeszła przez pokój. Nogi pod nią drżały, serce biło, jak młotem. Nie mogła stać i chwiała się, jak trzcina.

Kazimierz wskazał jej krzesło.

Usiadła na brzeżku i zasłoniła twarz dłońmi: wstyd jej było ciekawych, pytających oczu młodego autora.

Chwilę trwało milczenie.

Kazimierz przerwał je pierwszy.

— Co sprowadza panią tutaj?— zapytał, nie zdając sobie sprawy, czy we śnie, czy na jawie widzi tę szczupłą, jasnowłosą dziewczynę przed sobą?

Często, gdy był sam, obrazy rzeczywistości plątały mu się z maczajeniami duszy tak dalece, że, patrząc na dobrze nawet znane przedmioty otaczającego świata, brał je za halucynacje podnieconego mózgu.

Nieznajoma odjęła ręce od twarzy i, zalekniona, przez ściśnięte gardło szepnęła:

— Ja... ja przyszłam panu podziękować za „Moją siostrzyczkę.“ Wczoraj mi to dała do przeczytania jedna pani z tej kamienicy i powiedziała, że to pan napisał... Boże, jak ja się ucieszyłam, że ktoś, co pisze, tak blisko mieszka!—Zaraz zaczęłam czytać, a potem całą noc płakałam!

Zapatrzyła się w przestrzeń. Widmo dziewczynki z powieści zajrzało jej w oczy. Pełno go miała w sobie. Kołysało się nad nią. Żyła niem od wczoraj...

Chwilę milczała. Potem, otrząsnąwszy się jakby ze snu, zwróciła oczy w inny jakiś punkt i, ścigając coś nieuchwytnego, mówiła wolno, z roztargnieniem:

— Jak byłam dzieckiem, zdawało mi się, że tacy ludzie, co piszą, nie mogą żyć, że zaraz później umierają i nikt ich nie zna... Znowu pauza, a później szybko z ożywieniem:

— Taka ciekawa byłam pana poznać!—Dziś rano powiedziałam sobie, że pocichutku otworzę drzwi i tylko spojrzę, jak pan wygląda, ale potem wolałam wejść... Boże, jak ja się bałam!..

— Pani z tej samej kamienicy?..

— Tak, od tygodnia tu mieszkamy i zaraz naprzeciwko pana... prawie drzwi we drzwi... tylko przez korytarz... Jak ja się bałam!.. Ale teraz już przeszło...

Pełnemi odwagi oczyma zaczęła rozglądać się dokoła.

Kazimierz patrzył i myślał:

— Naprawdę taka naiwna, czy tylko udaje? — głośno zaś spytał:

— Więc rzeczywiście podobała się pani moja powiastka?—Jeżeli tak, mogę dać drugą...

— Oh dobrze, dobrze.—Ja strasznie lubię czytać! — zawołała, podniósłszy się z krzesła i chodząc po pokoju swobodnie już, jak gdyby była u siebie.

Na biurku poprawiła kałamarz, który stał krzywo; z pulki starła końcem fartuszką grubą warstwę pyłu i, podniósłszy wreszcie z ziemi stos rozrzuconych książek, ułożyła je na oknie.

Kazimierz, szukając w szufladzie odcinków pierwszej swej powieści, która za miesiąc dopiero ukazać się miała w książce, nie patrzył na nią przez chwilę.

— Panu co się zdaje, jak pan pisze? — spytała, podszedłszy do niego.

— Że jestem wiekim cymbałem, któremu warto co rano garbować skórę porządnie, aby się nie brał nie do swoich rzeczy...

— No, jakto można tak żartować ze mnie?—Ja chcę naprawdę wiedzieć, co się panu zdaje?—Jak pisałam wypracowania w klasztorze, to zawsze tylko myślałam, żeby stawiać przecinki tam, gdzie potrzeba, ale jak się tak opowiada o kimś, jak o tej małej siostrzyczce... to... chyba...

— Przecinki stawiają się same?—Tak, zapewne. Pani była w klasztorze?

Skinęła głową potakująco.

— Gdzie?—Za granicą?

— W Galicyi. Mój ojciec miał posiadłość we Lwowie. Dwa lata temu dopiero umarł. Od roku przeniosłyśmy się do Warszawy. Moja mama daje lekcye, a ja cały dzień robię koronki... Pan to widział kiedy? W taką ceratową poduszkę wpina się szpilki podług deseni, potem prędko, jaknajprędzej trzeba przewijać dokoła nich nici, albo jedwab, albo nawet wełnę zwiniętą na pałeczki. Może przynieść, pokazać?

— Nie, to później, którego innego dnia. Przecież mię pani odwiedzi jeszcze?

— O, tak, naturalnie!—Jak miło u pana! — Mnie się tak strasznie, ale to tak strasznie nudzi, jak siedzę przy tych koronkach i ciągle w kółko rzucam pałeczkami, że pewnie kiedy zwaryuję... Teraz, jak nie będę mogła wytrzymać, przyjdę do pana... Jak ja się bałam tu przyjść!—Boże święty, myślałam, że umrę, jak pan zapytał „kto tam“... Ale tak byłam ciekawa... Powiedziałam sobie, że muszę pana poznać... Mój Boże, pan taki sam, jak wszyscy, a ja wyobrażałam sobie...

Utknęła. Bujając się połową korpusu na krześle, przyłożyła dwa palce rąk złożonych do ust i wpadła w zamyślenie.

— Co pani sobie wyobrażała?

— Że tu taka jasność bije z każdego kąta pokoju; że nad pana głową, jak nad głową świętego, pływa wielka korona... Czy ja wiem! Zdawało mi się...—Ta mała siostrzyczka to aniołek.—Oh, jak ja płakałam!

Kazimierz, który przez cały czas rozmowy chodził po pokoju, teraz stanął nagle.

— Czy ona naprawdę taka naiwna?—zapytał znowu sam siebie, obrzucając badawczym wzrokiem szczupłą postać dziewczyny. Jeżeli tak, jeżeli nie udawała, znalazł w niej to, czego poszukiwał oddawna: znalazł typ do ostatniej swej powieści.

Chciał w niej zestawić grupę mózgowców z kilku typani prostych, nie filozofujących umysłów, którym wystarcza pokarm narzucanych wrażeń: nie szukają nic więcej, nie analizują. Cieszą się bytem samym w sobie i pytającymi, lecz nie zgłębiającymi oczyma patrzą na wszystko. Przyjdzie odpowiedź — dobrze, nie przyjdzie—odwracają myśl i żyją chwilą: lotne, skaczące ogniki... W głównym mózgowcu miał przedstawić siebie, za prostotą w najczystszej formie rozglądał się od pół roku, aż zesłał mu ją przypadek... Czyż podobna, aby wszystko, co mówiły te drobne, różowe usta, było zręczną grą sztuki aktorskiej jedynie?

— Jak pani na imię?—spytał, patrząc jej w oczy.

—Lola. A panu?—Ach prawda, Kazimierz, Kazimierz Bielski! Przecież czytałam to pod tytułem „Mojej siostrzyczki“—Tylko ja... ja myślałam, że człowiek żyjący nie może nazywać się tak, jak ten, co pisze...

W pojęciach jej Kazimierz-autor nie mógł być tym samym Kazimierzem, z którym rozmawiała, u którego była w tej chwili. Ilekroć przypominała sobie autora, sztywniała nagle. Wobec Bielskiego, zwykłego śmiertelnika, czuła się zupełnie swobodną.

Opowiedziała mu najdokładniej historię swoją i rodziców swoich. Przed paru laty jeszcze byli bardzo zamożni. Ojciec zajmował doskonałą posadę. Obiecywano jej bale, podróże, zabawy, zaraz po wyjściu z klasztoru i skończeniu lat osiemnastu. Przyszła choroba i śmierć ojca, nieprzewidziana przez lekarzy, nagła prawie. Musiały teraz pracować. Szczupła emerytura starczyła na opędzenie najpilniejszych potrzeb jednej osoby zaledwie... Matka dawała lekcye,—ona sprzedawała swoje koronki, po które co sobota przysyłano ze sklepu.

Kazimierz, patrząc na nią, myślał:

— Czy ja będę umiał opisać jej włosy, jej ciekawe, dziecinnie naiwne oczy, jej białą cerę z siatką niebieskich żyłek na skroniach, jej słodkie małe usteczka i ruchy łaszczącej się kotki?—Czy będę umiał opisać giest drobnych białych rączek o różowych, jak płatki róży, paznogiach, i żywe chwilami, chwilami smutne, jak u spłoszonej sarny, spojrzenia?

-- Pan mnie nie słucha?—Pan nie wie z pewnością, co ja mówię?—Prawda?—Może to panu przeszkadza, że ja tu jestem?—Boże,

coby na to powiedziała mamusia?—Codzien rano, wychodząc, powtarza mi „proszę cię, nie róób znajomości z nikim w tym domu.—Jakby kto przypadkiem wszedł do ciebie, przeproś, że nie możesz przyjąć... Najlepiej zamykaj się na klucz!“—W tamtej kamienicy nie znalazł nikogo; tu nie poznała-bym także, ale nie mogłam wytrzymać.—Czy to tak bardzo źle, że ja tu przyszłam?—Przecież nic mi się nie stanie: prawda?

— Ależ naturalnie, zawsze jednak mama nie pozwoliła-by na te wizyty...

— O! to też ja jej powiem dopiero za tydzień, jak już bardzo dobrze pana poznam... Żeby to tutaj był bujany fotel, tak, jak w gabinecie u ojca mojego, całemi godzinami kołysała-bym się w nim i opowiadała panu bajki. — Ojciec mój bardzo lubił słuchać... Przeczytałam wszystkie z całego bazarza i prawie, że umiem je na pamięć...

— A opowie mi pani chociaż jedną?

— Dobrze, nawet zaraz... Tylko... wolała-bym w bujanym fotelu... to tak przyjemnie!

— Jutro będzie go pani miała, a dziś... dziś proszę o początek bajki.

Podszedł do niej; podniósł ją z krzesłem w powietrzu do okna, usiadł na ziemi u nóg jej i, patrząc w oczy dziewczyny, powtarzał:

— Czekam... czekam.

Przytknęła do ust dwa palce rąk złożonych i, kiwając się połową korpusu, myślała, jakąby bajkę opowiedzieć? Najlepiej lubiła o lampie Aladyna, ale ta była długa: może nie zdąży, nim matka wróci z lekcji na obiad, który stróżka przynosiła im z restauracji..

— No, to powiem dziś o trzech królewnach, zamienionych w białą, ponsową i czarną różę, i o trzech królewiczach, zaklętych w żółte, karmazynowe i nakrapiane motyle: dobrze?

— Ależ naturalnie, słucham!

Zaczęła mówić, kiwając się już nie tylko połową korpusu, ale i nogami, które nudził bierny spokój. Wydawała się zawieszonym na gałęzi ptakiem, którego świergot napelniał pustą przestrzeń nad urwiskiem.

Jeden ruch nierozważny, jedno niebaczne spojrzenie, a mógł osunąć się w przepaść. Szary wróbelek nie wiedział o tem i świergotał swobodnie bez trwogi, a świergot ten przelewał się, drzał, wibrował zmienianą co chwila modulacją.

Bohaterom dobrze: głos Loli brzmiał, jak dzwon niedzielny, spokojną radością.

Nieszczęście im grozi: czai się ku nim paszeza stugłowego smoka, parska i zieje zniszczeniem—dzwon jęczał na smętek, trwozę, jak w wielki piątek.

Właśnie złotemu motylowi miała objawić się piękna, jak jutrzenka, dyamentami obsypana, królowna—biała róża, dzwon z powagą i godnością wybijał wielką godzinę—w tem na schodach dał się słyszeć odgłos powolnych, ciężkich, zatrzymywanych na każdym stopniu kroków.

— Mama idzie!—krzyknęła dziewczyna, przerwawszy zaczęte zdanie w połowie, skoczyła z krzesła i wybiegła.

Kazimierz rozejrział się po pokoju, zdumiony, ogłuszony wszystkim, co zaszło. Chciał zacząć pisać na nowo, ale nie mógł: myśl jego, jak zaklęta, obracała się wciąż dokoła jasnowłosej dziewczyny, bez której samotna jego izdebka wydała mu się dziwnie pustą, głuchą i nudną.

Tego wieczora jeszcze pobiegł do wuja, gdzie miał złożoną część pieniędzy konkursowych i całą zaliczkę z „Przeglądu“. Pod pozorem, iż potrzebuje nabyć kilka książek, wziął dwadzieścia pięć rubli i udał się do składu mebli po fotel biegunowy, a także niski stołeczek, na którym, u stóp Loli, chciał słuhać bajek.

Dziwnie był podniecony. Zdawało mu się, że wstępuje w nową fazę życia, w której miało go spotkać coś niezwykłego. Ta dziewczyna... Do tej pory nie znał prawie kobiet. Te, które miał w swoich objęciach, sprawiały mu wstręt niewysłowiony. Myślał o nich z obrzydzeniem, a raczej usiłował nie myśleć wcale...

Lola... Nie, ona była inną od wszystkich; nie przypominała ani flirtujących i naiwnych na urząd salonowych panien, ani dziewcząt, które każą sobie płacić za chwile rozkoszy. Biła od niej jakaś świeżość i czystość dziewicza, było młode, bujne, porywające życie. Czy przyjdzie jeszcze?.. Czy będzie mu opowiadała bajki, swoim czystym, dźwięcznym głosem, który miał w uszach, w sobie całym, jak muzykę? Nie spał całą noc z cichego radosnego upojenia. Nazajutrz czekał od rana.

Nie przychodziła. Wmawiał w siebie, że mu to obojętne, że nie myśli o niej. Brał książkę, chciał czytać; wypadła mu z ręki. Chwytał za pióro i nie mógł pisać... Spoglądał co parę minut na drzwi. Za najmniejszym szelestem na korytarzu sądził, iż słyszy jej kroki.

Około czwartej wreszcie ktoś, jak mótł, przyfrunął do niego, zasłonił mu oczy dłonią i głosem rozpieszczonego dziecka spytał:

— Kto to?

Schwycił ją w pól, ucałował obie ręce, i przeniósł na fotel pod oknem.

Usiadłszy przy niej na niskim stołeczku, słodko, przeciągle, głosem, który zadziwił jego samego, prosił:

— Skończmy wczorajszą bajkę!..

Nie chciała kończyć: wołała rozpocząć nową o śpiącej w szklanej trumnie królownie i o rycerzu, co zbudził ją wyciągnięciem szpilki ze złotych włosów. Szary zmierzch zapadał, gdy bujając się, z głową w tył przewieszoną i przymrużonemi oczyma, mówiła wciąż szczerze, naiwnie.

W Kazimierzu budziły się wspomnienia. Ujrzał wyraźnie bladą twarz matki, którą brał niegdyś za śpiącą królowę, ujrzał bujne, jasne jej włosy.

Żal ścisnął mu serce.

— Czemu, czemu myślę o niej tak rzadko?—zapytał sam siebie i z wdzięcznością spojrzął na Lolę, która mu ją przypomniała.

— Będzie pani przychodziła codzień? — spytał, biorąc obie jej ręce.

Skinęła głową potakująco i ciągnęła dalej rozpoczętą bajkę. Kazimierz słuchał w zachwycie.

Czy ja zdołam przedstawić wdzięk jej i prostotę? myślał, pijąc oddech dziewczyny.

Dotrzymała słowa i zaczęła przychodzić codzień z niewyczerpanym zapasem bajek. Była coraz piękniejsza i coraz śmielsza; mogła budzić szały zachwytów i miłości. Kazimierz nie widział w niej jednak świeżej, młodziutkiej, uroczej istoty, lecz tylko typ do przyszłej swej powieści. Notował skrzętnie w pamięci każdy jej ruch, każde spojrzenie, zapisywał sobie szczerze, naiwne spowiedzi różowych ust.

Któregoś dnia—było to już po dwóch tygodniach znajomości.—Lola wpadła do niego wcześniej, niż zwykle. Jak Carmen, miała kwiat w ustach i, zaróżowiona, podniecona, błyszczącym wzrokiem zdawała się mówić:

— Bierz mię, całuj!

Kazimierz schwycił ją w pól i, śmiejąc się, zaczął obrywać wargami płatki róży, jeden po drugim, a gdy pozostała naga szypulka, wyjął delikatnie i, jak gdybyszukając dalszych listków, dotknął ustami jej ust. Płomienie zalały twarz dziewczyny, ale się nie cofnęła. Przymrużywszy oczy, przegięta na ramieniu jego, piła chciwie słodczy pierwszego pocałunku.

W chwilę potem wziął ją na kolana, jak dziecko i, bujając się z nią w fotelu, spytał:

— Skąd wzięłaś tę różę?

Zmieszana, zawstydzona, drżąca jeszcze pieszczotą i wzruszeniem, spojrzała na niego, jak gdyby nie był już tym wczorajszym Kazimierzem, lecz kimś zupełnie obcym, a jednak tak drogim, tak upragnionym, że rwały się ku niemu usta i oczy.

Cicho, z pewną trwogą odpowiedziała, że przysłał ją przez matkę jakiś młody człowiek, pragnący bywać w ich domu... Dodała przytem natychmiast, że nie zna go wcale i nie chce go poznać...

Kazimierz powiódł po niej sennym, leniwym wzrokiem. Dziwna rzecz: nie doznał zazdrości... Cóż mu to mogło przeszkadzać, że ktoś stara się o nią, ktoś chce wziąć ją za żonę! Aby tylko przychodziła codziennie do niego, opowiadała bajki i pozwalała patrzeć na siebie, nie żąda od niej nic więcej...

Niech wyjdzie za mąż: nie będzie stawiał oporu, lecz nie teraz jeszcze; później, później trochę... On nic więcej nie pragnie, jak tylko wchłonąć ją w siebie, przeniknąć nawskroś czar jej prostoty i urok dziewiczego wdzięku. Pragnie, by, jak na kliszy fotograficznej, cała jej istota odbiła się w jego duszy. Opiszę ją, wyrzuci z siebie obraz i zapomni o niej.

Nie kochał jej, czuł to najwyraźniej, bawiła go tylko, jako coś niezwykłego, nie spotykanego dotąd; zajmowała, jako typ przyszłej powieści. Nic, nic więcej... A jednak—mimo to—po kilku dniach, wzięwszy ją na kolana i bujając się z nią na fotelu, szepnął do małego, zaróżowionego uszka:

— Kocham cię bardzo... bardzo... Takiej, jak ty, niema drugiej na świecie...

Czemu kłamał?—Sam nie wiedział: było to po części odruchowe, jak pierwszy jego pocałunek, po części wynikało z ciekawości, co ona na to powie: czy zmiesza się i, zawstydzona, lękliwa, ucieknie z pokoju, czy też spojrzeniem i rozchylonemi do pieszczoty ustami przykuje go do siebie?

Lola nie uciekła z pokoju i nie rozchyliła ust dopocałunku, lecz, spojrzawszy na niego pełnemi wiary oczyma, szepnęła:

— Ja... ja także... kocham... pana...

Zalala się potem łzami i padła mu w ramiona. Od tego dnia jednak przestała przychodzić tak często. Opanował ją wstyd, niepewność i trwoga...

— Coby powiedziała mama, coby powiedział świat cały, dowiedziawszy się, że bywam u niego?—pomyślała.

I wydało się jej naraz, że robi coś bardzo złego, coś, co bez zwłoki czasu winna była wyznać przed matką. Parę razy już brała ją za szyję, chciała powiedzieć wszystko i... milkła. Spowiedź mogła odsu-

nać ją od Kazimierza na zawsze, więc wołała czekać jeszcze dzień jeden, dwa, cztery, dziesięć dni, miesiąc...

Któregoś szarego zmierzchu—po tygodniu blisko niewidzenia i strasznej palącej tęsknoty — zastukawszy, jak zwykle, z płaczem wbiegła do pokoju Bielskiego.

— Jak ja się męczyłam!—Jak mi było smutno bez ciebie... bez... pana... Już nie mogłam wytrzymać i przychodzę znowu! — zawołała przez lzy.

A gdy on objął ją w pól i, pochylony, szukał ustami jej ust, zarzuciła mu ramiona na szyję i rozchyliła wargi do pocałunku.

Porwał ją na ręce i zaczął obnosić po pokoju, jak dziecko, a ona, gładząc jego włosy, szeptała:

— Jakiś ty ładny! — Ładniejszy od wszystkich królewiczów z bajki!—Jak jabym już zawsze na wieki chciała być z tobą!

Nie uważała, że uśmiechnął się blado, jak gdyby chciał powiedzieć: „Co jabym z tobą robił przez całe życie?“ — A potem zwiesił głowę na piersi ze smutkiem.

Usiedli na wielkim biegunowym fotelu.

Gładząc końcami palców sine, zmęczone powieki Kazimierza, Lola szeptała:

— Czy wiesz, że ja już miałam nie przychodzić do ciebie wcale? Że... że... ja chciałam powiedzieć wszystko mamusi, ale się bałam: ona by mi napewno zaraz kazała wyjechać i już może-bym nigdy, nigdy nie zobaczyła ciebie...

Spuściła ręce, oparła głowę na ramieniu jego i przytuliła się do niego mocno. Długi czas siedzieli tak w milczeniu. Kazimierz objął ją w pól i tulił usta do jasnych, pachnących jej włosów. Dobrze mu było z tem słodkiem, drogiem dzieckiem; czuł wielki, wielki spokój...

— A ty... czy także tęskniłeś za mną?—spytała nagle, podnosząc głowę i patrząc mu w oczy.

Nic nie odpowiedział, oparł tylko czoło jej napowrót o swoje ramię i przycisnął ją mocniej do siebie.

Czy on tęsknił za nią?—Czy mógł tęsknić?

Serce jego paliła stokroć cięższa troska; na duszy legła stokroć uporeczywsza bryła kamienia. Przed tygodniem, szumną reklamą wydawcy zwiastowana, zapowiadająca świt nowego geniusza na polu beletrystyki, ukazała się pierwsza jego powieść w odbitce książkowej, a już jeden z najpoważniejszych krytyków zdążył o niej napisać, że, jako pierwociny młodego talentu, zasługuje wprawdzie na baczną uwagę i szczegółową ocenę, że, naśladowując wszakże mocno pracę je-

dnego z bardziej znanych autorów szwedzkich, zawodzi poniekąd pokładane w rozślawionym zbytnio młodym autorze nadzieje.

Plagiat! — Popęłnił plagiat, on, za którego nikt inny nie czuł, prócz niego samego; nikt, prócz niego, nie przechodził męczarni i bólów twórczych!.. Plagiat własnego serca, własnych myśli, własnej duszy.

Ostrze noża nie byłoby go bardziej zraniło nad tę krytykę „znanego, cenionego i poważnego“ sędziego.

Przychodziły chwile, kiedy zaczynał złorzeczyć pierwszym porywom talentu swego; natychmiast jednak, zdjęty zabobonną trwogą, przeproszał nieznaną, niepojętą moc, jaka go nim obdarzyła za rzucone bluźnierstwa i błagał, by nie odbierała mu żądz i siły twórczenia.

Jak pijak, który wyciąga rękę do czary pełnej wina, mimo, iż wie, że na dnie jej tkwi jad zgryzoty, tak on nazajutrz po przeczytaniu krytyki rzucił się do pisania. Postanowił w ciągu kilku miesięcy stworzyć arcydzieło. Musiał nową swą pracą zabić ten pierwszy, kto wie, czy rzeczywiście nie poroniony, swój utwór. Każdy ustęp „Matki“, pisanej niegdyś z takim uniesieniem i z dreszczem rozkoszy, raził go teraz, budząc w nim niesmak, gorycz, niezadowolone.

Zrzucił ze stołu książkę w ozdobnej okładce, którą przysłał mu wydawca, nie mógł znieść jej widoku; nie cierpiał jej; nie rozumiał, jakim sposobem coś równie banalnego wyszło z pod jego pióra? A jednak nagana sędziwego krytyka bolała go, jak rana, złą, śmierci chwiałą, ręką zadana.

Powieść jego rozchwytało w lot.

Tydzień minął za ledwie, a już nakładca porozumiewał się z nim o drugie wydanie. Powodzenie to, zamiast napełnić go radością i dumą, zdwajało gorycz jego. Z trwogą myślał, iż rozgłos, teraz zdobyty, zabije może sławę ostatniego jego dzieła. O nie tylko chodziło mu obecnie. Musiało być stokroć głębsze, prawdziwsze i doskonalsze od okrzykanego terazniejszego „plagiatu“, musiało zadowolnić nie tylko najsurowszy sanhedryn krytyczny, ale i jego samego...

Ledwie zasunął drzwi za Lolą, zaczął pisać i odtąd pisał już codzień. Myśli jego pełzły leniwie, jak stado ptaków, którym podcięto loty.

Każde słowo wydawało mu się czemś zapożyczonym, każde zdanie echem zdań, czytanych już niegdyś: gdzie, kiedy? — nie pamiętał, wiedział jednak ich treść i układ z góry. Męczyło go to strasznie.

Nocą nieraz, zasnawszy mocno, zrywał się nagle, zbudzony gwałtownym wstrząśnieniem i chórem słów, podszeptanych z zewnątrz, jakby wprost do ucha. Próżno szukał ich w ciągu dnia całego: dalekie, nieuchwytnie, zjawiały się w mrokach nocnych dopiero, aby odebrać mu sen i znaglić do przerwanej pracy. Zapalał świecę, szedł do biurka i już nie wstawał od niego do rana. Gdy inni, wracając z zabaw, marzyli o kilku godzinach wypoczynku, on brutalnie odtrącał go od siebie dla łachmana sławy, do którego wyciągał ręce...

Lola nie poznawała go teraz.

— Czemu ty taki smutny?—pytała—Czy wszyscy poeci muszą być smutni?—Tyś przecież bardzo wielki, sławny; o tobie wszyscy mówią, a wyglądasz, jak człowiek nieszczęśliwy.—Czy ciebie to nie cieszy, żeś sławny?—I czy ciebie to nie cieszy, że ja tu przychodzę, że...kocham ciebie bardzo, strasznie?.. Dlaczego nie patrzysz na mnie, jak ja na ciebie?—Dla czego twoje usta takie zimne i sztywne?—Dla czego mówisz ze mną, jak przez sen i nie odpowiadasz na polowę moich pytań?

Godzinami całymi nieraz badała go w ten sposób. On albo zbywał ją milczeniem, albo też, gładząc jej czoło, matowym, pełnym znękania głosem odpowiadał.

— Nie zrozumiała-byś mnie, choćbym ci duszę otworzył... Tyś dziecko jeszcze, a ja... jam już starzec zgrzybiały...

Robiło jej się wówczas smutno i ciężko na piersiach. Płacząc, tuliła się do niego. Siedzieli długo w milczeniu serce przy sercu, usta przy ustach i to były najlepsze chwile Kazimierza. Czuł pod dłońmi swemi tętno krwi gorącej, żywej, czuł na ustach oddech, odurzający go zlekka, jak zapach kwiatów. Nawet i wtenczas jednak nie mógł być zupełnie szczęśliwy: spokój psuł mu szereg dręczących, natarczywych badań samoanalizy.

— Co oznacza podobny stan duszy? — Skąd powstaje? — Jakim sposobem ta dziewczyna, zamiast budzić w tobie namiętność, daje ci taką wielką ciszę?—Czyżbyś był już niezdolny do gwałtowniejszych wrażeń?—Czy zamarła krew w tobie?

Każde uczucie, zanim go doznasz, przechodzi przez filtr twej rozwagi; nie jesteś w stanie poddać mu się bezopornie, nieświadomie, z całym porywem młodego twego serca... Dla czego? Czyż nigdy już nie odezwie się w tobie pęd żywiołowy, zrywający więzy rozumowania?

Czy zawsze będziesz analizował, nim zdołasz upić się wielką radością lub przegryźć nawskroś rdzawym smutkiem?—Co wywołało w tobie podobną bierność wrażliwości?—Czy urodziłeś się już z nią, czy też nabyłeś ją z wiekiem dopiero?

Te i tym podobne pytania zatruwały mu chwile cichego szczęścia przy boku Loli. Nie dozna go już w całej pełni zapewne nigdy, mózg bowiem przerósł w nim serce, a każde wrażenie, zamiast upoić go i odurzyć, jak mocne wino, budziło najpierw czujność trzeźwej refleksyi.

Kochał szczerze, gorąco tylko matkę; teraz—już nie pokocha nikogo; żył bowiem nie sercem, lecz olbrzymią masą mózgową, która zabiła w nim wszystko. Czyż wszystko? A ta szalona, nieprzeparta, odbierająca mu sen i rozum, żądza sławy, miotająca nim na prawo i lewo, jak masą bezwładną; czyż ona nie jest silnym, żywiołowym pędem, wylewającym się za brzegi nawet przerośniętego mózgu? Pali go i piecze nawskroś. Dla niej poświęca wzloty młodego swego serca, na jej ołtarzu składa chwilowe radości i upojenia.

Ilekróć, odurzony pieścizotami Loli, zdołał zapomnieć przez chwilę o męczących dociekaniach samoanalizy i próbował poddawać się wrażeniom bezopornie, wnet budził się w nim autor, stając na straży dorywczych uniesień.

— Jakiemi słowy opisałyś stan podobny? — Czy umiałbyś go oddać takim, jakim go odczułeś? — Czy starczyło-by ci po temu siły i talentu? — pytał sam siebie.

A jakiś posępny głos w głębi jego duszy odpowiadał:

— Nie: straciłeś i polot i pierwotną swoją moc twórczą...

Opanowywała go wówczas głucha rozpacz.

Zrywał się, zrzucał z kolan dziecko, zawieszona u szyi jego i, jak szalony, szarpiąc na sobie ubranie, zaczynał biegać po pokoju.

Lola, w ciemny kąt wtulona, patrzyła nań przerażonemi oczyma. Nie miała odwagi wyjść, nie miała odwagi przystąpić do niego, szepnąć:

— Uspokój się: ja jestem przy tobie.

Drżąc, jak liść, czekała, aż minie burza.

Po godzinie nieraz, zmożony wybuchem rozpacz, przystępował do niej, całował ją w usta, w oczy i mówił:

— Idź już do siebie... — Chcę zostać sam... Jestem biedny, bardzo biedny... Jeżeli umiesz modlić się i wierzysz w modlitwę, poprosz Tego, Kogo wzywasz, aby mi dał choć trochę spokoju...

Klękała wtedy i, głośno szlochając, modliła się do Najświętszej Panny, by usunęła od niego zmartwienia... Zwolna w umyśle jej powstawało przypuszczenie, że Kazimierz przestał ją kochać, a kocha natomiast inną jakąś kobietę, która albo go porzuciła, albo jest cudzą żoną i miłością wzajemną odpłacać mu nie może... Posmutniała. Błę-

kit jej oczu przygasał. Zaczęły z nich spływać łzy częste, padając, jak krople rosy, na zwoje koronek. Przestała odwiedzać Kaźmierza. Czasami tylko, wspinając się na palce, zaglądała przez małą szybę do wnętrza pokoju.

Albo siedział przy biurku, gryząc twardą obsadkę, albo pisał, przekreślając, zamazując co chwila wyrazy, albo, jak szalony, biegł tam i napowrót po pokoju, albo wreszcie, bezwładny, leżał na łóżku, z zaunkniętymi oczyma, nie oddychając prawie. To było najokropniejsze. Nie mogła znieść tego widoku. Zostawiając rozwarte na oścież drzwi swej izdebki, nie bacząc na spojrzenia ścigających ją od pewnego czasu sąsiadek, biegła do niego, pochylała się nad nim, schwytszy zaś jego oddech, całowała go szybko w usta, w oczy i wracała do siebie z sercem bijącym jak u strwożonego ptaka, zmieszana, drżąca, lecz nad wyraz szczęśliwa.

On żył..

Kazimierz nie czuł prawie jej pocałunków. Był, jak w letargu. Zmęczony pracą i głuchą wewnętrzną rozterką, przechodził chwile wielkiego spokoju, wielkiej duchowej ciszy. Ani jedna fibra mózgu i serca nie drgała w nim szybciej: zdawało mu się, że żyć przestaje. Powieki zwierały się same; obezwładnienie całego ciała rzucało go na łóżko.

Leżał niekiedy dobrą całą bez ruchu. Ani nuda, ani uczucie głodu nie mogły nakłonić go do wstania: budził się z martwoty tylko na głos, wołający wprost do ucha jego:

— Pisz, pisz!—Czas ubiega szybko.—Sława twoja zniknie, jak złudny miraż, jeżeli nic do niej nie dodasz.—Ludzie zapomną o tobie. Pamięć ich to tlejące ognisko, które wciąż świeżem paliwem podsycać trzeba, by nie zgasło.—Za rok będą patrzyli na ciebie, jak na obcego, jeżeli nie zabłyśniesz na nowo... Pisz, pisz! — Na szmat twej chwały czekają zastępy tych, co chcą ci go wydrzeć... Pisz, pisz, pisz!

Godzinami całymi walczył nieraz z pokusą ambicyi i pychy, postanawiając nie pisać. Czuł wstręt do wizyi własnego umysłu; wszystko, cokolwiek stworzył, wydawało mu się nędznym poronionym płodem bezsilnej wyobraźni. Wołanie natrętnego głosu wszakże przemagało: zrywał się z łóżka, chwycił pióro, papier i siadał do roboty, by wpaść znowu w piekło udręczeń.

X.

W kamienicy głośno już mówiono o romansie jego z Lolą. Któraś z sąsiadek ostrzegła matkę jej o tajemniczych wizytach u młodego autora, stróżka potwierdziła zeznanie gadatliwej kumoszki. Zawrzało, jak w kotle, aż wreszcie po kilku gwałtownych scenach między panią Karską a córką, zapadło postanowienie wysłania dziewczyny na wieś na lat kilka.

W tydzień potem mała, pstra, tysiącem świecidełek ozdobiona izdebka wprost mieszkania Kazimierza opróżniła się nagle ze wszystkich swoich cacek. Zniknęły ze ścian różowe, jak paluszki Loli, motyle; zniknęły z półek gliniane, złotem i srebrem malowane wazoniki, pełne traw suchych; zniknęły wreszcie pstre chińskie wachlarze i złoty ekran, zasłaniający dolne szyby okien przed natarcywością sąsiadów z przeciwka.

Kazimierz przechodził właśnie paroksyzm najsilniejszych wątpliwości, największej niewiary w talent swój i najsilniejszej wzdryki dla sławy, a jednocześnie rwania się ku niej całą swą istotą, i nie dostrzegał dokoła siebie nic, prócz upomynych straszdeł własnej duszy, gdy któregoś szarego, zimowego ranka usłyszał lekkie, dobrze sobie znane stukanie do drzwi. Złamany zgryzotą, podniósł powieki i mętłym wzrokiem spojrzął na Lolę, która stanęła przed nim w szarej, podróżnej sukience, błąda, z oczyma łez pełnemi.

Przyszła go pożegnać. Podała mu rękę i chciała coś powiedzieć, ale płacz chwycił ją za gardło.

— Wyjeżdżasz?— spytał Kazimierz leniwym, obojętnym głosem.

Kiwnęła głową na znak, że odgadł.

Przyciągnął ją machinalnie do siebie, chciał zajrzeć jej w oczy, przez łzy jednak nie mógł w nich nic dostrzedz.

Chwilę stali w milczeniu, przytuleni do siebie, wreszcie on spytał:

— Przeze mnie wyjeżdżasz... tak?.. powiedział.

I, odsunąwszy ją zlekka od siebie, znowu usiłował zajrzeć jej w oczy. Skinęła głową powtórnie i wybuchnęła głośnym płaczem. Przycisnął ją mocniej, wyrwała się jednak z ramion jego.

— Bądź zdrow!.. Niech ta, którą kochasz, uszczęśliwi cię... Ja... ja... nie umiałam tego, chociaż bardzo... bardzo... ciebie...

Nie mogła dokończyć. Łzy zdławiły ją. Szlochając coraz gwałtowniej, pobiegła ku drzwiom.

Kazimierz usiłował ją zatrzymać. Opanowało go silne, niedoznawane dotychczas wzruszenie i jakiś żal niepojęty.

— Zostań!.. Zostań!.. Zostań!.. — błagał.

Nie została jednak. Ze stłumionem siłą woli łkaniem zbiegła ze schodów.

W chwilę potem zniesiono jej rzeczy, a po paru minutach rozległ się turkot odjeżdżającej dorożki.

Z okna swego Kazimierz dostrzegł niknący szybko w oddali czubek szarego kapelusza dziewczyny, jedyny punkt ruchomy na perłowo-olowianem tle nieba i ziemi. Wreszcie i on rozwiął się w przestrzeni, a wówczas duszę młodego autora zaległa wielka pustka. Otworzył drzwi i spojrzał na ogołocony ze wszystkich ozdób pokój po drugiej stronie korytarza. Nigdy tam nie był. Parę razy Lola prosiła, by zaszedł: nie chciał. Bał się obcych miejsc, bał spotkania się z matką. Czy on sam wiedział zresztą, co stawało mu na przeszkodzie? Przywykł widzieć ją u siebie tylko, nie był-by umiał rozmawiać z nią gdzieindziej... Teraz — ból go ścisnął. Czemu nie spełnił jej życzenia?.. Czemu wogóle był dla niej taki obojętny?.. Nie wyjechałaby może... Tracił naraz miłość, sławę, natchnienie. Wszystko uciekało od niego ..

Na wspomnienie pieszczot Loli uczył dreszcz rozkoszy.

Czyżby ją kochał? Dziwna rzecz: wydało mu się naraz, iż zdusił-by ją uściskiem, jak ptaka, on, który widział w niej dotąd nie kobietę, lecz wcielenie twórczych swych porywów... Czemu tak lekkomyślnie odtrącił od siebie to młode, gorące serce?.. Co czeka go teraz?.. Samotność, pustka... A gdyby... gdyby pojechał za Lolą, przywieźć ją z sobą...

Roześmiał się sam z tego dziecinnego projektu. Wróciwszy do siebie, zamknął się i postanowił pisać... Do późnej nocy jednak, gryząc obsadkę, przesiedział nad czystym arkuszem papieru, nie zapelnivszy go ani jednym zdaniem. Zmęczony, wstał wreszcie. Nie, stanowczo przerwać musi wstrętną tę pracę... Lecz... co zrobi z sobą?.. Kursa porzucił już dawno; przyroda zbrzydła mu stanowczo, a innych wykładów słuchać mu się nie chciało... Co zrobi z sobą?..

Do rana przeleżał z otwartymi oczyma, kreśląc plany najbliższej przyszłości. Wreszcie zapadło w nim niezłomne i ostateczne postanowienie puszczania się w podróż. Przeczeka koniec zimy i wiosnę, a potem — wyjedzie: dokąd, po co?.. Sam jeszcze nie wiedział, lecz wyjechać musiał koniecznie.

XI.

Trzykrotny odgłos dzwonka zwoływał gości przy table d'hôte. Pierwszy zjawił się, jak zwykle, bogaty mieszczanin, kupiec z Westfalii, który każdą wchodzącą parę małżeńską witał zdumieniem i, zwracając się do nieodłącznego towarzysza swego, pastora z Bruckelli, pytał:

— Jak ci ludzie mogą podróżować razem?.. Któż prowadzi za nich interes?

On, żonaty od lat dwudziestu pięciu, nie jeździł nigdy z żoną, jej bowiem jedynie mógł powierzyć „budę”; nie sądził zaś, aby ktoś, kogo stać na podróże, mógł zajmować się czem innym, niż handlem.

Pastor ruszał ramionami.

Nie chciało mu się odpowiadać na dziecinne pytania przyjaciela. Leniwy z natury, nie lubił mówić; kupiec westfalski pracował językiem za niego i za siebie, i dlatego może było im dobrze razem. Zajęli zwykle swe miejsca pośrodku stołu, przy którym obok nich siadywała codzien młoda, bardzo piękna, niezmiernie wytworna cudzoziemka, zwracająca na siebie uwagę ogólną.

Chodziła najczęściej sama. Przez parę pierwszych tygodni spotkano ją kilkakrotnie wprawdzie w towarzystwie głośnego w całych Niemczech autora, żyda, słońca literatury; po wyjeździe jego wszakże unikała zetknięcia się z kimkolwiek, i tylko w czasie obiadów siadała przy stole ogólnym. Nie wiadano, kim jest, skąd pochodzi, i dlatego może zajmowano się nią więcej, aniżeli innymi przyjezdnymi pięknościami.

Od kilku dni zanotowano w kronice ważniejszych wypadków towarzyskiego życia w S., iż przesładuje ją młody Polak, świeżo przybyły na wybrzeże. Przy obiedzie siadywał zawsze wprost niej i wpatrywał się w trzeźwe, spokojne, rozumne jej oczy, nie zachęcające najlżejszem drgnieniem do rozpoczęcia rozmowy.

Raz tylko sąsiedzi: pastor i kupiec z Westfalii, zauważyli żywsze poruszenie warg jej i nagły, silny rumieniec: było to wówczas, gdy nieznamy Polak, przez roztargnienie do chłopca, roznoszącego lody, zawołał w rodowitym swym języku:

— Podaj mi jeszcze półmisek!

Zresztą zawsze jednakowa, wyprostowana, sztywna, z podniesionemi cokolwiek w górę ramionami, nie zdradzała, aby coś kiedy zajęło ją, lub obeszło żywiej. Jadła zwykle niewiele, zostawiając na talerzu połowę wziętych z półmiska potraw; piła tylko czystą wodę; z widoczną przyjemnością spożywała jedynie sery i owoce. Narodowość jej trudno było odgadnąć. Rysy miała wschodnie, szybkość ruchów francuską, prostotę ubrania i obejścia angielską, systematyczność niemiecką... Zawsze o jednej i tej samej porze można ją było spotkać na wybrzeżu. Nie spaźniała się nigdy ani o minutę w kurhauzie na obiady, śniadania i kolacye. Pisywała listy i grywała nawet zawsze o jednej godzinie.

Na liście kąpielowej umieszczono ją jako Sarę Mühlbruch.

Czy była panną, czy mężatką?.. Dlaczego podróżowała sama?.. Pytania te w dziwnie natarczywy sposób zajmowały wszystkich, nie znajdując odpowiedzi.

Po pięknej cudzoziemce młody, zakochany w niej, jak twierdzono, po uszy, Polak, był drugim z kolei bohaterem chwili. Chodził również sam zawsze i nie brał udziału w towarzyskiem życiu; był również bardzo piękny, tak, iż nazywano go: „der hübsche Slave“. Drobnym jednak i szczupłym, nie uosabiał tej siły słowiańskiej, którą wielbią zazwyczaj poeci, i pod tym względem stanowił zupełne przeciwieństwo z tajemniczą nieznajomą, wobec której wydawał się dziwnie nikły, delikatny, mały.

— Zdusiła-by go w ramionach, jak ptaka, — twierdził kupiec westfalski, patrząc na zagadkową parę.

— A kto wie, czy nie wpadnie w nie wkrótce?— mruczał pastor, spostrzegając coraz żywsze zajęcie się młodego człowieka czarnooką i czarnowłosą, tajemniczą panią.

Istotnie „piękny Słowianin“ z każdym dniem gwałtowniej i natarczywiej szukał sposobności zbliżenia się do samotnej nieznajomej.

Kto ona?.. Skąd przybywa?.. Dlaczego unika ludzi?.. Czyżby jakieś ciężkie moralne przejścia usuwały ją od nich?..—myślał, wpatrzony w nią. Wyglądała jednak na istotę najzupełniej normalną, zrównoważoną, zadowoloną ze swego losu i daleką od wszelkich wertherowskich wątpliwości. Więc dlaczegoż po najustronniejszych drożynach wybrzeża błędziła zawsze sama?.. Czyżby umyślnie pozorami tajemniczości usiłowała zwracać na siebie uwagę?

Kilka razy on, który nigdy w życiu nie zbliżył się pierwszy do nikogo, miał ochotę przystąpić do niej i zagadnąć ją o cokolwiek, aby tylko usłyszeć dźwięk jej głosu, zawsze jednak stawało coś na prze-

szkodzie. Dziś postanowił ostatecznie zawrzeć znajomość. Z zamiarem tym przyszedł na obiad i zajął zwykle swe miejsce wprost pięknej pani.

Zadzwoniono na pierwsze danie.

Przy stole, obsadzonym przez kółko krewnych, złożone z dwudziestu przeszło członków i ochrzczone w conceptach miejscowej gazety kąpielowej mianem nie rodziny, lecz „instytucyi“, wszczął się ruch. Panienci spoglądały chciwie w stronę waz dymiących, chłopcy trącali się kulakami, wołając:

- Dziś ja pierwszy dostaję...
- Nieprawda, na mnie kolej...
- Mama, sagen Sie...

Ojciec groźnem spojrzeniem przyprowadził wszystkich do porządku. Nastąpiła musowa zgoda i spokój. Służba w lot rozniosła talerze z zapowiedzianą w menu zupą zółwiową. Kupiec westfalski spytał, czy dobra?.. Pastor odpowiedział leniwie:

— Passabel...

Podniósł się zwolna gwar i wrzawa wielkich biesiad, których uczestnicy, zaspokoivszy pierwszy niepokój głodowy, zaczynają nawiązywać zwolna nic coraz żywszej rozmowy.

Po zupie podano ozory marynowane, pieczone, jarzyny, desery. Nieznajoma jadła niewiele, jak zwykle, czekając na owoce i ser, a także na czarną kawę, którą piła z widocznem upodobaniem.

Młody Polak patrzył na nią badawczo. Odpowiadała chłodnem, obojętnem spojrzeniem, nie spuszczać powiek i nie cofając źrenic, ilekroć skrzyżowały się promienie ich wzroku.

Przy czarnej kawie napełnił salę gwar większy, aniżeli kiedykolwiek, ponieważ przy stole „instytucyi“, gdzie święcono dnia tego pięćdziesięcioletnią rocznicę przyjścia na świat kapłanki rodu, starej Niemki w brylantowym naszyjniku i nicianych rękawiczkach na grubych, spracowanych dłoniach, — wybuchnęła nagle sprzeczka między zaproszonymi gośćmi o to, czy słynny tenor opery hamburskiej był Francuzem, czy też Holendrem z pochodzenia?

Zwykle towarzyskie nieporozumienie przybierało stopniowo rozmiary brutalnej kłótni, aż nareszcie w rękę jednego z zapaśników zadrzała porwana ze stołu butelka szampana, którą, siny ze złości

Prusak, był-by niechybnie cisnął w twarz przeciwnika, gdyby nie odebrano mu jej przemocą.

Damy wstały z miejsc, cofając się w głąb sali. Rozdano już ostatnią seryę filiżanek z czarną kawą, gdy wtem rozległ się w powietrzu odgłos wymierzonego z całą siłą policzka.

Wrzawa naraz ucichła. Panie, jedna po drugiej, cichaczem wysunęły się z sali, mężczyźni otoczyli kołem dwóch szermierzy, którzy, oprzytomniawszy nagle, stali, jak wryci w ziemię, rozumiejąc całą niewłaściwość położenia.

Kupiec westfalski, z filiżanką czarnej kawy w jednej, kieliszkiem koniaku w drugiej ręce, podszedł do grupy ciekawych. Pastor, oparty łokciem o stół, z którego zbierano resztę pozostałych talerzy, zaciągając się dymem hawany, obojętnie patrzył na chwilowy dramat.

Sąsiadka ich, nieznajoma cudzoziemka, powstawszy szybko z miejsca, szła wprost ku drzwiom, nie oglądając się za siebie, spokojna, sztywna zawsze. Wtem na progu upadła jej mała, batystowa chusteczka, którą trzymała w ręku. Nie zdążyła schylić się po nią, gdy młody Polak podbiegł nagle i podał ją z milczącym, wymownym spojrzaniem.

— Dziękuję, -- odparła krótko, sucho po polsku i zbiegła ze schodów głównego wyjścia ku ścieżce, prowadzącej w głąb parku.

Skręciła już w cieniłą grabową aleję, na końcu której widniała chińska altana, gdzie po obiedzie zwykle czytywała gazety i książki, gdy nieznajomy dopędził ją i, zagroździwszy drogę, rzekł:

— Zdobyłem wreszcie pewne prawo przedstawienia się pani. Jako rodacy...

— Nie jestem Polką, parę słów zaledwie umiem w tym języku; jedno z nich właśnie powiedziałam przed chwilą przez roztargnienie, czego żaluję. Towarzystwa, jak pan widzi, unikam; zresztą, dziś wieczorem wyjeżdżam... Żegnam pana... — odparła po francusku ładnym, ale cudzoziemskim akcentem i, skręciwszy w bok, wąską drożyną puściła się ku morzu...

Młody Polak został na miejscu, ogłuszony, oszołomiony, nie mając odwagi biedz za nią. Nie rozumiał nic; czyżby naprawdę ta.. kobieta nie była Polką?.. Czas jakiś chodził w zamyśleniu wzdłuż cienistej alei, w tem, spostrzegłszy zdaleka podążającego w stronę kurhauzu chłopca z koszem kwiatów, które panie kupowały w tej porze zawsze na koncert poobiedni, skinął nań i spytał:

— Czy pamiętasz tę wysoką, ładną panią, brunetkę w popielatej sukni i popielatym kapeluszu, która codzień w altanie chińskiej o tej godzinie kupuje od ciebie dwie żółte róże?..

— Ja wohl, gnädiger Herr!— W tej chwili spotkałem ją na małej ścieżce tam dalej w parku: kupiła dwie żółte róże, jak zawsze, tylko nie wiem, czemu nie usiadła w altanie?

— To do rzeczy nie należy.— Znasz ją?— Wiesz o kim mówię? A więc słuchaj teraz uważnie. Ta pani dziś, wieczornym pociągim ma stąd odjechać. Jeżeli wysledzisz, dokąd weźmie bilet i wyśle rzeczy, dostaniesz trzy marki odrazu, a gdy przekonam się, żeś nie skłamał, przyślę ci jeszcze pięć. Czy możesz podjąć się tego?

— Ja wohl, Gnädiger!

— A więc ruszaj. Z pociągu przyjdź do mnie do kurhauzu, prosto pod numer dziesiąty. Rozumiesz?

— Ja wohl!

— Trzy marki dostaniesz natychmiast, resztę później!

— Empfehle mich bestens!

CECYLIA WALEWSKA.

(C. d. n.)

Demokracja.

III. ¹⁾

Zaszedliśmy z profesorem nazajutrz do Volksgartenu. Słońce świeciło prześlicznie; bony i niańki z dziećmi zaludniły już cieniste kasztanowe aleje, a kilku poważniejszych ludzi przechadzało się w cieniu, kilku studentów siedziało na ławkach ogrodowych, czytając. Wszystko kwitło i woniało przecudnie; stare kasztany ustroiły okrągłe, ciemne korony liścia białymi kitami kwiecica, a bzy tworzyły wieniec fioletowy, naokoło zielonego, podłużnego kobierca, wielkiego, wolnego od drzew gazonu, opromienionego jasno słońcem. Kląb kwiatów jaskrawych przerywał gazon po środku; u jego końca widniał, naksztalt kaplicy, bardzo piękny, biały, marmurowy pomnik Grillparzera, a monumentalne mury Muzeów wznosiły się za nim, w głębi; kosy i szare gołębie przechadzały się po trawniku.

Kazimierz czekał już na nas; przyprowadził z sobą jednego tylko towarzysza, swojego przyjaciela, jak on młodego Doktora filozofii Henryka, jak on bardzo wykształconego, ale różniącego się stanowczo zapatrywaniem na świat. Widzieliśmy bowiem, że Kazimierz był demokratą, na wzór całej prawie dziewiętnastego niegdyś wieku młodzieży, a Henryk był zwolennikiem Nietzschego i wyznawcą arystokracji nad-człowieka. Przytem, jako filozof, wszystkiemu się dziwił, o wszystko się pytał, o wszystkiem powątpiewał. Powiedział nam tedy zaraz u wstępu, że nie pojmuje, jakim-by sposobem owe pomniki zJęfezu, któreśmy oglądać mieli, mogły być na prawdę arcydziełami, skoro o nich tak cicho za naszych czasów, kiedy cała kula ziemską dowiadauje się w jednej chwili, w jednym dniu, o każdej rzeczy, o której się dowiedzieć warto.

¹⁾ Patrz zeszyt lutowy, str. 290.

Profesor grzecznie odpowiedział, że skoro się przypadkiem na rzeźbie i na sztuce wogóle zna, i skoro się posągom dobrze przypatrzył, może zaręczyć, że są bardzo a bardzo piękne, choć świat szeroki o nich dotąd nie mówi.

Dodałem objaśniająco: — Panowie młodzi nieraz słyszeliście, a przedewszystkiem nieraz czytaliście, że niegdyś piękność i zasługa mogły być zapoznane, w starem, nieoczytanem, arystokratycznym społeczeństwie, kiedy tylko szczęśliwy traf zapewniał utalentowanemu człowiekowi opiekę pańskiego mecenasa, bez której byłby musiał zginąć z głodu i wraz z dziełami swojemi przepaść w zapomnieniu. Powiadają i piszą, że wtedy zręczność dworaka bardziej od talentu i nawet od geniuszu stanowiła o sławie. Twierdzą natomiast, że dziś, wśród demokratycznego, a powszechnie oświeconego społeczeństwa, każda zasługa doczeka się zaraz uznania. Że to nie prawda, jak nieprawdą bywa większa część tego, co ustawicznie drukują i czemu czytelnik wierzy, temu poświadczyć może ów Grillparzer, którego podobnica kamienna, tam, za trawnikiem, siedzi, wśród białego światła, z księgą w ręku, po śmierci przesłicznie wykonana przez rzeźbiarza. Rząd austriacki nie dbał o jego sławę. Pruskiemu był nie na rękę, nie występował do walki z Kościołem, żadnej namiętności, żadnemu stronnictwu nie służył, zatem nikt nie robił mu reklamy i za życia nie doczekał się sławy; posiadał ją po śmierci, ale jego przykład dowodzi, że wielkie talenta, że nawet geniusze mogły w dziewiętnastym wieku żyć, żyją może obecnie — myślą, piszą, tworzą, a przepadną w niepamięci. Nie trafią do nakładcy, mającego stosunki z prasą, nie pójdą w służbę żadnego stronnictwa; być może, że ich pisma pozostaną w rękopisie, obrazy, przez nich namalowane, nie wyjdą z pracowni; ale nawet puszczone w świat, dlatego świata istnieć nie będą. Publiczność dzisiejsza, niezliczona, demokracja czytająca, która rozdaie uznanie i sławę, zajęta walką o chleb, tylko nieuważnym okiem spojrzy na dzieła ducha. Jest ich moc niezliczona; pochodzą ze wszystkich zakątków świata i jawią się tak tłumnie, że nawet znawca w nich się nie rozezna. Skądże-by się miała rozpoznać w tym lesie publiczność mnoga? Sama upodoba sobie płaską farsę, jaskrawe dziwactwo, albo rzecz gorszącą i podchlebającą namiętności; zresztą uwierzy pochwałom głoszonym przez dzienniki, albo powtarzanym przez koteryę. O powodzeniu dzieła literackiego, albo sztuki, stanowi dziś nie wartość tego dzieła, tylko zręczne samochwalstwo autora; powodzenie mieć będzie, kto potrafi się dostać do koteryi wpływowej, potrafi jej się stać potrzebnym i potrafi ją dla swoich wyyskać celów.

Profesor, wysłuchawszy moich słów, nie przeczył im bynajmniej; owszem, głową skinął potwierdzająco, ale dodał: Dotąd żadna koterya nie zajęła się posągami z Efezu, więc o nich cicho, ale jestem spokojny o ich los; zajmie się nimi koterya uczonych, i niebawem będzie o nich pisać każda historia sztuki, z dwiema gwiazdkami będą figurować w Bädekerze.

Odparłem:—O tem nie wątpię. Sztuką dawną zajmuje się szczerze grono ludzi, z zamilowaniem badających rzecz, a nie szukających przytem ani bogactwa, ani wywyższenia. Ogół sztuka dawna mało obchodzi; nawet próżność artystów nie może w tej mierze namiętnej walki rozbudzić; mogą czasem protestować, wołając, że sami piękniejsze dzieła tworzą, wiedzą jednak, że grono miłośników dawnej sztuki zawsze istnieć będzie, że podziw dla obrazu Leonarda albo Rembrandta, dla dramatu Szekspira, albo Kalderona, powodzeniu dzieł nowych w niczem nie zawadzi. Stronność może tu być jedynie wywołaną przez patryotyzm, upierający się przy doskonałości narodowych szkół, ale i o tej stronności niema mowy, kiedy chodzi o dzieła starożytnych. Publiczność zgodzi się tedy z pewnością na wyrok znawców, znawcy poznają się niechybnie na arcydziełach, każdy turysta pójdzie się na nie popatrzeć, nic nie zobaczy, nic nie zrozumie, ale rzecz chwalić będzie, nie chcąc uchodzić za człowieka pozbawionego smaku.

Podobnież małe grona uczonych badają beznamiętnie różne, dla ogółu niedostępne zagadnienia naukowe; publiczność obojętna wierzy w nieomylność ich wyroku i przyjmuje ten wyrok jednomyślnie. Nauka pozostaje arystokratyczną, i jej powaga stoi dotąd nienaruszona—ale tylko o tyle, o ile tyczy się rzeczy nie mogących ogółu roznamiętnić. Ilekroć chodzi o rzeczy, mogące namiętności ludzkie, choćby tylko próżność ludzką, podrażnić, przepadła powaga nauki, a wielki rozgłos zdobywają dziś dla siebie tylko hipotezy, choćby najśmielsze i najbardziej nieuzasadnione, któremi zaopatrują się w celach walki jakaś sekta, jakieś stronnictwo, jakiś rząd, istotnie zaś genialne i prawdziwe pomysły, z których politycznej broni ukuć nie można, przepadną bez śladu, wśród nieprzejrzanej powodzi pism i wykładów. O prawdzie moich słów świadczy wymownie historia dziewiętnastego wieku. Nie było filozofa bardziej niezrozumiałego i chimerycznego, jak Hegel; ale twierdził, że monarchia pruska jest najwyższym objawieniem bóstwa i rząd pruski postarał się o to, że jego niezrozumiała zresztą filozofia cieszyła się czas jakiś bajeczną popularnością. August Comte bywał wynoszony jako gieniusz, dopóki wydawał dzieła, przeczące prawdzie wszelkiej religii, bo potężni nieprzyjaciele Kościoła postarali się dla nich o rozgłos i wziętość, a gdy

nareszcie wydał książkę mistycznie religijną, ale nie prawowierną, okrzyczano rzecz głupstwem i nikt książki nie przeczytał. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku wystąpiła wogóle na pierwszy plan dziejów walka farmazonii z chrześcijaństwem, a mianowicie z katolicyzmem, i farmazonia nadała rozgłos popularny darwinizmowi, sądząc, że darwinizmem podkopie chrześcijaństwo. Nawet niedostępne i najczęściej Nielitościwie suche badania indyologów, egiptologów i assyriologów roznamiętniły przez czas jakiś szeroką publiczność, uwierzono w tę niedorzeczność, że indyjska cywilizacja trwa od kilku milionów lat i porównano niesmaczne i balamutne foliały pism sanskryckich z arcydzielami starożytnego ducha, bo myślano, że za pomocą historii starożytnego Wschodu będzie można zaprzeczyć Biblii, obalić chrześcijaństwo; sprawa zaś tem powszechniejsze wzbudziła zajęcie, kiedy Kościół zaczął prawd Biblii dowodzić za pomocą tych samych świadectw, które jej zaprzeczyć miały.

Henryk uśmiechnął się i dodał: — Ale przyznasz pan, że bez niczyjej machinacyi sprawy, które tyczą się religii, sprawy, o których mniemają, że zagadkę istnienia wreszcie wyjaśnić mogą, muszą rozbudzić u ogółu większe zajęcie od badań nad naturą jakiejś krzywej linii, albo nad genealogią Merowingów.

Tak rozmawiając, stanęliśmy już przed budynkiem naśladowującym bardzo nieudolnie starożytną świątynię Tezeusza w Atenach. Dzieci bawiły się pod niefortunnie martwą podobizną doryckiej kolumnady; służący sprzedał nam kartki wstępu, odebrał laski i wpuścił nas do wnętrza. Ujrzelśmy przed sobą podłużną, bieloną, z góry oświeconą salę, w której ustawiono wykopaliska efeskie. Wielki posąg z brązu, w zupełności ocalony, stał pośrodku; z boków poustawiano pomniejszych marmury i brązy: posążki, płaskorzeźby, pojedyncze głowy bez ciała, albo ciała bez głów, popiersia wreszcie. Całość robiła odrazu wrażenie wykwintnego przybytku sztuki, ale dopiero w miarę tego, jak nam profesor rzecz wymownie objaśniał, nabywały te rzeźby dziwnego, niezrównanego życia i piękności, która się u niektórych przynajmniej, u istotnych arcydzieł, wzmagała w miarę tego, jakeśmy się w nie dłużej wpatrywali.

Profesor mówił z zapalem: — Patrzenie się najpierw na tę płaskorzeźbę, wyobrażającą jakąś bitwę. Wcale nie jest piękną, ale jest bardzo ciekawą, bo jest tu świadkiem najdawniejszych czasów, średnich wieków starożytności. Pochodzi z szóstego jeszcze wieku przed Chrystusem, a wtedy, podobnie jak w czternastym wieku po Chrystusie, choć sztuka już kielkowała, średnie wieki trwały jeszcze w pełni. Pancerni rycerze, jak ci, których tu widzicie, utwierdzali

jeszcze arystokratyczny ład świata przemocą ciała i bojowem męstwem. Siła, wzgarda śmierci, obojętność na rany i żądza romantycznych przygód, czyniły z nich przedmiot podziwu i trwogi. Wierzano, że pochodzą od bogów, od bogów pochodziła ich władza nad ludźmi. Oni sami jedni, a obok nich świętobliwy asceta, uchodzili za pięknych i dobrych wśród społeczeństwa, opartego na przekonaniach religijnych. To też pobożny a skromny kamieniarz robił nieruchomy ikon dla czci wiernych w czasie nabożeństwa, albo taki bezkształtny jeszcze wizerunek awanturniczych bojów, jak ten, który tu oglądacie. Wyobraźnia prostacza lubowała się w wielkich rozmachach mieczem, w dziwach i poczwarach. Rzeźbiarz umiał już pięknie wykuć zabite, nagie ciało, które tu w kurczach leży na ziemi, ale z umysłu tak pogmatwał ludzkie i zwierzęce członki, że ci się przypomina sen nieuchwytnie dziwaczny.

Wśród rycerskiego świata powstały zamożne miasta; mniejsza o to, czy się nazywały Atenami, czy Florencją, a w nich powstało poczucie społecznego ładu, powstał zmysł dla prawdy, podziw dla piękności tej, która odpowiada myśli bożej, a nie sennemu marzeniu po obfitej biesiadzie. Możne rycerskie rody przewodziły jeszcze wśród obywateli, ale już nie o pustych myślach przygodał, tylko o publicznej sprawie; radzili pospołu z ludem, któremu dowodzili, a wyższości szukali w rozumie i w wykwiutniejszym obyczajach. Społeczeństwo było jeszcze religijne nawskroś, ale mniej rozkochane w dziwach, szukało myślą boskiego ideału. Sztukmistrz w otoczeniu Peryklesa, albo Medyceuszów, miał siebie za kapłana boskiej piękności, którą chciał ludziom wyprowadzić poprzez oczy. I oto mogło powstać arcydzieło takie, jak ten posążek Persefony, bogini śmierci i nieśmiertelności, który tu stanął we framudze. Rzeźbiony po prostu, przyodziany w szaty, fałdujące się skromnie, ma jeszcze coś w sobie pierwotnego, a mimo to cudownie jaśniej prawdą i życiem. Przypomina fidyaszowe płaskorzeźby na Partenonie prostotą, prawdą, idealną pięknoscią i cudownie nduchownionym wyrazem, a zachwyca nas tem bardziej, że zachowały się na nim subtelne barwy, przypominające życie, ale nie naśladowujące życia. To święte, duszą i ciałem doskonale piękne dziewczę, tęskniące za jakąś pięknoscią doskonalszą, za pełnią dobra, za promienną nieśmiertelnością świetlanego Boga. Można-by ten posąg dziś postawić na ołtarz, a modlili-by się do niego ludzie, myśląc, że to święta jaka, z chrześcijańskiego zjawiona nieba. Podobną niepokalanosć dziewiczą a świętobliwą malowali w dwa tysiące lat później Belini i Boticelli.

Ale niedługo jaśnieć mogła pobożną sztuką świetlana zorza cywilizacji. Niebawem rozum wziął górę nad wiarą w ideał; subtelny

lud, do politycznej zaprawiony walki, wiedziony przez możnowładców poróżnionych pomiędzy sobą, a zwalczających się nawzajem, już nie orężnem natarciem, lecz chytrą wymową i chytrzejszą zdradą—lud ten, powiadam, stracił cześć dla świeckiej i duchownej powagi, wśród narad publicznych szukał namiętnej zabawy, wrósł w pychę, najlepszych wysyłał na wygnanie, albo skazywał na śmierć, sam już publicznych nie chciał dźwigać ciężarów, najemnikom przekazał obowiązki orężnej służby; wśród rozpasanej swobody, mimo napomnień Demostenesa, albo Savonaroli, dojrzewał do wygodnej Macedońskiej, albo Hiszpańskiej niewoli. Moźni ustępowali z męskiej widowni publicznego życia, z rynków, pokalanych przez ohydą zawieszonych demagogów, cofali się do swoich, coraz wspanialszych pałaców, otaczając się dworem uczonych i pisarzy, szukając chwaly i wyniesienia w tem, że wystawiali na widok publiczny dzieła coraz subtelniejszej sztuki. I tak zajaśniała za dni Filipa Macedońskiego, a potem znów za dni Ferdynanda Katolickiego, najpierw w Helladzie, a po wiekach wielu we Włoszech, sztuka, mistrzostwem swoim najdoskonalsza, jaką świat kiedykolwiek posiadał, w Grecyi — rzeźbiarska, w Italii późniejszej — malarska przeważnie. Tej-to sztuki misternem arcydziełem ów wielki posąg spiżowy, ściągający z nagiego ciała pot, za pomocą małego, tępego sierpa. Najpiękniejszy to może bronz starożytny, pośród tych, które dotąd wykopano; jest dziełem szkoły Praksytelesa, a spierają się o to, czy nie jest oryginałem wyszłym z pod dłota mistrza? Muiemasz, że oddycha, że się rusza; wyobraża doskonały ideał męskiego ciała, a twarz ma wyraz szlachetny, choć czysto ludzki, ziemski tylko. Może równie doskonałym jest ten tu, w kącie ustawiony, fragment marmurowego posążka Artemidy, strzelającej z łuku, bez głowy, rąk i nóg, a przecie zachwycający harmonią niewieściego, nagiego ciała. A tu znów widzimy biust jakiegoś królika w koronie; portret człowieka niepięknego, a bystrego, żywy, indywidualny, charakterystyczny, wyszły podobno z pod dłota samego Skopasa, zadziwiająca realistyczną prawdą przestroga, że już niebawem władza królewska nad wolnemi zapanuje rzeczami i osobami.

I zapanowała koniecznie! Musiała zapanować, aby stworzyć ład potężny, rozprzestrzenić cywilizację nad ogromnemi przestrzeniami i nad mnogimi ludami, nie Greków, a później nie Włochów, nauczyć prawa i obowiązków obywatelskiego życia, misternej sztuki i głębokiej nauki. A artyści i znawcy w starej kolebie arcydzieł szukali rozkoszy w misternem dziele pięknych wykonaniu, w lubości milej i dramatycznym patosie. I oto patrzcie na te dwie płaskorzeźby, na których igrają dziecinne, prześliczne amorki, niby wyśnione przez

Corregia. Tu te dzieci lube, marmurowe, najpiękniejsze dzieci, jakie wydać mogła rzeźba, prawdziwe, rozświetlane, skrzydlate chlopczyki, gonią zuchwale lwa; tu ładują na wóz upolowaną zwierzynę; chciałbyś się śmiać i chciałbyś je ucałować. A tu, patrz na tę dramatyczną głowę Hermesa, wyjętą niby z płótna Domenichina! Bóg właśnie zabił wroga swego, Argusa; jeszcze wspaniałym zieje gniewem!

Królowie zasiedli na tronach swoich otoczeni majestatem; etykiecie dworskiej wtóruje barok potężny, Rubensowski. W trzecim wieku przed Chrystusem, w siedemnastym po Chrystusie, lubują się dworscy rzeźbiarze teatralną okazałością ciała, miękkością okazałą muskułów pompatycznych, które się rozkładają tu, na tym męskim torsie pergamskiej, zapewne, szkoły; przecudną, lubo zdrową, pulchnością ciała dziecięcych, jak u tego, misternie kutego, choć mniej już pięknego niemowlęcia, broniącego kury przed jastrzębiem. Marmur ożył zapewne niegdyś pod dłotem rzeźbiarza z Rodu, a oto teraz dorobiono mu niezgrabnie jedną nogę.

Królowie i dworzanie zniewieścili. Słuchali sielanek i oper, patrzyli na balety i w Aleksandryi Ptolemeuszów, i w Paryżu Ludwików; więcej z metresą w alkowie, niż z koniem na polu, przywykli bawić. Zamienili się w modną, wyłączną, zniewieściałą arystokrację, żyli zasługą wojowniczych przodków, ze wzgardą patrzyli na lud, żartowali z jego wiary, buduarową ukochali sztukę. Patrzcie na tę przecudnie wykonaną, miniaturową grupę z brązu, wyobrażającą Heraklesa w walce z centaurem! Gdybyście nie wiedzieli, że to starożytna robota z epoki Aleksandryjskiej, gotowicie uwierzyć, że macie przed sobą dowcipną robotę zręcznego Francuza, przeznaczoną do pokojów jakiegoś markiza wolteryanina. Ciało półboga, to żywe cacko, czujesz, jak śmiertelnie maczugą uderzy w poczwarę, którą chwycił za kopyto! Ale coś jest komicznego w pokonanej poczwarze, w przestachu centaury. Znać, że rzeźbiarz nie wierzył w podanie, że w żart bohaterską obracał przygodę.

Klasy średnie licznych krajów, niezliczonych narodów, oświeconych już i cywilizowanych, czytane w dziejach dawnych rzeczypospolitych, przywykłe deklamować o dawnej republikańskiej cności, zachwycone widokiem potęgi młodszych, arystokratyczniejszych jeszcze narodów, które rządziły się same, a nie ulegały biernie opiece dworu i biurokracyi — w starożytności Rzymian, za czasów nowożytnych Anglików — dały się opanować tęsknotom, zamarzyły o jakiejś wielkiej demokracji, istniejącej nie już w tem, albo owem mieście, ale obejmującej całe narody, albo rzesze narodów, i wzięły się do rewolucyjnej roboty. Wszyscy wiemy, jak wyglądała przy końcu

osiemnastego i w dziewiętnastym wieku; a tu oto mamy przed sobą głowę marmurową poety, o twarzy ogolonej, marzyciela starożytnego, który z uniesieniem witał robotę Arata, albo Filopemena, obwołanie powrotu Greckiej wolności przez Rzymian, reformy Greków, albo rewolucję Maryusza; cierpiał za dni swoich, a marzył o przyszłości, która się nie ziściła — bo chciał połączenia wolności, centralizacji administracyjnej i demokracji, a wolność bywa arystokratką i w autonomicznym lubuje się nieladzie — bo myślał, że rozbudziwszy lud do rewolucyjnego oporu przeciwko władzy przełożonej, że wzniciwszy w nim nieokreślone nadzieje jakiejś przyszłej, rajskiej, a powszechnej szczęśliwości, potrafi potem lud ten utrzymać pod przewodem klas oświeconych, a dostatnich. Tymczasem lud pragnął sam użyć owoców wielkiej rewolucyjnej zawieruchy; wszelką wyższość społeczną znienawidził zarówno, przełożył równość nad wolność, wzgardził ideałem wyniosłych cnót obywatelskich, a pożył wolności, chyba tylko dla zabawy krzykliwej na wiecu, dla swobody oskarżania możniejszych; pożył przedewszystkiem i nadewszystko chleba i głupich widowisk, albo widowisk sprośnych, i uznał wodza w Juliuszu Cezarze; obwołał powrót wieku złotego, z chwilą, kiedy August centralistyczny, kosmopolityczny, biurokratycznie opiekuńczy, na prawie i przepisie oparty absolutyzm ustanowił; przyklasnął z zapalem, kiedy Neron ścinał łby senatorów i uczonych, deptał po starym prawie, ujmującem namiętności w karby, bluźnił bogom i cnocie, okropnością bezbrzeżną motłoch cieszył. Oświeceni, kłaniając się w pokorze, kryli się w zaciszu domowem, pisali smutne księgi o upadku społeczeństwa, albo, pocieszając się sztuką niezrozumiałą dla gminu, usiłowali ją uczynić bardziej jeszcze niezrozumiałą, lubując się we własnym dekadansie, w uczonym archaizmie i w dyletanckich dziwactwach, zwanych dziś powszechnie secesją.

Napatrzyliśmy się na cudne wykopaliska, nasłuchaliśmy się wymownych wywodów profesora, i, wyszedłszy wreszcie z tak zwanej świątyni, usiedliśmy na ogrodowej ławie, w cieniu kwitnących kasztanów.

Wtedy-to odezwał się Kazimierz, mówiąc: — Widzieliśmy, istotnie, piękne rzeczy i przyznam się, że — nie bywszy, co prawda, ani we Włoszech, ani w Grecyi — nie miałem wpięrw wyobrażenia, aby rzeźba tak potężnie działać mogła. Ale zwroty pańskiego wykładu, panie profesorze, zastanowiły mnie nie mało. Porównywałeś pan nieustannie starożytność z czasami chrześcijańskimi; mówiłeś pan tak, jakby się te same, czy takie same epoki powtarzały regularnie, jakby się dzieje toczyły w kółło, porwane jakąś rozpaczliwą kolowa-

cizną, z której wyjścia niema, jakby się wszystko na świecie wiecz- nie wracało i, jakbyśmy się teraz wracali do epoki Rzymskich Ce- zarów, jakbyśmy się mogli bezpośrednio obawiać Neronów, a w nie- dalekiej może przyszłości upadku cywilizacji, napadu barbarzyńców, powrotu feudalnej brutalności i anarchicznej przemocy, a ciemnego przesądu. Czy zrozumiałem pana dobrze?

— Istotnie, — odpowiedział profesor: — przypatrując się do- kładnie klasycznej starożytności, a znając dzieje narodów nowożyt- nych, przyszedłem oddawna do przekonania, że wszystko się powta- rza, jeśli nie mamy na myśli niezliczenie rozmaitych szczegółów, a patrzymy tylko na ogólne znamiona czasów. Mógłbym się nad tem szeroko rozwodzić; wskazałem, jak podobne okresy sztuki powtórzy- ły się dwa razy, towarzysząc podobnym okresom życia społeczeństw i narodów, i na tem dziś poprzestanę, nie mając czasu na długą roz- mowę i nie wiedząc, czyby ta rozmowa panów nie znudziła. Ale sko- ro pan się pytasz, czyś mnie zrozumiał? — odpowiem tyle. Dzieje starożytne, podobnie jak nowożytne, ulegały zarówno prawu usta- wicznego rozszerzania się demokracji; a nie mam tu na myśli demo- kracji politycznej, jako to głosowania powszechnego, albo zgoła re- publikańskiej formy rządu, bo panowanie takiej demokracji bywa przypadkiem w dziejach, nastaje tam, gdzie bywa formą rządu ko- nieczną, czy też stosowną, a przemija, skoro się znów stanie niemo- żebną; mam na myśli demokrację społeczną i umysłową, to jest mam to na myśli, że coraz ogromniejsze rzesze ludzi występują coraz bar- dziej na pierwszy plan dziejów, coraz bardziej zwracają na siebie uwagę rządów, coraz większego pożądamy dobrobytu, coraz większej domagają się oświaty i osiągając stopniowo to, do czego dążą, do- stępują coraz większej równości z tymi, którzy na czele społeczeń- stwa stanęli. W miarę postępu tej demokracji, wyższy, oświecenijszy, majątniejszy, przestaje uważać ubogiego prostaka za istotę innego gatunku, istotnie gorszą od siebie, uznaje w nim człowieka, dba o je- go dobro, albo, co najmniej, liczy się z nim; prostak coraz mniej uznaje panowanie powag społecznych, coraz bardziej chce sam o wszystkim sądzić; narzuca drugim to, co mniema być swoim zda- niem, choć to bywa często tylko niedorzecznym a zgubnym podsze- ptem podchlebcy rzeszy. Prawo postępu takiej, powiadam, demokra- cji, rządziło dziejami starożytnymi, rządzi znowu dziejami nowożyt- nymi narodów europejskich, a każdej fazie rozwoju towarzyszą po- podobne zjawiska, we wszystkich dziedzinach politycznego i społecz- nego życia narodów. Sądząc po tem, co było, spodziewam się, że przychodzimy do czasów, w których demokracja w zachodniej Euro-

pie wszelką wolność zabije, i w których tylko rządy jawnie absolutne, albo pozornie konstytucyjne, ale w istocie swojej osobiste i dyktatorskie, będą mogły utrzymać namiętnie przez wszystkich pożądany porządek, a równocześnie przeprowadzić, bez zbytich wstrząśnień, wielkie społeczne reformy, których się dalszy postęp demokracji domaga.

-- A potem, — spytał Kazimierz — obróci się kółko do reszty, staniemy tam, gdzieśmy byli za Hunnów i Gotów, zjawią się barbarzyńcy i wróci się ciemnota średniowieczna?

Profesor odrzekł: -- Nie jestem prorokiem i tak dalekiej nie mogę przewidzieć przyszłości. Nastanie kiedyś koniec nowożytnej cywilizacji, ale do tego bardzo daleko, a nikt nie przewidzi, jakie okoliczności tę dobę przyszłego kiedyś przelomu tak zabarwią sobą, iż nikt nie pozna, jako to powtarzają się czasy Gotów i Hunnów, jako to jakieś nowe nastają Średnie Wieki. Zresztą o tem musiał-bym mówić nadto długo. Ale to powiedziec muszę, że koło dziejów toczy się wprawdzie dokoła swej osi, ale bynajmniej przeto na miejscu nie stoi, i owszem, toczy się naprzód w wyraźnie oznaczonym kierunku. Życie narodów i całych cywilizacji można słusznie przyrównać do życia pojedynczych ludzi i ludzkich pokoleń. Wszakżeż wszystko na świecie toczy się w kółko, a jednak posuwa się naprzód. Następują po sobie poranek, południe, wieczór, noc i znów poranek, a jednak pory roku zmieniają się, kolejają dni. Wracają się ustawicznie pory roku, zawsze te same, ale żywot ludzki idzie naprzód, kolejają lat: po dzieciństwie przychodzi młodość, po młodości wiek męski, starość i śmierć; wczorajsze dziecko wychowuje dzieci — potem na ręku wnuki piastuje; wczorajsza panna młoda już córkę za mąż wydaje. A jednak pośród jednostajnego przebiegu życia ludzkiego, postępują dzieje narodów swoją przeznaczoną kolejają. Podobnież powstają i giną cywilizacje, a ludzkość ustawicznie do swego dąży celu.

— A jakież to cel? — spytał znów Kazimierz.

— Celu ostatecznego nie znam, — odrzekł profesor — ale wiem, że droga do niego przez coraz większą prowadzi demokrację. Cały przebieg dziejów chrześcijańskiego świata jest bez wszelkiego porównania demokratyczniejszy od przebiegu dziejów starożytnych, bo u końca tamtych zjawilo się Chrześcijaństwo, ogłosiło równość i braterstwo wszystkich narodów i wszystkich ludzi i pełnęło świat naprzód, w ową dziedzinę, w której niewola stała się niepodobieństwem, w której równość wobec prawa musiała się kiedyś stać koniecznością. Chrześcijaństwo będzie dalej ustawicznie popierało rozwój demokracji, póki narodów i ludzi do istotnego nie doprowadzi braterstwa.

IV.

Profesor pożegnał się z nami, a że piękna była pogoda, namówiłem obydwu młodzieńców, Henryka i Kazimierza, aby ze mną tramwajem elektrycznym do Schönbrunnu pojechali. Godzina była jeszcze wczesna, dzień był powszedni, więc wozy nie były przepełnione; mogliśmy sobie zasiąść razem i wygodnie, mogliśmy swobodnie prowadzić rozmowę.

Henryka, zwolennika Nietzschego, niecierpliwiły wywody profesora; nie mógł ich strawić. Nie ujechaliśmy kilku minut drogi, jak zawołał:

— Niech dyabli biorą tego profesora z jego demokracją! Chce nam wyperswadować, że ludzkość musi tak koniecznie na psy zejść, jak ów koniecznie na ziemię pada, skoro go z rąk wypuścisz. Ładny mi to ideał, abyśmy się wszyscy stali, w najlepszym razie, konduktorami tramwajowymi, albo ulicę zamiatali, jak ów tam stary obywatel, który, z miotłą w ręku, w poszarganej odzieży, spełnia konieczne takie w demokracji funkcyje municypalne! Chce mu się, aby zabawą przyszłych pokoleń powszechną było gadanie o plotkach, przy taniem piwie i paleniu taniego tytoniu; aby nasi wnukowie, bez wyjątku, chodzili na zgromadzenia ludowe słuchać banialuków i demonstrować; służyli jako prości żołnierze i dostawali od podoficerów w twarz; buty ludziom wycierali, patrzyli im potem pokornie w oczy, dostali na piwo i wreszcie w rękę pocałowali, albo cały dzień stali za ladą, sprzedawali słoninę i oszukiwali na wadze, a marzyli, jako o najśmielszej karierze, że będą płatniczymi w traktyerui i że, wysłużysz się przez lat dwadzieścia brzuchowi i sprośnym chuciom gości, nabierają wreszcie tyle miedziaków, iż na starość kupią kamienicę. Chce koniecznie, aby nasze córki szpeciły sobie ręce praniem, albo traciły wzrok, szyjąc po nocach, słuchały potem wyrzekań pijanego męża, wracającego z knajpy, dawały się za młodu szczypać chłopcom w policzek, a na starość nosiły wodę, albo wapno; chce może, aby szły za mąż na próbę, obyczajem tutejszego kochanego ludu, wiedziały od dzieciństwa o wszystkim, o czem dziewczę wiedzieć nie powinno, w mieście okna myły, a na wsi latem w otwartej sypialy stodołę; aby szczytnym dla nich ideałem była baletnica, podrygująca nogami w obliczu tysiąca męskich lornetek i dostająca w prezencie brylanty od starego bankiera, żyda, którego musi udawać że kocha, a którego oszukuje z forysiem poręcznika od konnicy! Lubię takiego uczzonego demokratę! Dla niego wzniosłym ideałem, aby wszyscy

ludzie stracili samodzielność i charakter, zapomnieli o przodkach swoich i zapewne kiedyś pozamieniali imiona i nazwiska na numera. Mają być owcami, karmionemi i strzyżonemi w dużej owczarni dobra publicznego; a strzydz ich będzie oszust bluźniący, że jest wykonawcą prawa, albo może kapłanem bóstwa miłującego zarówno niedołęgę i najdzielniejszego człowieka. Kiedy taki demokrata ma widzenie doskonałej kiedyś dziejowej przyszłości, widzi przed sobą samych ludzi, całkiem podobnych do siebie, wylanych z jednej formy, szczytnie ludowych! Wszyscy mają wielkie, sterczące uszy, nos rozplątanym, gębę wyciętą od ucha do ucha, a w niej żółte zęby. A potem forma snu się zmienia, i zdaje się demokracie, że widzi, jako przyszli ludzie są tłumokami i że te tłumoki pakuje bezosobiste państwo do towarowego wozu społecznej równości!

Kazimierz poczerwieniał, słuchając mowy przyjaciela; oburzała go, gniewała, to też odparł prawie opryskliwie:

— A ty chcesz, zapewne, żeby wszyscy ludzie w przyszłości — albo przynajmniej twoi potomkowie, byli hrabiami, albo księżętami, golili wąs na podobieństwo swoich lokaj, nosili szkiełko w oku, choć widzą dobrze, ubierali się drogo u pierwszego krawca, godzinami krawat przed zwierciadłem wiązali, sami się własnymi końmi po mieście wozili, jadali ostrygi i pasztet strasburski, pijali szampana, nie pytając skąd rachunek zapłacą, przespiali dzień biały a noc przesiadywali w klubie przy bakaracie, albo za kulisami przy aktorach; bez pamięci robili długi a ratowali się fałszując weksle, albo w najlepszym razie, żeniąc się z bogatemi herytyerkami i utrzymując metresę za pieniądze żony. Chcesz, aby wszystkie kobiety, a przynajmniej twoje wnuczki, były nieporadnemi lalkami, paplającymi po francusku i grającymi bezmyślnie na fortepianie, jeżdżącymi po kąpielach, nie znającymi ludzkiej prawdy, nie współczującymi z milionami bliźnich, dla których całym światem — salon, a ludzkością grono bogatych próżniaków; istotami pobożnemi z mody, a mieniącymi Boga stróżem swoich wygod i przywilejów; za młodu elegantkami, wydającymi na jedną suknię, noszoną przez jeden wieczór majątek, który-by wystarczył na to aby dziesięć ubogich dziewcząt ochronić od hańby; a na starość — intrygantkami, pieścącymi pieska dla pociechy, a dla zabawy rozsiewającymi między znajomych niezgodę i nieszczęście. Chcesz, aby młode pokolenia wyrastały w domu bogatych rodziców z przeświadczeniem, że próżniactwo i nieuctwo ich obowiązkiem, że praca, że nauka, że myśl poważna były-by dla nich poniżeniem; chcesz, aby głupio traciły majątek, na który nie zapracowały, a potem hulały dalej i gardziły dalej zasługą, wysługując się za grubą nagrodę milionowemu żydowi — lichwiarzowi ary-

stokratycznej niecnoty, która połączona z jego bezwstydną chciwością, dopiero okropną wytworzy szkaradę. Chcesz tego. Więc winisznię tobie, arystokrato!

Henryk, wysłuchawszy tę apostrofę przyjaciela, aż rzucił się z niecierpliwości. Zawołał:

— Ależ-to wszystko, coś teraz opisał, czem się brzydzę tak, jak ty się brzydzisz, nie jest bynajmniej arystokracją, nie z arystokracją nie ma wspólnego. To nikczemna plutokracja, arystokracji prawdziwej przeciwieństwo; to wrzód, który się tworzy na ciele demokracji, skoro się ze wszystkim arystokratycznego, czyli mówiąc po polsku, szlchetnego pozbędzie pierwiastku. Bo czemże ta twoja demokracja? Czem-że się jawi? Jakże-ż działa? Przedewszystkiem wszelkiej wyższości nienawidzi, to co szlchetne poniża, pecha pod jeden mierności i nikczemności strychulec. Demokratą była królewskość Ludwika XIV i Filipa II; bała się u ludzi samodzielności, wielkoduszności, będącej znamię prawdziwego szlactwa, odznaczała ludzi którzy umieli się poniżyć i którzy umieli czekać u króla w przedpokojach, dla których najwyższym zaszczytem było podać królowi pantofle, albo nocną koszulę; szczytem szczęścia było odstąpić królowi żonę na nieślubną kochankę; wmawiała w świat, że wyższością społeczną, jest rozrzutność bezmyślna ludzi zadłużających się, aby żyć marnie wśród martwych salonów i bardziej martwych szpalerów ogrodowych, aby się stroić jak papuga, kłaniać i podrygiwać jak uczona małpa, objadać się i opijać rzeczami niszczącymi zdrowie, barwę ciała zakrywać farbą, barwę włosów zasypywać pudrem, postać ludzką w jakieś modne zamieniać czupiradło; z wielkiego pana, z wodza, z ministra śmiesznego zrobić fagasa! Potem przyszła rewolucja i poszła o krok dalej, konsekwentnie stąpając po tej samej drodze. Jeśli wśród dzisiejszej demokracji wielkość i zasługa nie są wyraźnie zakazane, nie masz dla nich żadnej istotnej nagrody; a to się zakazowi prawie równa, jak nawet ty, demokrato, zrozumieć musisz, skoro wspomnisz że trud wielkości i zasługi trawi ludzkie życie, że jeśli ludzie mają się rwać do zasługi, trzeba, aby im za to przyznano władzę i poważanie; nietylko dla nich samych, ale także dla potomków, dopóki ci się nie staną niegodnymi przodków i ponad zuchwały, ofiarny honor podłego zysku nie wyniosą. Dziś, w demokracji, głupi stróż kamieniczny i syn złodzieja mają takie same prawa i taki sam wpływ na sprawy państwa, jak uczoney, który życie przetrwał na księgach, jak syn bohatera poległego na polu chwały, wychowany w tradycyi honoru i poświęceń, a we wzgardzie dla błyskotek, dla wygod i marnej mamony. Jedna tylko rzecz daje wyższość, władzę, poważanie, znaczenie w społeczeństwie

dziedziczne; jedna tylko rzecz sprawia, że się kłaniają starcowi, że się starają o przyjaźń jego dzieci, o związek z jego rodziną; jedna rzecz może potomkom ułatwić życie; a tą jedyną rzeczą — majątek, byle jak nabyty, choćby majątek po zdrajcy i złodzieju odziedziczony, byle ludzie o nim wiedzieli. A przeto w demokracji ludzie, zaniechawszy honoru, wzgardziwszy poświęceniem jako głupstwem, gonią jedynie a nieustannie za majątkiem, a siłą się na udawanie majątku, na najniedorzeczniejsze zbytki i zdrożne próżnowanie, będące uwierzytelnieniem majątku, a zastępujące dziś i własną i przodków zasługę.

Kazimierz, wysłuchawszy, już nieco spokojniej odparł: — Jeżeli ty przecyzysz, aby stan dzisiejszy społeczeństwa był arystokratyczny, jeśli miana arystokratów nie chcesz przyznać dzisiejszej „śmietance“, bogaczom dzisiejszym, choćby nawet mieli tytuły szlacheckie i byli potomkami dawnych bohaterów; pozwól, abym równem, a może lepszym prawem przeczył temu, aby dzisiejsza plutokracja — bo przyznaję, że żyjemy w plutokratycznym społeczeństwie — była istotną demokracją. Tak, jak ty, powiem: nic nie ma wspólnego z moim ideałem! Zaszliśmy na manowce, dążąc do celu, jakim jest demokracja prawdziwa. W prawdziwej demokracji będą gardzili takimi ludźmi, jak ci, którzy się teraz mają za śmietankę, a są szumowinami. Szacunek u ludzi, wpływ na sprawy publiczne, poważanie i znaczenie dostaną się jedynie istotnej, osobistej, rozumnej i ofiarnej zasłudze, którą powszechnie wykształcone społeczeństwo niechybnie rozpoznać potrafi. Nie będzie śmiesznych pyszałków, chlubiących się od razu własną nikiemnością i zasługą przodków; bogaci rodzice nie będą dzieci swoich wychowywać na niedołęgów, godnych tylko gonić za czczem używaniem, a niezdolnych do szczęścia; wszyscy ludzie będą wiedzieli, że ich stanowisko, ich godność, ich znaczenie, będą jedynie zależne od ich własnej, osobistej pracy i zasługi, od tego, o ile stali się pożytecznymi społeczeństwu, a tem samem samolubstwo nawet będzie zmuszać do bezinteresownej cnoty i poświęcenia.

— Utopijny skreśliłeś obrazek, kochany Kazimierzu — odparł Henryk — a najważniejszym jego błędem jest to, że na to aby mógł się stać prawdopodobnym, potrzeba-by radykalnej, niemożliwej przemiany natury ludzkiej; trzeba z niej wykorzystać najpotężniejsze instynkta, najwszechwładniejsze namiętności, które dotąd człowieka znamięnowały. Nastanie twojej doskonałej demokracji jest rzeczą tak prawdopodobną, jak to, że ludziom kiedyś wyrosną jaskółcze skrzydła, które na starych obrazach widzimy u aniołów. Ha! być może, że kiedyś *homo sapiens* zamieni się w jakiś inny, doskonalszy gatunek zwierzęcia dwuręcznego; ale na to, aby to się stać mogło. wskutek

walki o byt i doboru płciowego, trzeba diabłu długiego czasu — może marnego miliona wieków. Tymczasem będą ludzie zwierzętami bardzo przemyślnymi, bardzo chytremi i bardzo złośliwymi, nieuleczalnymi samolubami, którzy nie potrafią myśleć o czem innem, niż o używaniu, o zarobku i zysku, a potrafią co najwięcej udawać i kłamać, jakoby byli szlachetnymi, jakoby myśleli o czemś innem, naprzykład o zasłudze, o społeczeństwie, o tem co piękne i dobre! Wśród stu tysięcy pelzających, kłamliwych, złośliwych ludzi, narodzi się jeden może bohater zakochany w cnocie i we własnej działalności a gardzący tem wszystkim czego drudzy pożądadają, i prawem przyrodzonej dziedziczości, a może także wpływem wychowania, przekaże potomstwu choć część jakąś swoich zalet; ale to będzie właśnie arystokrata i założyciel rodu arystokratów, a o ile wyższością swoją podłej trzody ludzkiej nie podbije, o ile się dla niej nie stanie czemś niedostępnie wyższem, zostanie wnet rozszarpany przez tłum obrzydły, przez demokrację nienawidzącą bohaterów, tak jak wrony krakające orła nienawidzą. Ustanów jakie chcesz pomiędzy ludźmi prawa, zadekretuj równość, nakaz zasługę, a będą nieszczemnicy udawali że tobie są posłuszni, użyją nawet ustaw jako stryczka, którym każdego zacniejszego uduszą; ale sami będą pilnie prawo omijać, za własną korzyścią gonić, myśleć o brzuchu i próżnej przechwałce, jedni drugim na kark będą wyłazili, będą się gryzli nawzajem, jak głodne szczury; zawsze skończy się na tem, że najnikczemniejsi zapanują, skoro prawo demokratyczne nie dopuści panowania szlachetnych, i skończy się na wszechmocy kłamstwa i nieszczemności, na wzajemnym wyzysku, na ohydnej plutokracji! Świadczą o tem całe dzieje. Pokaż mi gdzieś na ziemi, gdzieś w przeszłości, albo w teraźniejszości, jakąś demokrację, która-by się nie była zamieniła w panowanie samolubów wzbogaconych przewrotnością. Nie pomogły nigdy najśrodsze prawa, zabraniające zbytku i widocznego bogactwa. W chłopskiej demokracji komunistycznej prawie gminy nie przeszkodziła temu nigdy żadna *lex agraria*, aby kasta bezlitośnych chłopskich lichwiarzy nie pastwiła się nad ludnością. Przekupstwo rządziło Atenami, Rzymem starożytnym, Florencją, aż wreszcie lichwiarze Medyceusze Florencję na własność kupili. Mimo teroryzmu Jakobinów, zachwalających spartańską cnotę, mimo konfiskat Konwentu i panowania nieustającej gilotyny, popadła rewolucyjna Francja w ręce nieuczciwych finansistów, jest dziś w niewoli u żydowskich miliarderów, a Stanami Zjednoczonymi rządzi bezwstydną spółka bezczelnych kapitalistów. Pokaż mi jedną demokrację, w której-by rządziły cnota i zasługa, a złożę broń, wdzieję czapkę frygijską i będę wołał na całe gardło: *Liberté, égalité, fraternité!*

Głównym jest twierdzenie, że początkiem szlachty bywa zawsze przemoc i podbój, że początkiem religii szlacheckich na prawdę narodów bywa zawsze niegodne oszustwo, w które sami nie wierzą oszuści? Czyż tego nie pojmujesz, że skoro się zjawia wśród szarego gminu rody, z istoty swej, że tak rzekę przyrodniczo doskonalsze, synowie bogów, bohaterowie, nadludzie, że skoro staną pośród motłochu śniadych karłów płowe szlacheckie olbrzymy, zapanują nad rzeszą nikczemną bez gwałtu i zdrady, koniecznie, tak jak człowiek panuje nad bydłem? Zapanują, a panując stają się narodu dobrodziejami; z trzody ludzkiej zrobią dopiero naród, nauczą go porządnej pracy, pobudują dłań domy, nauczą uprawiać rolę, ustanowią sądy, które wieczne malpie ukoją niesnaski; jako łowcy wielcy przed Panem wytępią drapieżnego zwierza, jako wojownicy odpędzą drapieżniejszego ludzkiego sąsiada i zmuszą do pracy dla dobra narodu dzicz ludożerczą, która wpierw ten naród sprośnie zjadała. Ludziska niedołążne, które żyły wpierw na wzór zwierzyny, ukrywając się po pieczarach. wyszły teraz na świat boży i pokłoniły się dobroczyńcom swoim, jako istotom nadprzyrodzonym; służyły im odtąd dobrowolnie, wykonywając roboty powszednie, bezmyślne, ciężkie i nużące, ale bezpieczne, słuchając chętnie rozkazów, przyjmując wdzięcznie nałożone na winowajców kary, mnożąc się i rozrastając. A gdzie trzeba było narazić życie, lub zdrowie, gdzie trzeba było wyteńczyć myśl, tam stawali za lud przyrodzeni ludu wodzowie; wierzyli w swoją wyższość, w swoje nadludzkie pochodzenie, tak, jak się wierzy w oczywistą prawdę, a duchem, bujającym wysoko ponad ziemią, sami jedni myśleli o czem innem, niż o wygodzie, o jedzeniu i spaniu; miewali widzenia nadziemskiej piękności. i w postaciach, które się wtedy jawiły oczom ich wyobraźni, witali bogów nieśmiertelnych, przodków swoich, utwierdziciele ich władzy nad narodem; na chwałę tych bogów stworzyli pieśń i sztukę, a później filozofię, zaglądnąca śmiało w świat wiecznie niezbadany; wspaniale ustanowili obrzędy, dźwignęli świątynie, wykuli posągi i wymalowali obrazy na podobiznę nieśmiertelnych, wiecznie młodych i pięknych; spisali poemata i księgi, pełne dla nich tylko dostępnej mądrości; a nie ich winą to było, jeżeli gmin, który tych spraw nie pojmował zgoła, naśladował je tak, jak mała ludzkie naśladowuje czyny i, z czasem, ze wszystkich rzeczy tych górnych a świętych, z religii i sztuki, z cnoty i mądrości porobił rzeczy martwe, chińszczyznę bezduszną, pełną niedorzecznych formulek, przesądu i zabobonu!

Na tem się skończył dyskurs ciekawy, bo dojechaliśmy do naszego celu i musieliśmy wysiadać z tramwajowego wozu.

V.

Zjadłszy obiad w ogródku traktyerni, poszliśmy zrazu prosto do cesarskiej menażeryi; dużo czasu spędziliśmy w niezrównanej ptaszarni, podziwiając hojność twórczą przyrody, która tak cudownemi a rozmaitemi barwami, w krajach ukochanych przez słońce, ustroiła drobne a zwinne ciała powietrznych latawców, tak różnorodne głosy i nuty włożyła w ich drobne dzióbki. Zatrzymaliśmy się potem, przez chwilę, przed ogromnemi słoniami, przed żyrafami o niezmiernie długiej szyi; cieszyliśmy się nieco dłużej majestatyczną siłą lwów grzywiastych, drapieżną tygrysów pięknnością; siedzieliśmy najdłużej przed ogromną klatką, w której mnogie małpy swoje figle wyprawiały. Wiem, że są ludzie, którzy się na małpy niechętnie patrzą; rażą ich te ludzkości sowizdrzały, te karykatury żywe, które się wydają nieudałym człowiekiem szkicem, sprośnemi niedoludkami i które, jak wszystko, co się nie udało, są stanowczo brzydkie; upokarza ich widok zwierząt, które mają ręce, uszy, a nadewszystko oczy takie same, jak my, a z których oczu wyglądają ludzkie, niższe żądze, których ruchy i czyny przypominają ludzkie namiętności i śmieszności; czują, że te małpy naprawdę do nas podobne, że natura nam się małpami wydrzeźnia, i odwracają się ze wstrętem i oburzeniem od małp widoku, jako od osobistej obrazy. Ja zaś jestem tego samego zdania, co dzieci: bawię się niezmiernie patrząc na małpy; śmieją mnie ich psoty; cieszę się, że przecie coś trochę więcej wart od zwykłej małpy — choć, w gruncie rzeczy jestem tak bardzo niewiele wart, a podziwiam przytem niezmierną zwinność tych istot, w porównaniu z którą zuchwałe sztuki cyrkowych akrobatów rażą wymuszoną widocznie pedanterią. Wyprawiają karkołomne skoki, jedną łapą wiszą na cienkim drążku, siedzą wygodnie na pręcie nad przepaścią, i ani na myśl im nie wpadnie, żeby to była rzecz zuchwała i trudna; wyprawiają bajeczną gimnastykę tak naturalnie, jak nasze dzieci biegają po ziemi, a przytem płatają ustawiczne figle i psoty; jedna drugą za długi ogon łapie, jedna drugą z rozmachem w pyszczek uderzy, całkiem tak, jak gdyby była posłem na skrajnej lewicy wiedeńskiego parlamentu.

Nadszedł stróż menażeryjny, i przez kraty klatki rzucił małpom na żer owoce i orzechy. Odrazu zbiegł się czwororęczny naród na podłogę klatki, mrużąc, chychocząc, gwarząc, krzycząc chrapli-

wie; zapomniał o pustej zabawie i rwał się do jada — całkiem tak jak ludzie, całe prawie życie o tem tylko myślą i myśleć muszą, jakby się najeść mogli. Jedna małpa drugą samolubnie odpycha; pobijają się, potłuką, a potem żrą, aż z pomiędzy zębów wyrwywają sobie jado, piszczą, mruczą. Matka małpia dzieciom nie pobłażała, chcąc się sama najeść łakomie, a dzieci ukradkiem matce orzechy z pomiędzy łap wykradały; każda małpa pchała sobie do gęby więcej, niżeli zjeść mogła.

— Patrzaj, Kazimierzu! — zawołał Henryk — patrzaj, a ciesz się! Oto masz przed sobą widok twojej przyszłej demokracji! Tak ludzie wyglądać będą, gdy wszelką wyższość wygonią z pośrodku siebie!

Był w klatce także duży pawian; siedział opodal na suchej gałęzi, a mogło się zdawać, że wzgardził wspaniałe nikiemną walką o żer; w tylnych łapach trzymał małą małpeczkę, która, nieświadoma widocznie zaszczytu, jaki ją spotkał, piszczała, chciała się wyrwać do orzechów. Daremne były wysilenia plebejskiej niewdzięczności; pawian trzymał i nie puszczał; przedniemi łapkami raczył przebieierać w sierści swego poddanego, raczył tam czegoś szukać; dobroczynnie zajmował się małpeczką; polował na niej na owady; a przyczyną istotną tej wspaniałomyślniej zabawy była ta okoliczność, że owady, wychowane na ciele bliźniego, to dla małpy przysmak najprzedniejszy. Raptem sprzykrzyły się łowy pawianowi; brankę swoją zrzucił wzgardliwie na ziemię, sam na ziemię zeskokczył i pobiegł ku orzechom; pozgrzytał zębami, pogroził łapą, a drobny naród małpi rozbiegł się, piszcząc ze strachu; duży pawian sam został na placu, sam dla siebie całą zabrał strawę.

— Patrzaj, Henryku! — zawołał Kazimierz. — Patrzaj a podziwiaj! Oto zjawił się przed nami twój nad-człowiek, twój arystokrata, przyrodzony pan motłochu, wyższy nad krępujące prawa moralności!

Wyszliśmy wreszcie z menażeryi; zaszliśmy do części ogrodu, otaczającej wspaniałą palmiarnię, potężny, wysoki pałac ze szkła i żelaza. Ta strona parku, trzymana swobodnie, na sposób zwany angielskim; ponad demokracją równo strzyżonych traw, tworzących pulchną, zieloną murawę, wznosi się dumnie arystokracja drzew; drzewa tworzą ślicznie zaokrąglone kłąby, a gdzieś odbija się, na urozmaiconej konarów zieleni, duża, purpurowa plama krwawego buku.

Siedliśmy gdzieś w cieniu, na ławce, a ja zagailem dalszą rozmowę. Rzekłem: — Po drodze spieraliście się o demokrację i arystokrację — mało-żeście się nie pokłócili. Nikt nikogo nie przekonał; spór pozostał nie rozstrzygnięty, jak to zwykle przy podobnych

dyskusjach bywa, a to może dla tego, że arystokracja, jak i demokracja, mają swoje zalety i swoje wady, że żadnej z nich stanowczej wyższości nad drugą przyznać nie można, że każda z nich bywa w swoim czasie pożyteczną, albo zgoła konieczną, o innej znów porze szkodliwą, albo wcale niemożliwą. Może pożyteczniejszem-by to było, gdybyśmy się zajęli pytaniem: kiedy z natury rzeczy przybiera społeczeństwo nastroj demokratyczny, a kiedy arystokratyczny? — i czem można te kolejne wytłómaczyć przemiany?

— To jest, — przerwał Henryk — mamy sobie zdać sprawę z tego, jakie prawa natury sprawiają, że demokracja ostatecznie zwycięża? Dlaczego czas zawsze wreszcie wspaniałe góry z jednostajnymi, poziomymi płaszczyznami zrówna? Dlaczego to, co małe i marne zawsze wreszcie pokona i pożre to, co wyniosłe i piękne, tak jak rdza toczy żelazo?

Spytałem się zdziwiony: — I to pan tak mówisz, panie Henryku? Czyż i pan daleś się przekonać o koniecznem demokracji zwycięstwie?

Henryk odpowiedział: — Trudno temu przeczyć, co oczywiste; powódź demokratyczna zalewa ląd cały: wzbiera przez wieki, nie pohamowana niczem. Przyczyny tego nie należy chyba szukać w prawach matematyki, lub astronomii. Nie dla tego tak jest, ponieważ tak w gwiazdach napisano. Błądzimy także, szukając tłumaczenia zjawisk społecznych w prawach meteorologicznych, bo natura klimatów i następstwo pór roku są od wielu wieków jednakowe, a zdarzenia historyczne i stosunki społeczne zmieniają się ustawicznie. Chcąc myśleć trzeźwo a rzeczywiście naukowo, trzeba szukać przyczyn rozwoju dziejów w naturze ludzkiej, trzeba myśleć, że jest w nas pochyłość ku poziomej mierności, po której ludzkość stacza się ustawicznie na jeden nikczemny poziom, na którym nie warto żyć; że jest w nas propenzya do pracy i niewolniczej nikczemności nieprzemierzona, że podniesienie się ponad ten poziom jest wysiłkiem przeciwnym naturze ludzkiej, wyczerpującym, po którym powrót na zwyczajny poziom ludzkiej trzody musi, po krótszym lub dłuższym czasie, nastąpić. Przy tem trzeba przypuścić, że warunki, wśród których mogą powstać wyższe, bohaterские indywidua i swoje właściwości przekazać potomkom, stają się coraz rzadszemi i że przeto, z tak zwanym postępem cywilizacyi, stare rody półbogów są skazane na wymarcie, a nowe powstać nie mogą.

Można się słusznie zapatrywać na rzecz ze stanowiska fizjologicznego, przyrodniczego. Rasa szlachetna ludzi może tylko powstać w niektórych, wyjątkowych klimatach, zapewne na wybiśniętych płaskowzgórzach stref ciepłych i zapewne tylko przy rzadkiem zaludnie-

niu, obfitem pożywieniu, uwalniającem od przemożnej troski o chleb, i to pośród pasterzy twardych, obejujących ustawicznie z przyrodą, wystawionych na różne przygody i niebezpieczeństwa. Gdy raz, w tych coraz radszych dziś okolicznościach, powstanie wyjątkowy ród ludzi szlachtetnych, zapanuje najpierw nad okolicznościami plemionami, wnet świat podbije dokoła; ale raz zapanowawszy, nie może swych właściwości przechować przez nieograniczoną ilość pokoleń. Musi się zdarzyć jedno z dwojga. Jeśli szlachetni nieszlachtetne pojmują żony, znikczemnieje ich rasa, w krótkim czasie same będą brojniaki w ludzkiej stadninie, i nie będzie ani słusznego powodu, ani podobieństwa używać jednych pod wierzch, a drugich do pluga. Albo — jakto zwyczajnie bywa — rody szlachtetne, słusznym wiedzione samozachowawczym instynktem, utworzą zamkniętą kastę, tylko z pośrodku siebie żony brać będą. Ale wtedy nastanie zjawisko, koniarzom dobrze znane — nie od razu, ale po wielu pokoleniach — rasa się przesili, stanie się zanadto szlachtetną; zachowa nerwową swoją wrażliwość i szlachtetność zewnętrzną, ale straci na sile i wytrzymałości; zniewieścieje, nie zdoła już swojego utrzymać panowania i ulegnie pierwszemu buntowi pospółstwa, które się pastwić będzie niezadowolnie nad pokonaną szlachtą, dając folgę zwierzęcym instynktom. A wygody, w których żyć będą późniejsze szlachteckie pokolenia, przyspieszą to przesilenie i tę zgubę szlachtetniejszej rasy ludzi.

Można w gruncie to samo także psychologicznie uzasadnić, jakto uczynił gdzieś Platon, w swojej podobno Rzeczypospolitej. Rodzi się człowiek pański i, władając zarówno sobą, jak drugimi, po bohatersku ród możny założy. Syn jego już przez pochlebców otoczony, nieświadom ojcowskich wysiłków, będzie wierzył, że panowanie darem nieba, na który nie trzeba zasłużyć i zasługiwać ustawicznie; zapatrzony sam w siebie, stanie się dla otoczenia, a wreszcie i dla siebie nieznośnym; w wyniosłej samotności wychowywać będzie dzieci swoje. Wnuk pańskość swoją poczuje jako niewolę; uciekając przed samotnością, spoufali się z gminem; przyzwyczajony do tego, że każda jego zachcianka bywa wnet spełnioną, utraci siłę i stałość woli, więc między gmin wpadnie, z gminem się zmiesza; nastanie demokracja, której sam będzie twórcą, a w niej zapanują same przeróżne a nieokiełzane chucie. Od anarchii wyratuje świat tylko niewola, wspólna dla szlachtetnych i dla pospółstwa, nie już pod panowaniem bohatera, lecz pod jarzmem martwej, papierowej recepty, zwanej pisaną ustawą.

Na tem skończył Henryk swoje wywody. Teraz podjął rzecz Kazimierz w te słowa:— Wygłosiłeś, Henryku, teorię pesymistyczną, przykrojoną modnie, że tak rzekę, po secessyjnemu, ale żyteś do

niej bardzo dawnych motywów, bo już starożytność, podobnie jak ty, szukała gdzieś w przedawnej przeszłości złotego wieku bohaterów, w przyszłości spodziewała się jakiegoś ołowianego błota, pozbawionego męstwa i cnoty. Myliła się jednak, tak jak ty się mylisz, bo sądzę, że dni dzisiejsze i lepsze, i szczęśliwsze, nietylko od wychwalonego przez ciebie czasu pustych, pierwotnych rozbojów, ale nawet od epoki klasycznych mężów stanu i myślicieli. Jeśli chcesz wiedzieć, jak wyglądały owe, tak głośno opiewane czasy bohater-skie, pojedź do Azji, albo do Afryki środkowej; — tam trwają dotąd w całej pełni, a wątpię, abys tam długo mógł wytrzymać i nie będzie to przechwałką, jeśli powiem, że dziś znajdziesz na świecie więcej nauki i więcej męstwa — no! przynajmniej dużo nauki i męstwa — że jeszcze nie wygasły i wygasnąć nie myślą. Błogosławiąc tedy temu, czemu ty złorzeczysz, poszukam innego wytłómaczenia konieczności demokratycznego postępu, a zamiast do fizjologii i psychologii indywidualnej udam się do ekonomii politycznej i do tego, co nazywają dziś socyologią. Nie puszczę się za Platonem w genialne, ale nadobłoczne krainy, w których przebywał, pisząc swoją Rzeczpospolitą; będę raczej stąpał w ślady trzeźwego Arystotelesa; ten bowiem myśliciel podał już w swojej nieocenionej Polityce istotne powody, dla których społeczeństwa postępowe dążą do coraz pełniejszej demokracji, dla których, rzecz można słusznie, iż demokratyczny rozwój zawsze towarzyszy postępowi społecznemu i jest poniekąd jego miarą.

Spółeczeństwo całe nigdy nie wychyla się nagle ze stanu pierwotnej ciemnoty i pierwotnego ubóstwa; niektóre tylko, nieliczne z razu rodziny zdobywają sobie w niem większe dostatki a wśród wczasu nabywają także większej oświaty i tem samem tworzą u brzasku cywilizacji pierwotną arystokrację. Zawdzięczają zazwyczaj swój dobrobyt czynom wojennym, więc zawsze przemocy, a częstokroć zdradzie. Nie myślę jednak temu przeczyć, że swoje powodzenie jawnej zawdzięczają wyższości, że ta wyższość wzmagą się potem, w miarę tego jak te właśnie tylko rodziny nabywają oświaty, wydają z siebie sztukę, naukę, prawoznawstwo, poezję i wszystko, co się nazywa cywilizacją. Nie jestem już teraz podrażniony twojemi arystokratycznymi paradoksami, więc przyznam, że te rodziny wydają się opanowanemu przez nie gminowi czemś wyższem, uczestniczącem w naturze nadludzkiej bogów; choć środki, któremi swoje panowanie zwykły gruntować, wydały-by nam się dziś słusznie zbrodniczem; ich wywyższenie bywa dobrodziejstwem dla dziczy, choćby już tylko dlatego że im samym daje sposobność do dostąpienia życia godniejszego ludzi, ale przede wszystkim dlatego, ponieważ przez nich ustanowione pa-

nowanie prawa i dany przez nich przykład sprawiają, iż także inni członkowie narodu nabywają coraz większego dostatku, kształcą się, barbarzyństwo zamieniają na cywilizację. Gdy się tak ilość rodzin zamożniejszych a oświeconych pomnoży, musi arystokracja pierwotna ustąpić przed względną demokracją, bo wszystkie zamożniejsze i oświecześniejsze rody zapragną udziału we władzy. Jeżeli dawniejsza arystokracja zechce się oprzeć koniecznej przemianie, jeśli nie zechce rozszerzyć koła rodów rządzących, stanie się wprost szkodliwą i sama sobie będzie winną, jeśli ulegnie wśród krwawej rewolucji, nie dopuściwszy do szczęśliwej a pokojowej ewolucji. Skoro się znów względna ilość zamożnych i oświeconych rodzin w narodzie wzmoże, czy to wskutek wewnętrznego rozkwitu, czy to wskutek rozszerzenia granic, wczorajsza demokracja stanie się dzisiejszą arystokracją i będzie musiała z pola ustąpić przed nową, szerszą demokracją; i po tej kolei muszą się toczyć dzieje narodu, póty, póki nie dojdzie do bezwzględnej demokracji, przyznającej wszystkim mieszkańcom kraju równe prawa i równy udział w rządach.

Rozwój demokratyczny przyspiesza jeszcze inna okoliczność. Oświata w narodzie staje się nie tylko coraz powszechniejszą, ale także coraz wyższą, wskutek tego wzrasta zdolność do wytwarzania pojęć oderwanych, wzrasta poczucie sprawiedliwości i prawa, zmniejsza się podziw dla brutalnej siły i zdradliwej przebiegłości, a przedmiotem czci ogólnej stają się nauka i czynem okazana miłość dla ludzi. Narody przeto zbliżają się do siebie; niegdyś obce i nienawistne sobie plemiona zrastają się w wielkie państwa, wspólnem a demokratycznym rządzone prawem, a miejsce lokalnych legend i zaboobonów zajmuje wspólna religia, oświecająca powszechne braterstwo ludzkie. Gdy się takie idee raz zrodzą, już nie zginą; choć nawet kataklizm jakiś zburzy cywilizację, która już do takich idei dojrzała, pozostaną spadkiem po niej i staną się własnością przyszłych społeczeństw. Tak to Rzym starożytny i starożytna Grecja zginęły; wróciło po wędrówce narodów ubóstwo takie, że nowy arystokratyczny ład w Europie zapanował, a jednak nowe narody przyjęły Chrześcijaństwo i prawo rzymskie i wskutek tego nie było u nich nigdy bezwzględnej kastowości, a gdy się oświeciły i wzbogaciły, budowały odrazu nowożytną demokrację na szerszej podstawie. Takim-to sposobem nie giną nigdy nabytki cywilizacyjne, które pewną miarę przekroczyły; a postęp demokratyczny nie tylko jest prawem władającym dziejami pojedynczych, na prawdę historycznych narodów — władnie także dziejami powszechnemi, jest prawem obowiązującym dla całego rozwoju rodzaju ludzkiego.

Kiedy Kazimierz umilkł, wmieszałem się do rozmowy — rzekłem: — Ciekawieście panowie obaj rozprawiali. Pan Henryk wygło-

sił poniekąd nowe a śmiałe poglądy; pan Kazimierz przystosował bardzo szczęśliwie do naszej sfery wyobrażeń starą a rozumną naukę Arystotelesa. Słuchałem panów obydwu z niemalą uwagą. Nie mogę jednak nie zrobić pewnego zarzutu panu Kazimierzowi, który się wreszcie może także i pana Henryka tyczyć będzie. Starożytni, kiedy mówili o arystokracji, i demokracji myśleli zawsze o politycznych formach rządu, a świetne ich teorye odnosiły się do tych form rządu i do ich następstwa kolejnego; obaj panowie powołaliście się na starożytnych, na owego Platona i owego Arystotelesa, którzy byli tak wielcy i mądrzy, że po dziś dzień każda głębsza spekulacyjna dyskusya o nich oprzeć się musi. Wskutek tego odniosłem wrażenie, żeście panowie obaj także o politycznych formach rządu myśleli; a w takim razie muszą się zachować bardzo sceptycznie wobec waszych wywodów.

Bo najpierw historia bynajmniej nie świadczy temu, aby demokracja była ostateczną i najtrwalszą formą rządów, do której dążą dzieje. I owszem, demokracje nigdy dłużej nie trwały jak parę wieków; narody, tak cywilizowane jak barbarzyńskie, bywają zwyczajnie monarchicznie rządzone, a prócz monarchii, tylko arystokracje kolegialne, jak spartańska, rzymska, wenecka, angielska, założyły wielkie państwa i zdołały te państwa przez dłuższy czas utrzymać. Demokracja wydaje się naturalną formą rządu tylko dla państw bardzo małych, ubogich a odosobnionych, co wprost przeczyło-by głównej treści wywodów pana Kazimierza. W społeczeństwie większem, albo choćby tylko bogatem, potrwa parę wieków, nie dłużej, i ulegnie potem wewnętrznemu, a najczęściej zewnętrznemu, nieprzyjacielowi. Sprawy większego państwa są tak skomplikowanej natury, że tu rząd może tylko spoczywać w ręku ludzi bardzo wprawnych i światłych, wychowanych już do rządzenia, a rząd demokratyczny spoczywa w ręku ludzi, którzy się z trudnością na jedno zgodzą, i którzy, myśląc ustawicznie o drobnych, prywatnych interesach, zupełnie nie są w stanie objąć wielkich spraw państwa, przewidzieć niebezpieczeństw, grożących Rzeczypospolitej; skapią na wojsko, własnej nie ufają dyplomacyi i muszą się wreszcie pod obce dostać panowanie. Taki właśnie był los Aten i Florencyi. Albo też demokracja bywa tylko kłamstwem i pozorem; w istocie rządy bywają sprawowane przez ludzi, ukrywających się niby za kulisami; wtedy bywa, że państwo demokratyczne wielką prowadzi politykę; ale skoro z tej polityki istotne wynikną niebezpieczeństwa, naród swoich ulubionych pozorów się wyrzeka, zaufa mężowi, który losami narodu kieruje — i monarchia gotowa! Tak to się w Rzymie stało za Juliusza Cezara i za Augusta, członków istotnie rządzącej arystokracji, którzy się stali popularnymi.

Ale o to mniejsza, i przyznam się, że niewiele wagi tym wywodom przypisuję, a wierzę, owszem, że kiedyś może szereg gieniuszów potrafi uczynić demokrację jakąś przez dłuższy czas najpotężniejszym państwem na świecie. Ważniejsza to, że nie mogą się przekonać do ulubionej dziś przez wielu metody wywodzenia wyłącznego kolei zdarzeń dziejowych z tak zwanych przyczyn ogólnych — bez względu, czy to mają być prawa przyrodnicze, psychologiczne, czy socjologiczne. Nie godzi się przenosić do historii metod, używanych przy badaniu jednostajnych zdarzeń nieorganicznej przyrody, bo w historii działają wpływy tak nieskończenie liczne a różnorodne, że nikt ich gry z góry nie przewidzi. Losy narodów zależą od tego, gdzie się gieniusz, gdzie głupiec narodzi, a nikt tego naprzód z biegu gwiazd nie wyczyta. O najdonioślejszych wypadkach politycznych rozstrzyga szczęśliwy, albo nieszczęśliwy pomysł, który nie wie gdzie się wziął, którego nikt naprzód nie obliczy. Nagła zmiana pogody, albo prosty przypadek rozstrzyga o losie bitwy, a bitwa o losie świata. Gdyby Ludwik XVI był gieniuszem, byłby nędzę materialną Francji zwalczył, świetne na zewnątrz odniósł zwycięstwa, rewolucji francuskiej-by nie było, a monarchia absolutna trwałaby dotąd we Francji i na całym stałym lądzie. Gdyby kaprys Maryi Antoniny nie był odprawił rozumnego Turgota, a powołał utopijnego Neckera, rewolucji francuskiej także-by nie było, a Francja była-by się spokojnie przemieniła w konstytucyjnie arystokratyczną monarchię, podobną do angielskiej. Gdyby Napoleon nie był miał nieporównanego gieniuszu, była-by koalicja wcześniej przywróciła tron Burbonów, a gdyby był wygrał bitwę pod Lipskiem, byłby znów utwierdził na całym lądzie stałym Europy arystokratyczny absolutyzm, który-by prawdopodobnie trwał dotąd. I jakżeż to z tak zwanych ogólnych przyczyn polityczne wywodzić zdarzenia?

Kazimierz słuchał mnie uważnie. Teraz w takie odezwał się słowa: — Ja przynajmniej, mówiąc, nie myślałem wyłącznie o politycznej demokracji; myślałem przeważnie o demokracji społecznej. Nie tak wielką wreszcie wagę politycznym formom rządu przypisuję; jestem przekonany, że polityczna demokracja, w kraju ubogim i ciemnym, musi być kłamstwem i echem tylko pozorem, że przeważnie naród bogaty a oświecony wpłynie stanowczo na swoje losy, pod monarchią absolutną, i nawet w państwie arystokratycznie rządzonym, jakim jest na przykład Anglia. Wogóle zgadzam się zupełnie z tymi, którzy lekceważą tak zwaną polityczną historię narodów; tej historii tok zależy istotnie od przypadków, ale zato zmiany dynastji, walki stronnictw, rewolucje i zamachy stanu, wojny, zmiany granic i podboje, są zjawiskami epizodycznej tylko natury, widniami

wprawdzie i głośnemi, zdolnemi zapalić chłopcą wyobraźnię i zająć dziejopisa w młodzieńczym narodzie, ale nie wywierającemi istotnie żadnego wpływu na rozwój dziejowy społeczeństw, jedyny przedmiot godny uwagi dojrzałych pokoleń. Porównał-bym takie zdarzenia do kamieni, które ktoś rzuca w koryto głębokiej rzeki; na chwilę zamącą jej powierzchnię, ani na chwilę nie odwrócą jej biegu. Gdyby Turgot był nie dopuścił we Francyi do krwawej rewolucyi i nadał swojej ojczyźnie arystokratyczną na pozór konstytucyę, albo gdyby dynastia Bonapartych rządziła od wieku absolutnie a spokojnie Francyą, nie-by się było istotnie nie zmieniło w toku francuskiej historyi, jeśli się na nią nie zapatrujemy jako na dziecinną powieść, pełną nadzwyczajnych przygód. Nauka była-by postępowała swoim torem, dawne podkopując powagi; wynalazki były-by przemieniły oblicze ziemi; oświata i bogactwo były-by się wzmogły i rozpowszechniły, tak jak się to stało; bogate mieszczaństwo było-by z konieczności odgrywało najważniejszą rolę w otoczeniu konstytucyjnego króla, czy też absolutnego cesarza, a każdy rząd, czy to królewski, czy cesarski, tak samo-by się dziś zajmował kwestyą robotniczą, jak obecny republikański; czwarty stan dopominał-by się dziś z pewnością o uznanie swych praw, o uwzględnienie swych życzeń. Prawdę moich słów poświadczy historya i dzisiejszy stan wszystkich innych państw Europy, które nie ścinały królów, nie mordowały szlachty, nie zmieniały dynastyi, nie obwołały u siebie rzeczypospolitej. Ogólne przyczyny, wywierające wpływ jaknajmniejszy na tok politycznych wypadków, władają ustawicznie koniecznym, wewnętrznym rozwojem społeczeństw i zmieniają oblicze ziemi, nie dbając wcale o owe dziecinne zdarzenia.

Kazimierz skończył, ja zaś podjąłem: — Czy pan w to istotnie wierzysz, co mówisz? Wszak jesteś prawnikiem; więc wiesz doskonale, że niestosowne prawo, ustanowione przez ludzi, a zatem wskutek politycznego przypadku, może zupełnie skrzywić społeczeństwo, sprowadzić jego rozstrój i upadek, a prawo mądre może to społeczeństwo potężnie pchnąć naprzód? Czy sądzisz, że Francya wyglądała-by istotnie tak, jak wygląda, gdyby kodeks napoleoński nie był zniósł prawa pierworodztwa; a Napoleon namyślał się długo, zanim na to się zgodził. Czy sądzisz, że cały ogromny Wschód muzułmański wyglądał-by tak, jak wygląda, gdyby Mahomet nie był dozwolił wielożeństwa? A nie byłby tego zrobił, gdyby nie był przeżył pierwszej swojej żony, Kadiszy, u której był pod pantoflem. Nie bez jądra prawdy jest znany paradoks, że wszystko było-by się w dziejach zmieniło, gdyby nos Kleopatry był cokolwiek innego kształtu. Lekceważysz znaczenie wojen i mówisz, że to wszystko jedno, kto wygra, albo

przegra bitwę; a czy nie wpadło panu na myśl, że lada przypadek mógł zająć, a odsiecz wiedeńska mogła się zamienić w klęskę Sobieskiego; a wtedy muezyn obwoływał-by modlitwę z kopuły świętego Piotra i prawdopodobnie także z wież Nôtre-Dame. Mów-że pan, czy postęp nauk i bogactwa byłby się wtedy potoczył tak, jak się potoczył? O, nie! Europa nie różniła-by się w niczem od Azji Mniejszej, takiej, jaką była przed stu laty. I dziś jeszcze przyczyny, weale nie te ogólne, o których mówisz, ale jakieś nieobliczone i nam zgoła nieznane, mogły-by nowego Dżengischana posadzić na tronie chińskim, albo jakiegoś Mahometa straszliwego pobudzić pośród głodnych robotniczych rzesz Europy i, za pomocą tych wielkich ludzi, całą naszą cywilizację, całe nasze bogactwo i całą naszą oświatę obrócić w perzynę. Nawet postęp spokojny cywilizacji zawisł od przyczyn zgoła nieznanych, od tego, co nazywamy przypadkiem. Powiedz mi pan, dlaczego tyle geniuszów właśnie malarskich zrodziło się we Włoszech za Odrodzenia? tyle geniuszów poetycznych w Anglii za Elżbiety? I powiedz, czy nasza cywilizacja była-by naszą cywilizacją, czy-byśmy tak samo myśleli i czuli, gdyby nie te dwa przypadki?

Kazimierz popatrzył się na mnie zdziwiony, ale i zniecierpliwiony. Rzekł: — Nie wiem, co panu odpowiedzieć. Tak łatwo nie znajduję argumentów. Ale jeśli to prawda, co pan mówisz, nie warto badać, nie warto dyskutować, nie warto myśleć, bośmy wszyscy w ręku ślepego, głupiego trafu!

— Ale warto teraz pójść się napić kawy! — zawołał Henryk.

Przyklasnęliśmy zdaniu Henryka i poszliśmy do mleczarni, przytykającej do parku, gdzieśmy się wysmienitej kawy na świeżem napili powietrzu.

VI.

Słońce miało się już ku zachodowi, kiedyśmy stanęli pod gloryetą, wznoszącą się na wzgórzu, naprzeciw pałacu. Piękne, lotne arkady, kształtne kolumny gloryety nieco zeszpecone częściowem oszkleniem, ale mimo to okazały gmach odbijał strojnie na tle ciemniejszego już, zielonego nieba. Myśmy jednak usiedli na kamiennych schodach, a wzrok nasz zwrócony ku pałacowi, spuszczał się po murawie, wyciętej w symetryczne, wielkie gazony; zatrzymywał się na basenach napełnionych szklistą, spokojną wodą, odbijającą w zwier-

ciedle swoim jeszcze spokojniejsze, niezmiernie głębokie, wieczorne niebo, i kamienne postacie barokowych, mitologicznych bóstw, któremi te baseny okolono; nareszcie trafił na wielki, równy plac, a w głębi na ogromny, urzędowo majestatyczny pałac, wyglądający jakby wcielenie absolutnej monarchii Maryi Teresy. Po bokach owej wielkiej równiny przed pałacem stanęły poważne mury zieleni, cięte ze starożytnych już brzośców, a od tych murów odbijały białemi plamami szeregi posągów udających antyk. Drzewa ujęte w szpaler rzuciły na ścieżki i murawy głębokie, przedługie cienie, a słońce zachodu rumianemi promieniami przemieniało majestat tej konwencyonalnie pociętej przyrody i nadawało jej jakiś dziwnie pański urok, jakieś potężne życie, prawiące o wieczności. Cudownie nad pałacem szklily się obłoki, syte światła, purpurowe, granatowe, białe i złote. Gdzie niegdzie otwierały się w tych obłokach niby olbrzymie okna niezmiernych pałaców Bożych, wobec których duma ziemskich władców bywa w niwecz obróconą; przez te okna zaglądało oko w toń nieskończoną zielonego nieba, a wyobraźnia zaludniała owe tonie rojami aniołów, spoglądających na ziemię, na dół, nie na to, aby patrzeć na marne, grzeszne a śmiertelne ludzkie plemię, na jego drobne chwaly i zażarte walki, ale na to, aby podziwiać dzieło stwórcy, zdobiącego dolną bryłę ziemi niezrównanie piękną szatą roślinności bujnej a cichej, wód drzemiących błogo, albo pędzących szumnie po wskazanej sobie drodze, i światel zesłanych z niebios na ziemię, a przemieniających cudownie i roślinność, i wody. Aniołowie doskonali z nieba patrzyli na dolną ziemię, a nas, mrówek ziemskich, nie widzieli, o nas nie dbali; nie myśleli chyba o nas; a myśmy patrzyli na ziemię i niebo; aniołów zmysłowem nie widzieliśmy okiem; nie myśleliśmy o nich wyraźnie, myślą praktycznie skierowaną, albo też szkolnie wyćwiczoną i skoszlawioną szkolnie, ale odczuwaliśmy obecność doskonałych, nieskalanych; śpiew ich potężny, wniebowzięty, brzmiał w naszej duszy; brały nas zachwyty owe możne, które na widok piękności Bożego stworzenia wynoszą po-nad nędzę samolubnego żywota.

Odezwałem się, po dłuższej chwili błogiego przedziwnie milczenia: — Rozżaliliście się na mnie, zniecierpliwiliście się, kiedy wam powiedziałem, że powoływanie się na docieczone rozumem tak zwane ogólne przyczyny nie wystarcza na wytłómaczenie pochodów dziejów. Zawołaliście, że w takim razie nie warto myśleć i działać, nie warto prawie żyć; oburzaliście się na to, że przypadek, nie dający się przewidzieć, może zwrócić cały pochód dziejów. A powinniście się byli tem ucieszyć. Bo jeśli jest prawdą, że dzieje toczą się ku lepszemu, że żaden przypadek ich biegu nie odwróci, choć mechaniczne a ślepe

następstwo zdarzeń mogło tysiąckrotnie całą cywilizację ludzką zniweczyć, choć bez owych przypadkowych zjawisk, które się nazywają wielkimi ludźmi, cywilizacja była-by koniecznie i dawno skostniała i popadła w ową nikczemną niemoc, której przykład dają Chiny; — jeśli, powiadam, to wszystko jest prawdą, tak jak jest niezawodnie prawdą — powinniście z tem większą ufnością wierzyć, że szczęście i cnota wszystkich są celem dziejów i że do tego celu dojdą, i powinniście tem śmieiej w sobie niecić święty ogień młodzieńczego zapалу, wiedząc na pewno, żeście przeznaczeni być robotnikami około najwspanialszego dzieła; powinniście wszelkie drobne samolubstwo poświęcić, szukając najwyższego szczęścia w pracy, której skutkiem musi być stworzenie najwyższego arcydzieła.

Usłyszawszy te słowa, które wypowiedziałem niemal mimowolnie, spojrzeli obaj młodzi ludzie na mnie ze zdziwieniem, a Kazimierz powiedział szczerze: — Nie rozumiem pana; całkiem tego nie rozumiem, coś pan powiedział.

Wtedy świadomie już zebrałem myśli i tak rzeczy swojej dowodziłem:

— Z zachwytem patrzymy na przyrodę; nic nie dorówna wspanialej piękności obłoków niebieskich, wód ziemskich i światła, promieniających pomiędzy niebem a ziemią. Być może, że słuchacz uniwersytetu, albo początkujący uczony, zagadnięty o to, czy potrafi ten blask i tę piękność rozumem wytłómaczyć, uśmiechnie się z politowaniem nad naiwnością zapytania i odpowie, że chodzi tu o zastosowanie praw najprostszych optycznych i meteorologicznych. Inaczej zgoła zachowa się dojrzały uczony, który się istotnie zagłębił w niedocieczone tajniki swojej nauki. Gdyby naszą był słyszał rozmowę, wiedział-by, czego się dotyczy zapytanie i odpowiedział-by stanowczo: „Nic z tego wszystkiego wytłómaczyć nie zdołam!“ — Powiedział-by nam, że zna niektóre formuły zjawisk powtarzających się nieustannie, tak zwane prawa fizykalne, których piętno da się dostrzedz i na tej, przez nas oglądanej wspaniałości, ale że za pomocą tych kilku praw ani sposób wytłómaczyć tego, jak powstaje zachwycające zjawisko ponawiając się co wieczór prawie. Już mnogość niesłychana jestestw i zdarzeń, oddziałujących na siebie wzajemnie wśród przyrody, sprawia, że śmiesznym zuchwalcem ten, kto śmie na pewne jutrzejszą przepowiadać pogodę; a co ważniejsza, odkrywamy wciąż istnienie sił, czy też praw przyrody, wpierw nieznanych; takeśmy się dopiero w ostatnich leciech dowiedzieli o różnych promieniach tak zwanej nieważkiej materji. Kto ostrożny, ten wie, że większy nierównie jest ogrom rzeczy nam w przyrodzie zgoła nieznanych od ciasnego zakresu naszej mizernej wiedzy, i że działanie sił, o któ-

rych najmniejszego nie mamy wyobrażenia, może w każdej chwili sprowadzić zjawiska niebywałe, zwyczajnych nie dopuścić, wszystkim naszym oczekiwaniom kłam zadać — nawet planetę w pył obrócić. Mimo to wierzymy, że całe życie będziemy oglądali cudownie piękne zachody słońca.

Lepiej moją myśl zrozumiecie, gdy się zastanowicie nad wzrostem i rozwojem każdego drzewa, każdej rośliny, każdego organizmu. Kiedy żołądz posadzimy, spodziewamy się, że dąb z niej wyrośnie, że kiedyś będzie miał żylastą korę, pięknie pocięte liście, wspaniale rozłożyste konary; spodziewamy się na pewne, że powstanie majestat roślinny, dębom właściwy, że młoda roślina, która z żołądzi zakiełkuje, będzie dążyła do ujawnienia ideału dębu. Zdaje wam się może, iż wzrost i rozwój dębu potraficie wytłómaczyć za pomocą praw ogólnych, mających także inne zastosowanie? Powiedziecie, panowie, czy wam się tak zdaje?

— Oczywiście, — odrzekł Kazimierz — któżby nie wiedział, że tu ogólne obowiązują prawa, te same przy rozwoju każdego dębu?

— Ale, — zagadnąłem — proszę mi powiedzieć, jakie to są prawa? Milczycie, panowie, zastanawiacie się. Jakoś nietatwa sprawa z odpowiedzią. Prawa fizykalne, nie; bo ogólna ciężkość materji, jej bezwładność i jej zwartość bywają tu usunięte na bok, pokonane, kiedy drzewo wyrasta ku niebu i sobie właściwe, tak misterne, kształty przybiera; prawa i pokrewieństwa chemiczne — także nie, bo pierwiastki nie tak się zwykle kojarzą, jak to się w dębie dzieje; kojarzą się inaczej w pnju, inaczej w liściu, inaczej w żołądzi. Jeśli zechcecie podać prawa, któremi dąb się rządzi, musicie poprostu opisać rozwój dębu, musicie poprostu powiedzieć, że o takiej a takiej porze wyrasta na nim liść, albo kwiat, albo owoc, na takim i takim miejscu, we właściwy sposób, i przybierając postać sobie właściwą. Opiszecie rozwój dębu, ale nie wytłómaczycie tego rozwoju za pomocą żadnych praw, obowiązujących gdzieindziej. Prawa fizyki i chemii odzywają się także w dębie, ale na jego rozwój wpływu nie wywierają, a nawet prawa obowiązujące przy rozwoju drzew pokrewnych, buku, grabu, orzecha — nie dadzą się zastosować przy rozwoju dębu; gdyby się dały zastosować, nie wyrósłby dąb, lecz wyrósłby buk, grab, albo orzech.

Kazimierz odezwał się znowu: — Mówisz pan rzeczy niezawodnie prawdziwe i tak powszechnie znane, że się nad nimi nie zastanawiamy i że się nauka nimi nie zajmuje. Ale nie wiem, co to wszystko mieć może do czynienia z koniecznym postępnem demokracji, w ciągu dziejów ludzkich?

Podjąłem: — Zaraz to panu powiem, i zaraz zrozumiesz. Prawa chemii i fizyki obowiązują po części wszędzie, gdzie tylko ciała istnieją; działają także w dębie; mogą za pomocą zewnętrznego zdarzenia życie dębu przerwać, jako to: przez ogień, piorun, nacisk wichru, albo uderzenie siekierą; ale te prawa zgoła życia dębu, jego właściwego rozwoju nie zdolne wytłómaczyć. Dąb rośnie wskutek tego, że Bóg wyprowadza z żołądki drzewo o postaci dębu, według idei dębu; że każe konarowi, liściu, żołądki wyrastać wtedy, tam i tak, jak się tego domaga ziszczenie idei dębu, żywotne dążenie do ujawnienia ideału tej drzew postaci.

Podobnie ma się rzecz z historią świata, będącego także osobną całością, dążącego także do ujawnienia ideału, ale nie już ideału poszczególnego, a tem samem podrzędnego. Żywot świata, będący treścią dziejów, pojętych prawdziwie i tak szeroko, jak to być powinno, jest ustawicznym dążeniem do spełnienia ostatecznego a zupełnego woli bożej. Nie próbujcie treści dziejów wytłómaczyć za pomocą tak zwanych praw ogólnych, zaczerpniętych skąd inąd, a nie wywnioskowanych z toku historii tej naszej ziemi, nie zaświadczonych przez same dzieje i jedynie przez dzieje. Nie wytłómaczycie rozwoju organizmu żadnego za pomocą praw tak zwanych ogólnych, rządzących materią, o ile się nie układa umyślnie, z woli bożej, celem wytworzenia organizmu tej właśnie postaci. Daremnie będziecie się mozolili, usilując wytłómaczyć tok dziejów za pomocą tak zwanych praw ogólnych fizjologii, psychologii, albo nawet ekonomii politycznej i statyki politycznej, którąście przezwali barbarzyńskim mianem socjologii. Prawa fizjologii obowiązują wszędzie, gdzie są organizmy; prawa psychologiczne obowiązują wszędzie, gdzie są ludzie, a poniekąd także tam, gdzie są zwierzęta; prawa ekonomiczne i polityczne obowiązują wszędzie, gdzie są społeczeństwa i państwa; wszystkie te prawa, wraz z prawami fizykalnymi i chemicznymi obowiązują oczywiście także w dziejach, bo wszystko odbywa się w ciągu dziejów, choć nie wszystko, co się dzieje, godne uwagi historyka; ale żadne z tych praw nie wytłómaczy toku dziejów. Dziejami kieruje Opatrzność, tak samo jak rozwojem dębu i lotem chmur, które tam się kłębią u zachodu. Końcem, do którego żywot drzewa dąży, z nieprzewidzianej a niezmiennej woli bożej, jest piękność drzewa starego, zgodna z ideałem jego postaci i wydanie nasienia, z którego nowe pokolenia drzew powstać mogą; a końca tego dopną drzewa dla tego właśnie i dlatego jedynie, że ich rozwój nie jest skutkiem gry ślepej i losnieobliczalnych i nieskończenie mnogich martwej materji, lecz jest wynikiem wszechmocnej woli Bożej, dążącej nieugięcie do wytknię-

tęgo niezmiennie celu. Celem dziejów świata jest wydanie powszechnego szczęścia i najwyższej piękności w jednostkach ludzkich, w całym ludzkim społeczeństwie i w całej przyrodzie, opanowanej przez ludzkość, jest słowem powstanie królestwa Bożego. Dzieje świata dążą ku temu celowi tem pewniej, że ich rozwój nie jest wynikiem chaosu sił fizyologicznych, psychologicznych, ekonomicznych, politycznych, kręcących się w kółko, a niweczających się nawzajem, ale jest spełnieniem odwiecznego zamiaru Boskiej Wszeczności. Zanim się człowiek zjawił na ziemi, zanim rozumne oko mogło oglądać i podziwiać nieme stworzenie, zdołała się pierwotnie jednostajna, szara, zamglona bryła ziemi, oblanej płytkiem morzem; rozstępowały się wody, góry piętrzyły się na łąkach, rzeki ryły swoje malownicze doliny, roślinność pierwotna pokrywała ziemię, a chmury, rzędąc, przepuszczały pierwsze promienie złote słońca; powstawały i ginęły postacie tworów żywych, zrazu bezkształtne i poczarne, potem coraz wyraźniejsze, obdarzone coraz doskonalszym organizmem, zdolnym do coraz pełniejszego, mniej głuchego a bezrozumnego życia; z wolna przygotowywały się flora i fauna dzisiejsza, zamieniając ziemię w mieszkanie godne człowieka; i wreszcie człowiek powstał; najpiękniejsze, najdoskonalsze zjawilo się zmysłowe stworzenie, którego idealne ciało oglądaliście w śpizowej postaci atlety staro-greckiego z Efezu, radując się widokiem tej piękności, jako wizerunkiem spełnionego zamiaru Bożego. Bo nic tak serca nie raduje, nic tak nie podnosi i nie nasyca ducha, jak widok doskonałości, która jest spełnieniem zupełnem Bożego zamiaru. Ale żadne fizyologiczne prawa nie wytłumaczają przemiany ziemi, powstania, następstwa i udoskonalenia postaci zwierząt i roślin. Od wieków tworzy rozum hipotezy, mające niby wytłumaczyć to dziwo rozwoju wszechstworzeń, za pomocą gry sił znanych nam skądinąd, tak zwanych powszednich a ogólnych praw przyrody; ale że nikt nie widział powstania nowego rodzaju organizmów, musi każda hipoteza przypuszczać zdarzenie jakieś dziś niemożliwe i w racjonalizmie swoim niezgodna sama z sobą bywa zarzuconą, jako tłumaczenie rozwoju przyrodniczego ziemi i jej mieszkańców, który zrozumieć się da tem tylko, iż uwierzmy, że tak jak wspaniały majestat konarów i wydanie nowych żołędzi bywa przeznaczeniem dębu, tak piękność dzisiejszej natury i powstanie człowieka były przeznaczeniem ziemi, do którego, rozwijając się, dążyła, wydając z Bożego rozkazu łądy i morza, góry i doliny, rozmaite zwierzęta i rośliny, tak jak dąb wydaje i traci kolejno pokolenia swoich liści.

Zachwycaliście się, oglądając w świątyni Tezeusza posąg atlety wyobrażający doskonałą piękność zmysłową młodzieńczego ciała, ale

doznaliście świętszych jeszcze dreszczów przed posążkiem Persefony, z którego wyglądała inna, wyższa, duchowa piękność. Całe bowiem dzieło cielesnego stworzenia, aż do powstania przedziwnie doskonałego organizmu ludzkiego, jest tylko środkiem, a celem: powstanie ducha, który sam jeden siebie zna. Widzimy, że duch świadomy, myślący, czujący, moralną wolą obdarzony, wynika niejako z doskonalego ustroju rzeczy zmysłowych, że z nich tryska, ale w powstaniu i w życiu tego ducha jawią się prawa tak dalece materji niezuwane, że kto chce prawami przyrody istnienie ducha wytłómaczyć, osłupieje zawsze na widok tajemnicy, nie dającej się nigdy w ten sposób i na tej drodze usunąć. Jeden duch istnieje sam dla siebie, wiedząc sam o sobie; świat zmysłowy istnieje tylko dla ducha, tylko ducha bywa widzeniem; więc środkiem jest tylko — a duch jest celem, i ducha żywotem jest dążenie do własnej doskonałości, do wszechwiedzy, wszechmocy, wszechmiłości; im więcej człowiek wie, tem więcej może, przede wszystkim im więcej kocha, tem bliższym bywa doskonałości, tem bywa piękniejszy i szczęśliwszy. Zatem istotnym, ostatecznym celem wszechstworzenia jest wydanie doskonałości duchowej, która-by człowieka uczyniła podobnym do Ojca w niebiesiech. Jak żywotem dębu jest dążenie do roztoczenia majestatu swoich konarów i wydania żołądździ, tak treścią dziejów, nakazaną wszechmocnie przez Boga, jest wydanie najwspanialszego owocu, jakim jest człowiek doskonały, człowiek na duchu święty, i wydanie ludzkości doskonałej, ostatecznego arcydzieła, piękniejszego stokroć od tego, co oko dotąd oglądało! Jak wola Boża, na to aby się spełnić, rodzi na dębie liście i konary o czasie swoim i na miejscu swoim, w sposób, którego nie wytłómaczycie, powołując się na ogólne prawa chemii i fizyki, tak samo ta sama wola wszechmocna wydadę w czasie swoim i na miejscu swoim w ciągu dziejów narody mnogie a dzielne, ludzi wielkich, potężne albo szalone pomysły, wiodące zawsze do jednego celu. Kto chce zrozumieć życie dębu, ten nie powinien myśleć o fizyce tylko i chemii, a ma poznać ideę dębu, doktórej urzeczywistnienia wszystko w tym żywocie roślinnym dąży; podobnież, kto chce zrozumieć dzieje, kto chce nabyć wzroku dziejowego i dziejowej mądrości, temu nie wystarczą fizyologia i psychologia, ekonomia i statyka polityczna; ten musi przede wszystkim zrozumieć cel, do którego dzieje dążą, ideę historyczną, myśl Bożą, która się ujawnia niechybnie w każdym zdarzeniu uistotycznym, o której świadczy cała przeszłość tej ziemi, o której głośniej nierównie i wyraźniej świadczy nasze sumienie. A kto tę myśl, ten cel zrozumie i pozna rękę wszechmocną, która do tego celu rodzaj ludzki prowadzi, tego nie przerazi widok żadnego chwilowego zwycięstwa dziejowej nieprawości, ten nie zwątpi pod żadnym uciskiem

choćby był nie wiem jak okropny, bo ten wie, że nie ślepa gra praw psychologicznych i politycznych przypadkiem dotychczasowy rozwój ludzkości sprowadziła, że, owszem, wyraźnie objawiona wola Wszechmocy ludzkość do prawdziwej, do doskonałej wiedzy demokracji.

Gdy tak mówiłem, Henryk spojrział na mnie ze sceptycznym uśmiechem i powiedział z ironią ukrytą w głosie:—A zatem wprowadziłeś pan Pana Boga do naszego dyalogu, aby z niego uczynić najmniejszego demokratę, a kazałeś światu istnieć na to tylko, aby się stało zadość marzeniom Kazimierza, i aby demokracja wreszcie zwyciężyła, po niesłychanych a niezliczonych perepalkach, stanowiących teraz dopiero dla mnie niezrozumiałą treść historii?

Odparłem: — Celem wszelkiego istnienia może być tylko wydanie doskonałości duchowej, celem ziemskiego istnienia połączenie tej doskonałości z największym zdrowiem cielesnem, najwyższą pięknoscią zmysłową, jak to ma się stać, według dogmatów religijnych, w królestwie Bożem, po zmartwychwstaniu ciała; a sądzę, że pan temu przeczyć nie myślisz, skoro tę samą myśl wyrażasz, innemi tylko słowy, twierdząc, że celem i końcem wszechrzeczy jest wydanie nadczłowieka, to jest boga w ludzkiej postaci. Tę rzecz można z religijnego, albo filozoficznego stanowiska rozstrząsać i z tych rozstrząsań całą wydobyć metafizykę, na nich oprzeć cały pogląd na świat i na wiedzę ludzką. Ale gdybyśmy się w takie rozstrząsania zapuścili, przegadalibyśmy rok i nie doszlibyśmy jeszcze końca. Ja się teraz z historycznego jedynie stanowiska na rzecz patrzę i z tego stanowiska twierdzę, że tak, jak powstanie człowieka było celem, do którego kopalne dzieje planety, czasy paleontologiczne w rozwoju swoim jedynie dążyły, i jak to dążenie było jedynym celem przedludzkich dziejów ziemi; tak historia powszechna, jaka się za ludzkich już czasów dzieje, ma na celu wydanie społeczeństwa, w którym wszyscy ludzie będą mądrzy, w którym wszyscy posiadą uświęconą wolę, władnącą niezłomnie namiętnościami, a wszyscy zapłoną wielką miłością dla współ-ludzi i dla najwyższego dobra. A wtedy będzie prawdziwa demokracja; demokracji koszlawej nie będzie, bo nie będzie żadnego motłochu; arystokracji prawdziwej nie będzie, bo nikt nie będzie lepszym od dojrzałej już ludzkości; ale nie będzie też żadnych ujarzmieli, bo nikt cudzej nie zapragnie krzywdy. Cel to idealny, do którego nam niesłuchanie daleko, a może nigdy nie przyjdzie chwila, w której-by same bogi, nad wszelką wywyższoną nędzę, nieskalanie piękne i na ciele i na duszy, stąpały w ludzkiej postaci po tym naszym padole. Ale dzieje dążą nieustannie do dopięcia tego celu i to dążenie nie zmieni się nigdy, nie spaczy, nie zatrzyma, bo w niem się iści wola Boga, przez którą wszelkie stworzenie jedynie istnieje“.

Henryk jest wprawdzie arystokratą nowego zakroju, ale wcale nie jest w tym sensie konserwatystą, aby miał starszym wielkie okazywać uszanowanie. Zwyczajnie przestrzega w obejściu z ludźmi form estetycznych, a zatem uprzejmych, ale nie waha się ani chwili sprzeciwić się zdaniu starszego; a powiem szczerze, że tę jego otwartość cenię sobie niemało, bo to mi ułatwia rozmowę, i sprawia, że w czasie dyskusyi, którą z nim prowadzę, wiem zawsze, co myśli. Więc teraz także wyjawiał szczerze wrażenie, jakie moje wywody na nim wywarły, nie zwracając uwagi, ani na moje siwe włosy, ani na to, że to, co powie, mogło-by innego starszego człowieka może urazić.

Rzekł: — Pańskie wywody zdziwiły-by mnie bardzo w uszach młodszego człowieka, a nie mogę powiedzieć, aby mnie zbudowały. Chcesz pan, abyśmy wierzyli, że Bóg miesza się drobnostkowo do wszystkich spraw ziemskich, i abyśmy się na niego ślepo spuszczeni, z tureckim jakimś fatalizmem, wyrzekając się wszelkiej samodzielności, a wierząc, że On nas koniecznie, mocą Swojej wszechmocy, doprowadzi do jakiegoś rajy ziemskiego, który sobie wyobrazić trudno; albo raczej, że do tego rajy wprawdzie nie doprowadzi nigdy, ale że będzie nas ustawicznie prowadził do tego rajy po nieznośnie mozolnej i ciernistej drodze żywota. bawiąc się chyba tem, że ludzkość ciągle, a zawsze daremnie, będzie wyciągała swoje ramiona ku jakiejś wiecznie niedostępnej uludzie. Chcesz pan nas upokorzyć zupełnie i zamienić w istne niewolniki, ufające dziecinnie rzekomej Boga wszechmocy; a równocześnie każesz nam pan wierzyć, że Bóg chyba niezdołen jest Swoją wolę odrazu przeprowadzić, skoro musiał materję przez miliony lat miesić i przespasabiać i przerabiać, skoro musiał oddawać na zaturę rody nieudalnych zwierząt, póki mu się wreszcie nie udało stworzyć arcydzieła Swojego, rodu ludzkiego. I to arcydzieło dopiero nie udało Mu się wcale; dotąd ogromna większość ludzi jest brzydka, zła i nieszczęśliwa i potrzeba nieudolnemu Bogu znowu aż morza łez i krwi, potrzeba mu niezliczonych zbrodni, nędz i cierpień, aby się mógł w ciągu dziejów dorobić chwili, w której ludzie nie będą wprawdzie doskonale piękni i dobrzy, ale będą nieco piękniejsi i lepsi, niż dziś. Gdyby Bóg był istotnie wszechmocnym i doskonałym, byłby odrazu stworzył świętych i nieskalanych ludzi, rój wiekuiście szczęśliwy, i nie potrzeba-by mu było okrutnej zabawki, która się zwie istnieniem.

Tu podchwyciłem: — Ostatniem słowem odpowiedziałeś sobie sam, młodzieńcze! Doskonałość istnieć nie może, bo istnienie albo nie jest niczem, albo jest zmianą nieustanną — doskonałość zaś jest niezmienna. Kto się o to spiera z Bogiem, że są owe braki doskona-

łości, które się zowią brzydotą i grzechem, a które są wszelkiego cierpienia przyczyną konieczną, ten się spiera sam z sobą o to, że chce żyć, że chce się radować wszystkim, co sprawia rozkosz, uzdrawiając ciało, albo wznosząc i doskonaląc duszę. Ani ty, ani ludzkość docześnie doskonałymi nie będziecie nigdy, bo kto dostąpił doskonałości, ten się nie zmienia, ten już nie istnieje, ten wśród wszechmocy, wszechwiedzy, wszechmiłości, musi koniecznie wyjść po-za-zaświada czasu i przestrzeni, objąć wieczność i bezmiar, w których wszystko jest oto teraz i oto tu! A takim jest tylko Bóg; bo Bóg i doskonałość, do której wszechświat tęskniąc dąży, to jedno i to samo, po-za-czasowe. po-za-światowe, nie istniejące nigdzie, docześnie a będące źródłem wszelkiego istnienia. Cierpienie, nieodłączne od istnienia, to uczucie, żeśmy doskonałości nie dopięli, — a nie masz innego pragnienia, innej żądy, innego życia nad dążenie do doskonałości; — to dążenie, przez które wszystko jest tem, czem jest, nazywa się wolą Bożą. Każdy organizm spełnia wolę Bożą, rozwijając się wedle idei swojej, dążąc do doskonałości postaci swojej; wszechświat zaś dąży do wydania człowieka i ludzkości podobnych Bogu. W ciele naszym zmysłowem czujemy pęd organiczny, dążący do wytworzenia doskonałej postaci ludzkiej, cieszymy się tym pędem, jako ochotą do zmysłowego życia, cierpimy ból, ilekroć coś temu pędowi stanie na przeszkodzie. Ale pęd inny, wyższy, objawiający całą już wolę Bożą, w pełni swojej, władnie naszym, jedynie naprawdę ludzkim, bo duchowym życiem i każe nam doskonalić siebie, wzmagać w sobie rozum, wolę, miłość. Ten pęd nazywamy sumieniem i słuchamy go zawsze. On sprawia, że wierzymy w rzeczywistość świata zewnętrznego, choć nie mamy argumentów, któremi-byśmy mogli odeprzeć kłamstwa sceptycznego sofisty, twierdzącego, że świat i drudzy ludzie w świecie naszym urojeniem, żeśmy sami jedni. Temu nie wierzymy, bo musimy poznawać prawdę, prawdę pokonywać, kochać bliźnich, równych sobie. Kiedy grzeszymy, słuchamy także sumienia, szukamy wiedzy, mocy, miłości, tylko szukamy na mylnej jakiejś drodze i przeto doznawszy zawodu, cierpimy. A jak na wielki wpadniemy goścień, wiodący do celu, poznajemy, że na to, aby samemu dojść do doskonałości, trzeba doskonalić drugich, trzeba pracować nad ich szczęściem, trzeba zwalczać u drugich nędzę i chorobę, nie dopuszczające do zdrowia i piękności ciała, nie dopuszczające myśli do tego, by się wzniosła swobodnie w dziedzinie wiedzy i piękna, trzeba drugich uczyć, rozpraszać u rzeszy ciemnotę; trzeba w drugich niecić miłość i cnotę. I przy tej robocie trzeba zapomnieć o sobie, trzeba być gotowym do wszystkich poświęceń; trzeba być pokor-

nym i pamiętać, że, nie będąc doskonałym, mylić się musisz; trzeba być wyrozumiałym i nie zapominać, że ludzie docześni każdą rzecz skoszlawią, a trzeba ufać Bogu, trzeba wierzyć, że świat ten tylko istnieje, ten tylko żyje, iż dąży ustawicznie ku dobru, ku doskonałości, iż staje się coraz lepszym, piękniejszym, że dzieje przeto dążą wiecznie do tego, aby się prawdziwa demokracja stawała coraz bardziej prawdą, przeto że ludzie, opanowawszy przyrodę, niedostatek zwalczają coraz skuteczniej, że rozszerza się wśród ludzi coraz więcej powszechna oświata, że ich naucza o powszechnem braterstwie, przemocy dzieła stare w niwecz obraca, nową przemoc, nową nieprawość czyni coraz trudniejszą. Pracuj nad tem dziełem; wiedz, że twoje życie przeznaczone być ustawicznym trudem, podjętym dla dobra wszystkich i iszczącym się rozumnie a cierpliwie w rodzinie, w gminie, w kraju twoim, w miarę sił twoich; nie myśl przytem ani o wywyższeniu, ani o próżnej chwale, a sam się udoskonalisz, doznasz szczęścia, będziesz wyższym od rzeszy samolubów, naprawdę arystokratą, naprawdę nad-człowiekiem.

Tak mówiłem, a Henryk odpowiedział: — Trudno abym się z panem zgodził, bo pańskie wywody skończyły się kazaniem na nutę oklepanej, plebejskiej moralności, którą rzesze po wszystkie czasy wyznają, jakby to wyznanie było nieoddzielne od marnego istnienia ludzkości. A my, młodzi, którzy chcemy być wyższymi naprawdę, wierzyć możemy tylko w paradoksa, niedostępne dla poziomego tłumu.

Na tem skończyła się nasza rozmowa: — Tymczasem słońce zaszło, cienie mroku zaległy park wspaniały, a Boże kagańce, gwiazdy, zapłonęły na szafrowem niebie.

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

PIŚMIENNICTWO.

Gadon: „Emigracya Polska“, tom I, 1901.

Autor rozpoczął dzieję wychodztwa polskiego od października 1831 r., a więc od chwili, kiedy 50,000 żołnierza polskiego znalazło się poza granicami Królestwa. Rządy: pruski i austriacki poddały wkraczających żołnierzy przepisom kwarantanny, a następnie rozmieściły ich na leżach niezbyt wygodnych i zdrowotnych. Wszystkie owe udręczenia, szykany, illuzye i rozezarówania opisał p. Gadon szczegółowo, opierając się na literaturze pamiętniczej, zebranej starannie i wyzyskanej należycie. Prusy od samego początku wpływały usilnie na żołnierzy polskich, aby powracali do Królestwa, jedynie oficerom, i to przeważnie skompromitowanym, ułatwiały wyjazd do Francyi, już też w grudniu 1831 formowały się oddziały polskich oficerów, które w liczbie 50—100 wyruszyły z Prus na Frakfurt, na Odrę ku Francyi. Z tego-to zastępu rodaków—pisze p. Gadon—wytworzył się korpus wychodztwa, czyli emigracyi polskiej, fakt doniosły w następstwa i mający znaczenie dla wewnętrznego stanu Królestwa. W chwili bowiem, kiedy kraj potrzebował bardziej niż kiedykolwiek spokojnej pracy, skupienia i trzeźwego liczenia się z rzeczywistością, samo istnienie emigracyi utrzymywało jakiś nieokreślony niepokój, wzbudzało jakieś wyczekiwania i nadzieje, które, odwołując umysły społeczeństwa od najważniejszych spraw domowych, zwracały je ku udziałom zewnętrznym.

Obok tego, emigracya wprowadziła z sobą kwiat młodzieży i wierzchołki inteligencyi, pozbawiając tym sposobem kraj dzielniejszych żywiołów i wyższych sił umysłowych, w które i tak nie obfitował, a owe siły na długoletniem wychodztwie, bez pożytku dla kraju, po największej części zwiędnąć miały. Wychodztwo utworzyło się bowiem z wyboru ludności, z czoła narodu. Obejmowało ono senatorów, posłów, ministrów, generalów, uczonych, profesorów, poetów, literatów, możnych panów, większych i mniejszych właścicieli, urzę-

dników i cały tłum oficerów, starszych i młodszych, oraz akademików i uczniów szkół wyższych, a w całej ogólnej jego liczbie, 9,000—10,000 głów w przybliżeniu, szeregowcy i prostaczkowie stanowili stosunkowo małą, tj. czwartą część zaledwie. Wszelako emigracya nie przybrała-by znaczniejszych rozmiarów, gdyby nie czynność, zachęta i organizacya generała Bema. On też powinien być uważany za właściwego ojca emigracyi. Zaraz za przybyciem z wojskiem na ziemię pruską powziął on zamiar wyprowadzenia wojskowych polskich do Francyi. W tym celu wybrał kilkunastu oficerów i z nimi, w tajemnicy przed Prusakami, zaczął propagować i przysposabiać ruch wychodźczy. Trzeba było przeprowadzić kilka tysięcy ludzi przez całe Niemcy, z małemi stosunkowo środkami, spotykając się często z niechętnymi władzami. Trzeba było przewidzieć, co gdzie przygotować i zrobić należało; wszystko odbyło się porządnie, po żołniersku, doraźnie i trafnie, bez zwłoki, i Bem okazał się niewątpliwie dzielnym organizatorem.

W Prusach, gdzie władze były stanowczo żołnierzom polskim nieprzychylnie, doznawali oni od prywatnych mieszkańców i od kobiet wiele uprzejmości i dobroci. W tak zwanej prowincyi saskiej, należącej do Prus, od r. 1815, coraz lepsze usposobienia czuć się dawały Polakom. Ale począwszy od granicy Królestwa Saskiego i dalej, w środkowych, południowych i zachodnich Niemczech, nastrój podnosił się do wysokiej nuty gorącego entuzjazmu. Ruch wychodził od klasy najoświecieńszej, popierany był głównie przez warstwy średnie społeczeństwa, przez profesorów, literatów, prawników, księgarzy, kupców itp. W mgnieniu oka utworzyło się mnóstwo kół i komitetów dla podejmowania i wspomagania wychodźstwa polskiego. Zważywszy, że prawie cała emigracya przeszła przez Niemcy, i że wszyscy potrzebujący otrzymali hojne wsparcia, użyte przez komitet sumy musiały być nie małe.

Główna droga, którą polskie kolumny posuwały się z Prus do Francyi wiodła na Frankfurt nad Menem i dalej na Worms. stąd jedne z nich szły na Metz, drugie na Sztrasburg. Innemi drogami oczywiście przybywali do Francyi wychodźcy polscy z Austrii. Skierowano ich przez południowe Czechy i poddano przedewszystkiem ścisłym przepisom kwarantanowym. Kiedy kolumny przybyły do W. Ks. Badeńskiego, doznały przychylnego przyjęcia, w którym cała ludność brała udział. Wogóle przyjęcie emigracyi przez południowe Niemcy wyróżniało się przychylnością, ale i o całym społeczeństwie niemieckiem powiedzieć można, że zachowało się z wyrozumiałością i przychylnością dla wychodźców. Autor przytoczył rymo-

wane dowody owej przychylności, które już oddawna zapomnianemi zostały.

We Francyi rząd Ludwika Filipa, ulegający opinii publicznej, zaopiekował się losem nadciągających. General Pellot, dyrektor w ministeryum wojny, odpowiadając na list Bemowi, zaznaczył, że Francya do emigracyi zachęcać nie może, ale, że ci, co do granicy dojdą, będą dobrze przyjęci. Emigranci wytworzyli komitet emigracyi tymczasowej, ale zaledwie stanął, podniosła się przeciw niemu agitacya. Niemojowski, członek tego komitetu, chciał mu nadać charakter administracyjny i ekonomiczny z wyłączeniem politycznego, ale to się niepodobało większości wychodźców i Zwierkowski podał projekt zorganizowania nowego komitetu, opierającego się na wspólności historycznej Polski z Francją. Istotnie też utworzony został nowy komitet narodowy stały, a wpływ główny uzyskał w nim wraz z przewodnictwem, Lelewel. Nowy komitet złożony został z ludzi reprezentujących dawną skrajną opozycję, na miejsce opinii umiarkowanych weszły opinie opozycyjne, w Paryżu utwierdził się dalszy ciąg klubu warszawskiego, z całym zasobem jego negatywnych, rozkładowych zwrotów. Szczególnem dążeniem komitetu miało być czuwanie nad interesem narodowym i utożsamienie sprawy polskiej ze sprawą wolności rewolucyi ogólnoeuropejskiej wraz z jej usiłowaniami, po których oczekiwano blizkiego, powszechnego wybuchu.

Nowy komitet rozpoczął swe czynności od odezw, która zaszczerpiła w wychodźstwie rozdział i trwałą niezgodę, zarzucając niedołęstwo i zdradę odłamowi swych towarzyszy. W ten sposób na samym wstępie popelniony został krok błędny i nieszczęśliwy, który wpłynął stanowczo na charakter, kierunek i dalsze losy wychodźstwa i który słusznie nazwano jego grzechem pierworodnym. Realny jego interes został poświęcony duchowi partyi, mrzonkom i doktrynom politycznym, które zwłaszcza na obcej ziemi nie miały dla nas pierwszorzędnej wagi. Krok ten niefortunny oderwał emigrację od gruntu rzeczywistości, od gruntu patryotyzmu racjonalnego i praktycznego i uniósł ją od razu w dziedzinę chmur i wichrów, w atmosferę przesiąkniętą elektrycznością, rodzącą ciągle zarazę i burzę.

Jedną z pierwszych czynności komitetu było podanie do Izby petycyi (styczeń 1832 r.), napisanej tonem kategorycznym z cierpkieci do rządu wyrzutami. Komitet wskazywał władzy francuskiej, jak ma z Polakami postępować, protestował przeciwko rozmieszczeniu ich na prowincyi i żądał utworzenia legionów polskich pod narodowemi znakami. Następnie komitet wydał odezwę do Węgrów, Niemców i t. p., w których panował duch ogólnohumanitarny i repu-

Mikańsko-rewolucyjny. Odezwy powyższe wypowiadały retoryczne ogólniki i naiwne iluzje o wspólności interesu narodów, o łączności ludów, bo i pociąg, który kojarzy uczucia, przeświadczenie, które ożywia działalność, przewidywania przyszłości, zbliża umysły, wszędzie ściślejsze węzły krępują ludy i t. d. Nowy komitet narodowy nie posiadał w sobie powagi moralnej, krom prezesa; składali go ludzie bez szczególnych zasług, nieznan, albo nawet znani niechlubnie. Przytem brakło mu zupełnie jedności. Byli w nim członkowie względnie umiarkowani, ale większość była radykalnie rewolucyjna. Nie upłynął jeszcze miesiąc od narodzenia się komitetu, a już niezadowolenia i niesnaski zaczęły się objawiać. Nawet zewnątrz, poza komitetem, podnoszono już zarzuty, na ogólnych zgromadzeniach od razu zapanowały wrzaski, bezład i dyskusye bez drogi i celu, namiętne spory o przyczynach i winowajcach upadku powstania. Bem i Umiński oświadczyli, że „wojsko nie chce mieć żadnych stosunków z tymi, co tylko po brukach warszawskich i paryskich, dalecy od wszelkich niebezpieczeństw, czas swój tracili. Komitet się tem mocno obruszył, ale do poważniejszych zajęć tym razem nie przyszło. Nawet dobrotliwy opiekun komitetu, Lafayette, odzywał się, że komitet i jego zapaleńcy nie wiedzą sami, czego chcą. Sfery zaś rządowe objawiały głośnie niezadowolenie z postępowania komitetu. Jeszcze też wychodztwo nie zebrało się we Francyi, a już się wojna zapaliła między Bemistami i Lelewelistami.

Do rządu francuskiego i do dworu Orleańskiego kołatali wychodźcy, najczęściej za pośrednictwem generała Kniaziewiczza, któremu zawsze okazywano pewne względy. Zarówno jednak marszałek Soult, jak i prezes ministrów, Perier, przyznawali się do ambarasu, jaki im wychodztwo polskie sprawiło, Soult nawet nie szczędził Kniaziewiczowi gorzkich wymówek, które na czas pewien stosunek ich dawny koleżeński oziębily. Prasa francuska nawet, zrazu przychylna, poczęła być coraz obojętniejszą dla sprawy emigracyjnej i komitet zaczął się zastanawiać nad koniecznością założenia swego organu w Paryżu; ale gdy w tymże czasie staraniem Czartoryskiego związane zostało stowarzyszenie literackie przyjaciół Polski, chwyciono się i w Paryżu podobnej myśli. Pierwszym aktem Towarzystwa po związaniu się było zaproszenie na prezesa Adama Czartoryskiego, bawiącego wówczas w Londynie. Powołano do swego grona także Niemcewicza. Czynności Towarzystwa mianującego się literackim miały przeważnie charakter polityczny, stało się ono po części organem wiecznej protestacyi, wołania o sprawiedliwość i szukaniem pomocy, bądź w gabinetach, bądź w opinii publicznej.

W osobnym rozdziale opisał p. Gadon losy ks. Adama Czartoryskiego i jego smutną podróż z Podgórza do Londynu, po dość częstych zatrzymywaniach się w Niemczech i we Francji. Przybywszy do Anglii, Czartoryski miał posłuchanie u Palmerstona, Greya i lorda kanclerza Broughama, ale prócz czczych słów i trochy osobistych względów nic od nich otrzymać nie zdołał. Po wielu trudnościach i zwłokach udało mu się przeprowadzić w Izbie gmin tak nazwany wniosek polski, wniesiony przez Fergussona, który nie był niczem więcej, jak tylko efektem teatralnym, bez żadnych poważniejszych następstw i bez wpływu na tok wypadków. Po doprowadzeniu do skutku owego zdarzenia parlamentarnego, Czartoryski przybył do Paryża, gdzie starał się wychodztwu wyrobić większe znaczenie u rządu francuskiego. Rozległemi stosunkami udało mu się to do pewnego przynajmniej stopnia i na tym fackie przerywa p. Gardon swą interesującą historję emigracyi, która ma objąć w przyszłości jeszcze dwa tomy.

Pracy p. Gadona nie można odmówić doniosłości dla historii XIX stulecia. Zawiera ona bolesne doświadczenie i przykrą naukę, pouczającą o istocie wychodztwa, jego przymiotach i wadach, i wreszcie o jego szybkim i koniecznym zwyrodnieniu. W książce p. Gadona panuje ton przedmiotowy i chęć pozbycia się wszelkiej tendencyi. Nie otacza on aureolą żadnego stronnictwa, ani też żadnego nie potępia. Przekonywa raczej, że całe wychodztwo pograżało się w marzeniach niepochwytnych i w namiętnościach stronnicznych, a dla mocarstw zagranicznych stało się igraszką, której nie traktowano nigdy poważnie, a wkrótce znudzono się nią straszliwie.

A. R.

Lubomir Gadon: „Emigracya Polska“. Pierwsze lata po upadku powstania listopadowego. Tom II. Kraków 1901.

Tom drugi swej interesującej pracy rozpoczyna p. Gadon od znaczenia, że sezon teatralny w zimie z 1831 na 1832 r. był w Paryżu niezmiernie świetny. Na niektórych scenach wystawiano sztuki, w których treść zaczerpnięta była ze świeżych wypadków w Polsce, ogromna scena Cirque Olimpique (Franconi) ściągała tysięczne tłumy wielkiem widowiskiem „Les Polonais“, na tle listopadowego powsta-

nia. Juliusz Słowacki, który wraz z Lelewelą przypatrywał się temu przedstawieniu, pisał o niem do matki, że to wielkie głupstwo. W tym czasie pojawił się złowróbnny Zaliwski w Paryżu i stał się przedmiotem rozmaitych owacyi dla siebie, które zarazem były wymierzone przeciwko Bemowi. Lelewel na zgromadzeniu Turańskim przedstawił Zaliwskiego, jako największego bohatera wszystkich wieków, zrobił go najznakomitszym wojownikiem i oświadczył, że on jeden godzien będzie być w przyszłej wojnie naczelnym wodzem wojska polskiego. Rozumieliśmy, pisze Słowacki do matki, że Lelewel żartuje z Zaliwskiego; wiemy przecie, że Zaliwskiego charakter, jego czyny, a nawet odwaga wojskowa w powstaniu nie jaśniały bardzo czystym blaskiem. Przesadna ta gloryfikacya była więc skrytem ukłóciem Bema i przyczyniła się jedynie do rozszerzenia wśród emigracyi waśni, niezgody, z których powstawały raz w raz pojedynki. Bohdan Zaleski pisał do Kajsiewicza: żyjemy w nieznośnej próżności serca, to jest w smutku i nudach. Dziś jak wczora, jutro jak dzisiaj. Od rana do wieczora wciąż w jakiejś mgłę gęstej nierozwianej. W emigracyi wciąż waśnie i prześladowania.

Rząd francuski, otwierając granice swego państwa emigracyi polskiej, wzbronil jej jednak gromadzić się w Paryżu. Na zbiorowisko wyznaczone zostały dwa miejsca: dla wojskowych Avignon, a dla cywilnych Chateauroux. Rozporządzenie to stosowało się nie tylko do Polaków. Już bowiem od roku 1823 znajdowało się we Francyi kilka tysięcy emigrantów hiszpańskich, piemonckich, portugalskich i niemieckich, których usunięto ze stolicy do pewnych punktów na prowincyi. Że jednak wszystkich nęcił Paryż, więc zakaz budził ogólne sarkanie. Ale władza, nie zwracając uwagi na to, wydawała wszystkim te feldrutry (feuilles de route) i żold na drogę. Miejscowe komitety dodawały różnego rodzaju zapomogi i mieszkańcy przewozili Polaków darmo ze stacyi na stacyę. Wogóle jednak Francuzi nie witali przybyszów z takim zapalem, jak Niemcy, a zdarzały się miejscowości, w których nikt na Polaków nie oczekiwał i gdzie nie doznali żadnej ulgi w tułaczce. W Prusach jeszcze obiegała wśród wojskowych polskich pogłoska, że rząd francuski przeznacza Polaków do Algieru, wieść ta mogła mieć niejakię prawdopodobieństwo, ale oficerowie polscy sami rozpuszczali ją umyślnie dla ukołysania obaw Prusaków, żeby ci nie zatrzymywali żołnierzy polskich. Z tego wichrzyciele umyślnie utworzyli wiadomość, że rząd francuski zamierza wysłać przymusowo Polaków do Algieru. Trzydziestu oficerów podało na ręce Lelewela deklaracyę, że nigdy do Algieru nie pójdą, a Lelewel pismo powyższe, szorstkie dla rządu, podał do gazet.

Tą niewczesną protestacją ministrowie zostali mocno urażeni, a najbardziej minister wojny, stary marszałek Soult.

Jeszcze wszystkie kolumny do Avignonu nie doszły, gdy 21 lutego 1832 przyszedł do intendanta rozkaz ministra wojny, zmniejszający subsydyja płacone Polakom. Zmniejszenie to było znakiem niechęci rządu, spowodowanej owemi protestacjami. Najsrożej dało się ono odczuć podoficerom i żołnierzom, dla których zmniejszenie stanowiło kwestyę głodową. W Avignonie znajdowało się około 1,000 Polaków, którzy, na wzór rad gospodarczych w wojsku polskiem, zawiązali „Radę Polaków w Avenionie będących“, dla zajmowania się wewnątrzniemi sprawami Polaków, dla reprezentowania ich na zewnątrz, dla znoszenia się z władzą francuską itd. Za przykładem Avignonu wkrótce i Polacy zakładu Besançon ustanowili u siebie podobną Radę, a następnie i inne zakłady polskie, które w ciągu roku licznie zostały uformowane we Francyi. Wychodztwo, złożone przeważnie z wojskowych, podlegało ministrowi wojny. Minister wojny naznaczał od siebie zakładom specjalnych francuskich komendantów; a oprócz tego dodał im do pomocy pośredników dla znoszenia się z Polakami, dla sprawdzenia stopni i t. p., z pomiędzy starszych oficerów polskich i tych wspierał. Zadanie pośredników nie było łatwem, a życie ich nie było kwiatami usiane. Jeszcze wrażenie po zmniejszeniu płacy nie było uśmierzone, kiedy przyszło do Avignonu inne rozporządzenie, które wywołało nowe i głębsze poruszenie. Minister rozkazał niezwłocznie przenieść zakład Polaków z Avignonu do Lunelu, miasta więcej posuniętego na południe i położonego blisko Morza Śródziemnego. W tej zmianie upatrywano dowód, że rząd postanowił wyprawić Polaków do Algieru. Rozżalenie zajętrzyło się i Polacy oświadczyli, że nie pójdą do Lunelu. Komendant ponawiał rozkazy i groził odebraniem subsydyjów, a Polacy oświadczyli w zamiar, że opuszczą Francyę i udadzą się do Niemiec, lub do Ameryki. Wreszcie odstąpił od zamiaru, ale powyższe przejścia wywołały takie zamieszanie w zakładach, że pośrednik Potulicki zaklinał listami Kniaziewicza, by stanął na czele zakładów, sądząc, że to będzie jedyny sposób utrzymania posłuszeństwa i zaradzenia wybrykom szaleństwa.

Lelewel, zamiast uspakajać zapamiętałych, podtrzymywał raczej ich opór i nazywał go godnym wzruszenia, a do Lafayette'a napisał list z wyrzutami, z przesadnym patosem, wystawiającym straszną tragedię położenia Polaków w Avignonie. Minister uspokoił jednak Polaków i sprawę zakończono krakowskim targiem. Połowa Polaków została w Avignonie, połowa, około 600, poszła spokojnie do Lunelu.

Niebawem utworzony został piąty duży zakład w Bourges, oraz następne inne mniejsze w Lons-le-Saunier i Salins. Tym sposobem w Paryżu znajdowała się starszyzna wychodźstwa, czyli posłowie, członkowie rządu, gazeciarze i dawni klubiści warszawscy, na ogół żywił przeważnie cywilny. Na prowincyi przeciwnie zebrani byli przeważnie wojskowi. Rozprawiacze warszawsko-paryscy, ludzie słowa, z pewnem lekceważeniem spoglądali na ludzi szabli na prowincyi i przypisywali sobie nawet jakąś wyższość, dla tego, że nie od rządu pobierali zasiłki, że byli niezależni od pogardzonego *juste-milieu*. Ale właśnie to im towarzysze, na prowincyi będący, za złe poczytywali. W zakładach na prowincyi powstała też myśl, aby się uwolnić od wpływu emigracyi paryskiej, która liczyła zaledwie 200 wychodźców, wybierając w Paryżu radę centralną, w którym to pomysle była pewna architektonika, symetria społeczna. Rady zakładowej miała pokryć, jakby dach opiekuńczy „Rada centralna”. Lelewel odpychał samą myśl delegacyi, chociaż przyznawał, że komitet, postawiony głosami wyłącznie paryskich Polaków, nie reprezentował całości wychodźstwa. Pragnął on też, aby zakłady wysyłały delegatów, którzyby, jako członkowie, weszli w skład komitetu i tym sposobem utworzyli z niego ogólną reprezentacyę wszystkich Polaków we Francyi. Na to znowu delegowani, w myśl danych im instrukcyi, nie zgadzali się, oświadczając, że zakłady z Komitetem, który przez rząd złe jest widzianym, w jawnych stosunkach zostawać nie mogą, a tylko z nim takie utrzymać pragną. Ale myśl zachowania pewnej tajemniczości była utopią i istotnie cała rzecz nie przyszła do skutku.

W tymże czasie odbyła się narada generałów, którzy zgodzili się na pismo do króla, proszące o zatwierdzenie projektowanej reprezentacyi wojska. Użyto do tego celu generała Flahaut, adjutanta królewskiego. Ten po widzeniu się z królem oświadczył Kniaziewiczowi, że monarcha bardzo chętnie przyjmie adres, jeżeli ten wyrazi wdzięczność rządowi i nie będzie dotykał polityki. Taran, zaniepokojony tworzeniami delegacyi, rozgadał, że król wymaga adresu w duchu upakarzającym i zawierającego prośbę o wyjednanie amnestyi dla emigrantów. Skutkiem tych pogłosek generałowie okazali się mniej gorliwymi i pozwolili upaść sprawie adresu. Z wiosną r. 1832 z Taranu wyleciał rój nowych odezwo, jako to do obywateli Lotaryngii, do obywateli Alzacyi, do Niemców, do Izby Hanowerskiej itp. Towarzystwo demokratyczne wysyłało znowu od siebie odezwy, a przytem wysyłało kilka osób do Londynu, aby wpływały na mówców angielskich. Ułożony został adres, który doręczono lordowi Ebrington. Podanie petycyi Polaków, jako manifestacya, ograniczona do krót-

kiego momentu, przeszło w scenach samego parlamentu prawie niezauważalnie. Ale tekst adresu, wydany osobno i przedrukowany przez gazety, rozszedł się po Anglii i zwrócił na siebie uwagę publiczności. Zawarta w nim protestacya przeciwko Traktatowi Wiedeńskiemu nie sprawiła większego wrażenia. Tylko pōśród Emigracyi, w umysłach namiętnością zaślepionych, utrzymała się myśl, że Czartoryski stara się o Polskę, złożoną tylko z ośmiu województw.

W parlamencie angielskim uczyniona być miała w 1832 r. powtórna mocya w sprawie polskiej. Pierwotnie przedmiotem mocyi miał być adres izby do króla, by się o prawa Królestwa Polskiego upomniał, ale gdy się stało widocznem, że takowy nie przyjdzie do skutku, Fergusson postanowił swój wniosek ograniczyć na żądaniu, by ministrowie przedstawili Izbie korespondencyę dyplomatyczną, tytczącą się kroków, czynionych w Petersburgu w sprawie polskiej. Na mowy Fergussona, lorda Sandon, odpowiedział Palmerston wymijająco, a po nim przemawiało 16 mówców i to przychylnie za Polakami, ale w każdym razie cała sprawa parlamentarna, prócz garści frazesów, nie przyniosła żadnego realnego pożytku emigracyi. Tymczasem we Francyi zakłady traciły coraz więcej ufnosci do Komitetu i przed oczyma wychodztwa podnosił się w górę nowy meteor. Tym meteorom był generał Dwernicki, który, uwolnwszy się z Austrii, przybył do Paryża. Przy jego pomocy i współdziałale przyszło nareszcie do porozumienia między zakładami a Komitetem Tarańskim i założony został komitet narodowy polski, jeszcze w 1832, a prezesem jego został generał Dwernicki.

W tymże samym roku uorganizowany został zakład w Paryżu i odbywał swoje posiedzenia w hotelu „Vauban“, stąd nazwany został Wobanem. Osada polska emigracyjna miała więc w Paryżu dwa obozy: naprzeciw Taranu stanął Woban. Tymczasem nadeszła druga rocznica powstania, publiczność zebrała się w starożytnem opactwie, przyległem do kościoła St. Germain des Près, w gmachu, w którym mieszkał niegdys król Jan Kazimierz. Wśród zgromadzenia było dużo kobiet, cudzoziemców, i posiedzenie otwartem zostało o godzinie 5, zagojonem przez hr. Lasteyrie, prezesa komitetu francuskiego, a potem nastąpił długi szereg mów polskich. Około godz. 8-ej przybył Lafayette i zajął miejsce między Dwernickim a Orłowskim. Między zbyt licznymi mówcami, przypuszczonymi do głosu bez wyboru i ograniczenia, stanął zastęp mniej lub więcej osławionych klubistów: Zaliwski, Czyński, Pułaski inni podobni. Pomimo głosów Dwernickiego i Ostrowskiego, którzy wzywali do zgody i łączności, klubisci, w imię pojęć demokratycznych, odpychali samą myśl jednosci, aby korzystając

z licznego zgromadzenia, wybuchnąc przed niem żółcią nieukojnej ambicyi, zawiści i nienawiści. Jeden z nich, Krępowicki, posunął się jeszcze dalej; rzucił bowiem obelgę i potępienie na całą Polskę, plwał na jej przeszłość, mieszał z błotem jej społeczeństwo. Wobec cudzoziemców, w języku francuskim wystawił kraj polski, jako stek barbarzyństwa, a ludność podzielił na nędznych niewolników i katów niemiłosiernych. Krępowicki, nie zadawalając się smutnym tryumfem oratorskim, pośpieszył ogłosić swe bluźnierstwa w gazetach i osobnych drukach ulotnych. Komitet zaś Lelewela, zawsze tak pochopny do odezw i protestów, w tym wypadku zachował niezwykle i niezrozumiałe milczenie. W grudniu 1832 r. komitet narodowy stały, zwany Lelewelowskim, przestał istnieć. Żywoć jego był krótki, ale spuścizna ujemna. Pierwszy wniósł hasło niezgody, rozżarzył w emigracyi ducha partyjnego i rozwinął w niej bardziej przyrodzone skłonności anarchiczne. Nieoględną, namiętną ręką rzucał ziarna, które jemu samemu oczekiwanego plonu nie wydały, ale, wszedłszy na biednej glebie emigracyjnej, wybujały w dziki chwast i kąkole.

Nowy komitet, działający od 22 października 1832, kładł główny nacisk na potrzebę jedności i porządku. Sam jednak w początkach swego istnienia popełnił gruby błąd, którym naruszył swą godność i wykroczył przeciw elementarnym wymaganiom słuszności i sprawiedliwości. Gdy bowiem generał Chrzanowski został wezwany do Belgii, gdzie chciano mu dać dowództwo brygady, u niektórych członków nowego komitetu poruszyła się mocno zawiść i nienawiść. W imię troskliwości o pomoc tułactwu, potrafili pociągnąć innych członków, i oto komitet narodowy emigracyjny, po wspólnej naradzie, nie zawahał się wystosować do belgijskiego ministra wojny pismo, w którym na podstawie faktów fałszywych, albo wystawionych w świetle z prawdą niezgodnem, wystawiał Chrzanowskiego, jako renegata, wykluczonego z grona wychodźstwa i potwierdzał kłamliwe wieści o nim rozsiewane, nie zbadawszy ich prawdziwości, nie wysłuchawszy obwinionego. Chrzanowski udał się osobiście do Dwernickiego i żądał w tej sprawie jego pośrednictwa, lecz Dwernicki wręcz mu odmówił. Komitet więc celu dopiął i odniósł zwycięstwo. Wobec pisma z Paryża minister zawahał się, i Chrzanowski dowództwa w Belgii nie otrzymał. Ale to zwycięstwo tryumfatorom korzyści nie przyniosło. Uległość dla krzyków namiętnych a płochych, mizerna żądza lichiej popularności, powagi Komitetowi przysporzyć nie mogły.

W r. 1833 powstała wśród emigrantów myśl wskrzeszenia sejmów z r. 1831 i odbywania w Paryżu sejmowych posiedzeń. Czarto-

ryski, który właśnie wówczas przybył z Londynu do Paryża, zwracał uwagę, że sejm nie mógł-by się zgromadzić bez pozwolenia rządu paryskiego, radził więc wstrzymać się z jego otwarciem, zachować go na przyszłość, bo nadejść może chwila, gdzie sejm się istotnie okaże pożytecznym. Przeważna liczba członków była za otwarciem sejmu, ale naznaczony termin nie sprowadził kompletu, ograniczono się więc na wyznaczeniu nowego. Tymczasem posłowie nie przestawali schodzić się na posiedzenia familijne, gdzie nietylko gawędzili, ale nawet trybem parlamentarnym wysadzali różne komisye. Nareszcie dnia 3 stycznia 1833 r. znalazł się komplet prawem przepisany. Reprezentanci zebrawi się w mieszkaniu Cezarego Platera w hotelu Wagram i do tej garstki zebranych przemówił Ledochowski—Przeświente, połączone izby sejmowe—wkrótce jednak między samemi posłami obudziło się zniechęcenie i zwątpienie w skuteczną sejmowania. Nawet najgorliwsi zwolennicy przyszli do innego przekonania, pogardliwie o wartości sejmu się wyrażając.

Autor opowiedział bardzo szczegółowo niefortunną wyprawę Zaliwskiego w r. 1833 do Królestwa i jeszcze smutniejszą, bo śmieszniejszą zupełnie, emigrantów do Sabaudyi. Ramorino, który był wodzem tej drugiej wyprawy, rozpuścił przed czasem ochotników, widząc, że sardyńskie wojsko stoi gotowe do odparcia powstańców, i że sama ludność Sabaudyi nie myśli się poruszać. W tymże samym roku rząd portugalski pragnął z polskiej emigracyi zorganizować dla siebie legię i nawet pozyskał w tym celu Bema. Całe jednak wychodztwo, łącznie z generałami, najzupełniej było temu przeciwnie i na Bema powstała ogólna burza w łonie emigracyi. Gdy Bem znajdował się w miasteczku Melun, wszedł do niego późno wieczorem niejaki Platon Pasierbski i, wyciągnąwszy jedną rękę jakby do uścisku, z lewej palnął z pistoletu w piersi generała i uciekł. Kula przebiła Bemowi tylko ubranie i oparła się o sztukę pięciofrankową w kamizelce sprawiwszy jednak mocną kontuzję. Pasierbski z pomiędzy kilku fanatyków wyznaczony podobno losem na zgładzenie Bema „jako zdrajcę i wroga ojczyzny“, nie ścigany schronił się do Anglii. Wieść o tym wypadku sprawiła przerażające wrażenie na emigrantów, nie przeszkodziło to jednak, że drugi podobny zamach uplanowany był na pułkownika Breańskiego, który, wezwany przez Bema na dowódcę przyszłego pułku piechoty legii portugalskiej, czekał w Roszelli na zbierających się tam ochotników. Do spełnienia zamachu nasłany był niejaki Teofil Gaszyński, ale ten rozgadał swój zamiar przed Polakami, ci oddali go władzy francuskiej, która go wydalila z granic Francyi. Bem pod koniec roku 1833 udał się do Lizbony, ale

rząd portugalski, któremu legia nie była potrzebna, nie dotrzymał żadnego z warunków i niewygodnego Bema zaarrestował. Dopiero za wdaniem się lorda Howard, posła angielskiego, Bem, po kilkunastu dniach uwolniony, odpłynął na angielskim okręcie do Gibraltaru. W końcu 1833 r. udał się znowu generał Dembiński do Egiptu, gdzie przyjęty został jaknajlepiej przez Mahometa Ali i syna jego, Ibrahima. Dembiński otrzymał nominację na generalnego inspektora z przywiązaną do tego stanowiska pensją 130,000 piastrow. Ibrahim pasza oświadczył się przytem z chęcią przyjęcia 400 oficerów polskich do wojska egipskiego. Ale wkrótce się rzeczy całkiem odmieniły. Basza pogodził się z sultanem i w 1834 wydał postanowienie nieprzyjmowania Polaków do wojska i usunięcia z wojska tych, co już do niego weszli. Chciał jednak zatrzymać Dembińskiego i kilku innych wojskowych polskich, ale generał odrzucił czynione sobie propozycje i w 1834 powrócił do Europy.

Rok 1833 przyniósł dotkliwie rozporządzenia rządowe, pociągające za sobą głębsze zmiany w położeniu wychodźstwa we Francyi. Dotąd bowiem emigracya polska zostawała pod rozporządzeniem ministra wojny i władz wojskowych francuskich, gdy jednak oficerowie polscy w Afryce służyć nie chcieli, rząd francuski uznał za właściwe przekazać zarząd wychodźstwa w ręce administracyi cywilnej, przy czem taryfa żołdu znacznemu uległa znizeniu. Niebawem przystąpił rząd do rozwiązywania zakładów i rozpraszał emigrantów po rozmaitych miastach i miasteczkach, tak, aby się nigdzie w większej liczbie nie znajdowali. W ten sposób przez lato 1833 r. wychodźstwo rozsypane zostało po całej Francyi, na stokilkadziesiąt drobnych zakładów. Trzecia rocznica powstania nie odbyła się bez niemiłych zajść, chociaż miała miejsce w mieszkaniu generała Lafayette'a. Demokratyczne stronnictwo wygwizdało Niemcewicza, który był osobistym przyjacielem gospodarza domu.

Tom drugi dzieła p. Gadona, kończący się na roku 1833, zawiera dużo materiału ciekawego, a rozproszonego w zagranicznych bibliotekach. Opowieść w pracy powyższej nie posiada czasami dosyć jasności, a sąd wogóle trzeźwy i poważny, dla pewnych osobistości bywa niekiedy niechętnym, jakby uprzedzonym. Niezadługo prawdopodobnie ukaże się tom trzeci pracy p. Gadona, który ma być zarazem i ostatnim, a wtedy będzie można zastanowić się dokładniej nad przymiotami i niedostatkami dzieła powyższego.

A. R.

Zygmunt Glogier „Encyklopedia Staropolska Ilustrowana“. Tom I. Aaron do Denar: 316 str., Warszawa 1900. Tom II. Departamenta — Kapelani, 332 str., 1901.

Jednolitością i wytrwałością, wyteżoną zawsze w tym samym kierunku, odbija praca zasłużonego weterana od naszego zwykłego rozpraszania się na wszystko możliwe. Hasłem jej było stale: obce rzeczy wiedzieć dobrze jest, s w o j e o b o w i ą z e k. Czy to gromadząc bogate zbiory w Jeżewie, czy ogłaszając wyniki swych poszukiwań, hasłu temu autor nigdy się nie sprzeniewierzył.

Jako etnograf, opisuje lud i kraj, nadwiślański i nadniemeński, zestawia nawet wyrazy gwarowe, np. tykocińskie, daje celny wybór pieśni ludowych; jako historyk dawnej umysłowości, śledzi każdy jej objaw, od starożytnych zabytków językowych, aż do najdrobniejszych resztek materyalnych. W końcu zżył się tak i spoufalił z dawnymi ludźmi, czasami, stosunkami, a doświadczył przy tem tak często braku znajomości najprostszych szczegółów u naszej publiczności, że przyszła mu nader szczęśliwa myśl: w formie dla ogółu najprzystępniejszej, spopularyzować i wyłożyć całą bogatą swą wiedzę o dawnych ludziach i rzeczach. Myśl tę wykonywał nieraz i w rozmiarach drobniejszych, i zdawała o tem swego czasu sprawę „Biblioteka Warszawska“; tem bardziej należy się jej głos zabrać, skoro p. Gloger przystąpił do wykonania dawnych planów na skalę najszerszą.

Słownik jego starożytności polskich da się już teraz na podstawie pierwszych dwu tomów należycie ocenić; wiemy już, co dać zamierza, a co z programu wyklucza; wyłożył to sam autor w artykule „Encyklopedye polskie“ (II, 135), a uzupełnił przygodnemi wzmiankami. Ograniczył on, jak najsluszniej, bezbrzeżne niemal morze starożytności polskich, i tak wykluczył całkowicie geografję, historję i literaturę; nie szukać więc nam u niego wiadomości bio-i bibliograficznych, monografii miejscowości, historii nauk w Polsce, ani nawet archeologii przedhistorycznej. Za to znajdujemy u niego szczegóły życia towarzyskiego, „posiedzeń“ i biesiad dawnych, od ich gier i tańców, do potraw, sprzętów i ubiorów, od czepców i gipiur damskich aż do zbroi husarskiej; szczegóły życia kościelnego i nabożeństwa, od Godzinek Maryjnych, Gorzkich żalów lub Kantyczek, aż do części ubioru kapłańskiego i do zakonów całych i klasztorów; szczegóły życia prawnego i politycznego, od liberum veto, władzy hetmańskiej

i interregnum, aż do terminów przewodu sądowego, do dylacji, ekscepcyi i intromisyi; szczegóły życia ludowego, od pieśni dożynkowych aż do budowy chałup, do czółen i przyrządów rybackich; szczegóły życia artystycznego, narzędzia muzyczne, budowę ich, ornamentykę i styl; szczegóły z życia cechowego, z wojskowości, z mennicy, z herbów itd., itd.

Literatura wykluczona, ale o kalendarzach i dziennikach, o najdawniejszych zabytkach językowych, o Bogurodzicy lub Psalterzu floryańskim, o bibliach i przekładach pisma św., są artykuły piękne i pouczające; nawet Alwara groźnej pamięci i elementarze słusznie przyjęto.

Ani jeden z kilkuset artykułów nie wydał się nam zbyt cennym, czy mniej stosownym; owszem, życzyli-byśmy raczej ich pomnożenia a szczególnie pomnożenia ilustracyi, naprzykład na osobnej tablicy dodać by można wizerunki herbów. Ileż razy zdarzy się stara książka, rękopis, czy co takiego, pieczętka, z wyciskiem herbu, pojedynczego lub składanego (koligacyjnego)—szukajżeż w Niesieckim, nim trafisz na herb. Ale kwestya ilustracyi, to kwestya przede wszystkim finansowa, a „Encyklopedia Staropolska“, ograniczona szczupłością funduszów, koniecznie szerszego poparcia się domaga.

O nieodzownej potrzebie podobnego dzieła i rozprawiać nie wypada. Życie dawnej Polski, jej urzędzenia, zwyczaje, drobnostki najmniejsze, tak już od dzisiejszych odbiegły, że ani sposób rozpatrywać się w nich bez doświadczonego przewodnika. Czytając dawnych autorów, pisząc powieści czy dramaty historyczne, badając sztukę i styl jej, źródła i archiwa, listy prywatne i dokumenty publiczne, natrafia się na szczegóły, zwroty, fakta, wymagające specjalnego objaśnienia; dostarcza ich obficie „Encyklopedia“ Glogera, czytelnikowi zarówno, jak i badaczowi, artyście i belletrystcie. To jej pożytek bezpośredni, nieoceniony w danej chwili, dla każdego, kto czegoś szukać musi; ale działanie jej szersze. Samo rozglądanie się w jej lamach uczy cenić należycie rzeczy dawne, których tak do niedawna u nas wcale nie ceniono; ileż-to przepadło kart, zabytków, szczegółów, za dni naszych, dla niedbalstwa, lekkomyślności, obojętności. Żałować tylko wypada, że dzieło takie późno się zjawia, że skutki jego zbawienne dopiero się okażą. Dzieło to—poprostu dług wdzięczności wobec bogatej, sławnej, świetnej przeszłości, którą tak mało znamy i cenimy; najszczerze, najgorętsze uznanie należy się p. Glogerowi, że, nie licząc się z kosztami i siłami, nie gromadząc współpracowników (prócz p. Polińskiego, dla działu muzycznego, a p. Gębarzewskiego dla rzeczy wojskowych), zabrał się sam rażno do dzieła i tak energicznie je prowadzi.

Tyle co do planu i ogółu dzieła, którego się dosyć nachwalić nie potrafimy; przejdźmyż do szczegółów.

I tu zachował autor miarę, wedle nas, wcale szczęśliwą, nie rozszerzył zbyt jednych, nie ścieśnił nadto drugich artykułów; wykład jego jasny, treściwy, trafny; przy bardzo wielu artykułach nic nie mamy do zauważenia—chyba to, żeśmy się nowych rzeczy nauczyli albo inne przypomnieli; niejeden z tych artykułów odczytywaliśmy z prawdziwą rozkoszą, nie raz jeden. Inne nastroczają nam pole do kilku uwag krytycznych. Nie wspominamy o błędach druku; tu i owdzie zauważyliśmy lapsus linguae. Naprzykład w artykule „*Gratiarum actio*“ (za Chocimskie zwycięstwo), II, 211, czytamy o „zwycięstwie przez 30,000 Polaków nad 400,000 Turków i Zaporozców“, gdzie naturalnie Zaporozców Sahajdacznego z Polakami łączyć należy. Mylne są nieraz etymologie, najsłabsza strona naszych poszukiwań uczonych, zawsze i wszędzie; co naprzykład na str. 245 o nazwach herbowych, raczej o zawołaniach powiedziano: „z francuskiego anilles, ucho kotłowe, powstała U l i n a, z niemieckiego Fellfish W a d w i c z, z Jungochs J u n o s z a, z Gelbfisch G l a u b i c z, z Habdank H a b d a n i e c“—nie wytrzymuje krytyki; są to pseudologie, nie etymologie,

W całym tym artykule uderza nas, że nie położono należytego nacisku na „zawołanie“, jako pierwotne, najszersze — herb sam toć dodatek nieraz znacznie późniejszy, ujawniający wpływy czystoniemieckie, obce.

Pod gęślą czytamy, jakoby dla wydłużonego kształtu, niby szyi gęsiej, narzędzie nazywano; chociaż nazwa jego nie z gęsią, a tylko z g e d e—gram, w związku oczywistym pozostaje (jak przęśl, przęślica z przędę itd.). Tu należały-by się najgęstsze poprawki. W innych razach są opuszczenia, np. w artykule „Hrabia“, gdzie mowa o cudzoziemskich tytułach, nie wymieniono, że i Radziwiłłów tytuł książęcy takiego pochodzenia.

W artykule o dziennikach opuszczona ciekawa „Pocztą (pocztą) królewiecką“, którą Zenkier r. 1718—1720 wydawał, aż go obojętność publiczności polskiej zraziła, i inne. W innych razach życzylibyśmy pewnego pogłębienia; np. w artykule „Alchemia“ rozprawia p. Glogier głównie i słusznie o Sędziwoju; ale dzisiejszy czytelnik mógłby z tego artykułu pomawiać Sędziwoja o proste szalbierstwo; nie domyśli on się z tenoru artykułu, że alchemista kładł w swe dzieło całą duszę, że żył jak asketa, najnabożniejszy z ludzi, unikał świata i rozrywek jego, składał Bogu gorącą ofiarę z samego siebie, że żaden rycearz Artura nie szukał z takim zapalem i poświęceniem Gralu, ani żaden artysta nagiej duszy, jak Sędziwój kamienia mądros-

ści; że w snach tylko chwytał, czego na jawie szukał; że zawód jego był isticie męczeństwem; dzieła Sędziwoja, np. alegoryę i sen jego (o drzewie słońca i miesiąca, o wodzie żywej—całkiem, jak w bajce ludowej), tłumaczone na inne języki, tylko nie na polski, np. na czeski. Można było wspomnieć o alchemicznych badaniach Salomona polskiego, Lubomirskiego, który Hermesa i podobne księgi znał wybornie. Tak można-by poprawiać i uzupełniać i inne artykuły, np. (bardzo zresztą obfity i trafny) o „błaznach“, chociaż „pobłażanie“ nie od nich nazwano (lecz od „pobłozyć“); już Stańczyk sławny nazywał się Gąską i nazwa ta kilku „błaznom“ się dostała; błaznowi Głowie (kardynała Maciejowskiego) poświęcił Grochowski wiersze, więc „Dzwonowskiego“, satyryczny zresztą „statut“ blażeński był nie jedynym tego rodzaju utworem; typowa to figura, od wierszy Krzyckiego i Janicyusza począwszy. Innego Maciejowskiego (zm. r. 1550) skrzywdził autor mocno, przewracając na nice anegdotę Kochanowskiego o nim i o Gamracie: Gamrat—to szuja podły, o niczem nie wiedział a plół; poważny i mądry Maciejowski wszystko wiedział, ale nie wiele mówił. Pod Dziesięciorgiem przytacza autor dwa jego dawne teksty i wspomina, że w XVII wieku „znanym był jeden tekst wierszem ułożony“: nie w XVII, lecz już w XV wieku było ich kilkadziesiąt, a wszystkie rymowane, krótsze i dłuższe, prawione ludowi przy kazaniach, przy spowiedzi powszechnej: Salve Regina i rymowane Dziesięcioro, toć najczęstsze nasze teksty dawne; jest ich kilkadziesiąt. Pod Habdankiem powiedziano, że „przedmiot herbu (to co herb przedstawia), zowie się w zapiskach średniowiecznych l ę k a w i c ą lub l ę k a w k ą, a raz b i o k o t k ą—czytaj l ą k o t k ą, a znaczy to krzywulasy, linie krzywe. Pod „Helmem“ można było wspomnieć, że się s z ł o m e m w dawnej polszczyźnie nazywał i tak jeszcze w rachunkach Jagiellowych figuruje itd. Wyliczanie familii pod herbami wydaje się nam zbyt zbytecznym; należało zato silniej uwydatnić odmienność stosunków polskich od zachodnich, co autor może jeszcze pod „szlachtą“ uzupełni.

Ale to drobiazgi. Autor zasługuje na poparcie ogółu; równie pożytecznego, ciekawego, pouczającego wydawnictwa, ani sposób pomyśleć. A jakim ciepłem, jakim przywiązaniem do ziemi polskiej i jej ludu całość przejęta! Treść sama przez się sympatyczna wielce, zyskuje nadzwyczaj na sympatycznym jej przedstawieniu. Żadna Encyklopedia powszechna nie zastąpi nam dzieła p. Glogera, bo chociaż Encyklopedye te uwzględniają i słusznie rzeczy polskie, giną te przecież w powodzi artykułów innych: wyodrębnienie ich, wykład ich obszerny, obfity, nieraz anegdotyczny, opatrzone rysunkami, zajmie i zaciekawi każdego; zamiast mozolnego ich wyławiania, ginących

w otoczeniu obcym, w gęstwie szczegółów chemicznych, astronomicznych i nieskończonych innych, znajdzie czytelnik skarbiec rzeczy własnych a dawnych, zapomnianych i niezrozumiałych, o których się często słyszy, a w gruncie mało się wie. I nabierają te szczegóły, nazwy, fakta, nowego, barwnego życia, i wskrzesza się zamierzchła przeszłość, i biją od niej blaski, i słyhać jej głosy. Nie darmoż to Anteuszowi sił przybywało, skoro się ziemi ojczystej dotykał.

Nie ku autorowi, ku publiczności zwraca się krytyka nasza, z wołaniem o poparcie dzieła nam najpotrzebniejszego, najżywotniejszego, chociaż prawiącego o dalekiej, dalekiej przeszłości. A poparcie takie, zdaniem naszym, nie powinno-by się ograniczyć samem szerzeniem dzieła, samym odbytem jego księgarskim, lecz i nadsyłaniem uwag, podobizn, rysunków: i przeszłość naszą, i dzisiejsze zbiory nasze po muzeach publicznych i po domach prywatnych, stać jeszcze na liczne uzupełnienia „Encyklopedyi Staropolskiej“, na wzbogacenie i rozszerzenie jej łamów, na uwidocznienie bujnego bogactwa życia przodków.

A. BRÜCKNER.

Dr Ludwik Finkel: „Bibliografia historii polskiej“. Część II (zeszytów 4). W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. 1895—1901, str. 531—1142.

Świeżo opuścił prasę czwarty zeszyt, zamykający część II „Bibliografii historii polskiej“ (część I, we Lwowie, 1891, str. 527), którą zebrał i ułożył profesor Uniwersytetu lwowskiego, dr Ludwik Finkel, przy współudziale profesora Henryka Sawczyńskiego i członków kółka historycznego, uczniów Uniwersytetu lwowskiego.

Jest to dzieło wielkiej dla nas wagi, umożliwia ono bowiem prędkie i dokładne rozpatrzenie się i oryentowanie w tym materiale, który, dzięki pracy jednostek od całego szeregu wieków, z roku na rok, z dnia na dzień, coraz bardziej się rozrastając, doszedł do wcale potężnych rozmiarów. Dziś bez dzieła tego rodzaju, jakim właśnie jest: „Bibliografia historii polskiej“, trudno-by było każdemu z osobna pracownikowi, bez obcej pomocy, wyczerpać mniej lub więcej dokładnie źródła, przyczynki i recenzje, odnoszące się do tej lub innej kwestyi. Coraz to częściej stajemy się świadkami, jak z pod uwagi różnych badaczy uchodzi ten lub ów drobny, a jednak ważny przyrządek. Szczególniej dotkliwie czuć się to daje w dziale dziejów lite-

ratury. Drobniejsze utwory poetyckie naszych wieszczów, fragmenty, wyjątki z tak zwanych „pośmiertnych tek“, ogłaszane po różnych czasopismach, giną wśród powodzi innych utworów, posiadających małą, lub nieposiadających zgoła żadnej wartości. Również giną mniejsze, nieraz bardzo cenne opracowania tych właśnie fragmentów, lub przyczynki, wyjaśniające niejednokrotnie bardzo ważne szczegóły biograficzne naszych wybitnych pisarzy. Z powodu braku spisu tego rodzaju artykułów — szczególnie ogłaszanych w dziennikach — powracamy kilkakrotnie do poruszania wyczerpanego już dostatecznie przedmiotu. Tracimy więc niepotrzebnie i czas, i pracę... Dziś zaś, dzięki tej właśnie „Bibliografii“, każdy pracujący w dziedzinie historii, literatury, etnografii, kultury polskiej i t. d., zaoszczędzi sporo i czasu, i pracy... Prawdziwa zatem wdzięczność należy się prośorowi L. Finklowi za przedsięwzięcie tego rodzaju pracy i wytrwale jej prowadzenie przez ciąg lat kilkunastu.

Część druga „Bibliografii“, którą właśnie w niniejszym sprawozdaniu mamy na względzie, zawiera opracowania i z częścią pierwszą, zawierającą źródła, dokumenty, akty, mowy, relacje, listy, dalej kroniki, roczniki, żywoty, pamiętniki i t. p. za pośrednictwem odsyłaczów (J.M.), wiąże się w jedną nierozdzieloną całość. Tymczasowy spis rzeczy części drugiej wykazuje następujące działy: I. Geografia i etnografia, II. Wiara i kościół (epoki: przedchrześcijańska i chrześcijańska; historye kościołów: katolickiego; ruskiego; schyzmatyckiego i unickiego, ormiańskiego, sekty, religia żydowska); III. Prawo i ekonomia (historia prawa polskiego, prawo publiczne, sądowe; stosunki prawne po rozbiorach; stosunki ekonomiczne) i IV. Oświata (historia obyczajowa: kultura, wychowanie, szkolnictwo; literatury: polska, ukraińsko-ruska, białoruska, litewska, pruska, hebrajska i ormiańska; sztuka: architektura, rzeźba, malarstwo, rytownictwo; przemysł artystyczny; sztuka ruska, żydowska, ormiańska; historia muzyki i sztuki teatralnej). Pod odpowiednimi rubrykami wymienione są liczne prace, przyczynki, artykuły i recenzje. Okoliczność, iż dość spora liczba tych ostatnich, porozrzucanych po różnych czasopismach, weszła do tego wydawnictwa, znacznie podnosi jego wartość, w recenzjach bowiem nie tylko spotykamy rzeczowe sprostowania błędów, zawierających się w tych, lub w innych większych pracach, ale częstokroć recenzje posiadają większą wartość, niż same recenzowane prace.

Co się tyczy czasu, jaki obejmuje omawiana przez nas „Bibliografia“, to zaznaczyć należy, iż kończy się on rokiem 1815; data jednak, do której sięga wyzyskany materiał bibliograficzny, nie jest ściśle oznaczona.

„Bibliografia historii polskiej“ jest u nas pierwszą pracą tego rodzaju, i jako taka, to jest jako pierwsza, nie może być bez zarzutu, czyli, że nie można było w niej nie pominąć tych, lub innych, nawet dość ważnych dzieł, artykułów, recenzji... Przeglądając pobieżnie część II, zanważyliśmy następujące, zdaniem naszym ważne, opuszczenia, które pozwalamy sobie w krótkości na niniejszem miejscu zanotować: Przy № 20,853 opuszczono: M. Glokke: „Jan Kochanowski i jego znaczenie w historii polskiej obrazowości XVI wieku“ (Kijów, 1898. str. VI+296+11); tegoż: „Rifmotwornaja psaltry Simeona Połockago i odnoszenie jeja k polskiej psaltry Jana Kochanowskago“ (Kijów, 1896. Przy № 20,253 opuszczono bardzo ważne prace nie tylko dla językoznawstwa, lecz i dla pra-historii Słowian: A. Leskien: „Die Declination im Slavisch-Litauischen und Germanischen“ (Lipsk, 1876, str. XXIX + 158), w której autor określa stopień pokrewieństwa języka słowiańskiego do niektórych innych języków aryo-europejskich w dobie przedhistorycznej (cf. też Hassencampf: „Ueber den Zusammenhang des letto - slavischen und germanischen Sprachstammes“, Leipzig, 1876, str. 64); również I. Hanusza: „O dobie litewsko - słowiańskiej w stosunku do prajęzyka indo-europejskiego“ (Kraków, 1885, str. 24; odbitka z „Rozpraw wydziału filologicznego Akademii Umiejętności“, tom XI). Przy № 18,758 opuszczono: I. M. Kamińskiego: „O prostytutcy“ (Warszawa, 1882); przy № 18,732 — jedyne do roku 1898 dziełko o kontraktach kijowskich: Aleksandra Grozy: „Mozaika kontraktowa“ (Wilno, 1857); przy №№ 11,452/70, 20,389 i n. — bardzo ważny głos profesora Baudouina de Courtenay w sprawie run (w wydawnictwie: „Izwestia Kazanskago Uniwersitetia“, 1876, zeszyt 1).

W dziale języków słowiańskich (str. 969) nie znajdujemy głosnej pracy profesora T. Floryńskiego: „Lekcyi po słowiańskomu jazykoznaniju“ (Kijów, 2 tomy, 1895 — 1897) i odpowiednich recenzji (o języku polskim St. Dobrzyckiego w „Pracach filologicznych“ tom V, str. 996); w dziale podróży i opisów krajów (do str. 555: „Krym“) — A. Nowosielskiego: „Morza, stepy i góry“ (dwa tomy). Przy №№ 21,839/47 (widoki Ukrainy) wypadło nadmienić o widokach Zofijówki (pod Humanem), znajdujących się przy francuskim tłumaczeniu „Zofijówki“ Trembeckiego przez de Lagarde'a (Wiedeń, 1815) i w albumie Themery'ego („Guide de Sophiówka“, Odessa, 1846). Dlaczego pod № 17,276 wymieniono tylko pierwsze wydanie „Opisu Kijowa“ Zakrzewskiego (z roku 1836, mała książeczka), a nie obszerne wydanie trzecie w dwóch ogromnych tomach in folio (Moskwa, 1868), pozostaje dla nas zagadką. W dziale historii literatury pol-

skiej wśród „zarysów“ (podręczników, str. 961 — 993) opuszczono: Kazimierz Król i Jan Nitowski: „Podręcznik do historii literatury polskiej“ (Warszawa, 1899, str. 537), również Zygmunta Bartoszewicza: „Historia literatury polskiej...“ (Wilno, 1828, str. XIII+77), ważna, jako pierwsza u nas próba utworzenia podręcznika szkolnego; w dziale o kobietach w Polsce (str. 910—912) nie znajdujemy Marcina Bielskiego: „Sejm niewieści“ (wydał dr Wł. Wisłocki w „Bibliotece pisarzy polskich“, pod tytułem „Satyry“. Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie, 1889, str. XV + 119).

Daje się również czuć brak osobnej rubryki dla historii teatru. Należało dział ten wyodrębnić z działu literatur polskich (str. 983). Przy dziele, oznaczonem № 18,249 (o jarmarkach) opuszczono imię autora; jest nim Aksakow; przy „Melodyach ludowych litewskich“ Juszkiewicza (№ 22,734) pominięto imię profesora Jana Baudouina de Courtenay, który właśnie przy współdziałaniu w części muzycznej Z. Noskowskiego opracował i wydał ów wielce cenny zbiór. Przy № 21,134 opuszczono odsyłacz do № 19,498, a przy tytule dzieła Budziłowicza: „Pierwotnyje Sławianie...“ ważny dodatek: „po danym leksykalnym“, jak również, iż dzieło to wyszło w dwóch tomach w Kijowie 1878/79 i 1882.

Przy dwóch pracach (№№ 11,482 i 20,434)—powtarzamy, iż dzieło to przeglądamy pobieżnie—opuszczono dwie, bardzo ważne recenzje. A tem ważniejsze, iż bez nich dzieła te wprowadzić mogą nie-specyjalistę w błąd. Temi recenzjami są: St. Łaguny o książce A. A.: „Zarysy charakteru Germanów i Słowian“ (Warszawa, 1877) w „Ate-neum“ z roku 1877, tom drugi, str. 196 i profesora Baudouina de Courtenay o dziele ks. Fr. Malinowskiego: „Krytyczno - porównawcza gramatyka języka polskiego“ (Poznań, 1869/70, dwa tomy), drukowana w „Niwie“ (też odbitka: Warszawa, 1875, str. 47) i inne.

Nie jest słusznem pisanie w nazwiskach rosyjskich w transkrypcji polskiej y zamiast i, naprzykład Musyn-Puszkin, Tychonrawow, Władymirow (na str. 1,037). Jeśliby to były nazwiska małosukie, było-by to na miejscu, wymienione jednak nazwiska należy pisać: Musin-Puszkin, Tichonrawow, Władimirow i t. d. Należała-by się również staranniejsza korekta: wydrukowano Iglí zamiast Igló (str. 535), Budolicz zamiast Budiłowicz (str. 897). Również mylnie wydrukowano wszędzie Zdanow zamiast Żdanow, Jagić zamiast Jagić. Nie wadziła-by też jednolita pisownia: raz spotykamy Šafarík, to znów w innych miejscach Szafarzik i t. p.

Są to wszystko jednak usterki mniejszej wagi, których, ze względu, iż wymieniona „Bibliografia“ jest pierwszym u nas podobnego rodzaju dziełem, uniknąć było bardzo trudno. Dzieło to, takie, jakim jest, stanowi bardzo cenny nabytek w naszej literaturze naukowej.

HENRYK ULASZYN.

K. Krynicki: „Rys geografii Królestwa Polskiego“. Wydanie drugie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1902, str. 297.

Książeczki dla ludu, ogłaszane przez p. Krynickiego, jak na przykład o Wiśle i inne, cieszyły się dość znacznym powodzeniem, dzięki temu, że odpowiadały skromnym potrzebom umysłowym czytelników, poprzestających na elementarnych danych topograficznych, etnograficznych i wyliczeniu nazw rzek, miast, prowincyi, z dodaniem szczegółów objaśniających. Nie zadawalniając się tem, autor, powodowany szczerą niewątpliwie chęcią rozszerzenia i pogłębienia wiedzy o kraju, opracował w ponownem, rozszerzonym wydaniu swój dawniejszy (w roku 1887 wydany) zarys geografii Królestwa. Zarówno układ, jak rozmiary i cena tej, ozdobnie wydanej, książki, nie pozwalają zaliczać jej do kategorii wydawnictw ludowych i stosować w jej ocenie odpowiedniej skali wymagań.

Przy swych najlepszych chęciach i gorliwości, wydatniającej się w gromadzeniu różnorodnych danych i szczegółów, autor nie zdawał sobie widocznie sprawy, dla jakich czytelników pisze ową książkę, a przytem, co ważniejsza, nie był świadom swego nieprzygotowania do podobnej pracy. Odczytując naprzykład rozdział (str. 55), w którym p. Krynicki objaśnia z całą powagą czytelnikowi różnicę wsi od miasta, tłumaczy, co jest wieś, osada fabryczna, miasteczko, miasto i t. p., doznajemy wrażenia, że słuchamy odpowiedzi, udzielanych przez czternastoletnią dziewczynkę ośmioletniej siostrzyczce. Dowiadujemy się tu, iż wieś, w której jest kościół, nazywa się kościelną, ta zaś, w której zbudowano fabrykę, nosi nazwę fabrycznej; miasto, które ma urząd powiatowy, nazywa się powiatowem i t. d. W ten sposób przygotowuje autor swych czytelników, których jednocześnie uważa za zdolnych do rozumienia rozlicznych przeciętnych cyfr, jakimi tak hojnie objaśnia stan oświaty, moralności, przemysłu i t. p. O stopniu naukowego przygotowania autora świadczy wymownie spis (we Wstępie) źródeł, z jakich czerpał swe wiadomości.

Prócz trzech świeższych opracowań statystycznych, spotykamy tu „Pamiętnyje książki“, tudzież korespondencye, opisy, pomieszczone w różnych Kuryerach i Tygodnikach. Ani jednej pracy naukowej z zakresu fizyografii krajowej autor nie poznał i nie uwzględnił. To też gdy wypadnie mu pisać o klimacie Królestwa, zamiast korzystać z poważnych prac z zakresu klimatologii i obserwacji meteorologicznych, ogłaszanych w „Pamiętniku fizyograficznym“, przytacza jakieś cudaczne, fałszywe całkiem dane z trzech lat jedynie (1892 — 1894), z których wynika, iż na przykład w roku 1894 mieliśmy lato islandzkie z temperaturą średnią 10.4°, a jesień z ciepłotą 4.7. Kto i gdzie robił i podał te obserwacje, tego nam autor nie powiada.

Objaśnienia geologiczne idą w parze z klimatologicznymi. „Cała gleba urodzajna — powiada autor (str. 30) — powstała po większej części z kamieni, podobnych do tych, jakich mnóstwo zalega pola nasze“. Dodaje jednak zaraz, że głązy narzutowe nie we wszystkich guberniach się znajdują, stawiając przez to przed czytelnikiem zagadkę, skąd się w tych guberniach wzięła gleba, bez pomocy kamieni. Również naiwną jest geneza błot, powstających jakoby z wylewu rzek.

Mimo hojnego posługiwania się cyframi, autor, nie rozumiejąc onych należycie, albo czerpiąc dane z mętnych źródeł, wyprowadza z nich najfałszywsze wnioski. Z sum, jakie wydają magistraty różnych miast na szkoły, wnosi o stopniu dbałości ich o podniesienie oświaty. Z podanego przez autora wykazu wynika, iż Rypin stoi na czele całej grupy mniejszych miast, wydając 307 rubli rocznie, a Łęczna, poświęcająca tylko 7 i pół rub. rocznie, musi być w tym stosunku ciemniejszą od Rypina. Gubernia Kaliska stoi, zdaniem autora, bardzo nisko pod względem oświaty, ponieważ w roku 1880 na 2,229 wziętych do wojska nie umiało czytać 2,005. Cyfra ta, choćby była prawdziwą, dowodzi tylko, że owi rekruci nie umieli czytać po rosyjsku, ale mogli biegle czytać po niemiecku, polsku, lub w żargonie żydowskim.

Czy to w rozdziale o wierzeniach ludowych i mitologii, czy też w wywodach etymologicznych nazw (Wyłkowyszki od wycia wilków). popełnia autor, wskutek nieprzygotowania naukowego, liczne, rażące często błędy, pochodzące zwykle z posiłkowania się mętnymi źródłami. W kilkuwierszowym zarysie dziejów Warszawy pomieścił same prawie fałsze, przepisane z jakiegoś nedorzecznego „Przewodnika“, lub Kalendarza. Zarówno założenie przez Werszewców, jak płacenie dziesięcin do kościoła w Górze, pojawienie się miasta w roku 1313,

a osiedlenie się książąt mazowieckich w r. 1379, wszystko to są bajki, lub błędy, które, niestety, są u nas w ciągłym obiegu. Pan Kr. powołuje na czele swej pracy, jako jedno ze źródeł „Słownik Geograficzny“, dlaczegoż jednak nie zaczerpnął stamtąd dat do dziejów Warszawy?

Co dziwniejsze jeszcze, to pomieszczenie w specjalnym rozdziale o drogach żelaznych, nieistniejących wcale linii, jak: Tomaszowska i Płocka. Autor każe tym liniom obsługiwać liczne fabryki i cukrownie, miasta, które jednak może i za lat 10 jeszcze nie usłyszą świstu lokomotywy. Zdawało-by się, że w historii rozwoju Łodzi niema miejsca na żadne legendy i wątpliwości, tymczasem p. Kr. powiada: „Podobno że do rozwoju tego miasta głównie przyczynili się Niemcy, którzy początkowo chcieli się osiedlić w parowach pod Płockiem, lecz tam nieprzyjęci, przeszli przez Wisłę i osiedli pod Łodzią“ (str. 161).

To, co przytoczyłem, wystarcza, zdaje się, do przekonania o wszechstronnem nieprzygotowaniu autora do pracy na polu krajoznawstwa. Współcześnie wydane „Opisanie Królestwa Polskiego“ przez S. (Warsz., 1901), może w przeciwstawieniu do dziełka p. Kr., posłużyć każdemu, zabierającemu się do pisania podobnych książek, za wzór popularno - naukowego opracowania.

Że p. Kr., przebywając na prowincyi i kształcąc swój umysł lekturą czasopism warszawskich, nie mógł mieć jasnego pojęcia o wymaganiach nauki, ufny w powagę swych źródeł, pozbierał z nich możnolnie mnóstwo błędów, niedorzeczności, lub niepotrzebnych całkiem drobiazgów, a pominął to, na co należało zwrócić uwagę, to rzecz dość naturalna, ale że przed wydaniem tej książki w Warszawie nie poddał jej rozpatrzeniu, oczyszczeniu, czy przeróbce gruntownej, to trudno zrozumieć i darować.

Br. Ch.

Władysław Matlakowski: „Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu“. Zarysy życia ludowego, poprzedzone życiorysem autora, wydał dr Józef Peszke. (Z dwoma podobiznami autora, 65 tablicami i przeszło 150 rycinami w tekście). Warszawa, 1901. Z zapomogi Kasy imienia d-ra Jozefa Mianowskiego. Cena rb. 6 (kor. 15).

Dzieło wspaniałe pod każdym względem. Druk, papier, ryciny w tekście i na tablicach bez zarzutu, okładka nawet stosowna i bardzo oryginalna. Rzecz od pierwszego rzutu oka pozyskuje czytelnika.

Otwieramy i wgłębiaamy się w treść: Wprawdzie dotarcie do jądra rzeczy niezbyt łatwe, bo trzeba przeczytać siedm stron wstępu „Od wydawcy“, opisującego „fata libri“ — wprawdzie życiorys ś. p. autora na 91 stronicach dużej czwórki może niejednego zniecierpliwic; ale wreszcie docieramy do rzeczy samej i, po przeczytaniu wstępu ś. p. autora, stajemy przed częścią ogólną, ugrupowaną w trzy działy: a) ozdób geometrycznych, b) roślinnych i c) zwierzęcych. Zasada podziału czysto zewnętrzna, jak sam ś. p. autor przyznaje, tłumacząc się, że na klasyfikację motywów „nie było go stać“, a nawet na uporządkowanie chronologiczne brak mu było czasu. Usprawiedliwienie zbyt cenne, wynika z niezwyklej sumiennosci autora, który zwykł był od siebie żądać bardzo wiele, nawet za wiele. Może inne ugrupowanie było-by pożądané dla historyków sztuki, dla artystów; ale etnograf z tego, co jest, musi być w zupełności zadowolony, a przecież ś. p. autorowi o to głównie chodziło.

Przebijamy się tedy przez ski by, recice, mir wy, łamaniny, ząbce, krzyżyki, karby, gadziki i inne najrozmaitsze motywy geometryczne, na które Podhalanie mają takie trafne i piękne wyrażenia, że — jak ś. p. Matlakowski mówi — „utworzone na miejscu w chwili, gdy zjawiła się potrzeba, zawsze są wynikiem przedziwnej lingwistycznej logiki i zgody z prawami. Szczególne niespodzianki witają nas w motywach roślinnych, począwszy od kłósk a i dziewięciornika, a skończywszy na leluji i złotogłowiu. Mniej interesu przedstawiają motywy zwierzęce i ludzkie, bo tu już potrzebne rysunek i plastyka, którym samородni rzeźbiarze-cieśle nie podolają.

Nie wiemy, dla czego ś. p. autor nie oddzielił w części ogólnej tego, co mówi przy końcu o materyale i sposobach zdobienia. Wszak to do obrazu motywów nie należy, a lubo zajęty przedmiotem czytelnik nie łąco spostrzeże, że do innego przeszedł tematu, jasność układu wymagała na str. 44 od wyrazów: „Ogromna większość...“ utworzyć nowy rozdział.

Część szczegółową (od str. 59) czyta się nie jak materyał etnograficzny, ale jak przepiękny obraz wrażeń i wspomnień samego autora. „Po glejowatej, kielżkiej (ślizkiej) ścieżce wygramolamy się na polankę, a z niej bardzo stromym chodnikiem w las jodłowy i smrekowy, zarastający głęboki jar: na samym dnie, kamienistym żlebem leci czysta woda, wśród brzegów żółtych od *Chrysosplenium*; przekraczamy żleb i, wspinając się po drugiej ścianie jara, ścieżyną wśród uroczego gąszczu, chłodu lodowatego, wreszcie wyglądamy na polanę, zalaną słońcem; przed nami gromada

gają ów, wśród nich siedziba...". Czy ten opis, pierwszy lepszy z brzegu, jaki przytoczyliśmy, to nie poemat swego rodzaju?

W takich barwach prostych, ale dziwnie pięknych, zwiedzamy z autorem dom góralski z zewnątrz, poznajemy gruntownie wnętrze i jego urządzenie: w białej izbie ławę, listwę, stół wielgachny, stolice (stołki), skrzynki, a w czarnej, oprócz tych samych, mniej ozdobnych, sprzętów, łóżko smrekowe, łyżniki, stępkę, wałkownice it. p. W ten sam sposób poznajemy komorę, wyskę na poddaszu, sieni i jatę; potem budynki gospodarskie, sprzęty, całą zagrodę; a potem, gawędząc z gazdą, dowiadujemy się szczegółów z rolnictwa, sianokosu, pasterstwa (niezmiernie malowniczo skreślonego), poznajemy obróbkę lnu, (ze śpiewami) w arcule i kądziel, pracę w lesie, odzież (ze wszystkimi szczegółami) i strawę, czyli pożywienie. Ale brakło-by było jeszcze najjaśniejszej karty w życiu każdego, a więc i w jednostajnym życiu górala: obrazu wesela i związanych z niem zwyczajów i przedmiotów. Podaje nam to ś. p. autor w „Zamknięciu“ w sposób wielce obrazowy, tak, że chciało-by się dla przykładu przepisać choćby znaczną część tego poematu, wrywającego się z duszy autora, kiedy go prawie już opuszczała — *velut umbra*“...

Tak się przedstawia dzieło w swej treści.

Musiał-by być dziwnie uprzedzonym recenzent, który-by nie przyznał, że treść powyższa, choćby w szczegółach niewyczerpana, odsłoniła nam kawałek świata dotąd nieznanego, że zwróciła uwagę nietylko na cuda przyrody tatrzańskiej, ale na te objawy twórczości ludu, które go najlepiej cechują i we właściwym, odrębnym, a tak sympatycznym stawiają świetle. Ale oddając prym ś. p. autorowi w tem, co stanowi jego niespożytą zasługę, i co jest wynikiem jego artystycznej duszy, nie możemy nie wskazać, czego dziełu brakuje, i nie nadmienić, że nie może ono być wzorem podobnych w folklorystyce opracowań.

Przedewszystkiem tytuł jest w stosunku do treści za wielki. Podhale, podług zwykłego rozumienia rzeczy, to wprawdzie nie cała dolina Nowotarska od Klikuszowej do Zakopanego i od Odrowąża do Dębna, ale to przedewszystkiem doliny Czarnej i Białego Dunajca, począwszy od miejscowości tych samych nazw w górę i to wraz z tym całym szeregiem mniejszych i większych osad, które się między temi dwiema dolinami skryły w głębokie fałdy tatrzańskiego podnóża, od Gubałówki i Palenicy na północ, a więc wsie: Działów, Ciche, Bystra, Ratulów, Międzyezerwone w zachodniej, a Zubsuche, Bańsko, Skrzypne, Maruszyna aż po Rogoźnik we wschodniej polaci. Tymczasem zarówno w tekście, jak i w objaśnie-

niu dodanych tablic, spotykamy nazwy tych miejscowości bardzo rzadko, albo ich wcale niema: jest to zaś ciekawe, że jeżeli tylko w rysunkach coś uderzy oko odmiennego, z pewnością pochodzi z jednej z owych wsi, zresztą mało uwzględnionych (vide: Lyżniki, Spinki). Ś. p. Matlakowski nie tai tego, ale (jak na str. 40) wyraźnie przyznaje, że „dla braku zdrowia nie mógł być zwiedzać Podhala i zwrócić należytej uwagi na te przejawy ludowej sztuki“. Tymczasem zarówno w tekście, tak i we wstępie (strona 10) zaznacza otwarcie, że nie mógł dla choroby zwiedzić szerszego obrębu, nie mógł oznaczyć granic tego typu zdobnictwa i nie mógł uwzględnić wyrobów ceramicznych. Bolejemy głęboko nad temi nieprzyjaznymi stosunkami, bo możemy sobie wyobrazić, coby nam mógł być zebrać jeszcze ś. p. Matlakowski, gdyby mu Wyższe wyroki pozwoliły były jeszcze kilku lat życia; ale, nie czyniąc z tego zarzutu, ostrzegamy przed mniemaniem, jakoby w zakresie zdobnictwa podhalskiego poza dziełem Matlakowskiego nie dało się już nic uczynić. Owszem, piszący te słowa dopiero od niedawna mieszka w lecie na Podhalu bez specjalnego celu gromadzenia ornamentyki, ale z ogólnego etnograficznego patrząc na rzeczy stanowiska, zdołał zgromadzić cały szereg motywów, nieznanych Matlakowskiemu, bo nie z Zakopanego pochodzących. Pole tedy jeszcze nie uprawione, pracowników tylko brak, i to pracowników, którzy-by choć w części ożywieni byli tym świętym do przedmiotu zapalem, jaki przenikał wszystkie prace ś. p. Matlakowskiego.

W tem samym miejscu wstępu, w którym przyznaje się ś. p. Matlakowski, że nie zwiedził szerszego obrębu, dotyka sprawy, która ma szersze i donioślejsze, bo m e t o d y c z n e w etnografii z n a c z e n i e. Wspominając z żalem, że nie mógł zwiedzić Orawy, Liptowa i Špižu, a nawet dalszych górskich okolic, daje ś. p. Matlakowski do poznania, że czuł potrzebę p o r ó w n a n i a zebranego materiału, że miał pojęcie o tem, czego-by dokonać należało, aby praca jego była lepsza pod względem naukowym. Trzeba przyznać, że to odczucie potrzeby a niemożliwość jej zaspokojenia usprawiedliwia w wielkiej części autora; nie może zaś usprawiedliwić tych, którym Pan Bóg daje czerstwe zdrowie, daje siły do dalekich i zmuśnych wycieczek, daje nawet sposobność do zwiedzenia wspomnianych, sąsiednich Podhala okolic, ale im nie daje zmysłu dostrzegawczego i odczucia potrzeby porównania, wskutek czego widzą w Zakopiańszczyźnie jakieś prastare, w y ł ą c z n i e p o l s k i e (?) motywy, coś z tej zamierchłej wiekami przeszłości, która trąci podobnie myszką, jak baśni o Krakusie i smoku...

Nie tu miejsce na wykazanie, że Uład to oczywisty, i że charakter budowli podhalskich, zdobnictwo, strój i ceramika, są z pewnemi drobnemi odmianami wspólną własnością słowiańskich plemion, mieszkających po obu stronach całego łańcucha Karpat i Tatr, i że kto wie, czy podobnie jak w języku do dziś dnia zachowały się wpływy wołoskie, (rumuńskie), nie dało-by się i w innych objawach twórczości podhalskiej wynaleźć jakiej między temi narodami spójni. Przedewszystkiem zaś nie można pod żadnym warunkiem spuszczać z oka porównania z sąsiednimi Słowakami, z którymi analogie są bijące w oczy. Jest-że to więc styl, i to zakopiański? Jest-że to rodzime polskie, co jest własnością i sąsiedniego słowiańskiego plemienia?

Ale o tem może będziemy mieli sposobność pomówić kiedy obszerniej i dokładniej; na dziś zaznaczamy, że jak co do obszaru „zakopiańskiego“ zdobnictwa, tak i co do zrozumienia jego ducha, trzeba nam bardzo studyów porównawczych, które nietylko przekonają, że „Orawa, najbliższa i żadną granicą nieoddzielona“, nie jest w całej górnej części „słowacką“ (str. 10), lecz polską ziemią, ale które nam odslonią dla poznania pochodzenia właściwości podhalskich, tak odrębnych i zajmujących, nowe zupełnie horyzonty...

Praca ś. p. Matlakowskiego nie powinna być i w tym kierunku uważana za Alfę i Omegę, ale powinna być początkiem i podniętą do poważnych badań.

Chcąc wyczerpać wszystko, co się o dziele tak niezwykle da powiedzieć, nie możemy pominąć jeszcze szczegółu, co do którego nie wiemy, czy autor, czy wydawca zawinił. Byłóż niezbędnie potrzeba te same rysunki w tekście umieszczać po dwa, lub trzy razy, jeżeli ilustrować miały inne przedmioty? Nam się zdaje, że powołanie się na tę a tę figurę zupełnie wystarczało, tem więcej, że rycina, do innego celu użyta, zupełnie niczem się nie różni od poprzedniej. Tak mamy to samo w rycinie 110 i 121; 45 i 46 a 133 i 134; 120 a 136; 85 a 145; są nawet te same ryciny w tekście, a potem po raz drugi podane na tablicy, jak naprzykład ryc. 93 i część tabl. XXXVIII. Że się powtarzają niektóre ryciny z „Budownictwa“, rzecz to całkiem zrozumiała.

Nakoniec wspomnieć musimy jeszcze o jednym szczególe. Ś. p. Matlakowski cenil, a może i przeceniał gwarę zakopiańską, i stąd pochodzi, że w całym tekście jest mnóstwo wyrażen luźnych i zwrotów, przez słownikarzy i dyalektologów dotąd nie zapisanych. Nowy dowód, ile można zebrać nawet przygodnie, jeśli się zebrać chce. Ale ś. p. Matlakowski nie był dyalektologiem, i dlatego źle dosłyszał nie jedno brzmienie, nie jeden dźwięk mowy góralskiej. Pragnący z niej

do studyów korzystać, muszą poprawić *gruby* na *hruby*, *merska* (str. 60) na *merz - ka*, bo tu przyrostek *ki*, a temat *mrz*, tak jak na str. 61 *kielzki* (*klz - ki*), a naodwrot: czytać na str. 63 *wyska* nie *wyska*; również należy czytać *łyżnik*, a nie *łyżnik*, *kijań*, a nie *kijań*, *duhnać*, a nie *duhnać*; *kierpce*, nie *kierbce* i t. p. Wszystkich przykładów nie mamy powodu tu przytaczać.

Korekta, w ogólności staranna, nie uniknęła jednak takich błędów, jak: „filozofią ludową“ (str. 2), „zający“ (str. 5), „szewjsowanie“ (str. 9) zamiast „szwejsowanie“—a szczególnie: „w podłóż“, zamiast: „w podłuż“. O języku i stylu ś. p. Matlakowskiego mówić nie chcemy, ma on swoje właściwości, które raczej za dobre, niż za niepoprawne poczytać należy; i tu tedy jest, jak w całym dziele, samodzielnym mistrzem. Nie życzymy sobie tylko, aby ktoś w dziele etnograficznym naśladował w tej mierze ś. p. Matlakowskiego, bo mógłby łatwo doznać losu Ikara...

ROMAN ZAWLIŃSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Dzień 14 lutego roku bieżącego był setną rocznicą urodzin Bohdana Zaleskiego. Z tego powodu w kościele katedralnym świętego Jana odbyło się uroczyste nabożeństwo, poświęcone pamięci zmarłego poety, a liczny napływ publiczności świadczył wymownie o tem, że duchowa puścizna „słowika ukraińskiego“ należyce przez współczesnych jest ceniona. Uczciła ją i prasa, zamieszczając w dniu tym odpowiednie artykuły i nie szczędząc słów uznania dla melodyjnych dumek i szumek. A były te słowa, jak kwiaty, rzucone na mogiłę poety, który miał to nieszczęście, że przeżył swoich rówieśników; przeżył wspaniałą dobę rozkwitu romantyzmu polskiego i własnymi oczyma patrzył na to, jak mróz nowych prądów warzył najpiękniejsze ogrody poezji romantycznej, odbierał im krasę i wdzięk. Zaleski umarł dopiero w roku 1886, przeżył więc cały okres pozytywizmu i musiał się poddać skalpelowi krytyki nowoczesnej. Była to wiwisekya prawdziwa. Młodzi odebrali starcowi wieniec, którym go obdarzyło pokolenie poprzednie, odsądzili go nie już od sławy, ale od talentu poetyckiego, bo nie doszukali się w nim żadnej idei społecznej, żadnej tezy, żadnej teorii filozoficznej. Dziś te wymagania, stawiane sztuce przed laty trzydziestu, nie wytrzymują krytyki, i dziś powinna nastąpić rehabilitacja poety, który musiał ze smutkiem odchodzić z tej ziemi niewdzięcznej, i z żalem głębokim do swoich. Dla tego było-by bardzo pożądane, aby, korzystając z rocznicy, która przypominała Zaleskiego ogółowi, przypomnieć także temu ostatniemu i dzieła jego. O kompletne wydanie poezji Zaleskiego jest dziś już dosyć trudno, a wydania krytycznego, ułożonego z pewną myślą przewodnią—nie posiadamy wcale. Takie wydanie, podjęte w setną rocznicę urodzin poety, było-by największym dla niego hłodem. Może uskuteczni to Lwowskie Towarzystwo wydawnicze, które jedyne z naszych firm wydawniczych pamiętało o Zaleskim, i przed

kilku tygodniami wypuściło studjum biograficzno-literackie o nim, napisane przez p. Zdziarskiego, a będące jedyną obszerną biografią poety, doprowadzoną do końca.

W roku bieżącym mija 25 lat pracy literackiej Maryi Konopnickiej. Nazwisko to mówi wiele. Nie potrzeba uzasadniać, że jeśli który z poetów doby współczesnej zasłużył na wieniec laurowy, to wieniec ten spocząć powinien na skroniach Konopnickiej. Nie potrzeba tłumaczyć, jakie są jej zasługi społeczne i literackie. Trudno się jednak powstrzymać od kilku uwag w przedmiocie jej dzisiejszego, jubileuszowego stosunku do społeczeństwa.

Urodzona w Suwałkach w roku 1846 z ojca Józefa Wasiłowskiego i matki Scholastyki z Turskich, poetka w dzieciństwie utraciła matkę i pozostała pod wyłączną opieką ojca, pod którego kierunkiem pobierała pierwsze nauki. Następnie rok jeden przebywała u pp. Sakramentek w Warszawie, a wkrótce potem wyszła za mąż i zamieszkała w Bronowie, w Łęczyckiem. W roku 1875 zmuszona była dla zdrowia wyjechać w Tatry. W podróży tej odniosła wielkie wrażenie i po powrocie podzieliła się niem z publicznością, drukując szereg pieśni ulotnych, pod tytułem: „W górach“. Taki był początek poetyckiej działalności tego wielkiego talentu. Odtąd pieśń Konopnickiej nie milkła już, ale stawała się coraz potężniejszą, rosła w moc i w siłę, zdumiewając bogactwem barw i dźwięków. Lira jej, o tak bogatym stroju, że z żadną inną współczesną porównać się nie da, brzmiała zawsze czystym dźwiękiem prawdziwej sztuki, mimo, że idąc za głosem prądów chwili, chętnie szła w służbę idei społecznej.

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
 Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
 Którą przemija smutnych tysiące,
 Niesionych burzą od wieku...
 Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
 Co świecisz równie cicho i jasno,
 Czy duchy płoną, czy w walce gasną,
 Lec z tobą płakać, człowieku!

Tak pisała Konopnicka przed laty dwudziestu i nikt inny nie miał-by równie wielkiego prawa, jak ona, podpisać się pod tem -- całym życiem swoim. To było jej hasło, przy którym wytrwała i trwa,

wszczepiając w każdą, najdrobniejszą piosnkę swoją, pierwiastek miłości człowieka. To czyni ją poetką pokolenia, które obok niej rosło i z nią razem działało, zagrzewane do czynu i pracy jej pieśnią. Ale obok tej struny, ileż strun innych dźwięczało na jej lirze złotej? Najgłębsze zagadnienia ducha ludzkiego, największa tajemnica serca, wszystko, co dobre, wysokie i piękne, znajdowało wyraz w jej pieśniach. Od sielskich piosenek, wygrywanych na fujarce, w których jej wyjątkowy talent zamykał w jednej strofie całą piękność krajobrazu swojego, lub w kilku wyrazach otwierał przed czytelnikiem duszę chłopską, do „Fragmentów“ dramatycznych, do wspaniałej purpury „Imaginy“, do ogromnego eposu „Pan Balcer w Brazylii“, do cudownych strof o Italii, pełnych włoskiego słońca i wrażeń duszy subtelnej, otrzymanych na widok arcydzieł sztuki i pomników sławy — jakież to przejście obrzymie! I wszystko to w Konopnickiej znalazło wielkiego, może jedyne dla siebie poetę. Co za skala szeroka, jaki zasób myśli i uczucia, jaka moc ogarniania wszystkiego! Mimowoli cisną się tu pod pióro własne słowa poetki:

Wielki ty jesteś, serce królu, poeto!
 Co wstrząsasz myśli, uczucia i wolę,
 I na błyskawic pełnem nosisz czole
 Znamię geniusza, który jest kometa
 Na ciemnem wicków i narodów niebie...

Taką kometa na ciemnem niebie pozytywizmu warszawskiego była Konopnicka, taką jest dzisiaj na niebie poezji współczesnej. I oto z bogatym dorobkiem, z wiązką kłosów złocistych i plennych stoi dziś na łanie pracy swojej, daleka od wypoczynku, daleka od kresu trudnej drogi swojej. Społeczeństwu, jako poetka, dała wiele — dała duszę swoją, rozsypała przed niem klejnoty pieśni królewskich: Czemże jej ono za to odplaci, jak ją uczi, jak wdzięczność swoją okaże? Te pytania nastreczyć się muszą każdemu w roku jubileuszu poetki. Czy będzie to tylko jubileusz cichy i niemy, obchodzony uroczyście w sercach tych, którzy się do wdzięczności poczuwają, czy znajdzie on swój wyraz zewnętrzny, i jaki?

Nie wątpimy, że społeczeństwo odczuwa żywą i nieklamana potrzebę złożenia poetce hołdu, że myślą o tem zwłaszcza kobiety polskie, które tak dużo zawdzięczają Konopnickiej i których ona jest dumą. Ale poetka jest także dumą literatury, czy więc ta ostatnia w osobie swoich przedstawicieli współczesnych nie powinna jej także

uczcić? Czy za przykładem ksiąg zbiorowych, jakie wydawano już u nas niejednokrotnie, nie powinna powstać na cześć Konopnickiej wydana księga pamiątkowa? Ten sposób wyrażenia czci i hołdu przez współczesnych pisarzy polskiej wielkiej poetce wydaje się nam bardzo właściwym i bardzo pożądanym. Nie wiemy, — może już kto o tem myśli, może już projekt w tym kierunku dojrzewa? Ale dla tego właśnie, że nie wiemy, zabieramy głos w tej sprawie — może on jest zbyt późny i spóźniony, a może będzie przypomnieniem chwili, koło której przejść obojętnie — było-by smutnym objawem zaniku w nas zdolności do oceniania prawdziwych zasług, prawdziwych talentów i płodnej pracy.

Wobec braku u nas należycie zorganizowanej biblioteki publicznej, każda próba udostępnienia ogółowi dzieł z pewnego chociażby zakresu nauki lub sztuki zasługuje na zaznaczenie. Z tych względów pisaliśmy w swoim czasie o podręcznej bibliotece pedagogicznej, jaka powstała przy sekcji Wychowawczej Towarzystwa higienicznego, z tych samych względów pragniemy obecnie poświęcić słów kilka bibliotece, organizowanej przez Towarzystwo zachęty sztuk pięknych.

Jedną z sal w pałacu swoim Towarzystwo przeznaczyło na bibliotekę specjalną, obejmującą najpotrzebniejsze dzieła i wydawnictwa, dotyczące sztuki. Wiadomo, że wydawnictwa takie są bardzo drogie, zwłaszcza, o ile zawierają reprodukcje o wartości artystycznej, o ile nie są encyklopedycznymi przewodnikami po galeriach i pracowniach mistrzów, ale opracowane zostały głębiej i szerzej przez fachowych uczonych. Nie każdy może się zdobyć na to, aby jedno lub drugie z dzieł takich posiadać na własność, żadna zaś biblioteka prywatna artysty lub literata, wyjąwszy chyba bogatych kolekcjonistów, nie jest w możności zgromadzenia tych dzieł w ilości większej. Stąd w razie potrzeby zbadania jakiejś rzeczy bliżej, poinformowania się o niej z dobrego źródła, kłopot niemały. Stąd także płytkość naszych sądów i nieuctwo niemal zupełne w dziedzinie sztuki. Rozumiejąc to, Towarzystwo zachęty postanowiło przynajmniej w skromnych granicach spełnić zadanie, od dawna na niem ciężące. Któż bowiem inny, jeżeli nie ono, dbać powinien szczególnie o krzewienie kultury estetycznej, o pogłębienie smaku artystycznego i szerzenie zdrowych sądów o sztuce w jaknajdalszych kołach inteligencji? Dawniej nie było o tem mowy, Towarzystwo bowiem roz-

porządzało bardzo szczupłymi środkami i jeszcze szczuplejszym lokalem. Obecnie jednak środki się wzmogły, a własna siedziba znakomicie sprzyja temu, aby rozwinąć jakąś planową, na pewnym programie opartą, działalność. Pierwszym, najkonieczniejszym punktem tej działalności jest niewątpliwie biblioteka. Dostępna nietylko dla członków T-wa, ale dla każdego, kto zapragnie z niej korzystać, odda ona niemal usługi wszystkim, interesującym się sztuką wogóle. Sądzymy jednak, że jest to dopiero początek, naprzód, że biblioteka powoli dopiero będzie się mogła kompletować i że uplynie lat szereg, zanim stanie się pokaźnym i wyczerpującym daną dziedzinę księgozbiorem; powtóre, że społeczeństwo nasze jest wogóle tak mało jeszcze wyrobione i tak mało samorzutne, że trzeba je niemal wziąć za rękę i do biblioteki zaprowadzić. Dla tego wydaje nam się niezbędną rzeczą, aby w sali bibliotecznej odbywały się co czas pewien konferencje z zakresu sztuki, zagajane przez wybitniejszych naszych malarzy, lub krytyków, a charakteryzujące, czy to pewien kierunek znamiennejszy w malarstwie, lub rzeźbie, pewną szkołę, dawną lub nową, czy też twórczość tego lub innego artysty. Odczyty takie, lub pogadanki były-by bardzo pociągające i bardzo na miejscu, coraz częściej bowiem Towarzystwo urządza wystawy specjalne. Niedawno mieliśmy wystawę Żmurki, wystawę Wywiórskiego, dziś mamy przepyszną wystawę Pankiewicza, jutro lub pojutrze będziemy mieli znów inną, obejmującą całokształt twórczości danego malarza. Dla czegoż-by więc, korzystając z takich sposobności, nie urządzać pogadanek, poświęconych określeniu stanowiska tego, lub innego malarza w sztuce, dla czegoż-by nie urządzić wieczorów lub niedziel artystycznych, gdzie swobodna biesiada i wymiana poglądów taki duży przynieść-by mogła pożytek? Po takiej konferencji niejeden z biorących w niej udział zapragnął-by może sam przeczytać jakieś dzieło poważne i przejrzał-by jakieś wydawnictwo ilustrowane nieco inaczej, niż przywykł oglądać albumy z fotografiami znajomych. Zda się, że Towarzystwo tą drogą właśnie powinno „zachęcać“ członków swoich do bliższego zapoznania się ze sztuką.

Jednym ze znamiennejszych objawów życia dzisiejszego są częste pojedynki. Uznane przez wielu za średniowieczny zabytek, mianowane przez wszystkie niemal kodeksy europejskie — zbrodnią, za którą kara rozciąga się nawet na sekundantów, a pomimo to na całej linii niezwykłą cieszące się tolerancją i pobłażaniem, w stosun-

kach towarzyskich podnoszone do „bohaterstwa”, w sądownictwie — zaślugujące zawsze na uwzględnienie okoliczności łagodzących, na patrzyenie „przez palce”, wreszcie — na przedstawienie do łaski monarszej — pojedynki stały się dzisiaj najpospolitszą formą załatwiania spraw honorowych, a w niektórych sferach — sportem, równie dobrym, jak każdy inny.

Nie rozbieramy tu przyczyn tego zjawiska, do których przede wszystkim zaliczyć-by należało rozwielenienie się militaryzmu, poprzestajemy tylko na stwierdzeniu faktu, który, jako taki, zwrócił na siebie uwagę kół towarzyskich w Galicyi i w Poznańskim, gdzie też zakrzętnięto się około utworzenia Towarzystwa przeciwojedynkowego. Na czasie byłoby także pomyśleć o tem i u nas.

W pismach warszawskich w ostatnich latach bardzo często spotykać można wzmianki o pojedynkach. Dyskretnie podawane wiadomości, plotka z ust do ust idąca, pierwsze litery nazwisk przeciwników, wydrukowane w kuryerku porannym — lotem błyskawicy roznoszą po mieście wiadomość. Mówi się wtedy wszędzie o pojedynku, jako o wypadku dnia, komentuje się „dżentelmeńskie” zachowanie się pp. X. i Y, czule się wspomina młodego chłopca, który w wiosnie życia poległ śmiercią „bohaterską”, wtajemnicza się ciekawe kobiety w reguły pojedynku, wydobywa się z kieszeni „kodeks honorowy” (bo i taki istnieje) — i stacza się w salonie teoretyczną dysputę, zakończoną najzupełniejszą sankcją pojedynku. Nic wobec tego dziwnego, że pp. X. i Y. znajdują nazajutrz naśladowców i oto po kilku dniach znów spotykamy wiadomość o pojedynku, który się odbył pomiędzy lekarzami, prawnikami, literatami, dowiadujemy się o kontuzyi, ranie postrzałowej, wreszcie — o wytoczeniu sprawy przez prokuratora. Nie wiemy najczęściej tylko o jednym — że zatarg był błahy, a wymiana kul — zbyteczna. To zaś stanowi właściwy rdzeń całej sprawy o pojedynkach.

Nie myślimy przeczyć, że są wypadki, są starcia, z których jedynym wyjściem jest pojedynek, wypadki te należą jednak do wyjątkowych, poza tem zaś istnieje prawdziwie błędne koło pojęć o honorze i bardzo pogmatwana klasyfikacya obraz i zadośćuczynień. Dzięki temu powodują pojedynki urazy drobne i takie, które, jeśli nie w cztery oczy i przy pomocy przywołanych do porządku władz umysłowych, to przy pośrednictwie kilku ludzi zaufanych, mogły-by pomyślnie być załatwione i nie narażać na utratę życia żadnego z chwilowych przeciwników, którzy jutro mogą paść sobie w ramiona i być najlepszymi przyjaciółmi. Naszym „dżentelmenom” jednak podobne załatwianie spraw nie wystarcza, pragną oni bowiem przy tem

wszystkiem rozgłosu, chcą, aby mówiono o nich i pokazywano ich sobie palcami.

Jeżeli więc dojdzie do założenia towarzystwa przeciwpojedynkowego, — to najgłówniejszym jego celem powinno być prostowanie mylnych pojęć o honorze i dążenie do tego, aby wszelkie sprawy honorowe były załatwiane w najpoważniejszy i dający stronie obrażonej rzeczywistą satysfakcję sposób.

Nie wiemy, na jakich zasadach oprą się Towarzystwa przeciwpojedynkowe w Galicyi i w Poznańskim, to pewna jednak, że muszą one nakreślić sobie program jak najszerszego oddziaływania na całe społeczeństwo, czy to za pomocą konferencji, zebrań publicznych, odczytów i broszur, czy w jakikolwiek bądź inny sposób. Trudne to będzie i niemile w początkach, złośliwość bowiem ludzka i brawura studencka będą widziały w Towarzystwach takich instytucye, dające schronienie „tchórzom“. Dla tego Towarzystwa muszą się uzbroić w cały zasób argumentów teoretycznych, opracowanych ściśle i naukowo i — na razie przynajmniej — nie powinny od członków swoich brać bezwzględного zobowiązania co do nieprzyjmowania pojedynków, ale poddać ich tylko rygorowi, polegającemu na tem, że pojedynek członka T-wa może się odbyć nie inaczej, jak na podstawie orzeczenia złożonego ad hoc sądu honorowego, który rozstrzygnie bezapelacyjnie, o ile stanąć na placu jest rzeczą konieczną w danym wypadku. Sądy takie miały-by regulamin, opracowany zgodnie z najwyższymi i istotnymi zasadami pojęcia honoru. Te zasady zaś należało-by krzewić i szczepić wszędzie, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą, która do pojedynków jest pochopna i łatwo w sprawach honorowych ulega przywidzeniom i afektom. Szerzenie takich zasad przynieść może sprawie pożytek daleko większy, niż surowsze jeszcze od dzisiejszych przepisy ustawodawcze. Za wzór mogą tu posłużyć stosunki angielskie, gdzie paukantów czeka infamia towarzyska i gdzie wskutek tego pojedynki są niezmiernie rzadkie, a jeżeli dochodzą do skutku, to poza obrębem kraju.

Wtedy stosunki powoli będą się zmieniały i z czasem pojedynek przestanie być „Są d e m b o ż y m“, a rozprawa honorowa — tragiczną nieraz rozrywką ludzi, niemających nic do stracenia i zabijających nudę i przesyt życiowy pukanią z pistoletów.

Ministryum spraw wewnętrznych zatwierdziło w ostatnich czasach ustawę nową, a bardzo potrzebnej u nas instytucyi — Towarzystwa opieki nad chorymi pozaszpitalnymi. Jaka jest doniosłość

takiego Towarzystwa, uzasadniać nie potrzeba, zbyt głośne bowiem i zbyt częste są skargi na brak miejsca w naszych szpitalach, aby się one nie odbiły dotąd szerokiem echem wszędzie, gdzie słowo drukowane dociera.

Zadaniem Towarzystwa, które za patrona obrało sobie św. Antoniego, jest, wedle ustawy, udzielanie pomocy i tymczasowego pomieszczenia chorym, którzy na razie do szpitali miejskich przyjęci być nie mogą. W tym celu T-wo zakłada pomieszczenie dla chorych którzy z utworzeniem się wolnego miejsca przenoszą się do jednego ze szpitali, i udziela bezpłatnej pomocy lekarskiej w swoich leczni-cach i ambulatoryach.

Towarzystwo składa się z nieograniczonej liczby osób wyznań chrześcijańskich płci obojej. Członkowie T-wa dzielą się: a) na członków założycieli, płacących na korzyść T-wa jednorazowo nie mniej, jak rub. 100; b) rzeczywistych, — płacących rocznie po 10 rub., lub ofiarujących bezinteresownie swą pracę; c) honorowych, wybieranych przez zebranie ogólne członków z pośród osób, które położyły dla T-wa szczególne zasługi.

Fundusze Towarzystwa tworzą się ze składek członków, legatów i darowizn, majątków i kapitałów, należących do Towarzystwa, wreszcie z dochodów z przedstawień, odczytów i zabaw, na ten cel z upoważnienia władzy urządzanych. Kapitały Towarzystwa umieszczają się albo w papierach państwowych, albo w depozytach instytucji kredytowych państwa, lub wreszcie na hypotekach nieruchomości warszawskich. Zarząd sprawami Towarzystwa, spoczywa w rękach: a) rady opiekuńczej, b) ogólnego zebrania członków i c) komisji rewizyjnej.

Rada opiekuńcza składa się z dziesięciu członków, wybieranych na trzy lata z pomiędzy członków Towarzystwa, przez tajne balotowanie na zebraniu ogólnem. Na tychże zebraniach wybierani są czterej kandydaci do zastąpienia występujących w ciągu kadencji członków rady.

Rada opiekuńcza wybiera z pośród siebie, przez tajne balotowanie, prezesa, wiceprezesa, kasyera i sekretarza, bez ograniczenia płci. Dożywotnim prezesem Rady jest główna założycielka Towarzystwa, Julia hr. Aleksandrowiczówna. Prezesa zatwierdza warszawska rada miejska dobroczynności publicznej. Członkowie rady pełnią swe obowiązki bezinteresownie.

Rada odbywa posiedzenia w miarę potrzeby, lub wskutek piśmiennego żądania przynajmniej trzech członków rady. Do obowiązków jej należy: ogólna administracja interesami Towarzystwa, zno-szenie się z władzami, zwoływanie zebrań ogólnych i t. d.

Co do korespondencji Towarzystwa, to winny być zachowane następujące przepisy: 1) stosunki Towarzystwa i jego pełnomocników z władzami i osobami urzędowymi winny być prowadzone w języku rosyjskim; 2) na zapytania i odezwy w języku rosyjskim, skądbyś pochodziły, odpowiedź winna być dawana w tymże języku; 3) wszelkie czynności wewnętrzne Towarzystwa, nie wyłączając protokółów i dzienników posiedzeń, buchalteryi i rachunkowości, winny być prowadzone tylko w języku rosyjskim. Powyższe żądania, o ile dotyczą buchalteryi i rachunkowości, ograniczają się prowadzeniem ksiąg buchalteryjnych i sprawozdań z nich w języku rosyjskim; ogłoszenia zaś sprawozdań dozwala się i w polskim języku, z warunkiem, żeby tekst polski był drukowany równoległe z rosyjskim; 4) stosunki z innymi Towarzystwami i osobami prywatnymi mogą się odbywać w języku polskim.

W razie rozwiązania Towarzystwa, całe jego mienie przechodzi na rzecz istniejącego „Towarzystwa opieki nad nieuleczalnymi chorymi w mieście Warszawie“.

Pomijamy szczegóły ustawy, jako nieróżniące się niczem od normalnych tego rodzaju przepisów, podkreślimy natomiast jeszcze jedną stronę działalności nowego Towarzystwa. Oto poczyniono już jakoby starania o wyjednanie u władz pozwolenia na prawo kształcenia w zakładach Towarzystwa dozorczyń dla chorych i wydawania dozorczyń takim świadectw uzdolnienia do tego zawodu. Kto, mając kiedykolwiek obłożnie chorego w domu, lub sam będąc chorym, odczuł brak opieki i przeszedł wszystkie kłopoty, jakie towarzyszą u nas wyszukaniu dozorczyń w potrzebie, ten łatwo zrozumie, jakie doniosłe znaczenie będzie miało przygotowanie zastępu wykwalifikowanych fachowo dozorczyń. Z jednej strony ułatwi to pielęgnowanie chorych w domach, gdzie obecnie pielęgnowanie takie musi się odbywać albo z uszczerbkiem godzin pracy, albo z uszczerbkiem godzin wypoczynku członków rodziny chorego, z drugiej zaś strony — otworzy to nowe źródło zarobkowania dla wielu kobiet, które, poświęcając się pielęgniarstwu, nietylko znajdą zarobek, ale i zadowolenie moralne, jakie przynosi zawsze przeświadczenie o tem, że się jest pożytecznym. Należy więc życzyć Towarzystwu, aby jak najszybciej ten swój zamiar w czyn wprowadziło, i rozpoczęło pożądaną działalność. Sądzimy, że garnąć się do tego będą przede wszystkim kobiety samotne ze sfer inteligentnych, które na tej drodze największą i najprędzej znajdą pociechę i ulgę w nieszczęściu własnem.

W № 35 „Kuryera Warszawskiego“ z dnia 4 lutego r. b. górażąc przemówił p. Aleksander Moldenhawer w sprawie Towarzystwa opieki nad ubogimi matkami i ich dziećmi. Nie będziemy tu przytaczali słów jego, będących wyrazem głęboko odczutej niedoli społecznej i aktem wysokiej świadomości obywatelskiej, poprzestaniemy tylko na zaznaczeniu smutnego faktu, że Towarzystwo, nad którem, zdawałoby się, szczególną pieczę rozciągnąć-by powinny wszystkie matki zamężniejsze, i nie tylko matki, ale mężowie ich i bracia, po chrześcijańsku pojmujący swój stosunek do bliźnich, że Towarzystwo takie posiada zaledwie 372 członków.

Oczywiście, w takich warunkach środki muszą być za szczupłe, aby wystarczyły na rozwinięcie należytej działalności. Oczywiście też dla tego, przechodząc, mijając zakład T-wa przy ulicy Hożej pod № 70, widzi nad jego bramą nie znikający nigdy napis „miejsca niema“. Dla przechodnia ten napis jest obojętny, ale jaką rozpaczą napelnić on musi pierś kobiety ubogiej, która przychodzi tu szukać ratunku i, nie szarpnąwszy nawet za dzwonek, wraca od progu, straciwszy ostatnią nadzieję na pomoc dla siebie i opiekę nad mającem przyjść na świat maleństwem,

Ile takich dramatów i tragedyi bezgłośnych rozgrywa się pod bramą zakładu—Bogu jednemu wiadomo. A przecież w mocy naszej leży otarcie niejednej lzy, usmierzenie niejednego bólu! Jesteśmy miłośnierni, to prawda, ale miłosierdzie nasze jest odruchowe, niema w niem ciągłości, niema świadomego i wytrwałego działania ku niesieniu ulgi cierpiącym. Dajemy wiele, ale dajemy tam, gdzie najsilniej uderzy ktoś w dzwonek, gdzie chwilowy skieruje nas poryw serca. Szybko jednak zapominamy o niedoli, która przejęła nas do głębi, a której nawet największy datek zupełnie usunąć nie zdoła. Brak pamięci w tym względzie, bo nie brak serca współczującego, jest niewątpliwie jedyną przyczyną, dla której instytucye w rodzaju Towarzystwa opieki nad matkami i ich dziećmi nie rozwijają się u nas tak, jak we Francyi np., ale wegetują, w skromnych zaledwie granicach wypełniając szerokie swoje zadanie. I będzie tak dopóty, dopóki społeczeństwo nie zrozumie, że w takim kierunku trzeba iść zwartą falangą; dopóki wszyscy ludzie o budzecie wyższym ponad normę konieczną, nie będą się poczuwali do zostania członkami stałymi Towarzystw filantropijnych, tak jak się poczuwają do obowiązku prenumerowania pism, kupowania książek, chodzenia do teatru, uczęszczania na wystawy sztuk pięknych itd. Z drugiej jednak strony i wszel-

kie tego rodzaju Towarzystwa powinny ułatwiać społeczeństwu zapoznanie się z swoją działalnością, powinny przynajmniej raz do roku rozsyłać pomieszcie odezwy, rozrzucać swoje sprawozdania, nawoływać i wskazywać drogę. Na dziennikach poprzestać nie można. Dziś się pojawi artykuł w jednej lub drugiej gazecie, a jutro utonie on już w morzu zapomnienia. Przyjdą nowe fakty, zdarzenia, wypadki i zagładzą wrażenie wywołane artykułem wczorajszym. Fala życia bieżącego płynie wartko, niesie z sobą tyle zmian i ogarnia tak szeroki zakres zjawisk, że prasa, tej właśnie fali bieżącej poświęcona, nie może spełnić należycie zadań w kierunku filantropijnym. Zresztą w naszym społeczeństwie coraz więcej jest już ludzi, którzy dziennik czytają dorywczo—w kantorze, w tramwaju, w biurze, w cukierni i którzy szukają w nim przedewszystkiem najbliższej sobie obchodzących wiadomości. Z odezwą towarzystwa filantropijnego trafić trzeba do zacisza domowego, tam, gdzie swary i zgiełk walki życiowej milkną, gdzie każdy, najwięcej pracą pochłonięty człowiek, ma chwilę wypoczynku, może dać folgę czystym i szlachetnym uczuciom, może się zastanowić głębiej nad tem, jaka jest droga do czynienia dobrze.

Sądźmy też, że Towarzystwo, którego niedomagania przedstawił nam p. Moldenhawer w artykule wspomnianym, powinno się przedewszystkiem tego środka chwycić i — bądźmy szczerzy—powinno więcej się reklamować, bo ogół mało wie o niem, mało wie o przytułku na krańcach Hożej ulicy. Powiedzą nam może, że reklama jest tu nie na miejscu, ale tak nie jest. Co innego bowiem jest krzykliwa reklama kupiecka, przesadna i bombastyczna, nieraz niezgodna nawet z prawdą, co innego zaś—informowanie o potrzebach społecznych, przedsięwzięte ze szlachetną myślą ulżenia niedoli ludzkiej. Reklama taka nie może występować w szatach arlekina, ale może się zjawiać w postaci ogłoszeń w tramwajach, w postaci odezw, dołączanych kupującym przez sklepy o większej klienteli, drukowanych na afiszach teatralnych, cyrkowych i wyścigowych, rozdawanych przez posłańców na ulicach, roznoszonych, wreszcie od czasu do czasu po domach wraz ze sprawozdaniem rocznem.

Kładziemy na to nacisk, bo naszym zdaniem nie w ofiarach bogatych jednostek, ale we współdziałaniu szerokiego ogółu leży przyszłość wszelkich instytucji społecznych.

Opiekujmy się tedy ubogimi matkami, zapisujmy się na członków Towarzystwa, bo brak tej opieki stwarza niedolę dziecięcą, o której jednocześnie prawie poucza nas w „Gazecie Polskiej“ dr. Stanisław Kamiński.

Lekarz domu wychowawczego przy szpitalu Dzieciątka Jezus, jak nikt inny, zna on potrzeby dzieci i zna smutną statystykę ich chorób. Zdaniem jego na szczególne współczucie zasługują dzieci, dotknięte skrofułami i początkami gruźlicy, stanowią one bowiem 1-o najliczniejszy kontyngens dzieci, dotkniętych chorobami przewlekłymi, 2-o zaś dla tego, że skrofuły i gruźlica, nieleczone odpowiednio, pociągają za sobą smutne następstwa, jak oto: męczące wysypki skórne, zapalenie oczu, gruźlicy, pruchnienie kości itp., 3-o wreszcie—i względ to bardzo ważny—że skrofuły i początki gruźlicy są chorobą zupełnie uleczalną i że dzieci, niemi dotknięte, przy odpowiednim leczeniu stać się mogą w przyszłości bardzo pożytecznymi członkami społeczeństwa i wywdzięczycić mu się za poniesione ofiary. Nie leczone zaś dzieci takie, albo umierają przedwcześnie, albo wloką nędzny żywot, jako istoty upośledzone, niezdolne do pracy, a przytem szerzące wokół siebie zarazę.

Usunąć tej niedoli—mówi dr Kamiński—żadne społeczeństwo nie może, bo imię jej: legion. Może jednak zapobiedz jej, co nie tylko taniej kosztuje, ale jest daleko łatwiejsze do wykonania, niż zwalczanie gruźlicy u dorosłych, nie mówiąc już o skrofułach, które są zupełnie uleczalne.

Na pytanie, gdzie jednak i jak leczyć te skrofuły i gruźlicę u dzieci, odpowiada autor temi słowy:

„Naturalnie, nie w ciemnych i wilgotnych suterenach, ciasnych i niskich poddaszach, gdzie mieści się nędza, bo ona tam skrofułów i gruźlicy nabywa, jeśli już jej nie odziedziczyła po rodzicach, wyrosłych w tych samych warunkach. Nie można leczyć gruźlicy środkami farmaceutycznymi, gdyż nauka nie zna ani jednego środka, który-by, prócz chwilowej ulgi, sprowadzał jakieś rzeczywiste polepszenie w stanie chorego; powtóre, co mogą pomódz choćby najzbawienniejsze środki apteczne, jeśli złe powietrze, złe odżywianie, brud i ciasnota mieszkania co chwila psują to, coby jakieś leczenie poprawić mogło? Nie można chorych na skrofuły i gruźlicę leczyć w szpitalach, gdyż instytucje te nie są przeznaczone dla chorych chronicznych. Chorzy tacy wymagają nieraz kilkumiesięcznego leczenia, więc zajmują miejsce, przeznaczone dla chorób ostrych, krótkotrwałych. Nie dość na tem, jeżeli nie skrofuły, to gruźlica, są chorobą zakaźną i dlatego chorzy na nie powinni się znajdować w szpitalach ogólnych. Dla tego to szpitale ogólne pozbywają się o ile możności chorych na gruźlicę, a nie przyjmują innych dzieci skrofulicznych, prócz tych, którym zrobić trzeba operację chirurgiczną. Żebyż przynajmniej pobyt w szpitalach był dla skrofulików i suchotników korzystnym! Tymczasem — bynajmniej tak nie jest. Dzieci, dotknięte temi chorobami, marnieją

i wędzną w szpitalach. Nawet gruźlica kości leczy się w szpitalu źle i doświadczony chirurg, po dokonaniu niezbędnych zabiegów, radzi zawsze choremu leczyć się poza murami szpitala“.

Po takim odmalowaniu stanu rzeczy, dr Kamiński wyznaje, że jedynym miejscem, odpowiednim do leczenia dzieci gruźlicznych i skrofalicznych—było-by specjalnie urządzone na to sanatorium, jedynym zaś skutecznym środkiem leczniczym—dobre odżywianie, dobre powietrze i ściśle do odpowiednich wskazań zastosowany regulamin życia.

Niewątpliwie. I oto otwiera się przed społeczeństwem nowe pole do pracy zbiorowej, do ofiar materyalnych. Piękna idea d-ra Kamińskiego, wykwitła na gruncie wielkiego snadź umiłowania cierpiącej ludzkości i przyszłych losów własnego społeczeństwa, zasługuje na gorące poparcie. Nie tylko lekarz, któremu gwiazdą przewodnią w życiu jest niesienie ulgi wszelkiemu cierpieniu, ale każdy człowiek, rozumiejący dobrze znaczenie wyrazu „dziecko“ i pielęgnujący w sercu swoim jakąś głębszą ideę społeczną—musi się na to odezwać. Życie jest krótkie i mija bez naszej woli. Nigdy nie spełniamy w niem tego, co zaczniemy, wiele rzeczy, wiele spraw zostawiamy rozpoczętych i umierając, pocieszamy się myślą, że dokończą je za nas ci, co po nas przyjdą, że oni doprowadzą szczęśliwie nawet społeczną do tych łądów dalekich, które my przez mgłę oddalenia zaledwie, oglądać możemy. Ale jednocześnie zjawia się także pytanie, czy doprowadzą? i duszę ogarnia smutne zwątpienie. Własne życie przekonało nas o tem, że świat naprzód pchają jednostki silne i zdrowe, że im więcej tego zdrowia i sił w narodzie, tem więcej uczynić on potrafi, tem silniej stoi, jako ogół, na tem wyższe wspina się szczeble rozwoju—a oto widzimy całe masy wśród siebie ludzi karlejących, tylu słabych i wątłych, z zapadłą klatką piersiową, z twarzą bladą, młodych, a steranych przedwcześnie. Na nich nie oprze się ani przemysł krajowy, ani rzemiosło, ani handel—oni nie będą dźwignią postępu, ale jako naturalny hamulec krępować będą swobodne obroty wielkiego koła rozpędowego, wprawiającego w ruch tysiączne tryby maszyny społecznej, aż ich to koło zmiążdży i odrzuci, jako nieużytki.

Nie możemy więc zapominać o tem, że każdy zdrowy człowiek przyszłości, to siła wytwórcza, to jeden puls więcej w zbiorowym tętnie narodu, a każde dziecko—to materyał na tegoż człowieka. Im więcej tych dzieci ocalimy, im większej liczbie z pośród nich damy możność prawidłowego rozwoju fizycznego, tem węższem korytem płynąć będzie niedola społeczna, tem jaśniejsze horoskopy będziemy mogli stawiać na schyłku dni naszych.

Starajmy się uświadomić to sobie dobrze, a sanatorium powstanie z pewnością, znajdą w niem przytułek dzieci, chorobą przewlekłą i kalectwem zagrożone, a wyjdą stamtąd z rumieńcem na twarzy i w pełni sił staną kiedyś do wspólnej pracy z synami naszymi, na których wychowanie nie szczędzimy środków i zabiegów.

W Zakopanem dnia 31 stycznia r. b. zmarł ś. p. Ksawery Pilatti, znany rysownik. Wybitnych zdolności artystycznych zmarły nie posiadał, rzeczy większych i trwalszych nie tworzył, był jednak w swoim czasie talentem pożytecznym i nazwisko jego zapisało się dobrze na kartach naszej sztuki ilustratorskiej. Było to wówczas, kiedy „trawionki“, tak chętnie dziś stosowane i tak obniżające poziom artystyczny pism ilustrowanych, nie weszły jeszcze w użycie powszechne i kiedy chwilę bieżącą odtwarzała nie fotografia momentalna, ale ołówek wprawnego rysownika. Jednym z tych właśnie rysowników, których prace zamieszczały ówczesne „Kłosy“, „Tygodnik powszechny“, „Wieniec“, „Tygodnik ilustrowany“, „Biesiada Literacka“, a których nazwiska zyskały przez to dużą popularność—był Pilatti.

Urodzony w Warszawie w r. 1843, zmarły kształcił się początkowo w b. warszawskiej szkole sztuk pięknych, następnie—w Monachium. Powróciwszy do kraju, z zamiłowaniem oddał się pracy ilustratorskiej, która zapewniła mu byt dostatni. Doczekawszy się chwili przełomowej, ś. p. Pilatti od ołówka przeszedł do zapomnianego w pracy z dnia na dzień pędzla i schyłek życia swojego poświęcił malarstwu religijnemu. W dziedzinie tej nie wykroczył poza obręb przeciętnej poprawności, przyczynił się jednak do usunięcia z kilku świątyń w kraju bohomazów i zastąpienia ich dobrze wykonanymi kopiami dzieł artystycznych.

Dnia 11 lutego r. b. przestał żyć nagle ś. p. Lucyan Wrotnowski, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli naszego świata prawniczego, wydawca i redaktor dziennika „Słowo“, człowiek dużej pracy i energii, silnej woli i dużych zdolności.

Ś. p. Wrotnowski urodził się w Warszawie dnia 7 stycznia 1847 roku. Rodzicami jego byli: Antoni, znany w swoim czasie mecenas, i Gabryela z Brezów. Odebrawszy w domu rodziców staranne

wychowanie, ś. p. Wrotnowski kształcił się we Francyi, i w r. 1867, jako dwudziestoletni zaledwie młodzieniec, ukończył paryską szkołę praw ze stopniem licencié en droit. Powróciwszy do kraju, zaraz w następnym roku magistrował się w Szkole Głównej, poczem niezwłocznie przeszedł na niwę praktyki prawniczej, na której niebawem zasłynął, jako biegły i zdolny cywilista. Stosunki, które zawdzięczał z jednej strony towarzyskiemu położeniu rodziców, z drugiej—węzłom krwi, nawiązanym przez małżeństwo z Maryą z Tabęckich z Dłutowa, szybko zjednały mu szeroką klientelę, która z biegiem czasu skupiła w jego ręku interesy najmajątniejszych rodzin w kraju. Między innymi zmarły zarządzał interesami ś. p. hr. Aleksandry Potockiej, ś. p. hr. Ludwika Krasieńskiego, a następnie hr. Magdaleny i Maryi Krasieńskich.

Rzutki, dobrze obeznany ze stosunkami pieniężnemi, pełen inicjatywy, ś. p. Wrotnowski pozostawia po sobie pamięć wybitnej jednostki w społeczeństwie, nie tyle może jako prawnik, ile jako organizator.

Po długich, dwuletnich blisko cierpieniach, zmarł dnia 13 lutego r. b. ś. p. Włodzimierz Zagórski, poeta i literat.

Urodzony dnia 7 listopada 1834 r. we wsi Czechy, w powiecie Brodzkim, w Galicyi, zmarły początkowe nauki pobierał pod kierunkiem znanego powieściopisarza, Jana Zacharyasiewicza, i pedagoga Szenglarzkiego. Oddany następnie do gimnazyum św. Anny w Krakowie, po kilkoletnim tam pobycie, przeniósł się do szkoły wojskowej inżynierów w Krems, nad Dunajem. Po roku 1859 wszedł do służby legii węgierskiej, Garibaldiiego, gdzie pozostawał do jej rozwiązania. Działalność literacką rozpoczął ś. p. Zagórski późno, bo dopiero w r. 1865. Początkowo pisywał kroniki tygodniowe do „Hasła“, a następnie założył we Lwowie pismo humorystyczne p. t. „Chochlik“, gdzie zamieszczał utwory poetyckie pod pseudonimem, identycznym z tytułem pisma. Pseudonim ten zdobył sobie także zasłużoną popularność na łamach „Szcztka“.

W 1883 Zagórski przeniósł się do Warszawy i osiadł tu na stałe, pisując do pism miejscowych. Oprócz licznych artykułów, zamieszczonych w pismach lwowskich i warszawskich, wydał oddzielnie pod pseudonimem „Chochlika“ 2 tomy poezyi p. t. „Zmierzchy i swity“, „Piosnki i żarty“, „Pamiętniki starego parasola“ (powieść humorystyczna); „Król Salomon“ (poemat liryczny); „Wybór poezyi“ w 2 tomach, tudzież powieści: „Wilcze plemię“, „O własnych skrzydłach“,

„Szalone głowy“; „Zbiór nowel“ w 4 tomach; humoreskę—„W XX wieku“ i inne. Wspólnie z Antonim Zaleskim napisał powieść p. t. „Pan Radca“. Ostatnimi czasy pracował nad większym dziełem „O rytmach w poezji polskiej“ i powieścią p. t. „Królowa Saby“, którą drukował w „Wędrowcu“, pisząc stygnącą niemal ręką z numeru na numer. Pracę tę przerwała mu śmierć, przychodząc nagle, acz spodziewana już od dłuższego czasu.

W piśmienictwie polkiem Zagórski zdobył sobie nie tylko popularność dnia dzisiejszego, ale i trwalsze imię na przyszłość. Powieści jego prawdopodobnie utoną w morzu wzmagającej się ciągle produkcji belletrystycznej, przez długi czas jednak na powierzchni tego morza utrzymają się jego poezye; lekkie, wykwintne i błyskotliwe pod względem formy, zawierają one nieraz prawdziwą sól attycką lub kryształowy humor. Nadewszystko zaś utrzyma się poemat „Król Salomon“. Jest to najpoważniejszy szewron zasługi zmarłego poety—czytelowanemi jambami wyśpiewana odwieczna vanitas vanitatum usiłowań ludzkich i odwieczny powrót człowieka do jedyne go źródła ukojeń—Miłości. Słowa Ekklezyasty Salomonowego i słowa pieśni nad pieśniami, ubrane w szatę współczesną, splotły się tu w całość harmonijną, niezmiernie dźwięczną, głęboką pod względem myśli, opanowującą łatwo duszę człowieka dzisiejszego. Jest to niewątpliwie najartystyczniejsza, a więc najtrwalsza rzecz, jaką Zagórski stworzył. Przez wszystkie pokolenia i przez wszystkie czasy może być ona czytana z jednakim zajęciem i z pożytkiem jednakim, a chociaż „marność jest kłatwą ziemi syna“ i była nią rzeczywiście dla poety, który kresu dni swoich dożył w celi szpitalnej — to przecież — pieśń ta dźwięczy po jego zgonie hejnałem sławy zagrobowej. Vita brevis est—ars longa...

WIADOMOSCI NAUKOWE, LITERACKIE

I BIBLIOGRAFICZNE.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.—Dnia 5 grudnia 1901 roku odbyło się posiedzenie *Komisji historii sztuki* pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego.

Na wstępie odczytano protokół z posiedzenia lwowskiego Grona Komisji z dnia 23 marca 1901 roku, następującej treści: Prof. dr Jan Boloż Antoniewicz podał w „Przyczynkach do sztuki w Polsce ze źródeł włoskich“ kilka wiadomości, dotyczących Caraglia, oraz stosunków Parisa Bordone z Zygmuntem Augustem. Dr Al. Czółowski opisał na podstawie inwentarza z 1748 roku zamek w Laszkach murowanych pod Chyrowem. Protokół posiedzenia lwowskiego Grona kończy się referatem p. K. Mokłowskiego, o domach drewnianych w miasteczkach wschodniej Galicji. P. Mokłowski, na podstawie własnych pomiarów i rysunków, wyjaśnia genezę tak zwanych podcieni.

Z kolei prof. dr Mycielski streścił drugą połowę swej rozprawy o nagrobkach renesansowych w kościele parafialnym w Kobylnikach pod Płockiem. Podał on opis drugiego grobowca wspaniałego i bardzo bogatego, znajdującego się tamże. Wśród obramienia z rzeźbionych pilastrów i fryzów, zdobnego czterema charakterystycznymi wazonami z płomieniem, mieści się piękna postać rycerza: to fundator nagrobka, Stanisław Kobylnicki, herbu Prawdziec, starosta przemyski, chorąży zakroczymski i dziedzic Kobylnik w drugiej połowie XVI wieku. Objasnia to piękny, wierszowany napis polski. Niżej, w dwóch niszach, leżą postacie kobiece w zakonnych strojach: to dwie z rzędu żony Kobylnickiego: Zofia Srzeńska, herbu Dołęga i Izabela Trzeńska. Cały nagrobek wykonany jest z piaskowca. Styl jego, układ, ornamentyka, sposób ułożenia postaci, traktowanie fałdów, wreszcie cała forma, dowodzą, że twórcą jego był Hieronim Canavesi z Mediolanu, osiadły w Krakowie, którego kilka typowych nagrobków badania lat ostatnich w Polsce stwierdziły. Referent przeprowadził porównawczą analizę nagrobków Cana-

vesego rodziny Górków z roku 1574 i biskupa Adama Konarskiego z roku 1577 w katedrze w Poznaniu, oraz nagrobka podstarościego, Jakóba Rokossowskiego, z 1580 roku, w kościele w Szamotulach, i zestawil z nagrobkiem w Kobylnikach, dowodząc, że z tych samych lat i on pochodzić musi, skoro Canavesi wkrótce potem, bo w roku 1582 w Krakowie umiera. Prof. dr M. Sokółowski dodał uwagę o ważności Srzeńska dla badań w przyszłości, jako siedziby możnej i znakomitej rodziny, do której właśnie żona Stanisława Kobylnickiego należała.

Pan J. Pagaczewski referował pracę p. Kazimierza Karczyka o nieznanym dotychczas, nadwornym architekcie Stanisława Lubomirskiego, Macieju Trapoli, który przez długi szereg lat bawi w Wiśniczu, i tamże w roku 1637 umiera. O ile Trapoli nie można bez zastrzeżeń przypisać budowy zamku wiśnickiego (1615—1637), a to głównie ze względu na jej niemiecko - flamandzki odcień stylowy, o tyle znowu nie jest nieprawdopodobnem, że podług jego planów i pod jego kierunkiem wzniesiono monumentalny, również przez Stanisława Lubomirskiego fundowany klasztor Karmelitów z pięknym późno - renesansowym kościołem. Klasztor i kościół Karmelitów Bosych ukończono w roku 1635. Według podania miejscowego, zajęci byli przy budowie jeńcy tureccy, zabrani do niewoli pod Chocimem; istotnie, w księgach miejskich występują *pagani: Korman, Selim, Baywarz, Scylhae in servitute wiśnicensi detenti*. Trapola, posiadający stosunkowo znaczny majątek w domach i kapitałach, pozostawił dwóch synów, Marcina i Wojciecha, którzy uczęszczali do uniwersytetu krakowskiego. Prof. dr M. Sokółowski przedstawił fotografie pomnika Katarzyny Jagiellonki, żony Jana III-go. Nagrobek ten, bardzo bogaty i malowniczy, z widokiem Krakowa, znajduje się w jednej z kaplic katedry upsalskiej. Po drugiej stronie, w tejże samej kaplicy, wznosi się grobowiec męża Katarzyny, Jana III-go. Wreszcie pan Seweryn Udziała objaśnił, na podstawie szeregu rysunków, budowę domów drewnianych chłopskich w Piwnicznej i Muszynie, oraz przedstawił staranne zdjęcia ornamentów na sprzętach ludowych, jako to: na ławach, skrzyniach, łózkach i polewanych naczyniach, które obudziły ogólne zainteresowanie.

— Dnia 3 lutego bieżącego roku odbyło się zwyczajne posiedzenie *Wydziału Matematyczno - przyrodniczego*. Na posiedzeniu tem przedstawiono następujące prace, które też przyjęto do druku, a mianowicie: członek Wł. Kulczyński przedstawia własną pracę pod tytułem: „Species Orbitarum in Galicia collectae“; członek T. Browicz referował pracę p. K. Rogozińskiego, pod tytułem: „O fizyologicznej resorpcji bakteryi z jelita“; sekretarz, J. Rostafiński, referował pracę p. J. Trzebińskiego, pod tytułem: „Wpływ podrażnień na wzrost pleśni *Phycomyces nitens*“; członek T. Browicz przedstawia własną pracę pod tytułem: „Kilka uwag o komórce wątrobowej“.

— Posiedzenie *Wydziału Historyczno - Filozoficznego* odbyło się w poniedziałek, dnia 17 lutego bieżącego roku, z następującym porządkiem dziennym: 1) członek X. Pawlicki: Kilka słów o wydawanej w Ameryce Encyklopedyi rzeczy żydowskiej; 2) członek T. Wojciechowski: Eremita reguły świętego Romualda XI-go wieku w Polsce; 3) St. Kutrzeba: Handel Krakowa (ciąg dalszy). Następnie odbyło się posiedzenie administracyjne (konkurs Majera).

— TOWARZYSTWO HISTORYCZNE WE LWOWIE. Na ostatniem zebraniu przedstawił prof. Michał Siwak rzecz, pod tytułem: „Kto jest autorem broszury politycznej pod tytułem: „Deliberacya o spółku i związku Korony polskiej z pany chrześcijańskimi przeciwko Turkom“? Prelegent, zaznaczywszy na wstępie, że broszura, pod tytułem: „Deliberacya“, posiada doniosłe znaczenie dla sprawy niedosłej ligi pomiędzy Austryą a Polską w ostatnim dziesiątku lat XVI wieku, podał szczegółowy opis wydań pisemka z roku 1595 i 1596. Wydań tych było trzy, a raczej cztery, bo za czwarte należy uważać broszurę z roku 1596, pod tytułem: „O spółku panów chrześcijańskich przeciwko Turkowi“. Wszystkie wydania wyszły bezimiennie i bez miejsca druku. Współcześnie już zajmowano się „Deliberacyą“ bardzo, a szczególnie pytaniem: kto był jej autorem? Heidenstein notuje pogłoski, że przypisywano ją arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, Karnkowskiemu, podaje jednak tytuł jej niedokładnie, co spowodowało szereg nieporozumień. Z jednej broszury zrobiono dwie, z których „Deliberacya“ pozostała bez autora, Karnkowskiemu zaś poczęto przypisywać, na podstawie owych pogłosek u Heidensteina, autorstwo nieistniejącego pisemka, pod tytułem: „Festina lente“.

Zestawiwszy wszystko, co o tej broszurze napisano, i wykazawszy, że „Deliberacya“ i „Festina lente“ są jednym i tem samem pismem, przeszedł prelegent do wykazania, kto był autorem „Deliberacyi“. Opierając się na kodeksie № 350, znajdującym się w bibliotece Zakładu Ossolińskich, wykazał prelegent, że napisał „Deliberacyę“ Karnkowski.

Kodeks № 350 był własnością Karnkowskiego, czego dowodzi pieczęć arcybiskupa, znajdująca się na pierwszej karcie kodeksu.

Autor „Deliberacyi“ mówi we wstępie, że postanowił „niektóre rzeczy ze swoich kart *publicorum monumentorum* na jawię wydać“. Owe „*publica monumenta*“ znajdują się w kodeksie № 350, należącym do prymasa. Już to samo dowodziłoby, że autorem „Deliberacyi“ był Karnkowski. Są jednak i dalsze dowody. W drugim wydaniu „Deliberacyi“ znajduje się rozdział, będący streszczeniem całej broszury, zgadzający się co do treści, a w niektórych miejscach dosłownie z odpowiedzią, jaką dał Karnkowski posłowi Rudolfa II, Wackerowi, w roku 1594, znajdującą się również w kodeksie wspomnianym. Wreszcie posiada kodeks przepowiednię o upadku państwa tureckiego, którą odnajdujemy w „Deliberacyi“. Wszystko to razem stwierdza niezbicie, że autorem pisemka był Karnkowski.

Na pytanie, dlaczego wydał prymas swoją broszurę bezimiennie, odpowiada prelegent, że Karnkowski, jako duchowny, nie chciał narażać się Stolicy Apostolskiej, która gorąco sprawę ligi popierała.

Po dokładnem streszczeniu pisemka, wykazywał prelegent, że „Deliberacya“ była programem na sejm w roku 1596, napisanym bardzo zręcznie i z wielkim talentem — i że niemal zaważyła na szali wypadków. Cel, jaki miała, osiągnięto. Liga do skutku nie doszła. Nie jej to wyłącznie przypisywać należy, ale też nie można wpływu jej przeoczać. Broszury polityczne w czasach, gdy prasy nieznano, donioślejsze miały znaczenie, i do pewnego stopnia zastępowały dzisiejsze naczelne artykuły w dziennikach politycznych. „Deliberacya“ była jednak czemś więcej. Odzwierciedlała ona poglądy ogółu szlacheckiego na doniosłą sprawę wojny z Turcyą, była ich wiernem echem, streszczała program potężnego stronnictwa, przeciwnego polityce Zygmunta III-go. Że liczone się z nią bardzo i wartość jej uznawano, świadczy okoliczność, że kiedy w pół wieku później plany wojny z Turcyą znowu odżyły, partya, wojnie przeciwna, przedrukowała pisemko prymasa w roku 1646 piątą raz z rzędu.

— **DZIEŁO O ŚW. STANISŁAWIE.** Ukazała się pierwsza część badań nad żywotem świętego Stanisława, biskupa krakowskiego, d-ra Kazimierza K r o t o s k i e g o, pod tytułem: „Święty Stanisław w świetle historyografii nowożytnej“. Druga część, pod tytułem: „Święty Stanisław w świetle źródeł“, drukuje się w „Przeglądzie powszechnym“. Trzecia część, pod tytułem: „Święty Stanisław i jego zatarg z królem Bolesławem, przyczynek do walki kościelnej w Polsce z końcem XI wieku“, w niedalekiej przyszłości również będzie opublikowaną. W pierwszej części autor poddał ścisłej i sumiennej krytyce całą literaturę nowożytną, poświęconą kwestyi świętego Stanisława, poczynawszy od Naruszewicza, a kończąc na pracach M. Gumplowicza. W ten sposób omówił wartość siedmnastu prac, specjalnie traktujących o świętym Stanisławie, i siedmnaście opinij najwybitniejszych historyków naszych i obcych, wyrażonych przygodnie w dziełach historycznych o świętym Biskupie krakowskim.

— **Z TOWARZYSTWA „POLSKA SZTUKA STOSOWANA“.** Wyczekiwany przez zwiedzających wystawę katalog zabytków dawnego polskiego przemysłu artystycznego, gruntownie opracowany przez p. Emanuela Ś w i e y k o w s k i e g o, wydany nakładem Towarzystwa, wyszedł z druku i jest do nabycia przy wejściu na wystawę i we wszystkich księgarniach po cenie jednej korony. Katalog p. Świekowskiego nie tylko obejmuje spis przedmiotów działu dawnej sztuki stosowanej polskiej, ale także jest przewodnikiem i tłumaczem nagromadzonych bogato zbiorów, zwłaszcza nieoczonej kolekeji pasów, których w takiej liczbie i takim doborze nigdy jeszcze nie wystawiono. Z tym katalogiem w rękę można obeznać się ze wszystkimi fabrykami i typami tego, tak wysoko u nas niegdyś rozwiniętego przemysłu

artystycznego; katalog zawiera przytem szczegółowy spis porcelany koreckiej, baranowieckiej, ćmielowskiej, szkielei urzeckich, tudzież innych okazów, znajdujących się na wystawie, i podaje ich historię.

Ostatniemi dniami nadeszły na wystawę nowe okazy, okładki do książek pomysłu Tadeusza Noskowskiego i Edwarda Trojanowskiego, akwarele ś. p. Juliana Moszyńskiego, staropolskie urządzenie mieszkania, skrzynie, zamki, odrzwia i t. p. Ekran, wykonany sposobem aplikacji sukiennej przez P. L. Trojanowską, całkowity strój Poleśniaczki z księstwa Łowickiego (własność P. A. Natanson z Warszawy) i t. d.

Przy tej sposobności komitet wystawy uprzejmie zawiadamia pp. artystów i rękodzielników, którzy pragną korzystać ze zbiorów, znajdujących się na wystawie zarówno z zakresu sztuki ludowej, jak i dawnego przemysłu artystycznego w Polsce, że karty wolnego wstępu, upoważniające do rysowania i malowania na wystawie, wydaje sekretarz Towarzystwa codziennie w kancelaryi Muzeum Narodowego.

— SKARB MICHAŁKOWICKI. Znany skarb michałkowicki, będący własnością muzeum Dzieduszyckich, a składający się ze złotej korony i rozmaitych drobiażków złotych, doczeka się nareszcie naukowej publikacji. Przygotowuje ją z polecenia ordynata, Tadeusza Dzieduszyckiego, młody archeolog, dr Hanaczek. Będzie to szereg kartonów, przedstawiających ów skarb częścią wedle rysunków — oraz tekst, zawierający dokładny opis wszystkich przedmiotów, bez żadnych wniosków co do ich pochodzenia. Skarb michałkowicki znaleziony został w roku 1886 nad Zbruczem na Podolu i nabyty za 6,000 złr. przez Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego za pośrednictwem kustosa muzeum, p. Władysława Zontaka. Rozgłos jego ściągnął niegdyś do Lwowa obcych uczonych; między nimi umyślnie przyjechał Virchow. Pochodzenie skarbu nie jest pewne. Niektórzy uważają go za pozostałości po Seytach; prof. Wojciechowski twierdzi, że to insygnia królewskie Gotów. Chemiczny rozbiór złota, dokonany przez prof. Radziszewskiego, wykazał, że znajduje się w niem 15 proc. srebra. Uczony ten wyraził opinię, że złoto michałkowickie pochodzi z dalekiego Wschodu.

— SLOVANSKÝ PŘEHLED podaje wybór poezyi M. Konopnickiej w przekładzie p. Pauliny Maternowej.

Z cyklu „*Italia*“ znajdujemy tłumaczenie następujących wierszy: „Invocatio“, „W Florenckim Zamku“, „Na Carignano“, „Echa florenckie“ (V), „Śpiący Faun“, „Madonna Rafaela“, „Miserere“ i „Mare morto“. W tym-że zeszycie znajdujemy sprawozdania p. Maternowej z powieści Tetmajera poezyj Krystyny Zaleskiej, tudzież uwagi redaktora Černego o „Karykaturach“ Kisielewskiego i „Jeńcach“ Lucyana Rydla.

Z naszej strony notujemy: „Urywki poetyczne“ Józefa Śladka, w udatnym przekładzie polskim K. Zaleskiego, wydane starannie i poświęcone przez tłumacza Miriamowi.

— NA KURS JĘZYKA ŁACIŃSKIEGO, urządzony staraniem Lwowskiego Uniwersytetu powszechnego, a odbywający się pod kierunkiem docenta Uniwersytetu, d-ra St. Witkowskiego, zapisało się około 150 uczestników, mężczyzn i kobiet. Była to liczba zupełnie nieoczekiwana. Dowodzi ona, że społeczeństwo nasze inaczej zapatruje się na potrzebę i pożytek nauki języków klasycznych, niż to usiłują przedstawić przeciwnicy tych języków. Większość uczestników kursu stanowią nauczyciele i nauczycielki szkół wydziałowych i pospolitych, nadzwyczajne słuchaczki Uniwersytetu i uczniowie Szkół realnych; obok nich nie brak i przedstawicieli zawodów pracujących. Frekwencja kursu jest dotąd nadspodziewanie dobra.

— PAMIĘTNIK LITERACKI. Pod tym tytułem wyszedł z druku we Lwowie pierwszy zeszyt nowego czasopisma, poświęconego historii i krytyce literatury polskiej. Pismo to, wychodzące co kwartał, ukazuje się jako wydawnictwo Towarzystwa literackiego im. Mickiewicza, pod redakcją W. Bruchnalskiego, B. Gubrynowicza i E. Porębowicza. Współudział najwybitniejszych sił fachowych każe się spodziewać, że *Pamiętnik* stanie się doskonałym ogniskiem literackim, jednoczącym usiłowania historyków i krytyków literatury, rozproszone dotychczas po licznych tygodnikach i miesięcznikach. Już pierwszy zeszyt daje niezwykle bogatą i urozmaiconą treść, podaną w porządku chronologicznym przedmiotów. Dajemy w „Bibliografii“ szczegółowy spis obfitej treści *Pamiętnika Literackiego*; tu zaznaczamy tylko, że strona zewnętrzna wydania jest okazała: papier wyborny, druk piękny, cena zaś, w stosunku do rozmiarów *Pamiętnika*, jest bardzo przystępna. Nie chodzi bowiem wydawcom o zyski, a tylko o spełnienie obowiązku społecznego. Nie wątpimy, że inteligentne warstwy nasze poprzę usiłowania Towarzystwa im. Mickiewicza, i że nareszcie literatura polska będzie miała swoje czasopismo historyczno - krytyczne.

BIBLIOGRAFIA.

FILOZOFIA.

H. von Helmholtz: Liczenie i mierzenie z punktu widzenia teorii poznania. Przekład prof. d-ra S. Silbersteina. Warszawa, 1901, stron 44. (Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“).

Dr T. Ziegler: Wiara i Wiedza, przekład A. Krasnowolskiego. Warszawa, 1901, str. 42. (Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego“).

Dr Antoni Złotnicki: Z tajemnic duszy. Spostrzeżenia psychologiczne. Warszawa, 1901, str. 79.

HISTORIA.

Dr Aleksander Czuczajński: Dyaryusze sejmowe r 1585. (Scriptores Rerum Polonicarum tomus XVIII). Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1901, str. XXVIII + 476. *Zawiera*: Wstęp. — Akt sejmu walnego koronnego warszawskiego 1585 roku, to jest dyaryusz zbiorowy, z siedmiu dyaryuszów złożony. — Dyaryusze pomniejsze, lub częściowe sejmu warszawskiego 1585 roku. — Dodatki. — Spis imion i miejscowości.

Dr L. Finkel: Bibliografia historii polskiej. Wspólnie z d-rem Henrykiem Sawczyńskim i członkami Kółka historycznego uczniów Uniwersytetu lwowskiego zebrał i ułożył... Część II, zeszyt IV. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki wydawniczej polskiej. 1901. *Trzeci*: Literatura. — Sztuka. Stronice 1,009 — 1,142, in 4-o.

Kardynał J. Hergenröther: Historia powszechna Kościoła katolickiego. Tom VI. Warszawa, 1902. („Biblioteka dzieł chrześcijańskich“). Str. IV + 218.

K. Szajnoch: Jadwiga i Jagiełło. Opowiadanie historyczne. „Biblioteka dzieł wyborowych“, № 217 — 218. Warszawa, 1902. Część I str. 184. Część II str. 159. Część III str. 168.

M. Downar Zapolskij: Gosudarstwiennoje choziajstwo Wielikago Kniażestwa Litowskago pri Jagiellonach. Tom I. Kiew, 1901. (Odbitka z „Uniw. Izwiestij“). Str. VIII + 807 + CXIV.

PRAWO, NAUKI SPOŁECZNE.

Prof. dr Stanisław Głabiński: Wykład nauki skarbowej. Wydanie drugie. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1902, str. XI + 591.

St. Grabski i K. Kolles Krauz: Wiek XIX. Rzut oka na rozwój ekonomii i socyologii w XIX stuleciu. Warszawa, 1901, ark. 1 — 8. Dodatek do „Prawdy“. Kwartał IV. 1901.

Stefan Janowski: Rolnictwo czeskie. (Dodatek bezpłatny do „Gazety Rolniczej“). Warszawa, 1901, str. 88.

C. Wagner: Młodzież. Dzieło, uwiecznione przez Akademię francuską. Przekład z 22-go wydania. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1902, in 8-o, str. 330.

W naszych sprawach. III. Szkice w kwestyach ekonomicznych i społecznych napisali pp.: Ksawery Chamic, Antoni Chrzaszczewski, Tytus Filipowicz, Stefan Holewiński, Leon Lisowski, Maryan Massonius, Stanisław Sulimierski, dr Władysław Tołwiński, Juliusz Waliszewski i Henryk Radziszewski. Warszawa. Nakładem Henryka Radziszewskiego. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1902, str. 405.

HISTORIA LITERATURY I CYWILIZACYI. — FILOLOGIA.

Jerzy Brandes: Henryk Ibsen. Z upoważnienia autora przełożyła z oryginału Józefa Klemensiewiczowa. Lwów, 1902. Nakładem Księgarni Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka, in 8-o, str. 212.

Dyonizy Fr. Bujalski: I. Polityka nauczycieli szkolnych względem uczniów, a względem własnych naczelników. II. Ustawa sądu uczniów gimnazjum wołyńskiego. Nakładem M. Borkowskiego, 1901, str. 47.

Ks. Józef Londzin: Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych w Księstwie Cieszyńskim. Dochód czysty przeznaczony na gimnazjum polskie w Cieszynie. Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego, 1901, in 8-o maj., str. 41.

Gustave Michaut: Les époques de la Pensée de *Pascal*. Deuxième édition, revue et augmentée. Paris, Albert Fontemoing, éditeur, 4, Rue Le Goff, 1902, VIII + 286. Fototypie obrazu Filipa de Champaigne: *La Cène*, portretu z maski pośmiertnej Pascala, tudzież portretu Pascala w młodości.

PAMIĘTNIK LITERACKI. Czasopismo kwartalne, poświęcone historii i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza, ze stałym współpracownictwem: Aleksandra Brücknera, Ignacego Chrzanowskiego, K. M. Górskiego, Józefa Kallenbacha, Stanisława Ptaszyckiego, Stanisława Windakiewicza, pod redakcją: Wilhelma Bruchnalskiego, Bronisława Gubrynowicza i Edwarda Porębowicza. Rocznik I, zeszyt 1. Lwów. Nakładem Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza. Z drukarni E. Winiarza, 1902. Składy główne: Gubrynowicz i Schmidt we Lwowie — E. Wende i S-ka w Warszawie, str. 192.

Treść zeszytu. — *Rozprawy:* St. Windakiewicz: Erotyk Kochanowskiego, studjum; Ig. Chrzanowski: O satyrach Naruszewicza; K. M. Górski: Karpiński w Wiedniu (1770—1771); J. Kallenbach: Nieznane utwory francuskie Z. Krasińskiego; P. Chmielowski: Znaczniejsze teorie dramatu w literaturze polskiej; E. Porębowicz: Poezyja polska nowego stulecia.

Notatki: F. Bostel: Kilka szczegółów z życia Mikołaja Sępa Szarzyńskiego; A. Hirschberg: W sprawie pamiętnika Świętosława Orzełskiego; K. Heek: Korespondencya Piotrkowczyka z Szymonowiczem; J. Nitowski: Pierwsze wydanie „Uwag“ ks. Bak; F. Krček: Do życiorysu W. Reklewskiego; H. Kopia: Przyczynki do życiorysu A. Malczewskiego; B. Gubrynowicz: Autografy Juliusza Słowackiego; T. Pini: Rękopisy Zygmunta Krasińskiego; B. Czarnik: Ossoliński i katedra języka i literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim.

Materiały: F. Bostel: Kanonik Piotra Skargi; W. Hahn: Nieznany list Szymonowicza; W. Wojciechowski: Listy Franciszka Wężyka (1828 — 1831).

Recenzje i Sprawozdania (przez F. Krčeka, A. Brücknera, B. Gubrynowicza, P. Chmielowskiego, T. Piniego, A. Mazanowskiego, A. Potockiego). Poświęcono: Antoniemu Maleckiemu w ośmdziesiątą rocznicę urodzin.

Poradnik językowy. Rocznik II, № 1. *Treść:* 1) Nieco o rozwoju języka, — napisał J. Czubek. 2) Zapytania i odpowiedzi. 3) Roztrząsania. 4) Skarbonka. 5) Krotchwile językowe. 6) Nowe książki. Kraków, 1902, str. 16. Redaktor i wydawca odpowiedzialny: prof. Roman Zawiliński. — Prenumerata na cały rok wynosi w Warszawie 1 rub. 50 kop., na prowincyi 1 rub. 80 kop. Ekspedycya „Poradnika“ w Warszawie, w księgarni E. Wende i S-ki, ulica Krakowskie Przedmieście № 9.

Stanisław Przybyszowski: Z gleby kujawskiej. Nakładem księgarni M. Borkowskiego. Warszawa, 1902, in 8-o maj., stron 71. Portret Sta-

niślawa Przybyszewskiego według rysunku Konrada Krzyżanowskiego. Inicjały, winiety i okładka rysunku Tadeusza Noskowskiego. Klisze rysunków wytrawiono w zakładzie foto-chemigraficznym B. Wierzbickiego i S-ki. Druk P. Laskauera i Babickiego.

Rozprawy Akademii Umiejętności. *Wydział Filologiczny*. Serya II. Tom XVIII. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. *Treść*: 1) St. Schneider: Studya Filologiczne nad rozwojem oświaty greckiej w V-tym wieku przed Chrystusem (str. 1 — 103); 2) St. Dobrzycki: Studya nad średniowiecznym piśmiennictwem polskim (104—119); 3) A. Brückner: Drobne zabytki polszczyzny średniowiecznej. Część druga (120 — 187); 4) Korneli Heck: Szymon Szymonowicz. Jego żywot i dzieła. Część pierwsza (188—345); 5) Fr. Bujak: Dwa przyczynki do historii Uniwersytetu Jagiellońskiego (346 — 367); 6) T. Mandybur: Pseudo - Lukianà περί τῆς Σοφίας θεοῦ (368 — 389).

Jerzy Żuławski: Prolegomena: Uwagi i szkice. (O cywilizacji i filozofii.—Ze świata myśli.—Na dachu Obserwatorium.—Znaczenie symbolizmu w sztuce.—Teorya sztuki „nagiej duszy“.—O „Królu Duchu“.—Zagadnienie). Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa. Księgarnia St. Sadowskiego, 1902, str. 170.

MATEMATYKA. — NAUKI PRZYRODNICZE.

Atlas geologiczny Galicji. Zeszyt XIII-ty. Kart trzy. Przemyśl (VIII, 5), Brzozów i Sanok (VII, 6), Łupków i Wola Michowa (VII, 8), — opracował prof. dr W. Szajnocha. Kraków, 1901. Wydawnictwo Komisji Fizyograficznej Akademii Umiejętności w Krakowie.

Tekst do zeszytu trzynastego, opracowany przez d-ra Władysława Szajnochę, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności, 1901, str. 54.

Atlas geologiczny Galicji. *Tekst* do zeszytu dziewiątego opracował prof. A. M. Łomnicki. Kraków. Nakład Akademii Umiejętności, 1901, str. 165.

Ludwik Krzywicki: Systematyczny kurs Antropologii. Rasy psychiczne (z 20 mapami). Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, 1902, str. 309.

Rozprawy Akademii Umiejętności. *Wydział Matematyczno - Przyrodniczy*. Serya druga. Tom XVIII-ty (z 11-ma tablicami i 25-ma rycinami). Nakładem Akademii Umiejętności, 1901. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. — *Treść*: 1) J. Sosnowski: Studya nad zmianami geotropizmu u *Paramacium aurelia* (str. 1 — 14); 2) N. Cybulski i M. Kirkor: O przewidzeniu stanu czynnego przez zwoje międzykręgowo i o odruchowym wahaniu wstecznym prądu spoczynkowego (15 — 49); 3) S. Gólski: Dojrzewanie i zapłodnienie jajka u Ascidii: *Cionia intestinalis* F. (59—69); 4) S. Niementowski: Onowych rodzajach anhydrowiązków (70 — 136). 5) W. Reiss: O rozwoju naskórki w pierwszych miesiącach życia płodowego (137 — 159); 6) A. Wyczółkowska: O iluzjach optycznych (z 14-ma rycinami) (160 — 190); 7) A. Bochenek: Drogi nerwowe przedmózdzia salamandry płami-

stoj (196 — 215); 8) A. Bochenek: O unerwowieńiu splotów naczyniowych mózgu zaby (191 — 195); 9) L. Bruner i S. Tolloczko: O szybkości tworzenia się estrów z chlorku bronolowego i alkoholów tuzszczywych (216—239). 10) T. Browicz: Pochłanianie krwinek czerwonyc przez komórke wątrobną (235—239); 11) T. Browicz: Drogi odżywece w komórce wątrobnaj (240—253), 12) P. J. Mazurek: Działanie kwasu azotowego na fenilo-etylamiu (254—262); 13) L. Marchlewki i C. A. Schunck: Wpływ bromu na filoporfirynę i hematoporfirynę (263 — 267); 14) M. Kowalewski: Studya helmintologiczne. VI (268 — 285); 15) R. Negrusz: O trzech izometrycznych benzylotoluołach (286 — 300); 16) W. Satke: Kierunek, droga i szybkość wiatru w Krakowie (301 — 345); 17) T. Browicz: Budowa przewodów żółciowych międzykomórkowych (346—352); 18) K. Żórawski: O pewnych zmianach długości liniowych elementów... (353 — 365); 19) S. Droba: O tworaeh olbrzymich w tkankach grzliczych (366—381); 20) L. E. Böttcher: O własnościach pewnych wyznaczników funkcyjnych (382 — 389).

Rozprawy Akademii Umiejętności. *Wydział Matematyczno-Przyrodniczy*. Serya II. Tom XIX. 1901 (z 3 tablicami i 17 rycinami). *Trzęs:* 1) W. Heinrich: Krytyczny przegład dotychczasowych badań nad wrażeniami barwnymi (1 — 40); 2) Tenże: O stałości wrażenia załadwie spostrzegalnego przy użyciu tonów czystych (41 — 48); 3) St. Opolski: Przyczynę do znajomości elektroujemnej natury roduików organicznych (49—54); 4) L. Marchlewski i C. A. Schunck: Otrzymanie chlorofilu... (55 — 65); 5) S. Ciechanowski: Sprawy wydzielnicze w komórkach pierwotnych gruczolaków i raków gruczolakowych wątroby (66 — 96); 6) T. Emilewicz: O fenyliminach oksyacetonów (97 — 105); 7) E. Bandrowski: O działaniu bromonitrobenzolów na parafenylendwuamin (106—114); 8) Tenże: O działaniu stężonego kwasu azotowego na bromobenzol (115—119); 9) B. Mikłaszewski i St. Niementowski: Studium porównawcze trzech izomerych (β) - aminofenylbenzimidazoli (120—153); 10) T. Browicz: O budowie naczyń włoskowatych krwionośnych... (154 — 163); 11) Tenże: Czy kanaliki żółciowe międzykomórkowe mają własne ścianki? (164—172); 12) St. Niementowski: O homologach alizaryny, hystazaryny i chinizaryny (173 — 185); 13) L. Birkenmajer: O stosunkach temperatury głębokich jezior tatrzańskich (186 — 411).

Materyaly Antropologiczno-Archeologiczne i Etnograficzne, wydawane staraniem *Komisji Antropologicznej Akademii Umiejętności* w Krakowie. Tom piąty z 15-ma tablicami i 13-ma figurami w tekście. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej, 1901. *Zawiera:* I. *Dział antropologiczno-archeologiczny* pod redakcją d-ra Włodzimierza Demetrykiewicza: 1) Rutkowski Leon: Charakterystyka antropologiczna ludności wiejskiej Płońskiego i sąsiednich powiatów; 2) Brensztein Michał Eustachy: Cmentarzyska we wsi Judsodzie na Żmudzi; 3) Wawrzeniecki; Marian: Drobne wiadomości o wykopaliskach przedhistorycznych w Królestwie Polskiem; 4) Czarnowski St. J.: Jaskinia Okopy nad rzeką Prądnikiem.—II. *Dział etnograficzny:* Malinowski L.: Powieści ludu polskiego na Śląsku (3 — 265).

Dr Antoni Złotnicki: Z zagadnień życia. Szkice z zakresu biologii. Warszawa. Skład główny w księgarni Br. Brzozowskiego, Szpitalna 5. Cena kop. 60. 1902, str. 112.

POEZYJE DRAMATY I POWIEŚCI.

Maryan G a w a l e w i e z: Na skrawku ziemi. Warszawa. Jan Fiszer, Nowy Wiat № 9. Druk i litografia Jana Cotty, b. d., str. 232. *Treść*: I. Na skrawku ziemi. II. J66l. III. Laureatka. (Poświęcone Henrykowi S i e n k i e w i c z o w i).

Jan G r z e g o r z e w s k i: Z pod nieba wschodniego. Nowele i fragmenty z podróży. Towarzystwo wydawnicze we Lwowie. Księgarnia S. Sadowskiego w Warszawie (bez daty na tytule). Kraków. W drukarni W. L. Anczyca i S-ki, 1902, str. 378. Portret autora na okładce.

Wincenty K o s i a k i e w i c z. Poezye. Warszawa. Druk J. Sikorskiego, 1901, in 8^o str. 104.

Jan L e n a r t o w i e z. Wybór Nowel francuskich przełożył. Warszawa, 1902. Bibl. Dzieł Wybor., № 216, str. 160.

S e w e r: Wybór pism. Tom I. Głódowa pożyczka. — Pozytywizm w praktyce. — Nice. — Warszawa, 1902. Bezplatny dodatek dla prenumeratorów *Wędrowca*. Nakład *Wędrowca*, str. 148.

Henryk S i e n k i e w i c z: Pisma, Tom XXXVII (Żórawie. — Sen. — Muszę wypocząć. — Na Olimpie. — Na Jasnym Brzegu). Warszawa. Bezplatny dodatek dla prenumeratorów *Tygodnika Ilustrowanego*, 1902, str. 168.

Józef S l a d e k: Urywki poetyczne, tłómaczył z czeskiego Konrad Zaleski. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1902 (Zenonowi Przesmyckiemu—Miriamowi—tłómacz), str. XIII+107+IV.

Leopold S t a f f: Mistrz Twardowski. Pięć śpiewów o czynie. Nakładem Księgarni Polskiej (B. Polonieckiego. Lwów MCMII, in 8^o maj., str. 204. — Ozdobiono rysunkami Edwarda Okunia. — Odbito w drukarni Uniw. Jagiell. w Krakowie. (E. Wende i S-ka w Warszawie).

Wacław W o ł s k i: Nieznanym. Poezye. Serya pierwsza. Warszawa Księgarnia Warszawskiej Spółki Wydawniczej, Mazowiecka 16.— 1902, str. 278.

Daniel Ż ó ł t y ũ s k i: Dymisy. Szkic sceniczny. Warszawa, 1901. Skład główny w księgarni M. Borkowskiego. Marszałkowska 97. — kop. 40, str. 91.

PISMA ZBIOROWE.

Emanuel Ś w i e y k o w s k i. Zabytki dawnego polskiego przemysłu artystycznego na pierwszej wystawie Towarzystwa „Polska sztuka stosowana“ w Muzeum narodowym 1902. W Krakowie. W drukarni Uniw. Jagiell., str. 65.

Encyklopedia Rolnictwa, wydawana staraniem i nakładem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Zeszyt CVI, str. 241—320. Warszawa, skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa, 1902.

Encyklopedia Wychowawcza. Zeszyt I tomu VI-go zawiera następujące artykuły: „Jeziński Feliks“, przez d-ra Wiktora H a h n a; „Je-

zuici“, przez ks. Stanisława Załęskiego; „Jezuici w Polsce“, p. Henryka Gallego; „Jędrzej Glaber z Kobylina“, przez d-ra Wiktora Hahna; „Języki aryjskie“, przez Stanisława Drzażdżyńskiego; „Język hebrajski“, przez Ignacego Radlińskiego; „Język ojczysty“, przez Romana Pleńkiewicza.

Rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie. Rok 1900 (1901, Kraków. Nakładem Akademii Umiej. 1901, str. 158 i 8 tablic. *Treść*: Skład Akademii (w lipcu 1901 r.) Posiedzenie publiczne dnia 30 maja 1901 r. — Przemówienia: Juliana Dunajewskiego, Stanisława Tarnowskiego; sprawozdanie sekretarza generalnego. Nagrody i konkursy. L. Kubala: Zajęcie Kijowa przez Moskwę w r. 1654.—Wykaz stosunków Akademii z innymi instytucjami naukowymi. Sprawozdanie ze stanu i użycia funduszków w r. 1900.

Wład. Kocent Zieliński: Podręcznik do korespondencyi kupieckiej w pięciu językach: polskim, rosyjskim, niemieckim, francuskim i angielskim. Zeszyt I. Cena kop. 20. Wydawnictwo Podręcznika, Warszawa, Hortensya 6. Drukarnia L. Szyller i Syn. 1902, str. 16.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

ADAM hr. KRASIŃSKI.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1902.

HISTORIA.

- NIEZNANY PAMIĘTNIK JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA
O CZASACH KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO (1907 — 1909), — podał Aleksander
Kraushar 1, 303 i 449
- OSTATNI MOHIKANIE POLSCY, — przez G. Smólskiego . . 419

SZKICE POLITYCZNE.

- STOSUNKI POLITYCZNE W POZNAŃSKIM, — przez Poznań-
czyka 30

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE i EKONOMICZNE.

- SCHYLEK EKONOMICZNEGO PIERWSZEŃSTWA ANGLII, — przez
d-ra M. E. Nekandę-Trepkę . . . 247
- DEMOKRACJA, — przez Wojciecha Dzierżyszyckiego 290 i 537
- W PRZEDEDNIU REFORMY SĄDÓW GMINNYCH, — przez Bia-
łokura 282
- NASZE STOSUNKI HANDLOWE Z NIEMCAMI, — przez A. Doni-
mirskiego 477

LITERATURA.

- AUTOR. Powieść współczesna, — przez Cecylię Walewską 46, 274 i 502
- DUCH CZASU, — dramat, pozostały w rękopisie po ś. p. Ale-
ksandrze Maciejowskim (Sewerze),
Akt drugi i trzeci (dokończenie) 126

	Str.
W ZIMIE. Z CYKLU „ROK ŻYCIA“ (poezya), — przez Henryka Skirmunta	123
PODCZAS WIATRU Z TATR. (Poezye), — przez Kaz. Tejmajera.	274
NA CZASÓW FALI. I. ŻELAŻNI JEŹDŹCY. II. ZWYCIĘSKI DZIEŃ. III. SYNOWIE. IV. LECAĆ CZASY. (Poezye), — przez Jana Przysieckiego.	471

STUDYA I SZKICE LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

WIEZNANE LISTY JULIUSZA SŁOWACKIEGO, — podał profesor Józef Kallenbach	98
POGADANKA ARTYSTYCZNA. Kilka słów o Maksie Klingerze i nowych dążeniach w sztuce, — przez Stefana Popowskiego	111
ANTONI MAŁECKI, — przez prof. Józefa Kallenbacha	216
HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ DLA NIEMCÓW, — przez Ign. Chrzanowskiego	492

NAUKI PRZYRODNICZE.

BIOLOGIA GŁĘBIN MORSKICH, — przez profesora d-ra Józefa Nusbauma	74
--	----

ROZMAITOŚCI.

Ze starych szpargałów, — przez ks. Józefa Rokosznego	158
Działalność naukowa ś p. d-ra Antoniego Buchholtza, — przez Gustawa Manteuffla	167

KRYTYKA.

<i>Smoleński</i> : „Pisma historyczne“. Tomów trzy. 1901, — przez A. R.	173
„Ustawa Komisji Edukacji Narodowej dla stanu Akademickiego. 1-o na szkoły w krajach Rzeczypospolitej, przepisane w Warszawie roku 1783“, — przez A. R.	179
<i>Wittichen</i> : „Die polnische Politik Preussens. 1788 — 1790“. Göttingen, 1899, — przez A. R.	373
<i>Lubomir Gadon</i> : „Emigracja polska“. T. I i II, 1901, — przez A. R. 573 i 577	
<i>St. A. Kempner</i> : „Zarysy ekonomii społecznej“. Warszawa, 1901. — przez Henryka Radziszewskiego	182

- Władysław Orkan*: „Komornicy“. Powieść. Lwów, 1900, — przez A. Drogoszewskiego 184
- Dr Zygmunt Celichowski*: „Acta Tomiciana“. Tomus Undecimus. A. D. MDXXIX. Posnaniae, sumptibus Bibliothecae Kornicensis MDCCCCI etc. Pag. 355, 4-o maj., — przez J. K. Kochanowskiego 377
- „*Swiatowit*“. Rocznik, poświęcony archeologii przeddziewowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydany staraniem Erazma Majewskiego. Tom III, 1901 (59 ilustracji w tekście i XVI tablic), str. 254, — przez Franciszka Pułaskiego 380
- Dr Jan Lutostawski*: „Szkoły rolnicze i leśnicze“, Warszawa, 1901, str. 182, — przez Zygmunta Glogera 384
- Marya Czesława Przewóska*: „Z nowych dni“. Syntetyczny zarys końca wieku. Warszawa, 1901, — przez A. Drogoszewskiego 853
- Zygmunt Gloger*: „Encyklopedia Staropolska ilustrowana“. Tom I. Aaron — Denar, 316 stron, Warszawa, 1900. Tom II: Departamenta — Kapelani. 332 stron, 1901, — przez A. Brücknera 888
- Dr Ludwik Finkel*: „Bibliografia historii polskiej“. Część II (zeszytów 4). Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1895—1901, str. 531—1,142, — przez Henryka Ułaszyńskiego 589
- K. Krynicki*: „Rys geografii Królestwa Polskiego“. Wydanie drugie. Warszawa. Nakład Gebethuera i Wolffa, 1902, Br. Ch. 593
- Władysław Matlakowski*: „Zdobienie i sprzęty ludu polskiego na Podhalu“. Zarysy życia ludowego, poprzedzone życiorysem autora, wydał dr Józef Peszke. (Z dwiema podobiznami autora, 65 tablicami i przeszło 150-ma rycinami w tekście). Warszawa, 1901. Z zapomogi Kasy imienia d-ra Józefa Mianowskiego, — przez Romana Zawilińskiego 595

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ.

Pomnik Chopina. — Organizacya instytucji studenckich. — Nowe prawo o Towarzystwach akcyjnych. — Ustawa

	Str.
Towarzystwa ochrony kobiet. — Hojne zapisy. — Jubileusz ks. Tadeusza Lubomirskiego. — Nowa szkoła sztuk pięknych. — „Naokoło świata”. — s. p. Feliks Sypniewski. — s. p. J. G. Bloch	390
LUTY.	
Stosunki handlowe z Niemcami. — Premia bezpłatne i obietnice prospektów. — Wykłady dla matek. — Związki rodzinne. — Monografia Wisły. — Odezwa sekeyi imienia Chopina. — Wspomnienia pozgonne: s. p. Julian Stattler, s. p. Wilhelm Bogusławski, s. p. Feliks Jezierski	188
MARZEC.	
Setna rocznica urodzin Zaleskiego. — Jubileusz Konopnickiej. — Biblioteka Towarzystwa Zachęty sztuk Pięknych. — Towarzystwa przeciwpojedynkowe. — Opieka nad chorymi pozaszpitalnymi. — Ubogie matki i dzieci, zagrożone chorobami przewlekłymi. — Wspomnienia pozgonne: s. p. Ksawery Pilatti, s. p. Lucyan Wrotnowski, s. p. Włodzimierz Zagórski (Chochlik)	601
WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.	
STYCZEŃ	205
LUTY	409
MARZEC	617

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

poleca następujące własne wydawnictwa:

- Antoniewicz Karol ks.** „Poezye religijne“, kop. 90.
w pięknej oprawie rub. 1 kop. 80.
— „Poezye religijne i świeckie“. Wydał ksiądz Jan Badeni. Wydanie trzecie z licznemi winiętami, rub. 1 kop. 80, w starannej oprawie rub. 3.
- Bako wski Klemens** „Posażna panna“, powieść, 1 rub. kop. 25.
- Bilczewski ks. arcybiskup.** Eucharystya w świetle najdawniejszych pomników: piśmiennych, ikonograficznych i epigraficznych. Wydanie luksusowe w wielkim formacie, str. 328 z 47 rycinami i tablicą w holiograviurze. Dzieło, odznaczone nagrodą Akademii umiejętności, rub. 4 kop. 50, w starannej oprawie rub. 6.
- Chołoniewski Stanisław ks.** „Kazania niedzielne i świąteczne“, 2 tomy, wydał ks. Jan Badeni, rub. 3 kop. 60.
- Coppée Fr.** „Dobre cierpienie“, szereg przepięknych szkiców znakomitego autora, kop. 75.
- Czermak Wiktor dr.** „Studia historyczne“.
Tresć: Na dworze Władysława IV. — Młodość Jerzego Lubomirskiego (1616 — 1636). — Wojna Smoleńska z roku 1633 — 1634 w świetle nowych źródeł. — Polska wobec wojny 30-letniej. — Kilka słów o pamiętnikach polskich XVII wieku. — Miłostki królewskie — Przyczynek do biogr. Zimorowicza. — Przyczynek do dziejów siedemnastego wieku z archiwów prywatnych, rub. 2 kop. 70.
- Dostojewski T.** „Wspomnienia z martwego domu“ (W katordze), przełożył prof. Tretiak, drugie polskie wydanie, rub. 1 kop. 50.
- Fogazzaro Antonio** „Dawny światek“ (Piccolo mondo antico). Autoryzowane tłum. rozgłosnej powieści znakomitego pisarza włoskiego, rub. 4 kop. 80.
- Gide K.** „Zasady ekonomii społecznej“, drugie polskie wydanie, świeżo opracowane i rozszerzone przez d-ra W. Czerkawskiego, rub. 4 kop. 50.
- Gloger Zygmunt.** „Geografia historyczna dawnej Polski“, z dodaniem mapy Rzezypospolitej J. Babireckiego. W tekście 64 autentycznych rycin, rub. 3.
- Golian Zygmunt ks.** „Kazania niedzielne i świąteczne“, rub. 1 kop. 80.
- Górski Konstanty.** „Historja jazdy polskiej na podstawie nieużytkowanych dotąd źródeł, z trzema tablicami litografowanemi, str. 363, rub. 3 kop. 60.
- Hygiena palenia** Studium fizyologiczno - lekarskie, kop. 56.
- Kalinka Waleryan ks.** „Sejm czteroletni“, wyd. ezwarte w 4 częściach rb. 6 kp. 50.
— „Ustawa trzeciego maja“, kop. 50.
- Karbowski B. prof.** „Szkoła katedralna krakowska w wiekach średnich“, kop. 60.
- Kołaczkowski Klemens, generał.** „Wspomnienia od roku 1793—1830“, przyzdobione 27 rycinami, trzy tomy po rub. 1.
- Korolenko Wł.** „Niewidomy muzyk“, przekład z ros. St. M., kop. 90.
— „Szkice i opowiadania“. (At Dawan. — Za obrazem. — Zaćmienie słońca. — Cienie. — W noc. — Może. — Sądny dzień), rub. 1 kop. 80.
- Kostomarov N. J.** „Kudejar“, powieść historyczna z czasów Iwana Groźnego. Tłumaczył * *, rub. 1 kop. 60.
- Kowerska Z.** „Z pamiętnika ornitologa“, rub. 1 kop. 35
— „Powieści“ (Dla Anusi — Z życia Jasia — Na noclegu. — Wydalenie) r 1 k. 50.
- Książeczka do modlitwy dla mężczyzn ze sfer inteligentnych.** Nowa ta książeczka, w formacie, łatwym do wsunięcia w kieszeń, z modlitwami kościelnymi w języku łacińskim i polskim, dobraniem z znajomością rzeczy i wielką troskliwością, odpowie odczuwanej oddawna rzeczywistej potrzebie.
- Oprawy wykonano w pierwszorzędnym zakładzie krakowskim starannie i gustownie od rub. 1 do 5.
- Macaulay T. M.** „Szkice i rozprawy historyczne“, 2 tomy, tłumaczył Stan. Tarnowski, rub. 2 kop. 70.
- Manteuffel G.** „Cywilizacya, literatura i sztuka w kolonii polskiej nad Bałtykiem“, ozdobione 23 rycinami, rub. 1 kop. 10
- Mickiewicz Adam.** „Wybór listów“, ułożył dr Józef Kallenbach, profesor uniwersytetu fryburskiego, rub. 1, kop. 80.
- Wybór ten zawiera ważniejsze listy poety, w których przebijają się duchowe rysy nie tylko twórcy „Pana Tadeusza“, ale człowieka-obywatela, brata, męża, ojca rodziny i serdecznego przyjaciela.

- Noumanowa A.** „Baśnie i legendy Wschodu”, kop. 55.
- Pawliś i Stefan ks. dr.** „Żywot i dzieła Ernesta Renana”, rub. 1 kop. 70
- Pelczar Józef, ks., dr, biskup przem.** „Zarys dziejów kaznodziejstwa w Kościele katolickim.
- Część I. Kaznodziejstwo greckie do IX w. i łacińskie do XVI w., rub. 1 kop. 25.
- Część II stanowi dla siebie całość pod tytułem: „Kaznodziejstwo polskie”, str. 401, rub. 2 kop. 70.
- Część III. „Kaznodziejstwo ludów słowiańskich, romańskich i armeńskich”, obszerny tom o 476 stronicach wraz z indeksem do całego dzieła, r. 2 k. 70.
- Kazania na uroczystości i święta N. M. Panny. Wyd. nowe, 2 t. rub. 4 k. 50.
- Prawo małżeńskie katolickie z uwzględnieniem prawa cywilnego, obowiązującego w Austrii, Prusiech i w Królestwie Polskiem”, trzy tomy, 75 arkuszy starannego druku, rub. 7 kop. 20.
- „Rozmyślenia o życiu kapłańskim, czyli ascetyka kapłańska”. Wydanie drugie, pomnożone, dwa tomy, rub. 5 kop. 40.
- Sarnecki Zygmunt.** „Historia literatury francuskiej”, ułożona podług najświeższych źródeł i opracowań obcych, rub. 2 kop. 70.
- Schnür-Peplowski Stanisław.** „Cudzoziemcy w Galicji“ (1788—1944), r. 2 k. 20.
- Sewer.** „Bajecznie kolorowa”, powieść na tle życia artystów krakowskich, r. 1 k. 35.
- „W kleszczach”, „Magdusia” dwie nowele, rub. 1 kop. 50.
- Sokołowski Maryan, dr prof. uniw.** „Studia i szkice z dziejów sztuki i cywilizacji”. Str. 531, w tekście 47 prześlicznie odbitych, autentycznych rycin, rub. 4, w oprawie starannej rubli 6.
- Treść. I. Starożytność i wieki średnie. — Poszukiwania archeologiczne w Azymniejszej. — Z podróży na Wschód — Wazy greckie w naszych zbiorach. — Zbiór gemmoglyptyczny Muzeum Narodowego. — Restauracja Sukiennic. II. Włochy i odrodzenie. — Wspomnienie o Rafaelu Sanzio. — Pałac Colonna w Rzymie. — Goluchów. III. Bizanecjum i Rus. — Bizantyńska i ruska średniowieczna kultura. — Badań archeologiczne na Rusi Galicyjskiej. — Sztuka cerkiew. na Rusi.
- Spis Stanisław, ks prof uniw Jag.** „Święta Teresa od Jezusa”, reformator-ka zakonu karmelitańskiego.
- Wydanie wykwin tne na wzór belgijskich, rb. 1 kp. 10, w pięć opr. rb. 2 k. 20.
- Szajnocha Karol.** „Pisma”, dwa tomy, rub. 2 kop. 20.
- Szedrin-Sałykowski.** „Nowele“ (Kara idealista — Wierny Trezor), kop. 30.
- Tarnowski Stanisław.** „Dworzanin Górnickiego”, studjum literackie, kop. 70.
- Tarnowski St. I.** „Komedye Al. hr. Fredry”. II. „O pośmiertnych komedyach Fredry”, rub. 1 kop. 80.
- „Studia do historii literatury polskiej”. Wiek XIX. Tom IV. (Ca u nas o Kochanowskiu pisano. — Szekspir w Polsce. — „Koryolan” Szekspira rub. 2 kop. 70.
- „Henryk Sienkiewicz”. Historia rozwoju zawodu pisarskiego H. Sienkiewicza, zestawiona w 25-letni jubileusz jego działalności, rub. kop. 80.
- Tołstoj L.** „Anna Karejina”, powieść, przekład z siódmego wydania, trzy tomy, rub. 4 kop. 50.
- Trapszo Anastazy.** Dyrektor szkoły dramatycznej w Warszawie, artysta sceny warszawskiej i krakowskiej. „Podręcznik sztuki dramatycznej”, r. 1 k. 60.
- Tretiak Józef, prof. uniw.** „Szkice literackie, ser. II, obszerny tom, rb. 2 kp. 78.
- Wodzicka Teresa.** Eliza Radziwiłłówna i Wilhelm I”, z 3 portr., kop. 40.
- Zwyczaj towarzyskie** (Le savoir vivre) wraz z nauką życia. Poglądy na zachowanie się w ważniejszych okolicznościach życia towarzyskiego. Wydanie trzecie. Najlepszy, nader dokładny i najstaranniej wydany podręcznik, rub. 1 kop. 20, oprawny w płótno rub. 1 kop. 30.
- Z niedawnych czasów.** Wspomnienia z Wilanowa. Wydanie wykwin tne z portretami pań: Augustowej, Cecylii i Teresy Potockich, Adamowej Biehoweowej i Wiktorowej Czaekiej, rub. 1 kop. 35.

Dla uniknięcia pomyłek, prosimy przy zamówieniu dodawać zawsze:
 „Wydanie Spółki Wydawniczej w Krakowie”.

Skład główny w księgarni GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

Do nabycia w każdej znaczniejszej księgarni.

KONKURS NAUKOWY

imienia HIPOLITA WAWELBERGA.

Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Lwowskiego ogłasza konkurs fundacyi Hipolita Wawelberga na dwie najlepsze prace naukowe w zakresie dziejów ludności żydowskiej w Polsce.

Chodzi z jednej strony o zbadanie historyczno porównawcze stosunku Rzeczypospolitej polskiej względem ludności żydowskiej, a mianowicie o wydatnienie tych wyjątkowo sprzyjających, w porównaniu z innymi państwami, warunków wyższej tolerancji religijnej i politycznej w Polsce, które spowodowały wyjątkowe skupienie się ludności żydowskiej w obrębie Polski; a zarazem o wyświetlenie zarówno dodatnich, jako też ujemnych wyników takiego skupienia się; zarówno dla kraju, jako też dla rzeczonej ludności. Chodzi z drugiej strony o historyczne zbadanie wewnętrznego rozwoju ludności żydowskiej w Polsce, pod względem jej organizacji wyznaniowej, administracyjnej, sądowniczej, podatkowej i t. p., jej rozsiadlenia się i ogniskowania po rozmaitych częściach kraju, jej zajęć i zawodów, szkolnictwa, pojęć religijnych i społecznych; przedewszystkiem zaś o wyświetlenie jej stosunku do całości i oddzielnych warstw i stanów narodu polskiego; do krajowych spraw gospodarczych i politycznych, oraz oddziaływania na nią polskiej kultury krajowej w obyczajach, tradycjach, języku, stroju i t. p.

W szczególności chodzi o historyczne zbadanie wzajemnego stosunku pomiędzy krajem a ludnością żydowską w okresie dziejów nowoczesnych, to jest jaki był względem niej stosunek rządu, prawodawstwa i opinii publicznej polskiej w dobie Wielkiego Sejmu Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, aż do reformy Wielopolskiego włącznie; oraz, jaki był stosunek tejże ludności względem odpowiednich przesileni krajowych, i jaka jej rola w czasach pomiędzy onemi przesileniami. Chodzi również o zbadanie polityki trzech rządów podziałowych: Austriackiego, Pruskiego i Rosyjskiego, wobec ludności żydowskiej na obszarze odpowiednich dzielnic rozbiorowych, ze szczególnem uwzględnieniem doby Józefa II i ks. Metternicha, Fryderyka II i Fryderyków-Wilhelmów II i III, Mikołaja I i Aleksandra II.

Tutaj zaś przedewszystkiem zależy na wyjaśnieniu wpływu owych działań każdego z trzech rządów na wyodrębnienie się typu żyda galicyjskiego, poznańskiego, litewskiego i kongresowego z pierwotnego typu żyda polskiego, pod względem kulturalnym, gospodarczym i politycznym, mając na uwadze wyniki tego procesu dla spraw krajowych w każdej odpowiedniej dzielnicy.

Prace konkursowe nie są w niczem krępowane ani pod względem swojego punktu wyjścia i wniosków, ani też pod względem rozmiarów. Mogą zajmować się wykładem stron bądź dodatnich, bądź też zgoła ujemnych, w stosunku dziejowo - politycznym ludności żydowskiej w Polsce. Mogą to być większe dzieła i krótkie rozprawy. Muszą tylko wyłączenie nosić charakter ściśle źródłowy i naukowy. Mogą zresztą obejmować bądź całość przedmiotu, bądź też którąkolwiek jego część. A nawet w szczególności są pożądane opracowania monograficzne, dotyczące bądź pewnego okresu, bądź pewnego oddzielnego zjawiska, to jest pewnego zagadnienia historycznego - politycznego, historyczno prawnego, historyczno - ekonomicznego, historyczno-statystycznego, lub historyczno-kulturalnego pewnej prowincji, pewnej wydatniejszej gminy, pewnego aktu prawodawczego i t. p., w zakresie dziejów ludności żydowskiej w Polsce. Obok opracowań, w równej mierze są dopusz-

czane, w tym samym zakresie wydawnictwa dokumentów, aktów, wiadomości historyczno-statystycznych i t. p. przyczynków źródłowych, wydanych sposobem naukowym, to jest opatrzonych w stosowną przedmowę i objaśnienia krytyczne.

Konkurować mogą studenci uniwersytetów Lwowskiego i Krakowskiego. Również jest dopuszczoną młodzież akademicka polska, przebywająca na innych uniwersytetach. Obok młodzieży akademickiej mogą też konkurować wszyscy badacze narodowości polskiej, którzy w przeciągu ostatnich lat pięciu, to jest nie później, jak w roku 1895 studia uniwersyteckie ukończyli.

Prace konkursowe winne być pisane w języku polskim. Mogą być rękopiśmienne, bądź takie, które ukazały się drukiem w ciągu upłynionego roku konkursowego.

Ocenę prac i wyznaczenie nagród wykonywać będzie według własnego i wyłącznego uznania Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Lwowskiego. Do tegoż Wydziału konkurenci winni przysyłać swoje prace bądź w rękopiśmie, bądź w jednym drukowanym egzemplarzu.

W skład Komisji konkursowej wchodzi profesorowie: Władysław Abraham, Szymon Askenazy, Oswald Balzer, Bronisław Dembiński, Ludwik Finkel, Tadeusz Wojciechowski.

Nagród ustanawia się dwie: pierwszą w wysokości 600 koron, drugą czterysta koron w. a.

Prace nagrodzone, wydrukowane kosztem funduszu konkursowego, zostają własnością autorów, a tylko pięćdziesiąt egzemplarzy ma być oddanych rodzinie bł. p. H. Wawelberga.

Autorowie prac nienagrodzonych w jednym konkursie, a zasługujących na uwzględnienie, mogą ubiegać się o nagrodę przy następnym konkursie.

Jako nieprzekraczalny termin składania prac w dziekanacie Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Lwowskiego, ustanawia się dzień 31 grudnia 1903 roku.

Z Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Lwowskiego.

We Lwowie, dnia 5 lutego 1902 roku.

WARUNKI PRENUMERATY BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

W guberniach całego Państwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego: Rocznie rubli **10**, półrocznie rubli **5**. W **Warszawie** Rocznie rubli **9**, półrocznie rubli **4** kopiejek **50**, kwartalnie rubli **2** kopiejek **25**. Cena pojedynczego zeszytu rub. **1**.

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przesyłanie wprost do **Redakcji „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“**, ulica **Krakowskie Przedmieście Nr 5**, gdyż to zapewnia najlepiej akuratańską ekspedycję pisma.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w Państwie.

Oplata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające jedną stronicę formatu „Biblioteki Warszawskiej“ rubli **5**. Za ogłoszenie, zapelniające pół stronicę, rubli **3**. i za ogłoszenie, zapelniające $\frac{1}{4}$ formatu, rubli **2**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Февраля 1902 г.

W drukarni Józefa Sikorskiego Warecka 14.